

12.207.190

KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1982-1984

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1984

MIESIĄCE (1982-1984)

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 395

ISBN 2-7168-0053-7

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1982-1984

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1984

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001000933897

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Nierzeczywistość, 1978, wyczerpane

Miesiące (1978-1979), 1981, wyczerpane

Miesiące (1980-1981), 1982, wyczerpane



II 2. 207. 190



© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1984.

2005 K 563/28 c

Czerwiec 1982

Wczoraj parne niedzielne popołudnie na cmentarzu Père Lachaise, wśród starych kobiet, rozmawiających na ławkach, i ptaków — w większości kosów i drozdów — przefruwających z drzewa na drzewo ponad grobami. Nagrobki jeden przy drugim ciasno zwarte, wszystkie kamienne, ani jednej mogiły usypanej z ziemi. Dozorca cmentarny ofiarował nam plan kwater. Grób Chopina znajduje się w kwaterze nr 11. Posuwamy się według planu, gubimy kierunek, po czym nieoczekiwanie trafiamy na marmurowy sarkofag zarzucony kwiatami. Spod czerwonożłotej szarfy wyjrzały litery nazwiska: F. CHOP... Zatrzymujemy się, ileż tych kwiatów. Po chwili jednak przypominam sobie, że grób Chopina na fotografiach, które oglądałem, był z białego kamienia, a ten jest ciemny. I gdzie rzeźba Clésingera? Odsuwam rąbek szarfy i dostrzegam pozostałe litery nazwiska wyryte w marmurze: F. CHOPPIN. Więc omyłka. Chopinowie nigdy nie pisali się przez podwójne p. Próbuję odnaleźć kwaterę na planie, gdy zwraca się do nas mężczyzna z książką pod pachą, okrągły, łysawy, w okularach. Domyślił się czego szukamy. — Państwo pozwolą, ja tu bywam codziennie i gdzie kto leży wiem na pamięć. — Francuz. Przebiera szybko krótkimi nogami w tenisówkach, ledwie za nim nadążam. M. z tyłu. Francuz opowiada, że spędza tu urlop. Urzędnik firmy asekuracyjnej, przychodzi codziennie ze śniadaniem i rozkoszuje się ciszą do godziny zamknięcia cmentarza. — W żadnej letniej miejscowości nie jest tak spokojnie. A gdyby państwo się wybrali na cmentarz Montmartre! Tam cisza zupełna, kompletny wypoczynek. Bo to jest starszy cmentarz, więc mniej odwiedzających, państwo rozumieją. Bardzo państwa namawiam na Montmartre.

Prowadził nas od grobu do grobu. Chopin: jasny, wąziutki

pomnik, od dwóch sąsiednich dzielą go centymetry. Dwie uschnięte róże na płycie. Jakże tu ciasno. Później, gdy zbliża się godzina zamknięcia, gnamy od Musseta do Balzaka, do Nerval, Apollinaire'a i do Géricault. Francuz patrzy na nas wzrokiem gospodarza oprowadzającego po swoich włościach. Przy grobie Sary Bernhardt, podobnym do bunkra, zatrzymuje się głaszcząc płytę: — *Pauvre Sarah*, nikt jej nie składa kwiatów... — Wreszcie czarny, lśniący prostokąt grobu Marcelgo Prousta. Wraz z nim leżą tu jego rodzice i brat, profesor Robert Proust, z żoną zmarłą w roku 1953. Francuz zaprasza: — Jeszcze tylko kawałek do Oscara Wilde'a! — Jest duszno, drozdy latają nisko nad grobami, z ciężkim furkotem. Staruszki podnoszą się z ławek i ciągną w kierunku bram. Słychać gwizdki strażników ogłaszających zamknięcie.

Dziękuję Francuzowi. — A nie, cała przyjemność po mojej stronie! — Dodaje coś jeszcze, słyszę: „la Pologne” i „Solidarité”. Kiedy odchodzimy, zawołał: — Szkoda, że nie byliście państwo u Bizeta! — Bizeta odkładamy na następny raz — mówię — nie można wszystkiego za jednym zamachem. — Tylko niech państwo uważają, tu jest dużo chorych kotów. — Nie wiem, co miał na myśli. Pamiętam, że na pomniku Géricault zauważyłem płasko wyciągniętego szarego kota, którego w pierwszej chwili wziąłem za część rzeźby.

Ogółem biorąc, wrażenie inne niż się spodziewałem. Wszystko tu murowane i kamienne, podzielone na działnice; chodzi się jakby ulicami, dużo asfaltu. Zminiaturyzowane miasto, zamiast domów groby. Nastrój w porównaniu z warszawskimi Powązkami mniej smutny, mniej wiejski. Na Powązkach jest więcej ziemi, liści wędnących na mogiłach, które zarasta trawa. Tutaj, w municypalnym porządku nagrobków, nasuwa się myśl o poddaniu sławy zrównującemu prawu śmierci. Jest jakieś pomniejszenie naszych kultów w sąsiedztwach tytanów wyobraźni z rentierami i episjerami, Balzaka z państwem Durand. To jakby nekrologi w gazetach paryskich, codzienna kronika miejskich wypadków. Tłok, aglomeracja śmierci i jej uszeregowanie niwelują wielkość, grobowce geniuszów mają wymiary mieszczańskiego łóżka. Zdawałoby się, że pomnik twórcy „W poszukiwaniu utraconego czasu” powinien stać na gwiazdzystym placu. W rzeczywistości jest czarnym wypolowanym nagrobkiem zamożnej rodziny. Tuż obok płyta z nie nie mówiącym nazwiskiem.

W końcu, myślę, nic dziwnego, leżą tak jak mieszkali, jedni obok drugih. Proust spędził młodość w kilkupiętrowej kamie-

nicy — na bulwarze Malesherbes, jeśli dobrze pamiętam — gdzie lokatorami byli rozmaici Dupontowie albo Duwalowie. Dopiero po pięćdziesięciu czy stu latach w tych sąsiedztwach razi coś pospolitującego, budzą w nas sprzeciw. Wiemy, że Oni zasłużyli sobie na łuki triumfalne wyrastające pod niebo, tak jak dzisiaj wznoszą się w naszej świadomości. Przed śmiercią byli przechodniami i mijali się jak przechodnie. Paryż był zawsze dużym miastem. W Paryżu Mickiewicz nie poszedł na pogrzeb Słowackiego. Może w ogóle nie lubił chodzić na pogrzeby. (Tak jak i ja, nawiasem mówiąc. Dawno temu powiedziałem komuś, kto wyraził zdziwienie, że nie było mnie na pogrzebie znajomego: jestem przeciwny pogrzebom, nawet na mój własny żywego mnie nie zawloką. W tych latach uważałem, że należy być człowiekiem dowcipnym.)

Wśród popędzających gwizdków opuszczam Père Lachaise z turystyczną obolałością w łydkach i przeżywam znane uczucie: *więc tylko tyle*. Ani śladu wzruszenia. Co się stało, gdzie się podział nabożny hołd składany wielkim zmarłym?

Dopiero na stacji metra République dochodzę do wniosku, że grób nie kojarzy mi się z niczym oprócz robaków i kości. Nie unosi się nad nim dusza. Jest miejscem z kamienną płytą lub rzezbą — umówiliśmy się, że w tym miejscu będziemy rozpamiętywać i wspominać. Tymczasem nie, drewno. Nie we mnie nie drga, nie rezonuje. Ale tydzień temu przez kwadrans nie mogłem odejść spod wąskiego domu na Wyspie św. Ludwika, w którym mieszkał Daumier. Stałem zdumiony: tutaj jadł, rysował, zasypiał. Wszedłem kiedyś na górę pod drzwi mieszkania Proustów w pobliżu placu Madeleine i dotykałem ręką klamki. To jasne, że dla mnie umarli nie są na cmentarzach, zostali w domach, w których żyli, i tam, nie przed grobami odczuwam ich obecność; grób, prochy to już nie są oni. Prawdziwszy związek z nimi ma poręcz schodów, o którą się opierali wracając ze sklepu, albo widok dziedzińca, na który codziennie patrzyli z okna. Wielcy nieboszczycy mieszkają nadal za tymi oknami, wpatruję się w nie z przeciwległego chodnika, tak, ze wzruszeniem i litością, dla nich i dla siebie, dla nas wszystkich, ale kim był F. Choppin i za co naniesiono mu tę górę kwiatów, nie wiem i nie będę wiedział, bo żaden z moich znajomych nigdy o nim nie słyszał.

W czwartek rozmowa z panią Brunau, kierowniczką Cité Internationale des Arts, gdzie biwakujemy od początku maja.

Nowoczesny horyzontalny budynek położony niedaleko Hôtel de Ville. Na pięciu piętrach mieszka kilkaset osób, przeważnie muzyków i plastyków, rozlokowanych w identycznych atelier: pokój do pracy z częścią sypialną, oszklony wysokimi szybami, obok mała kuchnia i łazienka. Na piętrze salka telewizyjna, w podziemiu sale koncertów i wystaw. Lokatorzy stanowią międzynarodową gromadę artystyczną. Szwedzi, Argentyńczycy, Jugosławianie, Holendrzy, Włosi... Są też azjatyckie małżeństwa z dziećmi w wózkach. Polecilo mnie tutaj francuskie Ministerstwo Kultury i dzięki staraniom różnych znajomych i nieznanym osób przydzielono nam atelier na drugim piętrze, z widokiem na Notre-Dame, ale tylko na dwa miesiące. W trakcie czwartkowej rozmowy z madame Brunau pobyt został przedłużony o dalsze dwa miesiące, do 1 września. Mam sto dni z dachem nad głową. Z Ameryki przylecieliśmy 19 kwietnia. Po półrocznej przerwie — w Nowym Jorku robiłem tylko notatki — znowu mogę pisać.

Wnętrze, umeblowanie (prosty stół z szufladą, dwa tapczany nakryte pledami w kratę) i dojrzała zieleń za oknami, przypomina mi to letnie pobyty w Kazimierzu lub Sopocie; domy ZAIKS-u i SARP-u były podobnie urządzone. Różnica w tym, że tutaj zza drzew wyłaniają się dwie wieże Notre-Dame kilkakrotnie zmieniające odcień w ciągu dnia: od bieli wyschniętych kości w południe do popielatego różu kraba o zachodzie. W prześwitach między liśćmi drzew prześlizgują się samochody wzdłuż nabrzeża.

Warszawa... Nowy Jork... Paryż... Co dalej? Co robić? Pisać o tym wszystkim co zaszło i co się nadal dzieje, o tym co runęło — dalej ciągnąć „Miesiące”? Ostatnio w Warszawie przed wyjazdem miewałem uczucie, że to one mnie ciągną i że nie umiem już żyć poza ich trybem. Tłumaczyłem się przed sobą konstruowanymi *ad hoc* argumentami. W nowojorskich notatkach pisałem: „Mówi się często, że życie jest powieścią. Piszę 'Miesiące', żeby się przekonać, czy moje życie jest powieścią”. Niezłe. I kto wie, może nawet prawdziwe. Ale teraz idzie o co innego. Piszę tę powieść-dziennik, bo jedynie ona pozwala mi przetrwać wypadnięcie z czasu. W Nowym Jorku ósmego dnia późnym wieczorem zadzwonił telefon. Przyjęła go M. Byłem w sąsiednim pokoju. Po chwili usłyszałem: — O Boże... — i odłożyłem książkę. Słuchała, ktoś do niej mówił przez telefon. Potem znowu jej głos. To samo stłumione: — O Boże...

W dwa tygodnie później obudziłem ją w nocy. Zapytałem, czy jest zupełnie pewna, że nadal żyjemy i czy wszystko, co

przeżywamy obecnie, nie jest już naszym życiem pośmiertnym. Niewykluczone, że ulegamy złudzeniu. Możliwe, że samolot, którym lecieliśmy z Warszawy, spadł do morza i odtąd trwamy w innym bycie, który zachował ślady poprzedniego, a w istocie jest istnieniem pozagrobowym, tamto się skończyło. Zastanów się — mówiłem — może na tym polega śmierć, że jej się nie pamięta. Przez jakiś czas jeszcze utrzymuje się pozór, iluzja dalszego ciągu i upłynie kilka tygodni czy miesięcy zanim zrozumiemy, że przeszliśmy w inne wcielenie. Prosiłem, żeby nie zapalała światła. Namawiałem, żeby leżeć po ciemku i natężyć pamięć. Bo może jednak w końcu sobie przypomnimy. — Ale co mamy sobie przypomnieć... — pytała na wpół przez sen. Tłumaczyłem: to jak spadaliśmy do morza.

Bała się takich rozmów. Ja natomiast uważałem moją hipotezę za prawdopodobną. Nieprawdopodobne było co innego: że tamtej nocy, kiedy zasypiałem w Queensie na tapczanie, w Warszawie rozbijano łomami drzwi, by wywlekać z mieszkań moich najbliższych przyjaciół. Tych samych, którzy telefonowali na dzień przed naszym wyjazdem. Przerwało się, runęło. Dawna codzienność jawiła mi się jak niejasny sen, który trzeba będzie odtwarzać sobie nad ranem z luźnych, porozrzucanych fragmentów.

Prócz tego miałem przed sobą przyszłość. Tygodnie, miesiące. Pewnie lata. Straszły mnie jak czyste kartki rękopisu w dniach, gdy urywał mi się wątek i kiedy gryzmoliłem na papierze zygzakowate wzory, wpatrując się, czy przypadkiem nie wyłoni się z nich akcja i sens.

W południe wyłaziłem na wierzch ze stacji subwayu. Manhattan przeszły zimne wiatry, było słonecznie, pionowe graniastosłupy drapaczy świeciły jak lodowce. W jednym z nich, na dwunastym piętrze, złożyłem podanie o trzymiesięczny zasiłek. W innym, o połysku jasnego bursztynu, wjeżdżałem którąś z ośmiu wind na dwudzieste czwarte piętro, gdzie w biurze wyściełanym piaskowym filcem przyjmował mnie urzędnik z aparacikiem w uchu, którego zapewniałem, że gotów jestem wyjechać do Południowej Karoliny w zamian za roczne stypendium. W przerwie między dwiema umówionymi wizytami siedziałem nad woskowanym kubkiem kawy z mlekiem w barze „Mac Donald’s”. Byłem gotów podjąć najdziwaczniejsze decyzje. Gdyby mi zaproponowano wykłady na Alasce, zgodziłbym się bez zmruczenia oka. Skoro wszystko się zawaliło, jeśli zostałem odcięty od własnego życia i wrzucony z dwiema walizkami w inny czas, po drugiej stronie Ziemi, to doprawdy nie miało

znaczenia, czy będę wykładał Eskimosom na Północy, czy murzyńskim studentom na Południu. W głowie tkwiła mi jedna myśl: dziewięćset dolarów na miesiąc. Tyle było mi trzeba, żeby utrzymać M. i siebie.

Pewnego dnia wracałem Piątą Aleją. Przyznano mi trzymiesięczne stypendium. Z trwalszych perspektyw nic nie wychodziło. Urzędnik dawał mi mgliste obietnice (w kwietniu miała się zebrać jakaś komisja) i napomynał o ślepej milionerce w Palm Beach, dla której szukano lektora. Idąc Piątą Aleją posłyszałem znajomą melodię, chyba Gershwina. Na prawo w dole, pod ogromną ścianą Rockefeller Plaza, kręcił się w słońcu rój łyżwiarzy. Na porysowanej zielonkawej tafli holendrowali samotni mężczyźni i obejmujące się pary, nieruchoma baletnica w trykocie stała pośrodku lodowiska na pointach łyżew. Przystanąłem za balustradą w garstce widzów. Zorientowałem się, że tylko ja odczuwam jako niecodzienny ów widok, który dla reszty przygodnych obserwatorów był czymś oczywistym i powszednim. Przemówiła do mnie stojąca obok Niemłoda Amerykanka z pudełkiem maltańskim. Przytaknąłem nie rozumiejąc. Słowa dobywały się z niej jak gdyby spod przełyku i wychodziły nosem, zlewając się w falujący dźwięk podobny do klaksonu. Po miesiącu miałem już pewność, że z każdym dniem mniej ich rozumiem, czekałem więc spokojnie na moment, kiedy ich język przestanie do mnie w ogóle docierać i pogrążę się w błogosławionej obojętności głuchych. Po środku ślizgawki, w rytmie „Rapsody in Blue” Gershwina, holendrowała para. W słońcu byli ostro widzialni: piękny siwy pan w garniturze z szarej flaneli, czarnym sztywnym kapeluszu i kremowych rękawiczkach, z szalikiem wielbłądzim przerzuconym do tyłu przez ramię, obejmował wpół dziewczynę o platynowych włosach, spływających na plecy spod hełmu ze złotych cekinów, uwieńczonego białym pomponem — buciki łyżwiarskie, ciasno sznurowane do pół łydki, także białe, trykot obeisty, szafirowy, u dołu lamowany złotem. Z początku widziałem ją od tyłu. Dopiero po tanecznym obrocie ukazała mi się jej twarz lalki, siedemdziesięcioletnia, o przezroczystej skórze, naciągniętej kosmetycznymi szwami, i oczy, porcelanowe, jasnoniebieskie. Przystanęli. Wyrzuciła ramiona w bok, naśladując lot ptaka. Pozowała. Jej mąż w czarnym kapeluszu robił zdjęcia. Uśmiechnięta pełną kolekcją zębów, podniosła głowę zwracając ku widzom twarz, maskę o ceglastych policzkach i zielonych rzęsach. Siwy gentleman z powagą okręcał się wokół niej, by ustawić się do nowych zdjęć. Siedemdziesięcioletnia, odgar-

nąwszy w tył platynowe włosy, poprawiła złote falbany trykotu, wyciągnęła rękę o szmaragdowych paznokciach, pierścionie zabłysły. W tej samej chwili na ślizgawce pojawił się Murzyn w futrze. Trzymając za ręce mlecznoczekoladową parę dzieci uczył je posuwać się na łyżwach. Futro srebrzyste, z puchowym kołnierzem, spływającym do ziemi jak szal, czoło przepasane liliową wstążką, w uchu koleczyk, na nogach tenisówki (nie miał łyżew). Wraz z uderzeniem *en face* tych różnobarwnych scen wbił się w tył mojej czaszki obłąkańczy ryk ambulansu reanimacyjnego, który pędził Piątą Aleją. Zdaje się, że dopiero od tego momentu zacząłem się bać. Fakt, że dla widzów, którzy stali za mną i obok, dla wszystkich oprócz mnie, te obrazy, melodia i wdzierające się w nią psychodeliczne dźwięki były czymś najzupełniej normalnym, zapowiadał stopień obcości, który — przeczuwałem to — będzie dla mnie ciężki do zniesienia.

Nie przypominam sobie ośmiu pierwszych dni. Od chwili gdy na lotnisku brodaty Mulat w błękitnej koszuli cisnął na wózek nasze walizki aż do wieczornego telefonu 13 grudnia prawie nic nie pamiętam. Owszem: niedzielny kiermasz w Polskim Instytucie na 66 Ulicy i *steak* z piwem w restauracji koło Public Library. Przed południem kartkowałem maszynopis drugiego tomu „Miesięcy”, który przeleciał Atlantyk na moim grzbiecie pod swetrem (tak jak w drodze powrotnej z Berlina) i nie miał zakończenia. Zamieszkaliśmy na szóstym piętrze kamienicy w Queensie. Jeszcze z Berlina, po wiadomości o śmierci Janusza, napisałem list do Kropki Minkiewiczowej, która siedemnaście lat temu wyjechała z córką, Moniką, do Nowego Jorku na stałe. Odpowiedź nadeszła po kilkunastu dniach: „Nie ma sensu, żeby M. spędziła zimę w Warszawie, będzie jej za ciężko. Przyjedźcie do nas, możecie u mnie zamieszkać. Ja przez pięć dni w tygodniu jestem u Moniki w New Jersey”.

Sądziłem, że drugi tom zamknie się obszerną częścią amerykańską, i takie zakończenie mogło być interesujące. Książkę, w której przedtem znalazły się partie berlińskie, wzbogaciłyby opisy Nowego Jorku, po czym znowu powrót do Warszawy. Kroiła się dobrze zbudowana kompozycja: Warszawa — Berlin — Warszawa — Nowy Jork — Warszawa. A przy tym najzupełniej prawdziwa, autentyczna. Zdawało się, że w przypadkowych okolicznościach, z jakich powstawał materiał (czyjaś śmierć, list i odpowiedź z nieoczekiwanym zaproszeniem) wyraża się naturalna fabuła, akcja losu, której nie muszę obmyślać.

I otóż tak się stało. Nowy Jork zamknął tom. Nie przewidziałem tylko, że zamknie go w dwóch zdaniach.

Początkowe wiadomości donosiły o przejęciu władzy przez wojsko, masowych aresztowaniach i odcięciu połączeń komunikacyjnych z zagranicą i wewnątrz kraju. Wkrótce napłynęły informacje bardziej szczegółowe. Czołgi i wozy pancerne na ulicach, łamanie oporu załóg robotniczych w fabrykach i kopalniach, pierwsze nazwiska internowanych. Dziennikarze podkreślali błyskawiczność i precyzyjne przygotowanie operacji w nocy z 12 na 13 grudnia. Niemal całe kierownictwo „Solidarności” wzięte w ciągu paru godzin i rozlokowane po obozach; ani jednej walki ulicznej; demokrację obezwładniono w ciszy. Nazajutrz telewizja amerykańska przekazała pierwsze zdjęcia z Warszawy: kobietę na chodniku, z torbą, w płaszczu i futrzanej czapce padającą na klęczki z wołaniem o ratunek, i mężczyznę, także na kolanach, całującego jezdnię. Po czym ukazał się patrol policyjny w hełmach, zatrzymujący przechodniów i auta. Na zdjęciach ulice były już w śniegu. Film zaprezentował również spikerów warszawskiej TV przebranych w mundury wojskowe. Odczytywali komunikaty ze wzrokiem skierowanym poniżej kamery.

Prasa amerykańska oceniała liczbę uwięzionych na dziesiątki tysięcy. Wśród nazwisk, oprócz Wałęsy, wymieniano na pierwszych miejscach Kuronia, Michnika, Lipskiego. W *New York Times* zamieszczono nieprawdziwą wiadomość o śmierci Tadeusza Mazowieckiego i ciężkim pobiciu Adama Michnika przez policję. Niektóre fakty z czasem uzyskały potwierdzenie. W kopalni „Wujek” którą wzięto szturmem, zginęło pięciu górników. Jerzy Zieleniński, współpracownik tygodnika *Solidarność*, popełnił samobójstwo. Z domów brano tej nocy małżeństwa, odrywając płaczące dzieci od matek; oddziałom specjalnym, dokonującym obławy, przydzielono łomy do wyważania drzwi. Na liście wziętych w brance powtarzały się nazwiska Haliny Mikołajskiej, Jacka Bocheńskiego, Wiktora Woroszyńskiego. Wymieniano także Andrzeja Kijowskiego. Zabierano ich z mieszkań, wsadzano do ciężarówek — nieraz w piżamach, w szlafrokach — potem helikopterami rozwożono do obozów i więzień. John Darnton, warszawski korespondent *New York Times* podał wiadomość o aresztowaniu mojego brata Mariana. Przez cały dzień telefonowałem do Paryża prosząc znajomych i przyjaciół o pomoc. Spowodowali szybką interwencję francus-

kiego Ministerstwa Kultury i międzynarodowego PEN Klubu, po czym okazało się, że źródłem relacji Darntona była krążąca w Warszawie pogłoska — zmyślona. Być może celowo. Takie wiadomości zapewne rozpuszczano po to, by następnie dowieść, że są nieprawdą, co podważało wiarygodność prawdziwego stanu rzeczy. Nie przypominam sobie, czy było to przed czy po świętach Bożego Narodzenia. Możliwe, że mylę tu daty. Święta spędziliśmy u Łempickich pod Bostonem.

W Nowym Jorku w styczniu zanotowałem koszmary, jakie mnie dręczały nad ranem. Było osiem. 1. że nigdy nie wrócę do mieszkania w Warszawie. 2. że Rosja podbije całą Europę. 3. że będę wykładowcą na uniwersytecie w Ohio. 4. że wysyłam za mało paczek do Warszawy. 5. że jestem stary. 6. że zepsuł mi się ściągacz w spodniach i nie wiem gdzie w Nowym Jorku mi naprawią. 7. że Polska ginie. 8. czy Bóg istnieje.

Upały w czerwcu. W Cité des Arts mieszka nad nami Japończyk, pianista. Dopóki gra utwory klasyczne, nie przeszkadza mi to w pisaniu. Ale gdy przechodzi do muzyki awangardowej, nie mogę pisać, myśleć ani czytać. Atelier nagrzane po południu jak letnia weranda, co jeszcze bardziej przypomina nastrój wakacyjny. To dobrze. Z wakacji wracało się do Warszawy. Chodzimy i leżymy na wpół rozebrani, szeleszcząc gazetami. M. zaciąga story. — Najważniejsze — mówi — żeby się czuć tymczasowo, przejazdem. W końcu zawsze wracaliśmy. — Urzędniczka w Prefekturze zapytała sprawdzając nasze paszporty: — *Vous êtes de passage?* — M. uśmiechnęła się: — Ależ tak. Naturalnie. — Przedłużono nam pobyt.

W czwartek wizyta w Bibliotece Polskiej. Pokazano mi biurko, przy którym Mickiewicz kończył „Pana Tadeusza”, kosmyk włosów Chopina i jego fotel obity wytartym rypsem. W kącie obok biurka Mickiewicza stał oparty o ścianę kij. Pewnie ten sam, który trzyma w ręku na dagerotypie z roku 1853, i którym — być może — zamierzył się na Słowackiego wyrzucając go za drzwi z zebrania towiańczyków: „Paszoł won, durak!” Nie dostrzegłem ani jednej pamiątki po Słowackim, podobizny, rysunku, facsimile — nic. Jakby nie istniał. Są rysunki Norwida, popiersia Niemcewicza, Kraszewskiego, wizerunek Towiańskiego. Opowiadano mi kiedyś, że jeszcze nie tak dawno pracowały w Bibliotece stare panie, wnuczki Wielkiej

Emigracji, przy których nie wolno było wymawiać imienia Juliusza. Uważały to za obrazę pamięci Adama. Nie bardzo wierzyłem, ale teraz myślę, kto wie, może i prawda. W każdym razie obecność Mickiewicza jest tu co krok wyczuwalna, nieledwie fizyczna. Fotografie, rękopisy, portrety, maska pośmiertna, nawet bibuła z odcisniętymi śladami pisma. Jest całkowicie wydany na żer nieśmiertelności. Z fotografii i dagerotypów można się dowiedzieć, jak naprawdę wyglądał. Jak naprawdę wyglądał Słowacki, nie wiadomo. Znamy tylko opisy pamiętnikarskie, parę rysunków i młodzieńczy portret, zupełnie niepodobny do wyidealizowanego obrazu Wieszcza z obnażoną szyją nad białym leżącym kołnierzem (à la Słowacki). Nie fotografował się. A raczej to jego nie fotografowano. I w rezultacie pozostał dla nas ciałem ezoterycznym, można go sobie rzeźbić z dowolnych wyobrażeń.

Nie docenili go. Zapewne budził irytację nie tylko w Mickiewiczu, ale i w innych. Pyszałek, wariat, półdiabłą zżerane ambicją — takie nam przekazano opinie kobiet, literatów i nadsekwaniańskiej szlachty. A co jest najdziwniejsze: że one gdzieś niedziedzie przetrwały po dziś dzień równoległe z apoteozą narodową. Co w tym poecie było tak drażniące — i co w jego poezji — że nawet sarkofag wawelski nie chroni go przed uszczypliwosciami? Znam ludzi kulturalnych i niegłupich, którzy twierdzą, że wielkość Słowackiego wymyślili Modrzejewska i Piłsudski. Modrzejewska, bo szukała dużych ról do grania, a Piłsudski, bo wyczuł w Słowackim wariata i fantastę, jakim był sam od urodzenia. Niemożliwe, by te złośliwości płynęły jedynie z antypatii odziedziczonej po pradziadkach. Przychodzi mi do głowy pewien domysł: nie lubią go, bo był zanadto romantyczny. Tak, był najbardziej romantycznym z Wieszców. Tylko jego trawiła halucynacyjna gorączka, on jeden spłonął z żaru. Tymczasem literatura w Polsce była silniej związana z klasycyzmem i racjonalizmem, niż zwykło się sądzić — romantyzm wybuchł jakby nie z jej wnętrza. Słowacki wziął na siebie całe odium. Trudno byłoby zarzucać irracjonalny bełkot czy obce wpływy autorowi „Dziadów” — ci, co nie pojmowali Wielkiej Improwizacji, musieli się powściągać. Odbili to sobie mszcząc się na Słowackim. Ten przesadził, ten się zanadto wychylił. Kijem go!

Podaję, że w pewnych ludziach do dzisiaj tkwi podświadoma nieufność do romantycznej transcendencji, obalającej granice literatury. Nie każdy lubi poezję, która jest krzykiem zwróconym do Boga. Takich ludzi Słowacki irytuje.

Kij oparty o ścianę... gruby, sękaty. Przyglądałem mu się długo i z bliska. Kij narodowy. Oddzielił mi się od Mickiewicza, przypomniałem sobie zdania Norwida o zasłużonych ludziach w kraju i na emigracji napadniętych i pobitych przez rodaków. „Kijem na ulicy...” Norwid nie mógł wymienić wszystkich, bo nie znał przyszłości. Już po jego śmierci pobito laskami na ulicy warszawskiej Bolesława Prusa. Adolfa Nowaczyńskiego — w oko żelaznym kastetem. Antoniego Słonimskiego — pięścią w twarz. Stefana Kisielewskiego — kijami na ulicy.

Kijem Adama okładano Juliusza, jeśli nie dosłownie, to w przenośni. Zresztą samego Mickiewicza także nie oszczędzono. Francuzowi, który na uroczystym zgromadzeniu polskich emigrantów powołał się na uznany ogólnie autorytet twórcy „Ksiąg Pielgrzymstwa”, przerwał w pół słowa Chodźko, przewodniczący zebrania. Zakwestionował autorytet pana Mickiewicza, twierdząc, że jest rosyjskim agentem.

W niedzielę u Milana Kundery rozmowa o sprawach polskich i czeskich, o sposobach ocalenia, jakie ma naród pobity. Czy istnieje inna możliwość prócz buntu. Mówię o powstaniach, które wybuchały w Polsce pod zaborem rosyjskim, i różnicach — nie tylko między Czechosłowacją a Polską, również między Kongresówką a Galicją. W drugiej połowie XIX wieku inaczej kształtowało polską mentalność poddanie się monarchii habsburskiej, z jej marginesem ograniczonej reprezentacji narodowej, a inaczej życie w byłym Królestwie, na terytoriach zawładniętych przez Rosję. W ciągu dwóch wieków politycy rosyjscy nie zdobyli się na myśl państwową w stosunku do Polski. Od wyborów do dzisiaj. Ideę sąsiedzkiego współżycia, czy bodaj współistnienia dwóch narodów, zastępowano przez dwieście lat, niezmiennie i twardo, rzeczywistością przemocy. Bunt w tych warunkach zdawał się wyjściem koniecznym: nawet jeżeli nie istnieją szanse zwycięstwa, to z rozlanej krwi zostanie posiew na szczepionkę przeciw pogodzeniu się z niewolą. Pokusa uległości i poryw buntu są zawsze współobecne, wyłaniają się z nich indywidualne postawy na co dzień i koncepcje bytu zbiorowego. Nie jest całą prawdą, że polską realnością narodową był patriotyczny opór. Niewola robiła swoje, wrastała w życie. Co miał na myśli Piłsudski pisząc w swym liście do Feliksa Perla o „atmosferze wychodkowej”? Czuje się w tym liście rozpacz, coś chyba rozmiękało i gniło.

Kunderowie opuścili Czechosłowację z dwiema walizkami, w mieszkaniu zostały meble, książki, rękopisy. Z początku nazywali swój pobyt za granicą „wakacjami”; sądzili, że za jakiś czas wrócą do Pragi. — Jak długo tu jesteście? — pyta Kundera żonę. — Siedem lat.

Po wyjściu od Kunderów nie można było wrócić autobusem przez bulwar Saint-Germain, którym przeciągała wielotysięczna manifestacja pacyfistyczna. Niesiono kukły i portrety, skandowano hasła. Na transparentach widniały slogany antyamerykańskie, jeden z nich niosło stowarzyszenie lesbijek i homoseksualistów, powiewające własnym sztandarem organizacyjnym. Wiele osób szło z dziećmi, z kwiatami w ręku i z kolorowymi balonikami. Przez głośniki umieszczone na dachach aut puszczano taśmy z piosenkami Brassensa i Montanda, na platformach ciężarówek jechały żywe obrazy, symbolizujące pokój. Szły grupy nauczycieli, artystów i pracowników uniwersyteckich, ładne kobiety i mężczyźni o intelektualnych twarzach. „*Pour la guerre: non, non, non! Pour la paix: oui, oui, oui!*” Wśród napisów protestujących przeciw zainstalowaniu amerykańskich rakiet nuklearnych sunęły portrety Marksa, Lenina, Stalina i Mao, których udział w pochodzie, zważywszy na ogólną liczbę ich pośrednich i bezpośrednich ofiar, był zastanawiający. Zastanawiający był również brak haseł solidarności z Polską. I ani jednego napisu przeciw inwazji w Afganistanie. W pochodzie niektóre grupy tańczyły trzymając się za ręce. Było słownie i bardzo ciepło, kobiety miały opalone dekolty i ramiona, z ciężarówek rozsypywano confetti.

Przeglądając się z chodnika uświadomiłem sobie, że w tym samym momencie, w którym sto tysięcy ludzi ciągnie przez bulwar paryski z okrzykami potępiającymi zbrojenia Stanów Zjednoczonych, sowieckie rakiety nuklearne wycelowane są we Francję.

Każdy człowiek ma prawo działać w obronie swojego bezpieczeństwa. Na Zachodzie rozpowszechnił się ostatnio typ człowieka, który zdaje się działać w obronie swego niebezpieczeństwa. Francuski czy niemiecki progresista znajduje moralne i polityczne uzasadnienia dla krwawych aktów terroru w Paryżu lub Monachium, natomiast zdecydowanie potępia obecność amerykańskich baz wojskowych w Europie (i gdzie indziej). Wyraża zrozumienie dla sił, które usiłują rozsadzić jego kraj

od wewnątrz, a zarazem oskarża siły, które zwiększają jego obronność przed atakiem z zewnątrz. Jest coś z masochizmu w pokornej tolerancji, jakiej udziela co drugi paryski dziennikarz fanatycznym dążeniom, godzącym w jego świat, bądź co bądź nie najstraszniejszy z możliwych. Chwilami odnosi się wrażenie, że ci ludzie przyznają rację każdemu kto z przyjemnością by ich zamordował. Postawa jak gdyby sprzeczna z impulsem biologicznym, jest w niej przejaw najgłębszego zwątpienia o siebie. Każdy, kto ich nienawidzi, wydaje im się więcej od nich wart. Leszek Kołakowski w swojej książce „Czy diabeł może być zbawiony” wypowiada pogląd, iż cechą europejskiej kultury jest zdolność do kwestionowania samej siebie. Jeśli tak, to współcześni mieszkańcy zachodniej Europy są co się zowie Europejczykami.

W czasie pacyfistycznego marszu przez bulwar Saint-Germain ukradziono mi w tłoku portfelik z legitymacją Związku Literatów Polskich i starymi kwitami. Odtąd noszę w tej samej kieszeni małe wydanie Ewangelii św. Łukasza. Czekam, kiedy ukradną.

W środku nocy sen, po którym się obudziłem. W domu układałem do snu rodziców. Otulając ich wełnianymi pledami mówiłem, że mogą spokojnie spać i o nie się nie martwić. Zasympali dziękując mi. Odszedłem na palcach ku drzwiom i zatrzymałem się, aby sprawdzić czy zasnęli. Leżeli tak szczelnie przykryci, że nie widać było twarzy. Kiedy nachyliłem się i dotknąłem ręką, pled się zapadł. Nie było ich, przykrycia zachowały tylko ich kształty. Odrzucając pledy wołałem, że muszę ich zobaczyć. Wtedy czyjś głos nade mną powiedział, żebym wybrał kogo chcę zobaczyć. Krzyknąłem: ojca! Ale w śnie zjawiła się M. Siedząc na krześle wskazywała ręką stojący obok pusty fotel. Leżała na nim zmięta aksamitna bonżurka. Ojciec przed chwilą wstał z tego fotela, by zniknąć. M. patrzyła na mnie uśmiechnięta, jakby tłumacząc mi spojrzeniem rzecz oczywistą i prostą.

Dokładnie zapamiętany sen, to się nie zdarza często. Opisując go zamierzałem tu doprowadzić aż do końcowego momentu, który przed M. zataiłem, kiedy rano opowiedziałem jej mój sen. Również tutaj w notatce nie pojawia się ręka wychylona nagle zza oparcia krzesła. Tłusta, brudna dłoń, nie wiadomo czyja, zaciskająca się na ustach M. Kiedy się obudziłem, wiedziałem od razu, że nie opowiem o tej ręce. Dlatego też pominąłem ją w notatce. I dopiero dziś przychodzi mi na myśl, że ocen-

zurowałem własny sen, ponieważ miał nieodpowiednie zakończenie.

W Ameryce niewiele mi się śniło, sypiałem krótko. Zwykle około piątej rano budziła mnie zgroza. Przez trzy godziny uświadamiałem sobie, że jesteśmy zgubieni i musimy zginąć. Nie wiedziałem tylko, w jakich okolicznościach to nastąpi. Zapewne oboje jednocześnie, razem. W naszym wieku nie można rozpocząć życia na nowo — myślałem widząc w wyobraźni materac, który rozłożymy pod wiaduktem Queensboro Bridge w dniu, gdy wydamy ostatniego centa i stracimy dach nad głową. Był przebłysk ulgi w tym widzeniu: umierać spokojnie, z zimna i głodu, wśród lśniących wież ogromnego miasta, kiedy nie trzeba już będzie składać podań z życiorysami ani wypełniać formularzy. Jedno tylko mnie intrygowało, jedno zdanie, które powtarzali spoglądając na nas z życzliwym uśmiechem nasi nowojorscy przyjaciele i znajomi: „Niech państwo będą spokojni, w tym kraju nikt nie zginął.” Z niezmiernym zaciekawieniem czekałem, w jaki sposób prawda tych słów potwierdzi się w naszym przypadku.

W drugiej części dnia godziny bywały wolne. Udając że czytamy, pogrążałem się w pracy rozpamiętywania. Nie znajduję lepszej nazwy dla zajęcia, które było czymś innym niż chwile wspomnień. Mówię: dla zajęcia, mógłbym nawet powiedzieć: dla czynności, ponieważ były to godziny aktywne i wypełnione energią. Ale jaką — otóż polegającą na odtwarzaniu czasu przeszłego, szczegółowym, nad wyraz intensywnym i dokonywanym z wysiłkiem, a zarazem na poddawaniu się odtworzonym wizjom, dotykom i głosom, które do tej pory trwały w pamięci jak gdyby niedopracowane. Osiągałem stany niemal okultystyczne. Czasami widzialność dawnych scen lub zdarzeń była tak spotęgowana, że wydawało się jakbym przeżywał je nieporównanie głębiej niż wtedy, gdy przeżywałem je w rzeczywistości. Nie mam tu na myśli jedynie zdarzeń z wczesnej części życia, ewokacji dzieciństwa, klasy szkolnej. W tych godzinach obcowalem z pamięcią dni, miejsc, słów, twarzy z najróżniejszych momentów i epok. Nigdy nie umiałem przewidzieć, co wydobędę z przeszłości. Wszystko na wrywki, całe życie. Naturalnie także lata dzieciństwa. Ale i sprawy późniejsze. Kobiety. Plastyczność scen erotycznych była wręcz dotykalna, rekonstruowałem gesty miłosne i sekundy uniesień. Koncentrując się na jednym obrazie potrafiłem dorabiać imaginowane szczegóły i obmyślać słowa, których wtedy nie umiałem wypowiedzieć. Powtarzam, że wymagało to skupienia i pewnego wysiłku. Użyłbym

tu nazwy: „spód pamięci”. Nie objawiały mi się nowe fakty, czy twarze już zapomniane. Te same fakty i te same twarze, które tkwiły we mnie od lat, teraz zmuszałem do ożycia, by poznać ich najważniejszą treść. Trzeba było tylko sięgnąć niżej, wykopać spod piasku wspomnień jakąś wilgotną garść, a obraz natychmiast uzyskiwał znaczenie i walor.

Przywołując moje obrazy, jednocześnie czułem się przez nie wzywany, tak bym określił aurę tych godzin. Były przeniknięte namysłem i emocją, a chwilami zdumiewające. I w sumie — przyjemne. W pierwszym nowojorskim okresie przynosiły mi największą ulgę. Owszem, zaznawałem ludzkiej życzliwości i przyjaźni. Okazano mi serdeczność nie tylko w słowach, dawni i nowi przyjaciele udzielali nam pomocy w sprawach praktycznych, troszczyli się o nas. Wydawało się jednak, że ich troskliwość któregoś dnia musi się skończyć, mieli przecież własne zajęcia i smartwienia. A ponieważ czułem się tak, jakbym od połowy grudnia przez dziesięć tygodni spadał z samolotu do morza, nie wierzyłem w realność trwałego oparcia. Sami się przekonają — myślałem — że nie nie da się zrobić. I myliłem się. Ale o tym później.

O kimś blisko mi znanym. Tyle w nim dobra, którego nie spełnia, ile zła, którego nie wyrządza.

Lipiec

Perspektywa ulicy od strony placu. Szpaler drzew idący w głąb dwoma szeregami pni o barwie szaropłowej (kolor najczęściej spotykany w naturze, mają go myszy, słonie i ziemia). Na drzewach światło kładzie się z boku, drugi profil w cieniu. Światło jest puszyste, na chodnikach i jezdni drżą mroczne i lśniące plamy o miękkich konturach. Po obu stronach nad chodnikami biegną trzy równoległe motywy, jeden na drugim: markiz, okiennice i dachów. Trzy rytmy, miarowo dzielone pniami drzew. Markizy są granatowe, ciemnozielone i w kolorze spłowiałego amarantu, ze srebrnymi lub złotymi lampasami. Litery napisów białe albo cytrynowożółte. Okiennice poliniowane czarnymi poprzecznymi szparami tworzą jednolity ciąg znaków wśród ażurowej czerni półbalkonów. Przypomina to pięciolinie i nuty na papierze muzycznym. Zza drzew w równych odstępach prześwituje biel ścian: zgaszona — jasnopop-

pielata, i kremowa — świecąca. Wszystko tu służy równowadze pionowych i horyzontalnych podziałów. Ulica zmierza prosto do wytkniętego celu, którym jest nabrzeże i most. W górze pod mlecznym niebem piętrzą się matowe blachy. Strychy o kształtach hełmów i pancerzy, facjaty mansard i osmolone kominy stoją wysoko w trzecim szeregu nad ciągiem markiz i okiennic. Ulica powstawała w czasach, gdy rozum ludzki panował jeszcze nad miastami.

W sobotę z kolacji u znajomych wracaliśmy po północy samochodem przez Dzielnicę Łacińską, wciąż pełną ruchu i światła. Wesołe towarzystwa wychodziły z restauracji, na Saint-Michel auta trąbiły unieruchomione w długich korkach. W samochodzie z przodu siedziały dwie panie, z tyłu trzech panowie, a za nimi w oszklonym bagażniku trzecia pani w kucki; ilekroć samochód się rozpędzał, kwiczała z radości. Z sześciu osób w samochodzie, jedna miała wrócić do Polski za tydzień, trzy za półtora miesiąca, dwie w terminie nieokreślonym. Nie byliśmy pijani, ale nie byliśmy zupełnie trzeźwi. Ktoś mówi: — Jak wróciście, będzie już chyba po powstaniu. — Inny głos dorzuca: — Nie wiadomo, może przed. — Pani z bagażnika woła, żeby nie zapomnieć o lekarstwie dla jej kuzynki, niedawno zwolnionej z obozu Gołdapi. Ktoś powtarza anegdotkę o zakonniku, który spowiadał milicjanta. Samochód przesuwają się bulwarem, jest ciepło, na tarasach kawiarni ludzie siedzą przy ciasno zestawionych stolikach.

Tematy poruszone w rozmowie przy kolacji mogą wymienić. O przyjeździe Papieża do Polski; o bojkocie telewizji przez aktorów; o cenach kartkowych i czarnorynkowych; o analogiach między rajdem pancernym Izraelczyków w Libanie a wyprawą Piłsudskiego na Kijów; o przypuszczalnych zarobkach mistrza tenisa Fibaka; o nocnym posiedzeniu Rady Państwa 13 grudnia w Belwederze; o braku ubrań i obuwia w Polsce; o ugodowych tendencjach Prymasa; o wydrukowaniu w *Tygodniku Powszechnym* poematu Wiktora Woroszyńskiego, który przebywa w obozie dla internowanych; o czymś rozwodzie.

Tematów było więcej, ale nie to jest istotne o czym, tylko jak rozmawiano. Kilkogodzinna rozmowa, cała, od początku przy stole do końca w samochodzie, była nacechowana znajomym mi tonem, który cudzoziemcowi rozumiejącemu po polsku mógłby się wydać niedorzeczny. Uderzyłby go kontrast między stylem rozmowy a jej treścią. Gdyby cudzoziemiec był człowie-

kiem przenikliwym, domyśliłby się, że trafił do towarzystwa, które porozumiewa się szyfrem i pragnie coś nim wyrazić a jednocześnie zamaskować. Inteligentny cudzoziemiec może by w końcu odgadł, o co chodzi: że dowcip jest tu sposobem ukrycia tragedii.

Każda z rozmawiających osób ma pewność, że jest objęta zbiorową katastrofą. Przestrzega więc form i posługuje się umowionym kodem, aby nie dać się katastrofie całkowicie wchłonąć. Mówi się: okropne! w całej Warszawie nie można dostać francuskiego wina! To jest dowcip. Komu brak francuskiego wina w Warszawie, gdzie trudno kupić herbatę lub buty. W zestawieniu z brakiem obuwia i lekarstw, ze wzrostem śmiertelności, z zesłańcami trzymanymi w obozach wewnątrz kraju i powiększającą się nędzą — utyskiwanie na brak francuskiego wina brzmi jak cynizm. W istocie jest autoironicznym żartem. Takimi żartami odsuwa się rozpacz na dystans chroniący przed aberracją.

Od dawna interesuje mnie, jak poczucie krzywdy narodowej i niesprawiedliwości dziejów rzutuje na psychologię i język. Pisząc „Wariacje pocztowe” często myślałem o związkach między sytuacją historyczną i składnią. Gdybym miał pisać dalszy ciąg „Wariacji”, spróbowałbym w kolejnym liście oddać cechy stylistyczne języka, jakim się dzisiaj porozumiewamy. Słowo „wariacje” w tytule książki ma podwójne znaczenie; zapowiada nie tylko odmiany jednego tematu. W podbitym kraju cierpi się na rodzaj choroby umysłowej, każdy na swój sposób wariuje z niewoli. W kraju i poza krajem. Emigrację paryską po roku 1831 dotknęła choroba towiańszczyzny. Szeptano o obłądzie Mickiewicza, a hipoteza, że Słowacki pod koniec życia zwariował, pojawiała się w naukowych komentarzach do jego utworów mistycznych. Wariowali poeci i generałowie. Korespondencja towiańczyków ma niekiedy znamiona schizofrenii, trudno się oprzeć przypuszczeniu, że z desperacji popadali w obłąd. Otóż w liście pisanym przez Polaka w roku 1982 starałbym się odtworzyć język, w którym paradoks i auto-ironia służą samoobronie przed obłądem. Myślę, że to jest jedna z form oporu społecznego. Nie oszaleć, nie poddać się chorobie. Bezsilną świadomość upokorzenia i krzywdy zamienić na żart.

Język polski w kolejnych stuleciach zmieniał swoje środki obrony przed narodową wariacją. Od kwilących narzekanń Wespazjana Kochowskiego poprzez racjonalistyczny sarkazm Krasińskiego do sienkiewiczowskiego pokrzepiania serc. *Sursum corda!* Pamięć własnej wielkości dźwignie was z prostracji du-

chowej... Pół wieku później Witkacy usiłował zagadać nadchodzącą katastrofę elokwencją genialnego sztubaka.

Faulkner wspominał kiedyś, że zaintrygowały go w młodych latach słowa przeczytane na pierwszej karcie „Trylogii”. Obawiam się, czy „ku pokrzepieniu serc” nie nastąpiło trudności w przekładzie i czy amerykański tłumacz nie przełożył dosłownie: „na wzmocnienie serca”. Faulkner może się zdumiał, że ktoś napisał powieść w celu terapii kardiologicznej.

Polski język... Myśleć nim, mówić, pisać, co to znaczy? Poddać mu się, czy naginać go do mowy uniwersalnej, zrozumiałej dla obcych? W Queensie po 13 grudnia budziłem się w nocy na tapeczanie mając po prawej ręce tabletki barbituratu, a po lewej okno (szóste piętro). Budziłem się z matematyczną pewnością, że pozostało mi jedno z tych dwóch wyjść. Po chwili dochodziłem do wniosku, że nawet gdybym się zdobył na taki krok, popełniłbym nieprzyzwoitość co najmniej wobec dwóch osób. Drugą była nasza przyjaciółka, z której gościnności korzystałem. Głowiłem się więc leżąc po ciemku, jakie czynniki mogłyby mnie wydobyć z depresji spowodowanej odcięciem od własnego bytu. Katedra uniwersytecka? Musiałbym wykładać po angielsku. Rozpacz. Myśleć umiem tylko po polsku. Wykonując każde inne zajęcie wegetowałbym w sferze obcego języka, który by mnie odłączał od mojej kory mózgowej, uformowanej z warstw polskich skojarzeń i odruchów. Męczarnia. Dochody z pracy literackiej, wystarczające, aby żyć spokojnie i dostatnio? Ale przy mało prawdopodobnym założeniu, że moje książki staną się światowymi bestsellerami, wydawano by je w przekładach na języki obce. Nigdy, ani jednej z moich powieści nie chciało mi się przeczytać w tłumaczeniu na obcy język. Nudziła mnie po pierwszej stronie, jakby ją pisał obojętny mi autor. Więc nawet gdyby z zagranicznych wydań trysnęły milionowe tantiemy, bolałoby mnie, że do czytelników dochodzą inne słowa niż te jakimi myślę. A zatem rzecz nie sprowadza się do oderwania: ma cechy zamknięcia. Żadne okoliczności nie wypędzą mnie z klatki mojego języka, której pręty tkwią we mnie. Bo jest tak, że to co nazwano językiem, nie polega na słowach, którymi się mówi, ale jest brzmieniem wspólnej świadomości, tonem jakiego się używa wobec dozorców klatki. Nie tylko pamięcią — jest nieustającą odpowiedzią udzielaną losowi.

„Zobaczysz, jeszcze tu wrócisz — pisze w liście młoda kobieta z Warszawy do kogoś kto został we Francji — żebyśmy się tylko nie rozminęli, bo ja po wygranej wojnie jadę natychmiast opalać się nad morze południowe”.

Ach, te warszawskie żarciki... *ironia polonica* w stosunku do życia. Wziąłem ten cytat z rubryki „Listy z Kraju” w miesięczniku *Kontakt*, redagowanym w Paryżu przez Mirosława Chojeckiego.

Jeżeli napisałem, że z niewoli się wariuje, to wspominając idylliczny pochód niedzielny na Saint-Germain, w którym niesiono portret Josifa Wissarionowicza, mam ochotę napisać, że z wolności się głupieje. Ufam, że obydwie bluźnierstwa zostaną mi odpuszczone.

W Queensie i kolei podziemnej włożyły mi w uszy wszystkie języki świata. Hiszpański, rosyjski, hindi, yiddish, ukraiński, włoski, chiński... W autobusach i na Manhattanie przeważały dźwięki amerykańskie, wibrująco-nosowe, w których nie umiałem rozróżnić poszczególnych słów; rodzaj stenografii fonetycznej. W styczniowe dni szedłem przez Park lub Fifth Avenue w kierunku 66 Ulicy. Lustrzane wieże spadały prosto z nieba na chodniki. Było w nich triumfalne szaleństwo. Niektóre, jakby z ciekłej materii, spływały powłóczyście ścianami na asfalt. Jeden, seledynowy w białe pasy, ukośnie ścięty od góry i podobny do wyrzutni raket, obwieszczał mi radosne stulecie, w którym nie pragnę żyć. Inne były ciemne, lecz tak szkliste, że odbijały się w nich kontury sąsiednich budynków; gdzieś stoi drapacz, w którego ścianie widać odbitą kopułę synagogi. Starsze, żelbetonowe, z attykami i portykami u wejścia, zadziwiały fasadą jakby nadmiernie rozciągniętą wwyż: od dołu renesans, nad nim kilkadziesiąt pięter betonu, a u samej góry dolepiiony secesyjny pałacyk z Konstancina. Sen dziecka o wielkim mieście. A dalej, w stronie 57 Ulicy, znowu unoszą się lekkie, proste lodowce Superplanety.

Kolorowe wieże Manhattanu, z niepoczytalną odwagą wymierzone w niebo, są zapewne zwycięstwem człowieka. Ale nad czym? Ostatnio zaprojektowany będzie miał dwieście dwadzieścia pięter. Z restauracji na dachu białosrebrnego drapacza spostrzegłem przelatujący w dole helikopter, nie większy od ważki. Niżej widać było Statuę Wolności o rozmiarach figurki w sklepie z pamiątkami. Natomiast publiczność w restauracji niewiele różniła się wyglądem od przechodniów w Bytomiu czy Rzeszowie. Przeszło mi przez myśl, że to podniebne miraże nie są zwycięstwem człowieka, lecz zwycięstwem nad człowiekiem.

Prześcignęły go, zdystansowały. W porównaniu z nimi wydaje się mierny i anachroniczny. Wznoszą się w kratce ulic, wśród mieszczańskich kamienic, składów handlowych i ceglanych budynków z początku wieku, obwieszonych reklamami i żelaznymi drabinkami. Czasem odnosiłem wrażenie, że tłum zapełniający Manhattan jest na miarę ich pięciu czy siedmiu pięter, a drapacze wybudowały inne istoty. Ktoś przecież musiał stworzyć te olśniewające stupiętrowe konstrukcje, na które trzeba patrzeć z zadartą głową. Więc kto? Brakowało mi tu supermów.

Czy wiek XX rozpoznaje prawa ludzkiego gatunku? Jedno ustalił z pewnością. Potwierdził dawne przypuszczenie, że gatunek nie umie spełniać swoich marzeń o harmonii społecznej: zamienia je w zbrodnie albo nazywa utopiami. Gatunek potrafi jednakże — i to jest drugie odkrycie wieku XX — wytwarzać rzeczy, których siła, piękno i precyzja wielokrotnie przewyższają cechy przyrodnicze ludzi. Wprawia to gatunek w takie oszołomienie, iż rzeczom przez siebie wytworzonym pozwala nad sobą dominować, staje się od nich mniejszy i słabszy. W ten sposób realizując swoje fantazmaty uzależnia się od ich wytworów. Nazywa to cywilizacją współczesną. Być może największą zdobyczą XX wieku okażą się nie podróże na Księżyc i nie rozbicie atomu, lecz rozpoznanie tych dwóch prawd o gatunku ludzkim. Prawdopodobnie w następnym stuleciu dowiemy się więcej. Bo w gruncie rzeczy nasza wiedza o ludzkości jest ciągle na niskim poziomie. Lepiej znamy życie pszczoł i wilków.

Przed natarciem obcych dźwięków i futurologicznych wizji architektury chroniłem się w wąskim domu na 66 Ulicy, gdzie mieści się Polski Instytut. Tam jakby mnie wchłaniało ciepłe źródło. Podsuwano mi fotel, częstowano kawą z ciastem zwanym po domowemu „bałabuchą”. Zamiast *how are you* słyszałem: *jak się pan czuje, panie Kazimierzu*. Czułem się lepiej. Panie z Instytutu patrzyły na mnie dobrymi, uważnymi oczami. O godzinie 2-giej zjawiał się Profesor i zabierał mnie na górę do swego gabinetu. „Niech państwo będą spokojni, w tym kraju jeszcze nikt nie zginął...”. Profesor Feliks Gross jest człowiekiem, którego pogoda ducha i życzliwość mogłyby uczłowieczyć mrówkojada. Odpoczywałem. Później schodziłem do biblioteki. Wertowałem w archiwach korespondencję Jana Lechonia, a kiedy indziej brałem z półki książkę Kubali, żeby poczytać o bitwie pod Beresteczkiem, na którą podsędek sandomierski zjechał

z taborem żywności, zawierającym między innymi cukierki o smaku fiołkowym.

Z Instytutu wracałem koleją podziemną. Subway nowojorski ma złą sławę. Jest cuchnący i brudny, zamalowany delirycznymi napisami, wagony pędzą ze wściekłym hukiem. W subwayu sprzedaje się narkotyki, zabija i gwałci. Ale tego się nie bałem. W rozpędzonym wagonie czułem się pewniej niż na ulicy w Manhattanie, bo siedzący i stojący ludzie byli nieruchomi i każdą twarz widziałem z bliska, jakby w powiększeniu. Mogłem się przypatrywać i słuchać. I wahać. Tutaj parowały wnętrzości miasta. Różnokolorowe, zalatujące potem i dezodorantami. Ukosmetykowani trawestyci siedzieli obok młodych chasydów z kręconymi pejsami, naprzeciw mnie Murzynka w lamparcim płaszczu i białym zawoju czytała „Ecology and Modern Society”. Kiedyś przejechałem siedem stacji obserwując, jak mała Chinka obcina nożyczkami paznokcie swemu mężowi, pochylona w skupieniu nad jego ręką o długich, cienkich palcach.

A więc jednak — myślałem — to się może udać. To najtrudniejsze. Zrobili to. Zrasta im się tkanka, która u innych się zakażała. Gdzie indziej nie obeszło się bez noża. Tu przecież coś się sklepiło, wielorakość języków, obrządków i ras scala się w żywą materię białą-czarno-kawowo-żółtą... Czyli — rzecz jest możliwa. Patrząc na murzyńską Amerykankę czytającą książkę, myślę: cofnęli się przed zbrodnią.

Do napisania kiedyś: o roli, jaką spełniła literatura amerykańska w tej największej sprawie. O jej czystości moralnej. Była ze słabszymi, po stronie zabijanych. O analogiach z rosyjską literaturą XIX wieku, która się ujęła za czarną dolą muzyka. O tym, że w epoce linczów pisarze amerykańscy ocalali duszę Ameryki.

Czego się bałem w Nowym Jorku? Odległości. Ale nie geograficznej. Odległości między słowami, które miałem w sobie, a żywiołem, który je stworzył. Bałem się również tego, że ja stąd nigdy nie wyjadę, a oni nie wyjdą z obozów i nie wybrną z nędzy. Że pozostaniemy dla siebie wspomnieniami i będziemy się widywać w snach. I że oni nie uwierzą w moje zagraniczne cierpienia. Bałem się też, że nigdy nie zasiądę do pisania w starym fotelu pod oknem. Brakowało mi nie tylko naszych przyjaciół, naszych mebli także.

Trzeba tu jednak dodać kilka słów. Nie śpieszyłem się z powrotem do Polski. Kraj straszyl mnie tak samo, jak odcięcie od

kraju. Wiedziałem, że nawet mój rękopis nie byłby pewny tam, gdzie o każdej porze mogą wyważyć drzwi, bez nakazu albo z nakazem rewizji. (W listach nadchodzących od kobiet z Warszawy określa się tych nocnych gości nazwą *rewizjoniści*. Dowcipnie, jak zawsze.) Więc nie tęskniłem za powrotem. Nie tęskniłem również wstecz do życia w Polsce. Nawet za spacerami po Ogrodzie Saskim. Ani za ulicą warszawską, jednolitą narodowościowo aż do ziewania. Kiedyś idąc w różnojęzycznym tłumie przez Manhattan przypominałem sobie słowa profesora z Bostonu, który przyjechał odwiedzić Kraj po trzydziestu latach: „Straciliście mniejszości narodowe, pozbyliście się resztki Żydów. Będziecie mieli trudności z kulturą”.

Więc nie nostalgia mnie żarła. A mimo to panicznie odrzucałem myśl, że mógłbym nie wrócić. Bo tylko tam czułem się prawdziwie bezpieczny. Irracjonalne i paradoksalne: wracając do domu i widząc naszego dozorcę, pana Pawlaka, siedzącego na ławeczce w podwórzu, miałem pewność, że nic mi nie grozi. Byłem u siebie. Przy czym nigdzie indziej, jak właśnie tam, „u siebie”, nie przeżywałem tak często utraty woli życia. Przychodziły dni, kiedy obnażał się bezsens. Ustrój był bezsensowny, codzienność bezsensowna. Świat nie miał sensu. W takich dniach trzeba było uruchamiać argumenty za życiem i szukać w sobie słów przeciw bezsensowi. Zdaje się, że przez ćwierć wieku nie robiłem nic innego; i może najbardziej prześladował mnie w Nowym Jorku strach, że tych słów mi zabraknie, ponieważ bezsens zwyciężył.

Wiadomości z Polski. Wczoraj był u mnie młody człowiek, który przyjechał z Warszawy W kraju krążą ulotki i wiersze. Ogłasza się „czarne listy” z nazwiskami kolaborantów. Zapadają wieloletnie wyroki za działalność opozycyjną, wymienia się przypadki tajemniczych śmierci. Kina puste, słaba frekwencja w teatrach. Wysłuchałem opowiadania o księdzu, którego wpakowano nocą do samochodu i wieziono z zawiązanymi oczami do koszar, gdzie musiał wypowiadać czterech żołnierzom, skazanych na śmierć za odmowę wykonania rozkazu. Nie ma pewności, czy to jest fakt autentyczny, czy wieść gminna. Niezwykłe wrażenie sprawia dyskusja *de publicis*, tocząca się między przywódcami uwięzionymi w obozach a przywódcami działającymi z ukrycia. W tajnych gazetkach ukazują się ich oświadczenia, apele, również wywiady z nimi. Kuroń przesłał z obozu list-manifest, zwrócony do kierownictwa podziemnej „Solidarności”, pod tytułem: „Macie złoty róg...”. Przed nosem wojska

i policji trwa narodowa debata o sposobach działania i formach oporu. Teksty mają ogromną wagę, autorzy są niewidzialni. Zarysowują się dwie postawy: za negocjacjami z władzą lub za wybuchem strajku powszechnego. To znaczy: albo wytargowany kompromis, albo przelew krwi. Mój gość jest za przelewem krwi. Mówi twardo: — Inne wyjście grozi powolną kastracją. — Twierdzi, że alternatywa jest pozorna. Nie ma innego wyjścia, ponieważ władza nie chce kompromisu. Mój gość przytacza także zdanie swojej matki, która mieszka we Wrocławiu: „Zginie trzydzieści milionów?” Ale sześć zostanie, plus siedem za granicą!”.

W prasie krajowej oficjalnej nagle i równocześnie pojawiły się artykuły o Związku Literatów Polskich. Co robić z tym zawieszonym stowarzyszeniem twórczym, którego polityczne oblicze nie harmonizuje ze stanem wojennym. Oznacza to zapewne powzięcie jakiejś decyzji. Mniejszość poczuła się silna i rusza do natarcia, mając wsparcie czołgów i gazów łzawiących. Triumfuje uśmiechnięty idiota, bohater telewizyjnych pogadanek żołnierskich, i ten drugi, z małą główką, specjalista od wycieczek na Syberię, który zasłynął powiedzeniem: „Tak, Syberia, to jest moje hobby”. I trzeci, słodki obłudnik, lawirujący między Matką Boską a Czerwoną Gwiazdą. Paki ich nieczytanych książek leżą cicho w magazynach, jak trumny w kostnicy.

Rządy miernot narobiły wiele spustoszeń, niezdolni i niekompetentni objęli władzę niemal absolutną we wszystkich dziedzinach życia. Ale w kulturze stało się inaczej. W dziedzinie literatury i sztuki prawdziwą władzę zachowali ludzie utalentowani. Właśnie ci z boku, odsunięci, których wycinano z kadrów. Czy można sobie wyobrazić gorszy ból niż męka człowieka wiernego i pracowitego, który widzi, że ta nieliczna garstka pozbawiła go owoców długoletniej służby? To ich książki sprzedaje się spod lady i tłumaczy na języki obce. Nigdy nie było stu kwiatów. Zawsze będzie ich kilka, najwyżej kilkanaście. Odwet warzyw jest nieunikniony.

Francuskiemu intelektualistcie, który na przyjęciu u znajomych w Palaiseau zapytał mnie, czy poczuwam się jeszcze do związków z lewicą, odpowiedziałem z wyjątkową przytomnością umysłu, że dla mnie lewica jest już tylko kategorią etyczną: lewica to są ci, co zasiadają po prawicy Pana Boga. Postaliśmy chwilę, ale jakoś nie było o czym dalej rozmawiać. Pewnie mnie zaszufładował pod nalepką: „Wpływ katolicyzmu na depolityzację polskiej inteligencji”.

Moja odpowiedź była szczerą. Czym dzisiaj dla mnie jest rozróżnienie między lewicą a prawicą i w jakim sensie taki podział jeszcze mi się rysuje w myślach, o tym notowałem półtora roku temu w II tomie „Miesiący”. Notatka mówiła innymi słowami to samo, co powiedziałem na stojąco Francuzowi. Ale umysłowcy na Zachodzie boją się, nie chcą czy nie umieją widzieć rzeczy, które się u nas dokonały i dla nas są oczywiste. W Polsce wiadomo, jak to się dzieje, że idee postępu i sprawiedliwości stają się hasłami w propagandzie nowych form niewolnictwa, a socjalistyczne państwo zakłada dla robotników obozy strzeżone przez psy policyjne. To wschodnie jajko Kolumba, nie mające prawej ani lewej strony, nazywa się demokracją ludową albo realnym socjalizmem. Wylęgła je kultura obszarów Eurazji, naznaczonych teokratycznymi wpływami Islamu i Bizancjum — świat innej mentalności i historii niż Zachód. „Chruszczow był na lewo czy na prawo od Stalina?” — spytał Kundera w którymś ze swoich esejów. Można by też zapytać, czy Paweł I był na prawo, czy na lewo od Katarzyny II.

Lewica albo prawica, prawica czy lewica... jest w owym przeciwstawieniu jakiś odblask etycznych i religijnych dychotomii: dobro-zło, niebo-piekiełło, prawda-kłamstwo. Totalitaryzm likwiduje dwoistości. Wewnątrz kręgu nie ma walki między dobrem a złem, ponieważ zło jest dobrem. Piekiełło jest rajem. Kłamstwo skutecznie pełni rolę prawdy. Znaki ujemne zastąpiono dodatnimi i odwrotnie. Dialektyczne mózgi na Zachodzie niech się głowią, co jest na prawo a co na lewo w tym fenomenalnie przereżyserowanym teatrze ludzkości.

Polacy, Czesi, Litwini nie rozumują już politycznymi kategoriami Europy. Żyją w odrzynie na widok przewrotności, z jaką się ich wywłaszcza z humanistycznego dekalogu. Nikt, kto nie doznał podobnego wstrząsu i nie przeszedł przez taką duchową chłostę, nie będzie w stanie pojąć, że doświadczenie tych społeczeństw wykracza daleko poza myśl polityczną dostępną Zachodowi. Jest większe o zgrozę, jaką wywołuje objawiona technologia nihilizmu, który zdobył władzę. Wszystkie paryskie bunty i rewolucje wydają się mało poważne w porównaniu z upolitycznieniem Polaków. Oni tu mnie pytają, czy jestem na lewo, a ja się zastanawiam, czy Pan Bóg nie został przekupiony. I kończy się rozmowa, pusto się robi między nami.

Podobno w piekle nie ma prawej ani lewej strony. Świadczyłyby o tym dość częste wzmianki o kręgach piekielnych. We włoskich kościołach widywałem freski średniowieczne ukazu-

jące piekło. Dusze potępieńców, splecione ze sobą w męczarniach, tworzyły regularne koło.

Na tym samym przyjęciu u znajomych w Palaiseau zetknąłem się z młodą Angielką, żoną francuskiego chirurga, która opowiadała o swoim dwutygodniowym pobycie w Moskwie. Zawiadomiona przez jej męża para tamtejszych lekarzy oczekiwała ją na lotnisku Wnukowo. Po szybkim przywitaniu poprosili, żeby wsiadła do taksówki sama, oni pojadą autobusem. Uprzedzili także, aby z hotelu do nich nie telefonowała. „Proszę przyjść do nas po 11 wieczór, nie wcześniej”. Mieszkania w domu były pod inwigilacją, która ustawała nocą. Jadąc przez miasto Angielka zobaczyła po raz pierwszy w życiu długie ogonki po chlebie. Kiedy wysiadła z taksówki przed hotelem, spostrzegła, że wzrok ludzi z chodników jest utkwiony w jej obuwii. „Zawsze patrzę od dołu, od butów, dopiero potem w twarz”. Trzeciego dnia przebrano ją w tamtejszą konfekcję, chodziła w sukience znajomej lekarki, w jej bucikach i z torbą na zakupy. Doradzono jej zmianę uczesania. Jeździła metrem, stała w kolejkach po mięso i chleb. „Wszyscy mają tam specjalny odcień cery, podobny do źle upranej bielizny, i martwe oczy, jakby bez spojrzenia”. Na nią jednak patrzyli. Wciąż czuła wpite w siebie dziesiątki oczu, natychmiast ją rozpoznawali. Ale po czym, w jaki sposób, tego nie mogła zrozumieć. Podkreślała, że w ich wzroku nie było wrogości: „Oni na nas patrzą jak na nadludzi. I to najtrudniej znieść. Ten ich łapczywy podziw dla istot w lepszym gatunku, albo może dla świata, który je wyprodukował”. Kiedy zabrakło chleba, szybko się rozchodzili. Nikt nie kłął. Odchodzili sprzed sklepu bez słowa. „Myślałam, że zaczął padać deszcz”. Do zaprzyjaźnionych lekarzy Angielka przyszła ostatni raz w czasie telewizyjnej transmisji meczu piłkarskiego Polska-ZSSR o Puchar Świata. Po każdym strzale obronionym przez polskiego bramkarza w pokoju wybuchał radosny krzyk, pito szampana za zdrowie Wałęsy. „Ale nazajutrz przesłali mi wiadomość, że już nie będą mogli ze mną się zobaczyć”.

Z Palaiseau wracaliśmy razem z Angielką i jej mężem. Przy pożegnaniu wskazała palcem na siebie: — Dziś zasnę bez proszka! — Zdaje się, że była trochę wstawiona po przyjęciu.

Piszę rano przy zasłoniętych oknach, bo szyby parzą. Wciąż upały. Te trzy godziny do południa najmniej się różnią od życia w Warszawie. Tyle że siedzę w innym fotelu i piję kawę z innej filiżanki. Dopiero zetknięcie z ulicą wybija ze złudzenia. Cza-

sami jednak, kiedy wychodzę po kolacji przejść się po Wyspie albo w Le Marais, udaje mi się dalej ciągnąć zabieg autosugestii. Mówię sobie, że koniec końców różnice są powierzchowne. To jest także Stare Miasto, zachodzące słońce jest tym samym słońcem. I ja jestem ten sam i robię to samo. Istota sprawy niezmieniona, którejś nocy przesunęło ją tylko w inne miejsce.

Ale to się sprawdza na krótko. Szyld apteki z napisem PHARMACIE, widok mężczyzn grających w bile na placu od razu przywracają rozeznanie w elementarnym pomyleniu sytuacji. Ja... tutaj... skąd i dlaczego? Po czym natychmiast myśl, że w gruncie rzeczy to nie ma większego znaczenia. Ostatecznie pozostaje jedno znaczenie: to jakie się ma dla siebie. Nic innego, gdziekolwiek się jest, tam czy tutaj. I myślę, że trzeba się z tym pogodzić. Z tym znaczeniem dla siebie.

Wczoraj w liście od jednej z Matek Polek (bezdzietnej): „Być w Polsce źle. Bez Polski także źle. Najlepiej o niej czytać”.

Wrzesień, październik, Nowy Jork

W Paryżu miałem co tydzień kilkuminutową audycję w radio France Internationale. Mówiłem po polsku do słuchaczy w Kraju. Pod koniec sierpnia, przed wyjazdem do Nowego Jorku, nagrałem ostatni tekst. Zaczynał się tak:

„Dziś muszę się pożegnać na dłuższy czas ze słuchaczami. Od września będę w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Jorku. Zostałem zaproszony przez uniwersytet nowojorski, Columbia University, jako *writer-in-residence*. Można by to przełożyć: „pisarz zaproszony przez uniwersytet” albo „pisarz rezydujący na uniwersytecie”. W Stanach Zjednoczonych istnieje taki zwyczaj. Uniwersytet zaprasza pisarza, aby mu stworzyć dogodne warunki do pracy literackiej i zarazem ułatwić kontakty z młodzieżą studiującą. Mam też wygłosić cykl odczytów o polskiej literaturze współczesnej. A ponieważ trudno mówić o współczesnej literaturze nie mówiąc o utworach i tradycjach literackich, które ją poprzedzały i inspirowały, będę mówił także o literaturze dawniejszej, po prostu o polskiej literaturze. A że trudno mówić o jakiegokolwiek literaturze nie mówiąc o kraju w którym powstawała, więc będę mówił o tym kraju położonym między Niemcami a Rosją — o Polsce”.

„Od 4 grudnia zeszłego roku byłem w Stanach Zjednoczonych. Potem w Paryżu. Dość często spotykam się z pytaniem,

kiedy zamierzam wrócić do Warszawy. Odpowiadam, że nie wiem, trudno mi ustalić określoną datę. W Polsce nadal jest wielu ludzi uwięzionych lub internowanych, a wśród nich wielu moich przyjaciół. Również tak bliscy przyjaciele jak Wiktor Woroszyński, jak Adam Michnik. Nie można się z tym pogodzić. Ciężko byłoby wrócić i żyć normalnie, póki oni, i inni, nie wyjdą na wolność. Odkładałam powrót z miesiąca na miesiąc, bo nie tracę nadziei, że ten ohydny absurd wkrótce się skończy. Muszę mieć tę nadzieję”.

Nazajutrz po przyjeździe do Nowego Jorku dowiedziałem się z radia o wypadkach w Polsce 31 sierpnia, w drugą rocznicę Porozumień Gdańskich. W 53 miastach doszło do starć ludności z milicją, było czterech zabitych i kilkunastu rannych. Dokonano około pięciu tysięcy aresztowań. Ludność manifestowała w spokoju, w mieście Lubin milicja wystrzeliła serię z broni maszynowej do tłumu, który się śmiał. W trzy dni później prasa zamieściła wiadomość o wytoczeniu spraw karnych czterem internowanym działaczom KOR-u: Kuroniowi, Michnikowi, Lityńskiemu i Wujcowi. Oskarżono ich o próbę obalenia siłą ustroju państwa. Paragraf przewiduje wyroki do kary śmierci łącznie. Zaoczne oskarżenie z tego samego paragrafu wytoczono Lipskiemu i Chojcekiemu, przebywającym na Zachodzie. Znam wszystkich sześciu. Stykałem się z nimi w ubiegłych latach we wspólnych akcjach protestacyjnych, w działalności wydawniczej oraz w *Zapisie*. Najczęściej z Michnikiem i Chojcekim. Myślałem tak samo jak oni i dążyłem do tego samego. Można by mnie śmiało oskarżyć razem z nimi. Rozmawialiśmy otwarcie o wielu sprawach, również politycznych, i z pewnością było to zarejestrowane na taśmach. Funkcjonariusze, którzy je przesłuchali, doskonale wiedzą o czym mówił Kuroń, Michnik czy inni. O wszystkim prócz obalenia siłą ustroju państwa. Ale właśnie przeciw nim zastosowano ten najgroźniejszy paragraf. Budzili nienawiść właśnie przez to, że działali nie przy pomocy siły, lecz inteligencji. W tym, co ich prawdziwie obchodziło, byli przenikliwi od intelektualistów. Policja pobłażliwie traktuje sferę intelektu i etyki, naprawdę boi się tylko inteligentnego działania. Wtedy się mści. Oskarżyć ich o próbę zmiany ustroju państwa za pomocą inteligencji byłoby mniej podle.

W Polsce jest rzecz, której nie da się wyrazić lepiej niż słowami „nocne rodaków rozmowy”. Od dawna tak odczuwałem sens tamtejszej egzystencji. Czym się żyło przez te lata w

Warszawie? Co miało wartość rzeczywistą, nie urzędową ani importowaną? Rozmowy. O Polsce, o sobie, o ludziach. Rozmawiało się nocą i w dzień, przy wódce albo na trzeźwo. Było w tych rozmowach coś obsesyjnego, można by je uznać za nałóg. Tym bardziej, że nie zawsze obracały się wokół spraw wielkich, czasem grzęzły w małościach. Mimo to każdy ich potrzebował, nikt nie mógł obejść się bez nich; ich konieczność wypływała z psychicznych nurtów, jak okultyzm. Nieraz mówiłem wracając do domu: dziś było dobrze, dziś utworzyliśmy łańcuch. Myślę, że w tych rozmowach zaklinaliśmy złe siły, chociaż powodowały nami nie tylko dobre duchy. Najważniejsze jednak było to, żeby powstał obwód izolowany i zamknięty. Chcieliśmy stworzyć ze słów przestrzeń, która należałaby do nas, i w tej przestrzeni być wolnym. Osądzanie państw, ludzi i książek zastępowało nieobecną sprawiedliwość. Czuliśmy się zbyt blisko źródeł niesprawiedliwości, aby nie wiedzieć, że z kranów płynie zatruta woda. Pod „małą stabilizacją” czy „drugą Polską” kryło się to samo błoto. Skażone były wszystkie źródła, prawdę dawały nam tylko słowa wypowiedane przez nas samych. Zimą Adam Michnik przychodził do mnie zmarznięty w letniej kurtce. Kiedyś zadał mi pytanie: co według mnie jest źródłem etycznym w człowieku. Odpowiedziałem: stosunek do samego siebie. Michnik zaczął się jękać. Szarpiąc kosmyk włosów nad uchem wykrztusił: — A ja myślę, że sto...sto...sunek do innych ludzi. — Prawdopodobnie obaj mieliśmy rację i mówiliśmy o tym samym: stosunek do innych ludzi jest odbiciem stosunku do siebie, i odwrotnie. Mówiliśmy o tym samym.

Od ogłoszenia stanu wyjątkowego Michnik był osadzony w Białolecie razem z Kuroniem i innymi. Niejednokrotnie usiłowałem sobie wyobrazić życie internowanych w obozach, rozmowy jakie prowadzili. I w końcu za każdym razem dochodziłem do wniosku, że Polska sprawiedliwa istnieje tylko w ich rozmowach. Nigdzie indziej jej nie ma i nie będzie. Najlepszą Polskę zawsze tworzyły słowa, które nie mogły się spełnić. Ale tworzyły ją, nie byłoby Polski bez tych słów.

Liczba zabitych — pięciu. W Gdańsku znaleziono zwłoki młodego robotnika. Przypuszcza się, że milicja zatłukła go pałkami. Powtórzono mi slogan lansowany w aparacie władzy: „Dziesięć tysięcy zabitych — dziesięć lat spokoju. Dwadzieścia tysięcy zabitych — dwadzieścia lat spokoju”.

Pobyt w Paryżu — cztery i pół miesiąca — upłynął na

zabiegach wokół spraw, które w Polsce nazywa się „bytowymi”. Znowu wypełniałem formularze. Przyznano mi stypendium i mieszkanie. Przez lipiec i sierpień udawało mi się pracować, dwie, trzy godziny w ciągu dnia. W Cité des Arts nad nami Japończyk ćwiczył na fortepianie, pod nami szwedzka rzeźbiarka kuła posąg w kamieniu. Pisałem z uszami obłożonymi watą. W tym artystyczno-międzynarodowym hotelu czułem się jednak nieźle. Bawiło mnie, gdy wychodząc z windy na czwartym piętrze mijałem przebiegającą na pointach tancerkę w czarnym trykocie albo rudowłosego Holendra z paryską bułką pod pachą i kotem na ramieniu. Należałem do lokatorów starszych wiekiem. Pewnego razu zjeżdżaliśmy windą w pięć osób. Prócz M. i mnie para chińskich dwudziestolatków z Taiwanu, podobnych do lalek, i rosły okaz z kędzierzawą brodą, około czterdziestki, który zauważył: — Jeśli idzie o wiek, to ja w tym towarzystwie jestem pośrodku. — Mówił germańsko-francuskim akcentem. Żart nie wydał mi się taktowny, odpowiedziałem: — To się szybko zmienia, ani się obejrzyć i już nie będzie pan pośrodku. — Wyszliśmy przed budynek, M. poszła załatwić sprawunki na Saint-Paul'u. Obcokrajowiec był zaciekawiony: — Pan przez to rozumie...? — Wyjaśniłem mu, że od jakiegoś momentu życie nagle się kurczy i zostaje z niego kilkanaście scen, które można sobie przypomnieć w ciągu kilku godzin. Następuje to niemal z dnia na dzień i wtedy nie jest się już pośrodku. Staliśmy na ulicy, nieznajomy zaśmiał się: — Co pan na to bierze? — Pióro — odpowiedziałem. — Próbuję opisać wszystko co sobie przypominam. A nawet więcej. Zamiast kilku godzin kilka dni. Bo można to przeczytać w kilka dni. Trzeba tylko opisywać ciekawie, jak w powieści. I wtedy znowu pan się czuje pośrodku.

Nie wiem, skąd mi się wzięło, żeby tyle mówić do człowieka, z którym zetknąłem się przypadkiem w windzie. Szybko odszedłem i gdyby nie działało się to w słoneczne przedpołudnie, można by rzec, iż zniknąłem w ciemności.

W Paryżu dość często zdarzają się dni pół-euforii, wewnętrznego poruszenia. Wtedy mówię. Ale są również dni milczące. Wieczorem do 10-ej w mieście było jasne niebo, upał późno stygł. W trakcie spacerów zachodziliśmy nieraz pod Panteon albo na plac Zgody. Przeżywałem chwile spokoju, współbrzmienia z miastem. Ze schodów Izby Deputowanych roztaczał się widok na Concorde, podobny do płytkiej misy, w której umiesz-

czono obelisk i kamienne figury; w głębi stały dwa frontony gmachów. W zmierzchu bielejące posągi i kolumny robiły wrażenie antycznych wykopalisk, przychodził na myśl Akropol, piękno kultury umarłej; jakby cudem zachowane szczątki wystawiono na pokaz zwiedzającym. Patrzyłem i zastanawiałem się. Ogarniał mnie spokój, należałem do tego świata.

Chodziłem także na ulicę Saint-Denis. Gęsty tłum przelewał się przez tę starą, wąską ulicę, zamkniętą dla ruchu pojazdów, oblepioną restauracyjkami, sklepami, tarasami kawiarni i grupkami prostytutek, różnokolorowych, cierpliwie wystających w bramach i u ciasnych wejść do hotelików. Nie przywabiły mężczyzn. Stały nieruchomo, z obojętną godnością, rozmawiając tylko między sobą. Żłote, białe i czerwone buty do pół łydki, bardzo obcisłe i lśniące, odsłonięte piersi, dużo pierścionków i bransolet, minispódniczki obnażające jasne i ciemne uda, tak były ubrane. Oferowały bogaty wybór kobiecości: chude i otyłe, i ładne i monstrualne, i dziewczęce i zwiędłe, jedna w okularkach. Patrzyłem na nie z zapartym tchem. Fascynuje mnie w ich zawodzie — podobnie jak u samobójców — odwaga. Odwaga zerwania umowy, wystawienie się ze swoim upadkiem, publiczne i ostateczne. Ulica kończyła się u Bramy św. Dionizego, ogromnego łuku z kamienia i brązu (kto go wybudował? Rzymianie?) Tam zawracałem. Dwa tysiące lat temu z pewnością one tak samo stały we wnękach domów, z jaskrawo ufarbowanymi włosami i wypchniętymi na wierzch kulami biustów. Poważne i wytrwałe, często pół uśmiechnięte niby z leciutką wzgardą. Zdawały się mówić: proszę, czym jest człowieczeństwo, sprzedaję je każdemu za dwieście franków. W tłumie spacerowiczów z żonami i dziećmi szedłem z powrotem, żeby im się przyglądać. Z szacunkiem. Powiedziałbym: z namiętnym szacunkiem. W ich pracy, zmieszanej z hańbą i uchodzącej za najstarszą profesję świata, jest odwieczność, która zmusza do podziwu i lęku.

W krótkich przerwach między pisaniem a korespondencją, telefonami, sprawami i spotkaniami oraz włóczęństwem po mieście leżałem na wznak z książką. Nie mam wyraźnie w pamięci tych lektur. Co czytałem — na pewno monograficzną powieść o Chateaubriandzie, tak, i grube tomy Le Carré'go, majstra od wywiadowczo-kryminalnych fabułek. Czytałem po francusku, żeby upłynąć a zarazem utrwalić w sobie język, którego przejrzystość jest pozorna. Nie dostrzegałem momentu pierwszej szarości, kiedy powietrze blakło. W pewnej chwili ściany i okna

stawiały się różowe, a potem gasły. Wtedy odkładałem książkę. Mówiłem sobie: dobrze, i co dalej?

Od grudnia przez cały czas życie w wysiłkach i niepewności, codzienność rozbita i zabiegana. W Paryżu z trudem wyrывałem parę godzin na pisanie. Nie było mowy o regularnych zarobkach, oszczędności topniały. Z kraju nadechodziły wieści złe, przynębiające, myśl o powrocie wydawała się coraz mniej realna. Znowu żyłem w strachu, że długo tak się nie utrzymam i pójdziemy na dno. Życie odwrotne w stosunku do tego, jakie pędziłem w Warszawie. Czułem już zmęczenie. Brakowało nam kilku tygodni w Oborach czy Sopocie, gdzie można zarazem pracować i wypoczywać. Tu wszystko było prowizoryczne.

Teraz dziesiąty miesiąc z dala od Polski, bez oznaczonej daty powrotu. Przypuszczenie, że mógłbym nie wrócić, powoduje rodzaj psychicznych mdłości. Z Berlina pisałem kiedyś w liście, że łatwiej wytrzymałbym dwa lata więzienia w kraju, niż życie emigranta. Mówiąc „Kraj” zwykle ma się na myśli kilka pejzażów, miejsc, osób i pewien tryb życia. W tym sensie jestem przyzwyczajony do kraju jak do własnej skóry i paznokci. Bądź co bądź przeżyłem w nim tyle lat, ile upłynęło od Wiosny Ludów do I Wojny Światowej. Ale nie o to idzie. Kraj dla mnie jest miejscem najprawdziwszego życia, życia najbardziej serio, w którym toczy się walkę — czy grę — o siebie. Sprawdziany rzeczywiste istnieją przede wszystkim tam. Kiedy mówię „walka”, „gra”, rozumiem przez to ocalanie własnego serca i mózgu. Można by je też nazwać grą o swoją wartość albo duszę. Prawdziwe niebezpieczeństwa, próby ognia i wody, prawdziwi wrogowie — z tym miałem do czynienia w kraju.

Być może mój *Sitzfleisch* i zakorzenienie w kraju biorą się także stąd, że przyzwyczaiłem się do życia *na pół i pomiędzy*. Pomiedzy niepełną wolnością a niepełną niewolą, między niezupełną biedą a niezupełnym dostatkiem. Tak wyrabia się żywotność niedosytu, czasem dosyć owocna. Przez lata wiele spraw w kraju było jakby pomiędzy krańcami, na pół czy trochę na niby; w niektórych okresach zdawało się nawet, że komunizm jest w Polsce niezupełny. I może ta niepełność była naszym żywiołem. Bardzo możliwe, że tu pies leży pogrzebany.

W zeszłym tygodniu pewna żona, Polka, zaatakowała swego męża, Amerykanina, pytaniem: dlaczego w Ameryce coraz mniej pisze się o Polsce? Dlaczego, kiedy ten kraj ginie w oczach, mówi się i pisze wyłącznie o Libańczykach? Ameryka-

nin zamyślił się: — Bo to jest kraj, któremu nie można pomóc. A Libańczykom jeszcze można pomóc.

Małżeński dialog toczył się wieczorem, gdy telewizja amerykańska, nadając obrazki ze współczesnego życia w Polsce, pokazała stadninę w dniu targu na rasowe ogiery.

Piątek, 8 października. W Polsce uchwałą sejmu zostały rozwiązane Niezależne Samorządne Związki Zawodowe „Solidarność”.

W skrócie i wstecz. Pod koniec zimowego pobytu w Nowym Jorku, kiedy straciłem wiarę w zapewnienia amerykańskich znajomych, że *w tym kraju jeszcze nikt nie zginął*, i byłem przekonany, że pierwszym, który zginie, będę ja, wysłałem alarmujące listy do dwóch moich przyjaciół w Paryżu, Konstantego Jeleńskiego i Krzysztofa Pomiana. Odpowiedzieli niezwłocznie: wsiadać w samolot i przyjeżdżać. Zaczęliśmy składać wizyty pożegnalne i pakować rzeczy. Przed wyjazdem podpisałem umowę z amerykańskim domem wydawniczym Random House na obszerny jednotomowy wybór z „Miesięcy”. Po wykupieniu biletów lotniczych dowiedziałem się, że Columbia University nosi się z zamiarem zaproszenia mnie na rok akademicki 1982/83. Pośpiesznie wypełniłem jeszcze jeden formularz i napisałem kolejne *curriculum vitae*. Kilka dni później wylądowaliśmy w Paryżu. U Pallotynów na ulicy Surcouf ofiarowano nam mieszkanie jednego ze starszych księży, który ciężko zachorował w czasie pobytu w Polsce, nie było wiadomo, kiedy wróci. Naza jutrz po przyjeździe doradzono mi, abym napisał list do mera Paryża z prośbą o przydział mieszkania. List wysłałem załączając francuski egzemplarz „Niereczywistości” z dedykacją. Po dwóch tygodniach nadeszła uprzejma odpowiedź od mera. Mogłem z niej wnioskować, iż sprawa będzie załatwiona przychylnie. Równocześnie otrzymałem trzymiesięczne stypendium od fundacji samopomocy europejskich intelektualistów oraz jednorazową sumę przyznaną mi przez Centre National des Lettres, instytucję państwową wspierającą twórczość literacką. Wraz z oszczędnościami amerykańskimi miałem zapewnione pół roku utrzymania. Ponadto w miesiąc po przyjeździe do Paryża zawiadomiono mnie telefonicznie, że pewien Amerykanin pragnie zjeść ze mną lunch w hotelu Saint-James et d'Albany. Stawiłem się w oznaczonym dniu. Oczekiwał mnie wysoki, barczysty

mężczyzna w okularach, z siwą czupryną i fajką, który po godzinie rozmowy oświadczył, że uniwersytet Columbia w Nowym Jorku zaprasza mnie do współpracy w charakterze *writer-in-residence*. Przypuszczalnie rozmowa była testem, sprawdzano kandydata. Wkrótce na mój adres do Cité des Arts przyszedł list z formalnym zaproszeniem. Po raz trzeci w ciągu dziewięciu miesięcy mieliśmy przelecieć Atlantyk. Jedną walizkę i karton wypchany książkami zostawiłem u pana Gentil, magazyniera w Cité des Arts. Część rzeczy nadałem pocztą. Kozuch i jesionka czekały na mnie w Nowym Jorku. Przed naszym wyjazdem do Paryża wzięła je na przechowanie pani Mary Eitingon, którą nauczyliśmy z Marianem jeździć na łyżwach w roku 1928. To ona również pożyczyła mi w Nowym Jorku (a może podarowała?) maszynę do pisania; na niej przepisuję „Miesiące” i z nią wracałem 30 sierpnia do USA. Nie mieliśmy nadwagi. Można by zaryzykować twierdzenie, że od wyjazdu z Warszawy pod niejednym względem sprzyjało nam szczęście. W Paryżu niedługo przed naszym odlotem do Nowego Jorku muzułmańskie komando zastrzeliło pięć osób w restauracji Jo Goldenberga na ulicy des Rosiers, niedaleko Cité des Arts. W ciągu ostatniego pobytu byliśmy tam z M. czterokrotnie, siedzieliśmy przy tym samym stoliku w głębi salki, gdzie kule zraniły śmiertelnie żonę amerykańskiego turysty. Nazajutrz w prasie ukazała się wiadomość, że kule były polskiej produkcji. Ulice des Rosiers, Pavée, Roi de Sicile są częścią małej dzielnicy żydowskiej w Paryżu, na rue Pavée znajduje się secesyjna synagoga o dziwnie wąskich oknach, bardzo piękna. Stamtąd jest blisko nie tylko do Cité des Arts, także na ulicę François Miron, gdzie dostałem mieszkanie od miasta Paryża. Wymagało sporego remontu. Po ukończeniu robót przez czas naszej nieobecności ma w nim zamieszkać Chojewski.

W pożegnalnych rozmowach przed odlotem mówiłem przyjaciółom i znajomym, że wyjeżdżamy do Ameryki jak polscy chłopcy za chlebem. I poniekąd tak było naprawdę.

Nowy Jork, październik, ciepłe, wilgotne powietrze z przewiewem wywołującym lekkie poty. Mieszkamy w domu na 119 Ulicy, o trzysta kroków od uniwersytetu. Budynek, z początku wieku, nazywa się Butler Hall, ma piętnaście pięter, trzy windy i czterech portierów w uniformach z lampasami. Na piętnastym piętrze znajduje się modna restauracja, w hallu na parterze fontanna w kształcie łabędzia z uniesionym dziobem

i dwie palmy. My mieszkamy na czternastym piętrze. Widok na Harlem i Central Park, w głębi majaczy zgrupowanie wysokich graniastopów, to koniec Piątej Alei. Prostopadle do naszej ulicy biegnie pustawa Amsterdam Avenue, przypominająca nieco Trasę W-Z szeroką jezdnią, brakiem sklepów i ciężką architekturą. Dalej, równolegle, połączony z nią numerowanymi przecznicami ciągnie się Broadway, pełen handlowych reklam, ciemnych i jaskrawych twarzy, krzykliwy, zaśmiecony, z wyschniętymi skwerkami po środku i huczącym subwayem pod spodem. Między Broadwayem i Amsterdam Avenue wznoszą się monumentalne neoklasyczne gmachy Columbia University. Przed Biblioteką na rozległych schodach siedzą gromadki studentów, w dole zielenieje boisko do gry w piłkę. Dużo jońskich kolumn, fryzów i urn ozdabia masywne budynki z różowej polerowanej cegły.

Dzień zaczyna się od rozmów, rozmowy są dalszym ciągiem snów. Sny nie są dobre. Przez pierwszy miesiąc nawiedzał mnie sen o powrocie do szkoły. Po latach nieobecności w klasie mam zdać egzamin z matematyki i szukam korepetytora, który mnie przygotuje. Prawdopodobnie transpozycja lęku, że już za długo jestem poza krajem; być może też skutek kolejnej przerwy w pisaniu. W Butler Hall od przyjazdu nie mogłem pracować, rano budziłem się z przeświadczeniem, że nie ma sensu dalej pisać „Miesiący”, bo samo życie je skończyło. Od tego monodramu zaczynałem dzień. M. twierdziła, że tak samo jest po każdej dłuższej przerwie. Jakkolwiek miałem pewność, że tym razem jest inaczej, jej spokój dawał chwilę pokrzepienia, nie traktowałaby tak lekko życiowej katastrofy.

Teraz, kiedy od paru dni znowu piszę, sny są inne. Przedostatniej nocy śniło mi się, że w Paryżu zatrzymuję przejeżdżające taksówki. Śpieszę się, za kwadrans muszę być na drugim krańcu miasta. Wszystkie taksówki są zajęte. Wreszcie łapię jakąś rozklekotaną furgonetkę, szofer każe mi wsiadać i po chwili okazuje się, że jedziemy na Żoliborz. W furgonetce siedziało już kilkanaście osób. Jadę w gwarze i cieple, co za ulga. Aż raptem przystajemy przed bramą, w której stoi Sandauer. Pakuje się do furgonetki, pasażerowie od dawna go znają. Gdy chcę zawołać, że nie pojedę z Sandauerem, o którym mam złe pojęcie, budzi mnie nagła świadomość, że M. została w Cité, nie ma jej ze mną.

Obecność kraju w organizmie jest czymś nieustającym, niby jednym ze zmysłów, jak słuch, albo wymiarów, jak głębokość. I zarazem bólem doznawanym w każdej minucie dnia. Polska

jest coraz bardziej wewnątrz. Z zewnątrz dochodzą informacje, komunikaty, listy i one nakładają się na obrazy utrzymane w pamięci. Polska, w której mnie nie ma, przestaje być moim doświadczeniem, jest Polską z opowiadań. Żyje się z kilkuwarstwową zbitką — własnej przeszłości, cudzych relacji, faktów i wyobraźni. Wszystko to pogmatwane i bolesne, pełne złych przeczuć. Wczoraj na Broadwayu, siedząc na skwerze obok dwóch Murzynów i czekając aż M. załatwi sprawunki, nagle powiedziałem szeptem do siebie: *p r y w i s l a n s k i j k r a j...*

W kwietniu podczas obiadu u przyjaciół zjawił się ksiądz ze Śląska, ornitolog i hodowca ptaków. Podziękował za dania, poprosił tylko o kieliszek wina. Pięćdziesięcioletni, ze szpakowatą, jakby kancistą głową, słuchał i przyglądał się nam mądrym wytrzeszczem zza szkieleł. Mówić zaczął po chwili. — Szanowna pani — zwrócił się do M. — w Polsce słysząc krzyk bitych ludzi. Groza wieje od kraju, proszę łaskawej pani. Pytają nas kobiety o słowa nadziei, a my, księża, nie potrafimy jej dać. Kołujemy, milczymy za konfesjonałem. Straszna nienawiść jest w Polsce, proszę szanownych państwa, naród nienawidzi władzy, zaś władza narodu. Chłopiec siedemnastoletni, za to że wywiesił biało-czerwony sztandar, idzie na trzy lata, innemu milicja łamie zębra. Król jest znowu nagi, proszę łaskawej pani. Ile to już razy król był nagi? Po śmierci Stalina raz, w roku 1970 w grudniu dwa, i także w 80-tym przed sierpniem. Spadały z niego różne szatki. Teraz jest nagi do kości, został się tylko szkielec z kością. To zrobił pan generał. Żołnierze wypuszczani do rodzin na Boże Narodzenie płakali: „Mamo, mamo” przy opłatku. A mama nie pomoże. Głodu się obawiamy, proszę państwa, i zarazy, żeby nie spadły na kraj, jako że we wsiach już się pojawiła wszawica i świerzb. Cud tylko, mówi Prymas, może ocalić ten naród. A księża nie umieją czynić cudów, proszę łaskawej pani. Jedno co mogą, to współcierpieć z ludźmi. W obozach i więzieniach, a jakże. Wstyd, że inaczej się dzieje. O, władza jest chytra: my księży aresztować nie będziemy, powiedziały jeden pan pułkownik, bo to byłaby iskra na proch. Rosjanie boją się tej iskry, dalej chcą z Ameryką dzielić świat, i jak się z tego wymknąć Polsce? Czołgi pilnują miast, zaś w miastach wzbiera gniew. Delegację spółdzielców pan wojewoda podjął na bankiecie chlebem, jarzynkową sałatką i wodą mineralną. „Gdybym was po dawnemu ugościł, ludzie ukamienowaliby was na ulicy”. Prawda że sąsiad przysyła nam żywność. I pachnie ta żywność na szosach, kiedy jadą cuchnące ryby z Rosji. Słysząc też, że profesorowie z Krakowa prosili o audien-

cję pana generała. Żeby zakończył tę wojnę i pozwolił wybrać Prezydenta, jak w Finlandii. Ale ich nie dopuścił do siebie pan generał. Prywislanski kraj, proszę łaskawej pani.

Mówiąc to ksiądz zdawał się uśmiechać wypukłymi oczami. Po czym spojrzał na M.: — A w obozach kobiety są najtwardsze. — Wypił łyk wina. — Chwała niewiastom.

Księdza-ptasznika więcej nie spotkałem. Wczoraj na Broadwayu przypomniiał mi się jego monolog, którego wtedy słuchaliśmy jak opowieści z „Dziadów”. I właśnie na tej ławce, obok dwóch kłócących się Murzynów, uświadomiłem sobie, że po dziesięciu miesiącach Polska zaczyna tracić dla mnie kształt rzeczywistości, staje się literackim przekazem dramatu. Ja usiłuję go odczytać i przyswoić sobie na pamięć. Myśl, że dla ludzi w kraju dramat jest codziennością, niepokoi jak wyrzut.

Poniedziałek, 11 października. Wszystkie kanały telewizyjne podają w dziennikach na pierwszych miejscach wiadomość o strajku w Stoczni Gdańskiej. Wybuchł dzisiaj. Strajkuje dziesięć tysięcy robotników. Połączenia telefoniczne z Trójmiastem odcięte. Przed bramą Stoczni zebrał się tłum. Cała brama w kwiatkach. Hasła: „*Solidarność*” żyje — *uwolnić Wałęsę*. Do późnego wieczora urywa się telefon. Dzwonił Zbigniew Byrski, Jankowie Kottowie i Magda Dygatówna, córka Stasia.

Sroda. Strajk w Gdańsku przerwany pod groźbą sądów wojennych. Rząd ogłosił militaryzację Stoczni.

Co kilka dni jeżdżę subwayem do różnych dzielnic tego miasta i doznaję za każdym razem wstrząsu. Można by go określić jako równoczesne zdumienie i obawę. Słowo *zgroza* nie oddałoby ściśle moich wrażeń, gdyż jest w nich także podziw, a nawet momenty zachwytu. Naturalnie zależy to od samopoczucia, bywają dni lepsze i gorsze. Miłosz cytuje zdanie Simone Weil: „Ja cierpię. Lepiej tak powiedzieć niż powiedzieć: ten krajobraz jest brzydki”. Brzydota niektórych nowojorskich ulic wydaje się jednak czymś ewidentnym, obiektywnym. Miasto zapewne rośło w pośpiechu, najtańszym kosztem, ceglane, klockowate pudła musiały pomieścić jak największą ilość lokatorów, dopiero później dorabiano do nich od góry i od dołu włoski renesans czy barok. Stoją dziś te nikifory dziesięciopiętrowe,

szare, żółte i brunatne, oblepione pstrymi reklamami, albo ślepe, puste w środku, o zabitych dyktą oknach pod secesyjnym gzymsem lub z ozdobną balustradą u krawędzi dachu. Od brzydoty się zaczęło. Od starej brzydoty kolejowo-fabrycznej. Kiedyś budowano tu gmachy publiczne z attykami i kamiennymi lwami u wejścia, usiłowano naśladować Europę, wiktoriańską czy republikańską, wszystko miało być dostojne i zasobne. Ale nie wytrzymało. Miasto rodziło się w opętaniu, w parciu dzikich żądz i do dziś nosi na sobie infantylne znamię pościgu za szczęściem. Amerykańska utopia! Jeszcze jedna utopia niezrealizowana i skarykaturowana?

Ale jednak... jednak w tym maniackim dążeniu jest coś patetycznego, tu czuje się ryzyko i dramat, każdy bar i sklepik walczy o najwyższą stawkę. Bankructwo albo bogactwo, miliony albo nędza. Nędza? W cudzysłowie. Wśród 10 milionów amerykańskich bezrobotnych wiele rodzin żyje z zasiłków państwowych już w drugim pokoleniu.

Kiedy w centrum Manhattanu dziwiłem się stupiętrowym wieżowcom, gdy pytałem, dlaczego miasto wybrało sobie taką właśnie formę i czy ów kierunek w górę był istotnie konieczny, odpowiedziano mi: to sprawa cen gruntu, niebo jest najtańsze. Ach, więc fantazja i szaleństwo mogą być praktyczne... te dziesiątki wielokilometrowych równoległych Chmielnych, na które nasadzono szklane wieże Babel, wzięty się z kalkulacji. Chwilami, o dziwo, czułem się tam przytulnie. W dole, jak gdyby na dnie, między cudownymi taflami drapaczy o szczytach ginących w mgle, porusza się tłum, chodniki są dość wąskie, tak że ludzie mijają się z bliska, a przechodząc przez jezdnię ocierają się niemal o maski samochodów oczekujących na zmianę świateł. Również jezdnie nie są zbyt szerokie, auta suną asfaltem wzdłuż chodników na wyciągnięcie ręki. Z obu stron pada miękkie światło od wystaw. Drapacze, mimo wszystko, na parterach stają się domami, można wejść do antykwarium czy kwaciarni, albo do małego *coffee-shopu*, żeby wypić kawę za pięćdziesiąt centów. Ciepło jest w brzuchu Manhattanu. Gdzieś tam przypomina się Gdańsk. Niektóre domy są kilkupiętrowe, mają przedproża i ganki ze schodkami.

Są tu także handlowe świątynie, rodzaj pionowych ulic. Pewnego razu wjeżdżając eskalatorem w górę, zobaczyłem w dole salę pełną ludzi siedzących na białych krzesłach przy białych stolikach, podczas gdy długowłosa skrzypaczka w złotej sukni produkowała się na estradzie. Nie byłoby w owym widoku nic dziwnego, gdyby nie to, że widziałem go pod sobą, wznosząc się

coraz wyżej i mijając jedną nad drugą galerie sklepów, księgarń, restauracji. Na pionowej ulicy można kupić tort, parasol, pisma Gandhiego, podręczny komputer, obejrzeć film i zjeść pizzę z mrożoną herbatą. Do eskalatorów podchodzi się przez wysypany jasnym żwirem westibul z sadzawką i drzewami eukaliptusu. Właściwie nic nowego, tylko kompozycja przestrzeni zmieniona. A jednak nie da się powstrzymać zachłyśnięcia. W tym spotworniałym mieście, gdzie kolej podziemna przypomina miejskie ścieki, ktoś nieustannie wymyśla formy przyszłego życia. To jest imponujące. Mimo to budzi się podejrzenie, czy jest do gruntu poważne i odpowiedzialne. Nasuwa się sporo pytań. Są szczęśliwi, czy udają szczęśliwych, infantylni naprawdę, czy tylko z postanowienia, tworzą nowy kształt życia, czy usiłują wyminąć to co w nim odwiecznie bolesne? Nie wiem. Ile w nich jest odwagi, ile strachu, ile nieświadomości? Nie wszystko rozumiem. Lepiej byłoby powiedzieć: nie znam istoty rzeczy. Co chyba polega na psychologicznej nieobecności w ich dziejach i kulturze. Nie mam pojęcia kogo przedstawiają ich pomniki, kim jest generał siedzący na koniu przy Piątej Alei u wejścia do Central Parku. W Berlinie i Leningradzie rozpoznawałem od razu: tu Fryderyk a tam Piotr. O Ameryce nie mam nawet takiej wiedzy, jaką daje poczucie krzywdy. Bardziej czuję Niemców i Rosjan. Znam ich złe głębokie — pamiętam i rozumiem przez skórę.

Pewien amerykański historyk i politolog, którego dziadek miał sklepik w Sarnach („you know, mydło i powidło”), wysunął kiedyś przypuszczenie, czy nie okaże się, że żyliśmy w epoce podwójnego żartu historii. Miał na myśli sowiecki komunizm i amerykańską demokrację. — Jeżeli nie potrafią zrobić ze światem nic lepszego niż to co robią, to nasi potomkowie w XXII wieku uznają dzisiejszą ludzkość za tłum idiotów, którzy po obu stronach dawali się nabierać.

A jednak... jednak... w amerykańskim *żarcie* odczuwam powagę. Co może być bardziej serio niż postawienie człowieka frontem do wszystkich szans, dobrych i złych, jakie daje mu ludzka natura, wrzucenie go do tygla, w którym gotują się grzechy i cnoty namiętnej, zachłannej cywilizacji — co może być bardziej poważne? W żadnym mieście nie widziałem na ulicach tylu obłąkanych. To ci, którzy nie wytrzymali ciśnienia. I tylu proroków wzywających do opamiętania. Tutaj ludzkość jest wybebeszona, ze swoją szpetotą, zbrodnią, triumfem, ideami i złudzeniami — to miasto pognębienia i fascynuje, ale nie kłamie. Wszelkie marzenia i koszmary są tu na wierzchu,

ogląda się je gołym okiem, skrzyżowane ze sobą w nowojorskiej kratce. Być tutaj to znaczy widzieć życie.

Kent w stanie Connecticut. Trzy słoneczne dni o 120 kilometrów od Nowego Jorku, w piętrowym domku przerobionym ze stodoły, trzy dni w chłodnym, czystym powietrzu. Pejzaż niemal podgórski. Łagodnie sfalowana ziemia schodzi do asfaltów zalesionymi stokami, na których tłoczą się barwy klonów, rdzawe, szkarłatne, żółte, fioletowe. Cisza. W dole błyszczą jezioro z przystanią i motelem. Na asfaltowych drogach nie ma ludzi, tylko samochody nas mijają. Wśród żywopłotów tabliczki z nazwiskami właścicieli domków. Domy są po większej części parterowe, drewniane i prawie wszystkie białe, z gankami i mansardami; z przodu i z tyłu wystrzyżone trawniki. — Ameryka jest parterowa i biała, zawsze to mówiłam, a w Warszawie nie chcieli mi wierzyć — monologuje M. Tak, parterowa, malowana. Lekko, wesoło i pogodnie. Takie domki chciałem budować w dzieciństwie. Tutaj mieszkają w nich ci, których nie pożarł Nowy Jork. Udało im się wyrzec z jego cielska złotą łuskę i zamienić ją na domek z trawnikiem. Teraz co tydzień uciekają z miasta, aby przeżywać dwudniową sielankę. Zaparkowane auta stoją przed białożółtym kortem, panowie o różowych twarzach odbijają białe piłeczki, z nieba o zachodzie pada różowy blask na jasną linię pośrodku asfaltu. Asfalt co pewien czas wbiega w placyk z kościołem, pocztą i supermarketem. Tu znowu zaparkowane samochody z dziećmi i psami w środku. Mężczyźni w koszulkach i kobiety w dżinsach rozmawiają głośno, ładując zakupy do bagażników. Za chwilę w domkach zapalają się światła.

Wszystko to należy zapamiętać. Wraz z wynikami ankiet socjologicznych, które podają fakty z życia mieszkańców domków, mówiące o depresjach i alkoholizmie, o nerwicowych tragediach „zielonych wdów”. Trzeba zapamiętać kort, śmiech dzieci, spaniele w samochodzie i motel nad jeziorem. Stany Zjednoczone są jedną z nielicznych imprez w historii ludzkości, które się udały. Z uwzględnieniem psychodepresji, nerwicy i alkoholizmu samotnych kobiet w domkach. Także podskakujący, obłąkany Murzyn na Broadwayu jest w tę imprezę wliczony.

Wolność — niewola. Właściwie pod tę antynomię można by podłożyć inną, mniej patetyczną: energia — inercja. Życie w

wolności nie jest rajem. Tzw. wolny świat zapewnia wolność człowiekowi w zamian za bezustanne napięcie energii i gdyby się zabawić w dociekania etymologiczne, nasunąłby się wniosek, że istoty wolności trzeba szukać gdzie? w jej pierwszej sylabie. *Nie-wola* oznacza pozbawienie woli. Otóż mój pobyt na Zachodzie tym się wyróżnia, że zmusza mnie do ciągłego wysiłku, do natężenia woli życia. Co ma swoje dobre strony, bo powoduje stan psychiczny, który nazwałbym „odwróceniem uwagi”. Codzienna konieczność osiągnięcia drobnych praktycznych celów i stałe zaaferowanie czynnościami odwracają uwagę od myśli... hm, powiedzmy, ostatecznych. Tutaj nie ma czasu na strach przed bezsenssem, czy jakimś tam przemijaniem, lub z przeproszeniem, śmiercią. Nie ma czasu i miejsca, żeby się bać końca własnej osoby albo świata. W Polsce żyłem jakby odwrotnie. Pewna łatwość i wygoda mojej tamtejszej egzystencji wynikała z poczucia nieskuteczności. Można było żyć z nisko ustawioną poprzeczką, w trybie „półobrotów” i „odfajkowania” (to są słowa-klucze, które tłumaczą zagadkę systemu), a takie życie nie tworzy napięć woli, są w nim „luzy” i „zwisy”. Czy się *stoi*, czy się *leży*... W porównaniu z eksploatacją sił psychicznych, jaką narzuca wolność, niewola może być nawet komfortem. Ale w jej rozrzedzonej substancji człowiek zostaje często sam na sam z niebytem, i wtedy... Boże, ile jest czasu w socjalizmie.

Niewola ma swoją metafizykę i arystokratyzm. Pamiętam zimne, puste wieczory przeleżane pod pledem, w nudzie i bezwładzie, godziny kontemplacji mętnych cieni płynących po suficie. *Spleen*. O takiej porze rozległ się kiedyś dzwonek do drzwi. Nie miałem chęci otworzyć, leżałem nieogolony, zwlokłem się dopiero po trzecim dzwonku. Janek St., który przyjechał z Wenezueli, wszedł z kwiatami, przyjrzał mi się i powiedział: — Przepraszam, cię, czy nie jesteś chory? — Nie, skądże, byłem zdrowy. Jak niewolnik, jak socjalistyczny hrabiec.

Katedry gotyckie mówią: wobec majestatu Boga jesteś prochem, uklęknij przed Nim w pokorze i zachwycie.

Zbory protestanckie mówią: Bóg jest na twoją miarę, szanuj Go, bądź surowy dla siebie i oszczędzaj, bierz przykład z nas.

Synagoga mówi: Bóg jest w środku.

Wieczór na East-Endzie u Haliny Rodzińskiej i jej siostry,

Felicji Krance. Są to słynne przed wojną „panny Lilpop”, rosłe i zgrabne, o srebrnych głowach. Pierwszy raz byliśmy u nich zeszłej zimy, niedługo po 13 grudnia. Tego dnia Manhattan był zavalony śniegiem, miałem przemoczone obuwie. Kazano mi je zdjąć natychmiast, Felicja przyniosła wełniane skarpety i męskie, trochę za duże półbuty. Siedziałem w fotelu, ze szklanką whisky w ręku, czułem się sucho i ciepło. „A wie pan, że w tym fotelu zawsze u nas siedział Kiereński?” Wczoraj znowu posadziły mnie w fotelu Kiereńskiego i rozmawialiśmy przez cały wieczór. Zełgałbym twierdząc, że byłem w tę rozmowę wciągnięty. Byłem wciągnięty w śledzenie ich ruchów i spojrzeń, przyglądałem się ich dłoniom, gdy jadły lub podsuwały mi półmiski, i wyobrażałem je sobie grające w tenisa na kortach Agrykoli przed wojną. Patrzyłem na nie z dziwaczną myślą w głowie, że to są moje dwie piękne kuzynki, z którymi romansowałem w poprzednim wcieleniu, a teraz udajemy, że nic nas ze sobą nie łączyło. — O czym myślałeś? — spytała mnie M. po powrocie. Podobno przez cały wieczór byłem milczący. Wytłumaczyłem, że bolał mnie kręgosłup. O czym miałbym mówić — o moich erotycznych skojarzeniach związanych z dwiema starszymi paniami? Wolałem zachować przy sobie to oczarowanie. Tak, słyszałem odbicia białych piłek o struny rakiet i wysoki paniński śmiech. A potem patrzyłem, jak wiążą paczki z żywnością, wysyłane do zakładu w Laskach, i obserwowałem sprawne, kształtne ręce moich warszawskich kuzynek, które wygrały partię z czasem.

Kręgosłup bolał mnie naprawdę, ale w końcu moją dolegliwość zaczynam traktować z rodzajem pobłażliwego braterstwa. Czasem tylko... Ponieważ w sklepach wolę stać oparty o ścianę lub półkę, klienci biorą mnie nieraz za pracownika firmy. Kiedyś stara Murzynka kazała mi zapakować banany do torby, a innym razem sparaliżowany mężczyzna polecił mi wtoczyć się na wózku do działu mięsnego. Okresami czuję się lepiej, przychodzą jednak dni, gdy ból pogrąża w zniechęceniu do życia i wtedy nie mogę pracować. Ogółem biorąc jest to przypadłość wymagająca umiejętnego współżycia, tolerancji, a nawet poczucia humoru. Aby założyć nogę na nogę, trzeba dopomóc sobie ręką. Ruch jest nieco komiczny, świetnie naśladowali go dawni aktorzy, grający starych kawalerów w „Grubych rybach”. Wykonując go mam tę satysfakcję, że osadzam się w tradycji Rapackich i Frenklów. Tak więc stopniowo wchodzę w rolę. Jeśli z choroby nie można się wyleczyć, nie pozostaje nic innego, jak tylko dorobić do niej nadbudowę, lub choćby kreację: pana

o lasce, który czuje się starszy historycznie od Amerykanów. Szczerze mówiąc, przychodzi mi to bez większej trudności.

Wczoraj na 58 Ulicy w mieszkaniu filmowca Richarda Adamsa znowu dopłynęła Polska *opowiadana*. Streszczono mi relację młodej kobiety ze środowiska uniwersyteckiego, która kilka dni temu przyjechała z Warszawy na trzymiesięczne stypendium. O biciu i zabijaniu. W czasie wystąpień ulicznych policja, rozwścieczona, wali pałkami przyglądających się ludzi, nie tylko manifestantów. Nikt nie jest bezpieczny. Granaty z gazem wrzuca się do mieszkań, gdy w oknie poruszy się firanka. O zatrzymanych, których można wykupić po wypłaceniu 80 tysięcy złotych, przy czym zebrać tę sumę coraz trudniej. O kościołach jako o miejscu porozumień i spotkań. W dzielnicy kościół stał się klubem i salonem, niektórym zastąpił kawiarnię, tam się widuje znajomych, tam się rozmawia. O ludzkiej ofiarności. Starsze panie przechowujące ulotki w pojemnikach na śmiecie. Aktorka Maja Komorowska, która przez całą zimę rozwoziła po kraju paczki dla internowanych w obozach. O nowych postawach wśród inteligencji. Kolegium redakcyjne pewnego miesięcznika na wielogodzinnym zebraniu rozważało problem dalszego istnienia pisma: jeżeli to jest *okupacja*, pismo nie powinno wychodzić (kolaborować); jeżeli to jest *zabór*, należy pismo wydawać (praca organiczna). O dwudziestoletnim robotniku zastrzelonym przez tajniaka podczas manifestacji w Nowej Hucie. Cytowano czyjeś zdanie: „oliwą dla tego mechanizmu jest krew, inaczej mechanizm się zaczyna”.

W Nowej Hucie tłum dziesięcioletni przez cały dzień walczył z uzbrojoną policją. Podpalono kioski, rozmontowano szyny tramwajowe. Pomnik Lenina zasmarowano białą farbą, podczas gdy zomowcy rozpylali z armatek farbę niebieską, żeby nią znaczyć demonstrantów. Działo się to w miejscu symbolicznym, wybranym 35 lat temu na fundament socjalizmu w Polsce. Nową Hutę założono pod bokiem starego Krakowa, by młoda klasa robotnicza promieniowała na twierdzą konserwatywnej reakcji. I oto po 35 latach.

Wszystko co mają na sobie członkowie władz państwowych, od gatek do czapek, a także samochody, którymi jeżdżą, i wille, w których żyją, urodziło się z pracy ludzkiej w Polsce, nawet jeśli zostało sprowadzone z zagranicy (ktoś zapracował na dewizy). Ludziom pracy w Polsce rząd nie jest w stanie zapewnić pary butów na zimę. Aby jakoś wyrównać niedobór, rząd nabywa w Japonii hełmy, pałki i tarcze oraz armatki powodujące wstrząs mózgu. Kupuje je za dewizy zapracowane przez polskich

robotników, przeznacza dla nich tarcze, pociski i hełmy, realizując w ten sposób ideę sprawiedliwości społecznej w państwie socjalistycznym.

Opowiadano również o wypadkach przymusowego wcielania członków Solidarności do ZOMO. Takie wypadki zdarzają się głównie na prowincji. ZOMO — odpowiednik SS w Polsce Ludowej — przejawia w starciach ulicznych z ludnością okrucieństwo i furję, świadczące o zezwierzęceniu. Do tych wyborowych oddziałów (rynsztunek japoński) rekrutuje się kryminalistów zwolnionych z więzień. Co potwierdzałoby hipotezę o naturalnych związkach łączących systemy totalitarno-ideologiczne ze światem przestępczym. Podobno Stalin korzystał z usług włosko-amerykańskich gangów, a pierwsze hitlerowskie bojówki szturmowe miały w swoich szeregach ułaskawionych przestępców. Uczy historia najnowsza, że wystarczy jeden umysłowo chory, dwóch ideowców i trzystu morderców, aby przejąć władzę i zalepić usta milionom ludzi.

Wciąż zdumiewająca jest świadomość, że M. i ja, i nasi niezbyt już liczni rówieśnicy, że prawie całe nasze życie upłynęło na doświadczaniu tej krwawej ohydy. Pół stulecia! Pomyśleć tylko, że właśnie nam musiało się to zdarzyć. Hitleryzm i komunizm. Czy nie za wiele na jedną generację? Mistycy chrześcijańscy z dawna przepowiadali nadejście Antychrysta, ale tego że przyjdzie dwóch Antychrystów, jeden po drugim, a poniekąd równocześnie, tego nie było w żadnej przepowiedni. Jak trzeba uważać ze swoim urodzeniem.

Polacy przyjeżdżający z Kraju mówią: wojna, przed wojną. „Przed wojną” oznacza dni przed 13 grudnia 1981. Pierwszy raz zetknąłem się z takim określeniem jeszcze w zimie, kilka tygodni po przyjeździe do Nowego Jorku. Z reżyserem filmowym Feliksem Falkiem siedzieliśmy w *coffee-shopie* na Lexington Avenue. Falk, autor „Wodzireja”, przyjechał do Stanów już po 13 grudnia i on właśnie użył parokrotnie tego wyrażenia. W pierwszej chwili poczytałem je za warszawski dowcip, ale gdy Falk powtórzył swoje „przed wojną” trzeci czy czwarty raz, wtrąciłem: — O jakiej wojnie pan mówi, panie Feliksie, przecież to była obława policyjna. — Falk bardzo się zdziwił. Wyjaśnił, że mówi się tak w całej Polsce, nikt nie mówi inaczej. No więc przesadzają, pomyślałem, widocznie trzeba im heroizacji, dlatego awansują na wyższy szczebel ten sołdecki czy ubecki zamach. Otóż myliłem się. Mieli słuszość. Nazwę *wojna* podsunął im trafny instynkt językowy i wycucie chwili historycznej. Głębokość wstrząsu, jaki nastąpił 13 grudnia 1981, wstrząs-

su w życiu poszczególnych ludzi i narodu, złamanie dotychczasowej konstrukcji czasu, trybu codziennych zajęć i perspektywy myślenia, raptowny koniec rzeczywistości — to daje się porównać jedynie z datami klęsk narodowych, przegranych wojen i powstań: z rokiem 1794, z wojną polską-rosyjską 1830-31 i polsko-niemiecką w 1939. To samo zawalenie się świata. Z dziury po wybuchu zaczyna coś uchodzić, wylewać się na zewnątrz: emigracja.

Trzeci dzień w Stony Brook, 55 mil od Nowego Jorku. Znowu partery. Domki parterowe z wystrzyżonymi trawnikami, przed każdym domkiem dwa samochody i ani śladu człowieka. My, my tylko drepczemy po wypolerowanym asfalcie. Październik, dużo zeschłych liści, jesień melancholijna, szeleszcząca. Marzenia. Przenieść ten cichy komfort pod Warszawę, czy odwrotnie, z Warszawy tutaj sprowadzić przyjaciół i osiedlić? Idąc wybieramy domki: o, ten byłby dla Kijowskich, ten dla JMRów, tamten dla Zbyszków Herbertów, a ten najmniejszy dla Julka. Można by tak przeżyć długie lata, odwiedzać się, oglądać razem telewizję, pielęgnować w sobie widoczek Ojczyzny i co jakiś czas dojeżdżać do Nowego Jorku. Tak przecież żyją mieszkańcy tych domków (co nawiasem mówiąc nie jest ściśle, bo mieszkańcy amerykańskich domków wcale się nie odwiedzają, słowiański rodzaj przyjaźni nie jest tu praktykowany). Miałoby się też do dyspozycji dziesiątki kin w okolicy, restauracyjki, sale koncertowe. Nie mówiąc o milionie tomów w bibliotece tutejszego uniwersytetu. Tak bowiem się dzieje w owym kraju największych kontrastów, że nauka, technika i wiedza specjalistyczna są na zawrotnym poziomie, gdy równocześnie nauczanie powszechne woła o pomstę. W stanie Indiana pewien młody człowiek wytoczył proces dyrekcji *high school*'u, ponieważ nie nauczono go w szkole czytać ani pisać. W Olsztynie nie do pomyslenia.

Więc spacerując wśród domków wyobrażam sobie jakby to się żyło po amerykańsku. Nie jest trudno zostać Amerykaninem, trzeba tylko wpaść w uderzenie. I o niektórych sprawach zapomnieć. I trochę stępieć. Wejść w rytm zarabiania-kupowania-splacania i nie pamiętać o tym co my nazywamy „historią”. Amerykanie są wolni od Historii, zostawili ją w swoich Starych Krajach. Przez ostatnie sto lat miały z nią do czynienia ich korpusy ekspedycyjne, daleko poza granicami Stanów, gdzieś w Europie, gdzieś w Azji. Poczucie historii nie tkwi w

ich mentalności i gdy damy na to mówię „żyrondyści” albo „heglowska dialektyka dziejów”, pisarz amerykański milczy i wiem, że trafiam w płuć (tak było z Philipem Rothem). Trzeba by więc i o tym zapomnieć. Nauczyć się pragmatycznego myślenia, przyjacielskiego uśmiechu z klepieniem *how are you* i kilku amerykańskich idei wydrukowanych w Konstytucji: „Wszyscy ludzie urodzili się równi”.

Nie — myślę — to nie dla nas. My tego się nie nauczymy, nas tamto już złapało, przydusiło. Drepczemy samotnie po amerykańskim asfalcie wśród malowanych domków, mijają nas rozpędzone plymouthy i buicki, a w nich za szkłem ci, którzy odziedziczyli te domki z konstytucyjnym uśmiechem dla narodzonych w równości, i także ci, co się wydzwignęli, co zostawili nędzę i poniżenie na podwórkach dzieciństwa. Im najłatwiej stać się Amerykanami. Kogo razi prymitywizm Amerykanów, niech zrozumie, że główny korpus ich społeczeństwa tworzyły i tworzą miliony żywotnej biedoty na dorobku, pnącej się do coraz wyższych standardów. To jest kraj dla nich, to jest ich kraj. Nie są jego mózgiem — mózgiem są specjaliści w instytutach i laboratoriach. Ale oni są wolą życia i sukcesu, oni są krwią tej cywilizacji.

Przypuśćmy, że... Dobrze, więc z czym bym tu został? Bez fachu, bez kapitału, tylko ze świadomością. Przyjrzyjmy się i policzmy: cztery rozbiory, sześć milionów ofiar, kilka powstań i arcydzieł narodowych oraz język. Cóż jeszcze? Poczucie śródziemnomorskiej europejskości i szwy po błędach. Musiałbym to stłamsić w sobie i wypluć, żeby się stać uśmiechniętym Amerykaninem. Byłbym jednak Amerykaninem z dziurą, Amerykaninem-kaleką. Może lepiej iść wydeptaną miedzą, brnąć dalej w polskość i chować w brzuchu to wszystko, czego oni nie przeżyli i o czym myśl im w głowie nie postanie? Na szczęście nie mam dwóch decyzji do wyboru.

W każdym razie taki pobyt daje złudzenie młodości. Stały rozruch wewnętrzny i zewnętrzny — wyjazdy, telefony, korespondencja, terminy odczytów, umówione spotkania. Wstaję wcześniej, żeby o 11 być już po pracy, odpowiedzieć na listy, wysłać rachunki z poczty na Amsterdamie i zstąpić w subway na Broadwayu. Nie ma mowy o polegiwaniu, cały dzień nakręcony jak sprężyna, dopiero wieczorem parę nieruchomych godzin z książką i myślami. Jakby odwrotność pierwszego pobytu w USA szesnaście lat temu, gdy przez trzy miesiące obwożono mnie pociągami i samochodami, pokazując mi kraj. Wypłynąłem wtedy „Batorym” z Gdyni. Na pokładzie siedzieli przestra-

szeni wiejscy chłopcy, nowi emigranci. Starsi, w kapeluszach i garniturach z jaskrawymi krawatami, co wracali z odwiedzin w Kraju, śpiewali im na pocieszenie góralskie pieśni. Płynąłem do Ameryki mojego dzieciństwa, miało to być spotkanie z mi-tem o niewinnej ludzkości. Książka, którą w tym czasie pisa-łem, była poszukiwaniem czystych źródeł, próbą znalezienia oparcia w najprostszych symbolach, takich jak świętość kaleki czy ufność psa. Sądziłem, że w Ameryce odnajdę potwierdzenie dawnych wyobrażeń o przygarniającej ziemi i obmyję się z brudnej szarości pod niebem dzielnych pionierów, którzy dwukrotnie przepływali Ocean na ratunek zagrożonej Europy. Liczy-łem też, że odnajdę jakiś ślad po lekkomyślnym bracie mojej matki, który jako młody chłopak został wysłany przez dziadka do Stanów, po czym zjawił się w Polsce przed rokiem 1920 w mundurze US Army z misją wojskową, by wkrótce wrócić do Ameryki, gdzie słuch o nim zaginął. (Dowiedziałem się, że Jan Landau nie żyje już od dawna, podobno umarł w biedzie). To co zobaczyłem było czymś innym, zupełnie niepodobnym do wyobrażeń. Odkryłem Amerykę wielkich bezludnych krajobra-zów i wielkich białoczarnych miast, ale człowiek, ale ludzka sól mojej ziemi obiecaney wydała mi się jednolitą *massa tabu-lettae*, zmechanizowanym rajem drobnomieszczanina wyzwolo-nego z kompleksu niższości. Wróciłem z tej niefortunnej wy-prawy postarzały o rozczarowanie.

Nie może pan się przyzwyczaić do Nowego Jorku? — mówi mi przez telefon profesor Feliks Gross — ale wie pan, nikt się nie może przyzwyczaić! tylko że potem nie może się odzwyczaić!

Pierwszej nocy w Stony Brook tłum ludzi naparł na mnie pchając na skraj urwiska, skąd widać było w dole rozległą łąkę z dwoma wykopanymi grobami ogromnej wielkości. Leżało w nich dwoje pięknych olbrzymów, złotowłosych i ubranych na biało, młoda kobieta i mężczyzna, rozmiarów kilkakrotnie więk-szych niż człowiek. Gdy tłum spychał mnie ku krawędzi urwiska i za sekundę miałem spaść, ktoś przytrzymał mój rękaw, deli-katnie wyciągając mnie z ciżby. To była M. Przyłożyła palec do ust, prosząc abym milczał. Budzę się.

Spałem dziesięć minut. Po obudzeniu próbuję sobie wy-jaśnić sens mojego snu, ale daję za wygraną. Biorę książkę z

nocnego stolika i przez dwie godziny czytam „Czarodzieja z Lublina” („The Magician of Lublin”) Isaaka Bashevisa Singera, który przenosi mnie znowu w strefę snów, ale jakich! Ulica Smocza, ulica Gęsia... Dzika, Nalewki, Gnojna... Główna część akcji dzieje się w Warszawie końca XIX wieku, właśnie na tych ulicach, zamieszkałych wówczas przez Żydów. Pamiętam je sprzed wojny. Czarne, krzykliwe, pełne straganów, o długich przechodnich bramach podobnych do bazarów handlowych, przed którymi wystawały grupki żydowskich tragarzy-atletów z grubymi sznurami przewieszonymi przez ramię. I szyldy, mnóstwo szyldów. Gdzieś wisiał słynny szyld z nazwiskiem: „Sura Ciepfaztyfu”... Po kocich łbach przetaczały się platformy z belami sukna i bawełny sięgającymi do pierwszego piętra, zachrypli woźnice o włochatych piersiach pod rozchełstanymi koszulami poganiali konie. Lecz w przeciwieństwie do nowojorskiego Harlemu, gdzie biały przechodzień nie powinien się zapuszczać, te żydowskie ulice były bezpieczne i człowiek o nieżydowskiej twarzy mógł się po nich spokojnie przechadzać. Nie potrafiłbym dokładnie sobie odtworzyć nowych dzielnic wybudowanych tam po wojnie, unikałem ich. Na ubitych zwałach gruzów wzniesiono bloki mieszkalne. Gdyby udało się odkryć fale dźwiękowe przeszłości i gdyby ożyły głosy ludzkie z lat i miejsc, których już nie ma, jakie wołania zatrząsłyby tymi blokami?

Głosy zamordowanych, usłyszałem je w ciepły majowy wieczór. Dwa tygodnie upłynęły od mojego przyjazdu do Paryża, gdy dał mi znać Krzysztof Pomian, że organizuje się publiczne zebranie dyskusyjne na tematy polsko-żydowskie. Zaproszono mnie do udziału; w sali naprzeciw kościoła Saint-Germain-des-Prés o ósmej wieczór zebrało się około dwustu osób. Za stołem na podwyższeniu zasiadliśmy z redaktorem *Esprit* Paulem Thibaud, Pomianem, Aleksandrem Smolarem oraz dwoma przedstawicielami społeczności żydowskiej we Francji (jednym był członek Izby Deputowanych, drugim młody pisarz). Naprzeciw w rzędach siedzieli ludzie przeważnie w starszym wieku i jakby o znajomych twarzach, chociaż o żadnym z nich nie mógłbym powiedzieć, że kiedykolwiek go widziałem. Twarze Żydów są zawsze znajome z widzenia, przebija w nich jakiś wspólny rys, prawdopodobnie odbicie żydowskich twarzy, które się spotykało przed wojną. Piętnasto, dwudziestominutowe przemówienia następowały jedno po drugim, nie przerywane dyskusją. Dyskusja miała się odbyć w drugiej części zebrania. Przede mną wystąpił Francuz, lewicowy pisarz żydowskiego pochodzenia. Mówił o antysemityzmie w Polsce przedwojennej. Przytaczał fakty. Fak-

ty skądinąd prawdziwe, niejednokrotnie pisałem o nich w „Miejsiacach” i w innych moich książkach. Teraz jednak, w tej dusznej sali, czułem niemal fizycznie jak z owych prawdziwych faktów wyłania się uogólniona nieprawdziwość. Polska prześladowająca Żydów, Polacy — naród żydożerców. W trzecim rządzie stary człowiek o nagiej czaszce i bezrzęsych, zapadniętych oczach przytakiwał z dłonią zwiniętą przy uchu. Gdy przyszło mi z kolei zabrać głos, poczułem zmęczenie nim otworzyłem usta. Rozsupływać splątanie wzajemnych obsesji, odrabiać wieki przesądów, tutaj, w tej nabitej sali... wszelkie racjonalne argumenty byłyby daremne. Wygłosiłem kilkanaście zdań. Powiedziałem, że nie ma i nigdy nie było *jednej* Polski. Podobnie jak nie było *jednej* Francji — była Francja Zoli i Francja Maurrassa. Istnieje Polska nienawidząca i ciemna, Polska ksenofobii i nietolerancji, oraz równocześnie z nią, obok niej — Polska rozumu i światła. Mówiłem o inteligencji polskiej i jej demokratycznych tradycjach. Mówiłem, że Polska jest narodem, który nie zabijał ludzi: to nie Polacy wymordowali Żydów polskich, jakkolwiek Żydzi zostali zgładzeni na ich ziemi. Mówiąc, przez cały czas spodziewałem się protestów czy zwischenrufów ze strony publiczności. Nie. Słuchali. Uświadomiłem sobie, że właśnie tego chcą słuchać i takich słów oczekują, że w gruncie rzeczy chcą, aby okazały się prawdą. Długo nikt mi nie przerywał. Dopiero pod koniec mego przemówienia ten łysy starzec podniósł się z krzesła i wybełkotał coś, czego na razie nie pojąłem. Uciszano go, dalej jednak bełkotał, jękał się, miał przy tym wadę wymowy. I wreszcie zrozumiałem. Krzyczał, że Polacy zdradzili swoich Żydów. — Trahi... ab...abandonné...!

Przewodniczący zwrócił uwagę, że dyskusja odbędzie się po przemówieniach, ale odezwało się parę innych głosów i zamieszanie trwało dłuższą chwilę. Po czym wystąpił kolejny mówca. W sali nie było powietrza, wielu mężczyzn zdjęło marynarki. Dalszych przemówień słuchałem nieuważnie, wciąż mając w uszach tamte głosy — głosy *zdradzonych* ze Smoczej i Pawiej. Zdradzonych? To znaczy, że zdrady doznało poczucie wspólnoty, jakieś stare, wiekowe przywiązanie. I na tę myśl robi się zimno w głowie. Argumenty? Proszę, szukajcie argumentów przeciw bólowi serca.

Nie opłakali ich. Po siedmuset latach życia na wspólnej ziemi Polacy nie uronili łzy nad Żydami zamienionymi w popiół. Ich ocalałym synom i braciom największy ból sprawiło milczenie. Milczenie Polaków po zagładzie. Nie w dniach zagłady, lecz właśnie po zagładzie. Po wojnie. Nie odprawiano

nabożeństw w miasteczkach, nie znoszono kwiatów. Wprowadzano się do mieszkań w pustych żydowskich domach, cmentarze zarastały trawą. Milczał Kościół i naród. Postanowiono zapomnieć — udawać, że Żydów nie było.

Nie miałem odwagi ponownie zażądać głosu. Przypuszczam, że nikt w całej sali nie był zdolny do wypowiedzenia słów, których zabrakło, tych kilku najtrudniejszych i ważnych. Nie miałem odwagi i nie miałem pewności. Może nie opłakano w Polsce zamordowanych Żydów, bo przyszli inni, żywi? ci, którzy przybyli z obcą armią, by aresztować i rządzić? Na cmentarzach zostały szczątki kamiennych tablic, ale już nie duchy żydowskie krążyły w miasteczkach, lecz wieść, że Rosjanie przywieźli nowych Żydów, przebranych, o zmienionych nazwiskach, Żydów w rogatywkach, którzy zdjęli koronę z głowy białego orła i kazali rozlepić na rynkach plakaty z napisem: „AK zapluty karzeł reakcji”. Więc może strach i nienawiść zastąpiły litość?

Jeśli dlatego tylko nie czczono w polskich miasteczkach pamięci Izraela, starszego brata, to na Kremlu ktoś musiał szyderczo uśmiechać się pod wąsem i zwężonymi oczami śledzić z oddalenia prawidłowy rezultat zabiegu.

Kiedy publiczność około północy zaczęła się rozchodzić, kilka osób w rządach jeszcze domagało się głosu. Chudy mężczyzna w rozpiętej koszuli zrywał się wołając, że w jakiejś miejscowości pod Warszawą (w Kobyłce? w Zielonce?) nazajutrz po wkroczeniu Niemców proboszcz wezwał ludzi do podpalenia bożnicy i tłum posłuchał wezwania.

Z tym krzykiem w głowie wyszedłem. Myślę, że w tłumie nie wszyscy posłuchali wezwania. Jestem pewny, że ludzie, którzy nie chcą zabijać i podpalać, znajdują się w każdym tłumie i Bóg jest po ich stronie. Dlaczego jeden człowiek biegnie z tłumem zabijać lub podpalać, a drugi odchodzi w przeciwnym kierunku, dlaczego tak jest, tego nie wiem. Uchroniono nas od wielu dawnych niebezpieczeństw, lecz nie uchroniono nas od niebezpieczeństwa, jakim jesteśmy my sami. Mimo rozwoju myśli i nauki nie wiemy nadal, czym są nasze dusze. O sprawach dla nas najważniejszych nie wiemy nic, lub prawie nic. Przeznaczenie skazujące na życie niewytłumaczone jest — trzeba wyznać — srogo pomyślanym wyrokiem. Jan Kott w jednym ze swych nowych esejów cytuje refleksje Eugène Ionesco na podobny temat. Ionesco uważa za niepojęte, że człowiek taki los przyjął i nie zbuntował się. Pisarz odczuwa to jako rzecz nierozumną i upokarzającą. Mówi: „To jest absurdalne. To jest niepoważne”. Nie mówi tylko w jaki sposób człowiek ma się zbun-

tować przeciw Temu, którego istnienia nie jest pewien. Albo — w którego wierzy. Obydwa przypadki są trudne.

(Wybaczam sobie te naiwne pytania. W końcu wszelkie pytania kierowane do tajemnic bytu są mniej lub bardziej naiwne).

Polacy...Żydzi... Dzisiaj niemal z reguły antysemityzm przedstawia się na Zachodzie jako sprawę między Polakami a Żydami i dyskutuje się o nim — nieraz z powagą naukową — wyłącznie na przykładach Polski. Nadużycie tym bardziej rażące, że w ostatnich latach przemilecza się nie tylko fakty antysemityzmu w Rosji, na Ukrainie, w Austrii, Rumunii czy we Francji, ale jak gdyby inną miarą ocenia się to, co zrobili Niemcy. Niemców czterdzieści lat temu ogarnął paroksyzm ludobójstwa — antysemitami są Polacy. Spod wielokrotnie powtarzanych słów czasem niesposób się wydobyć. Dziennikarze potrafią każdą prawdę zadusić słowami. I wreszcie przychodzi moment, gdy nie ma się już nic do powiedzenia. Rozum poplątali głupcy, na sprawiedliwość jest za późno. Więc może lepiej zostawić w spokoju umarłych.

Przetrwają ślady. Zachowały się fotografie i druki, szczątki grobów. Będzie ubywać ludzi mających osobiste wspomnienia o Żydach polskich. Pozostanie przeszłość. Nie myślę tu o czasie, który minął, mówię o świecie, który przestał istnieć. Takie umarłe światy nie przemijają, wieczność na nich się wspiera. Trzy miliony ludzi żyło w tych miastach razem z Polakami i trzy miliony ludzi zmieniło się w dym. Siedemset lat, a może dłużej. Tutaj odmawiali swoje modlitwy, palili świece, piekli gęsi i ciasta, handlowali, płodzili dzieci i czytali książki. Przez siedemset lat.

Przypuszczam, i chciałbym, aby tak było, że zgłodzony świat polskich Żydów będzie z czasem nabierał cech osobliwych, zagadkowych i kiedyś w przyszłości tajemnica jego istnienia i zagłady rzuci urok na polską wyobraźnię. Jacyś nie narodzeni jeszcze poeci będą pisać wiersze o dawnym życiu tej wygasłej gwiazdy i może nad zetlałą księgą znowu się pochyli ktoś młody, urzeczony.

Tego oczekuję. Nie wiem, czy jest sensowne czegoś oczekiwać, skoro wszystko już się dokonało. A jednak oczekuję właśnie tego.

W nowojorskiej telewizji pokazywano tłumy młodzieży w Teheranie, wyjące w miarowym rytmie, z wystrzelonymi w górę

pięściami, na cześć starca, który błogosławił im z balkonu powolnym gestem zaklinacza. W ciemnych, długich szatach wzywał na żer, unosząc się jak sęp nad placem zapehanym dziesiątkami tysięcy młodych sępów-ludojadów. Ci wiedzą co robić na świecie. Pokazano też dziewczyny spowite w czarne chusty zasłaniające twarz: studentki uniwersytetu w Teheranie. O, bajko z tysiąca i jednej nocy... Struchlałem jednak dopiero na końcu. Zademonstrowano salę rozpraw w czasie procesu — siedmiu czy ośmiu mężczyzn, sfilmowanych na godzinę przed egzekucją. Głowy mieli wystrzyżone w hańbiące dziury i łaty, na twarzach widać było ślady błota i obrzęki po biciu. W ławie podsądnych siedzieli osuwając się, jakby na chwilę przed zemdleniem. Wśród nich dwaj piękni ciemnoocy chłopcy w poszarpanych koszulach, jeden z czołem naznaczonym farbą. Przeszło mi przez myśl: Żydzi... Myliłem się. Byli to homoseksualiści skazani na śmierć przez powieszenie.

Listopad

Szaleńcy działają, wariaci rosną w siłę. Przed miesiącem w Chicago zmarło siedem osób po zażyciu środka przeciwbólowego „Tylenol”. Nieznany sprawca wstrzykiwał do kapsułek cyjanek potasu. „Tylenol” wycofano ze sprzedaży. W parę tygodni później wariaci zajęli się dziećmi. W święto Halloween dzieci w przebraniach i maskach chodzą po domach śpiewając, dorośli zawczasu szykują smakołyki na przyjęcie małych gości. Ni to Zaduszki, ni to Ostatki. W tym roku w ofiarowanych dzieciom ciasteczkach i czekoladkach znaleziono 41 igieł, kawałków szkła, żyłek i gwoździ. Wariaci nie odpoczywają w dni świąteczne.

Co jest uderzające, że prasa i telewizja nie usiłują sugerować opinii publicznej istnienia „spisku”. Gdzie indziej z pewnością wykorzystano by taką okazję, by zwalić winę na masonów, syjonistów czy obcych agentów. Tutaj inaczej. Komunikaty stwierdzają tylko, że śledztwo utknęło na martwym punkcie. Żadnych oskarżeń. Sprawa postawiona otwarcie: jesteśmy bezsilni. To budzi szacunek.

Swoją drogą wariaci, ich ożywiona i pomysłowa działalność jest czymś zastanawiającym. Rok lub pół roku temu pewien wariat zakradł się rano do sypialni królowej angielskiej w pałacu Buckingham, obudził ją i porozmawiał kwadransik. Nie w tym rzecz, iż pałac królewski w Londynie jest dziś gorzej strze-

żony niż przed stu laty. Rzecz w tym, że sto lat temu żaden wariat nie wpadłby na taki pomysł. Idą nowe czasy.

Wtorek. Wczoraj o 11 wieczór z M. do New York Hospital. Ból w klatce piersiowej nie ustawał przez dwie godziny mimo zażytych środków rozkurczowych. Około 10-ej przyjechał dr Jacek Preibisz i po zbadaniu serca wezwał ambulans. W kwadrans później do naszego mieszkania wkroczyło dwóch wysokich, biało ubranych młodych ludzi z noszami i aparaturą. Zastryk dożylny. M. na noszach z podłączonymi kablami. Elektrokardiogram. Ciśnienie 90 na 180. Biali mężczyźni wymieniają swoje nazwiska: Wishniewski, Motyka... Jeden, piękny, z jasnym zarostem, odzywa się: — Jak rodzice nie chcieli, żebym wiedział o czym mówią, to rozmawiali po polsku. — To są *paramedics*, sanitariusze wyszkoleni w udzielaniu pierwszej pomocy lekarskiej. Każdy ich ruch jest precyzyjny, sprawny, nie wykonują zbędnych gestów. Nosze ledwie mieszczą się w windzie. W hallu na dole portier Murzyn na nasz widok nieruchomieje z wrażenia, białka występują mu z oczu. M. ma do nosa przytkniętą rurkę, przezroczystą. Przed domem czeka ambulans z zapalonymi reflektorami. *Paramedics* podsadzają się jednoczesnym ruchem, nosze wchodzą szybko do wnętrza. Jedziemy. Z tyłu za nami dr Preibisz w swoim prywatnym samochodzie. W karetce przez cały czas włączony elektrokardiogram; seledynowy, fosforyzujący zygzak przebiega po małym ekraniku. *Paramedic* Wishniewski mówi półgłosem do mikrofonu przekazując lekarzom w New York Hospital opis ekg. M. pyta: — Czy bardzo źle wyglądam? — Piętnaście minut, brama, dziedziniec z zaparkowanymi karetkami reanimacyjnymi. Zostaję w jaskrawo oświetlonej poczekalni z płaszczem M. na ręku. Ciemnoskóry urzędnik spisuje personalia i wręcza mi niebieski kartonik. Siadam na krzeselku pod ścianą. Na wprost mnie wysoko umieszczony telewizor pokazuje western: jeźdźcy galopujący przez pustynny krajobraz, czerwone skały w głębi. W ciągu niecałej godziny zapadło się coś, co zdążyło już stać się naszym amerykańskim życiem. Gdy M. wynoszono do windy, mieszkanie było w nieładzie, na biurku leżał kawałek skrwawionej waty po zastrzyku. Nie wiem jak długo siedziałem na krzeselku. W pewnej chwili spostrzegłem naszych dwóch białych *paramedics* znowu wtaczających nosze przez wejście od strony parkingu; leżał na nich starszy mężczyzna o sinej twarzy z otwartymi ustami. Chcę wyjść na papierosa, gdy nagle w drzwiach dzielących po-

czekalnie od ambulatorium zjawia się dr Preibisz i mówi spokojnie: — Do domu. — Kto?... — Jak to? Żona. — Przez szybę widzę M. uśmiechniętą, poprawiającą włosy.

Murzyn błyszczący zębami i lampasami stoi przed Butler Hall i pęka z radości: — O'kay! O'kay! Wiedziałem, że zaraz wróciecie! New Hospital to najlepszy szpital na świecie!

Bręzniew umarł. W przegródce z pocztą znalazłem dwa listy. Jeden, wysłany z Warszawy, siedł cztery tygodnie.

„Uciekamy od nicości, która zżera. Jesteśmy zdeklasowani, brzydzy, mówimy o butach i jedzeniu. Czy Tomek może chodzić w Twoich butach, które zostawiłeś w szafie? Z trudem zachowujemy dawny fason, ale ciągle jeszcze się staramy. Dziś niedziela, gdybyście przyszli do nas, zjedlibyście naprawdę pyszne domowe ciasto z orzechami. A ojciec Kolbe został dzisiaj świętym”.

To pisze ktoś kto zawsze umiał trzymać fason. Pyszne domowe ciasto... W liście brzmi rozpacz, znam się na tym. Więc tak się zabija życie. Bo to było życie. Nie bardzo się je lubiło, ale to jednak było życie. Okresami zdawało się nawet barwne i gęste od treści. Pamiętam połowę lat 50-tych, kiedy w całym kraju zahuczało od dyskusji, zaroiło się od klubów i kabaretów politycznych, literackich, a na ulice wyległa zwycięska klasa społeczna — młodzież. Leżałem wtedy z silną grypą i po dziesięciu dniach spędzonych w domu pierwszy raz wyszedłem, a właściwie pojechałem do Hali Gwardii na występ teatru Villara, który akurat przybył z Paryża. W wielkiej hali było pełno młodzieży. Nie mogłem pojąć: co to? Wszyscy inaczej ubrani i uczesani, dziewczyny cienkie w pasie, o małych głowach z końskimi ogonami, chłopcy w wąziutkich czarnych spodniach, jakieś misterne czuby, grzywki, dekolty głęboko wycięte, przydymione okulary, białe falbany halek... Kiedy zdążyli się tak zmienić? Wkrótce okazało się, że mówią i chodzą inaczej niż my, że tańczą inaczej niż my i że mają własne teatrzyki. A jeszcze później dowiedziałem się o istnieniu nocnego klubu „Largactil”, gdzie studenci, dziewczyny, profesorowie filozofii, malarze i cudzoziemcy tworzyli rozdyskutowany, pijący i śpiewający tłumek. O, to było naprawdę życie. Od młodych padał czar, zafascynowani i uwiedzeni etranżerzy pisali o nich w zachodnich gazetach, to było życie ze szwungiem i z pieprzem. Zdawało się, że spłacono już haracz za socjalizm, teraz socjalizm ukaże swoją ludzką twarz, uśmiechniętą twarz młodzieży. Sceny teatralne

błyszczały pełnym repertuarem światowym, teatr TV dawał co tydzień interesujące spektakle, w kinach szły filmy amerykańskie, szwedzkie, włoskie. Przybywało knajp i aut. I paszportów zagranicznych. I neonów. Świetlny napis CENTRODLEW nad placem Zwycięstwa przestał być jedynym neonem Warszawy. Latem studenci jeździli na zarobek do winnic francuskich.

Gdy STS wystawił swój program „Uśmiechnięta twarz młodzieży”, było już chyba po wszystkim.

Nie pamiętam dat. Nie przypominam sobie, odkąd przestałem chodzić z Krakowskiego Przedmieścia przez Nowy Świat do „Czytelnika” na Wiejską. Lubiłem te spacery. Na Osi Królewskiej spotykałem wielu znajomych, bliższych i dalszych, albo nieznajomych, którzy mnie znali. Sprzyjało to poczuciu „bycia u siebie”. Któregoś dnia spostrzegłem, że ulica się zmieniła. Miałem wrażenie, jakbym mijał wciąż tych samych przechodniów, o takim samym bezosobowym wyglądzie. Ani jednej twarzy znajomej, nawet z widzenia. Nie wiem, w którym roku nowa masa społeczna zapanowała w miastach. Przemiany społeczne zazwyczaj dość długo trwają i nie od razu się je dostrzega; uświadomienie przychodzi nagle, w jednym dniu. Właśnie tego dnia, po spacerze przez Nowy Świat na Wiejską, zrozumiałem, że żyję już w innym mieście. Zaczęło się mówić: *chłopo-urzędnicy*. Socjologicznie nazwa może niezbyt ścisła, tu jednak nie idzie o nazwę. To był typ psychofizyczny, wszechobecny na ulicy, w sklepie, w restauracji, w urzędzie, na wyższej uczelni. Mogłem się jeszcze pocieszać argumentem nieuniknionej ceny za przeobrażenie struktury społecznej. Ale nie chodziłem Nowym Światem.

Mimo wszystko — trwało życie. Budowano domki, kupowano Fiaty. W sklepach sprzedawano artykuły w efektownych, szeleszczących opakowaniach, w kinach nadal szły zachodnie filmy. Wyrastały nowoczesne gmachy i hotele, trasy z estakadami przewijały się przez centrum miasta. Twarz młodzieży nie była już beztrwosko uśmiechnięta, ale wciąż jeszcze pozostawało rozumowanie: to nie będzie życie w wolności, ale z tego będzie *rzeczywistość*.

Zrobili wszystko, nie tylko aby ją zrujnować, również wszystko aby ją zakłamać. Pisząc „Nierzeczywistość” coraz rzadziej wychodziłem z domu. Mówię, że nie przypominam sobie dat. Ale pamiętam miejsca. Powiedziałem Tadeuszowi Konwickiemu: — Obejdzie się bez interwencji z zewnątrz. Jak się zacznie walić, sami wpadniemy w ich gardziel. — Staliśmy wtedy niedaleko kamiennej bramy pałacu w Oborach.

Ucieczka od nicości... domowe ciasto z orzechami... Nieraz w ciągu tygodni i miesięcy mój tryb życia w Warszawie sprowadzał się do pisania, lektur i rozmów z przyjaciółmi. Od czasu do czasu lubiłem przejść się po Łazienkach albo w Ogrodzie Saskim. Lubiłem też wstąpić do księgarni na Krakowskim, zapytać o ciekawsze nowości. Można było wypić kawę w „Telimenie” lub wejść do sklepu obok i kupić parę butów. Były także dni, kiedy miasto wydawało się bardzo piękne. To jednak było życie, które dawało nadzieję, jak gdyby fizyczną, taką jaką daje obecność ludzi, rzeczy i światła. Nadzieję dostępną dla wszystkich.

Drugi list nie był z Warszawy. Przyjaciół, jeden z najbliższych, młodszy ode mnie o dwadzieścia lat, zawiadamiał nas o śmierci swojej żony: „Była mężna, jak zawsze, i do końca zachowała świadomość. Ale na dzień przed śmiercią udało mi się ją rozśmieszyć i z tego jestem dosyć dumny”.

Wczoraj znalazłem rozrzucone na łóżku kartki w okropnym nieładzie, od góry do dołu zabazgrane ołówkiem. M. chodzi na kursy języka angielskiego. Stawia ogromne litery: „*Much* — dużo. *Chair* — krzesło. *Handsome* — ładny. *Ado* — hałas”. *Ado*?... nie wiem gdzie znalazła to *ado*, chyba rzadko używane. Przekreśliłem i napisałem: *noise*. Później nie było o tym mowy, pewnie w ogóle nie spostrzegła. Wieczorem zjeżdżałem windą z mieszkającym obok nas Tajlandczykiem, naukowcem, i rozmawiając o nocnych hałasach przed domem, użyłem tego *ado*. Tajlandczyk zerknął na mnie z zainteresowaniem i kiedy wysiadaliśmy z windy, powiedział: — Ma pan bogaty zasób angielskich słów.

Dziś u lekarza na Amsterdam Avenue. Niecały rok temu, po przyjeździe do Nowego Jorku, kiedy wypełniałem kwestionariusz w zatłoczonym Immigration Board, długopis mi się skończył. Stojąca za mną młoda Murzynka wyjęła z torebki oksydowanego parkera i położyła go obok mego kwestionariusza. Gdy wywołano moje nazwisko, w pośpiechu zapomniałem zwrócić jej długopis. Po załatwieniu formalności odszedłem od okienka i już nie mogłem jej odszukać, wyszła. Mam do dzisiaj ten ładny ozdobny długopis, z którego nie korzystam, bo dawno się zużył. Ale przed tygodniem w Stony Brook ofiarował mi Roman Karst identycznego srebrnego parkera i dzisiaj, kiedy

czekałem na przyjęcie u dr Moleya, który miał zbadać mój kręgosłup, zgrabna Murzynka, obwieszona koleczykami i bransoletkami, zwróciła się do mnie, czy nie mógłbym pożyczyć jej na chwilę długopisu. Po badaniu wychodzę z gabinetu, rozglądam się: nie ma Murzynki. Pewnie się gdzieś śpieszyła i wsiadła do subwayu z moim oksydowanym parkerem.

Otóż właśnie: czy moim? może po prostu oddałem go Murzynce? W takich sprawach nigdy nie ma pewności. Deseń życia układa się często w zagadkowe wzory, a nie znamy jego zasady. Mówimy: przypadek. Na pewno? A jeśli działają jakieś prawa i związki? Skąd pewność, że w zdarzeniu z długopisem nie zawiera się głębsza i ogólniejsza prawda? Wystąpiłem w podwójnej roli. Raz zabrałem komuś cenny przedmiot, drugi raz komuś go podarowałem. Być może pierwsza Murzynka wzięła mnie za sprytnego wyzyskiwacza, a druga za człowieka z hojnym gestem. W stosunku do różnych osób nieraz postępuje się odmiennie: jednym się daje, drugim się zabiera. Można pozostać w czyjejś pamięci zimnym samolubem, a w czyjejś — przyjaciелеm ludzi. Tylko... co dalej? Czy to się nawzajem kasuje, wyrównuje? Czy też przechodzimy w zaświaty jako kilka oddzielnych, sprzecznych ze sobą bytów? Ba, oto są pytania.

Byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział, że jesteśmy poddani formule „wina-kara” albo „grzech-pokuta”. Nie zwróciłem parkera jednej Murzynce — po roku muszę go oddać drugiej. Gdyby los tak funkcjonował, o ile wszystko byłoby prostsze. Ale jeżeli wierzę w powyższą formułę losu, to znaczy że jestem poddany jej działaniu.

Niedziela. Siedzi naprzeciw mnie trzydziestoletni mężczyzna w swetrze, naukowiec z Polski. Rozmawiamy o Kraju, o Wałęsie i generale w czarnych okularach. — Wie pan, że on jest ze szlachty? Herbu Słepowron. Dziwne, prawda? — Mówi powoli, ściszo-nym głosem, w chwilach namysłu skubie ciemną bródkę. Mówi: — Rów jest bardzo głęboko wykopany, takiej nienawiści między władzą a społeczeństwem nie było chyba nigdy. Młodzież żyje myślą o zemście i nawet gdyby coś się zmieniło na lepsze, nie obejdzie się bez odwetu. Po tym co z nami zrobili, musi zapaść wyrok. Takiego sponiewierania nie wybacza się ani nie zapomina, to jest niemożliwe psychologicznie. Ale niech pan nie myśli, że po naszej stronie rowu panuje *caritas*. Nie... tam są także piekła. Wzajemne podejrzenia, insynuacje. Zawisać. Trzeba uważać na słowa: co się mówi, gdzie i do kogo. I lepiej nie nosić zagranicz-

nych butów. Kolega mi powiedział: „czego tu jeszcze siedzisz, dostałeś stypendium, to spierdalaj, nie zajmuj miejsca innym”. Ten sam kolega nazwał policyjnym kapusiem znajomego, który gdzieś tam twierdził, że kluczem do wyjścia z impasu jest ekonomiczna reforma. Nieostrożnie. Wyrwać się z takim obiektywizującym rozumowaniem to już oznacza współpracę, od razu jest się zakwalifikowanym jako sprzedawczyk, względnie gnida. Ale też są i tacy, co w jedną noc „przechrzcili się na realizm”. Wszyscy patrzą sobie na usta, na ręce. Na buty także. Nie ma oddechu w tym powietrzu. Ja dlatego między innymi wyjechałem...

Namyśla się, zmienia temat. Pyta, czy pamiętam, że po ogłoszeniu sankcji amerykańskich rzecznik prasowy rządu, ten z dużymi uszami, oświadczył, iż sankcje uderzą w społeczeństwo polskie, dla rządu i tak wystarczy żywności. Jechał tego dnia taksówką na Mokotów. Kierowca w czasie jazdy przyglądał mu się w lusterku. Na całej trasie raz tylko się odezwał: — Uszaty powiedział, że ślepak się przeżywi. — Jedno zdanie.

Uśmiecha się, skubie bródkę. Proszę, żeby powtórzył. Zapisuję na kartce to zdanie i przychodzi mi na myśl, że pisarzom rzadko udaje się osiągnąć taką lapidarność. Ale notując spostrzegam, że w tym zdaniu tylko jedno słowo dałoby się bez straty przełożyć na angielski czy francuski, inne są nieprzetłumaczalne. To wiele mówi o losie polskiej literatury na rynkach zachodnich. Jest nieprzejrzysta i jakby upośledzona. Zakodowana już nie myślowo, już nie w warstwie treści, ale od samych zrostów słownych. „Ślepak się przeżywi”... Nie miałem racji pisząc w „Nierzeczywistości”, że dowcip w Polsce jest pochodzenia inteligenckiego, że kawały wymyśla się w garderobach aktorskich, w kuluarach redakcyjnych. Nie tylko. Powiedzenia o „uszatym i ślepaku” nie wymyślił inteligent, to jest rodzaj pieśni gminnej przemienionej w anegdotę, w uliczny epigram. Zamiast kos ostrzy się języki.

„Ach, łotry, szelmy, ach, łajdaki, żeby was piorun trząś!” Proszę, przetłumaczmy. Na angielski, na francuski, ale tak, żeby Francuz czy Amerykanin poczuł taki sam dreszcz w plecach, jaki ja czuję za każdym razem. Mam w pamięci chwilę, kiedy te słowa padły w roku 1968 ze sceny warszawskiej, i nie zapomnę, co się wtedy stało z salą. Wymienić utwór teatralny w klasycznym repertuarze światowym, który podobnie by wstrząsał po półtora wieku paryską albo londyńską publicznością nie byłoby łatwe. „Zbójcy”?... „Hernani”?... Żarty. Słyszę głosy: bo to są rymy polskie, utrafiające po latach w kontekst polityczny, w niecenzuralną analogię, przez co budzą tak silne emocje.

Znam wielu ludzi inteligentnych, którzy twierdzą, że nasze ciche misteria wokół arcydzieł polskiej literatury i żale nad ich niedocenieniem w świecie są bezzasadne, w gruncie rzeczy bowiem jest to literatura o cechach zgoła nie uniwersalnych, wręcz peryferyjnych, literatura z obsesją podbitej prowincji. Na co powiadam, że owszem, a jakże, literatura z obsesją — ale właśnie ta obsesja jest uniwersalna, przeżycia i sny podbitego narodu są uniwersalne, niewola jest kondycją uniwersalną, równie wszechludzką jak wolność. I dalej o „Wielkiej Improwizacji” i „Beniowskim”, o „Weselu”, „Popiołach” i... „Niemytych duszach”. Oraz o tym, że „Echa leśne” zrozumiałby lepiej algierski *fellagh*, wyrosły w latach partyzanckiej wojny z kolonami, aniżeli zachodni intelektualista wychodowany na Beckettie czy Joyce’ie.

Duchowość rosyjską scala poddanie się państwu. Polska duchowość jest pęknięta. Wobec najdrastyczniejszego i najbrutalniejszego ujawnienia się niesprawiedliwości odczuwa jednocześnie pogardę i kompromitację, nienawiść i bezsilność. Polakom od dwustu lat zdarza się rzecz niemożliwa. Mają pamięć wielkiego republikańskiego narodu i poczucie naturalnych związków ze współczesnym światem cywilizowanym, zarazem będąc w położeniu niewolników grzmoconych pałką przez dozorcę. To nie jest przetłumaczalne na języki obce.

Kilkanaście lat temu pisałem w „Dżokerze” o ślepotcie i głuchocie Zachodu na zjawisko niewoli narodowej, której Zachód od dawna już nie zna: stała się tematem dla oper, librettami „Egmonta” lub „Wilhelma Tella”. Literatura prawdziwie współczesna — mówi głos Zachodu — skupia dziś uwagę na niewoli jednostki, z jej międzyludzkimi uwarunkowaniami, z metafizycznym zamknięciem w bycie i śmierci. Naród w niewoli? To jest cierpienie krajów zacofanych.

A gdzie pewność, że cierpienia krajów zacofanych nie wchodzi do kulturalnego *universum*, a jaki kraj ma gwarancję, że za dziesięć lat nie spadnie do rzędu zacofanych, i co to w ogóle znaczy w kulturze *zacofanie*? W kulturze może być tylko inność, odmienność.

Okeydentaliści głuchną na tematy niewoli narodowej, bo to jest dzisiaj niewola rosyjska, a okeydentaliści Rosji się boją. Pięciu wystraszonych głuchych w Oslo odmówiło Wałęsie poko-

jowej nagrody Nobla i przyznało ją dwojgu wystużonym profesjonalistom. Wałęsę zobaczyłem wczoraj w telewizji otyłego, jakby postarzałego o dziesięć lat i bez znaczka „Solidarności” na piersi. Ten człowiek przez niemal rok w osamotnieniu stawiał opór prawu wojennemu i doprawdy nie wiem, kto idei pokoju ofiarował więcej niż on. Teraz, po uwolnieniu, Wałęsa będzie musiał stoczyć swoją trzecią walkę, może z sobą samym — walkę, która rozstrzygnie o jego miejscu w historii. Arcybiskup Paryża Jean-Marie Lustiger porównał go do Joanny d’Arc. Elektromonter z gdańskiej stoczni, któremu Matka Boska kazała objąć przywództwo nad polskim ludem, wydaje się sylwetką nieledwie fantastyczną w epoce rakiet i laserów. Bo też jest postacią z fantastycznego teatru polskich dziejów. Ma już bogatą ikonografię. Ze swymi długimi wąsami i różańcem na piersi, dzierżąc w jednym ręku krucyfiks, a w drugim olbrzymi długopis z umieszczoną w nim statuettą Papieża — mógłby być figurą z ludowych obrzędów pasyjnych. „To człowiek wiary i modlitwy — powiedział o Wałęsie arcybiskup Paryża — obdarzony mocą mistyka, a zarazem rozumem realisty. Cechuje go siła słabych i mądrość prostych, większe od potęgi silnych i rozumu mędrców”.

Takim Wałęsa pozostanie w obrazie ubiegłych lat — bez względu na to, co z nim teraz zrobią i dokąd zaprowadzi go Kościół.

Po śmierci Katarzyny uwolnili z więzienia Kościuszkę, po śmierci Stalina wypuścili Gomułkę, po śmierci Breżniewa — Wałęsę. Kto następny? Kandydatów umieszczono już w celach.

Nowojorski klimat atakuje. Od tygodnia piszę leżąc, unieruchomiony zapaleniem nerwu kulszowego. M. podaje mi lekarstwa i mleko, znosi gazety, przyjmuje telefony, prześciela łóżko. Tłumaczę się: — Jestem zwierzę z innego habitatu, nigdy nie mieszkalem w jednym mieście z oceanem. — Z ledwością zmieniam pozycję na półleżącą, przy najmniejszym ruchu od biodra promieniuje ostry ból. Nieogolony, zbolały, niedomyty, piszę jednak i równocześnie zastanawiam się, dlaczego piszę w tak przykrych warunkach, dlaczego w ogóle piszę i czy na to pytanie istnieje odpowiedź. Naturalnie, stawiano mi je często w rozmaitych wywiadach dla prasy albo radia. Wykręcałem się zwykle jakimś żartem. Nie zawsze chce się mówić poważnie o spra-

wach poważnych; pewien znany autor, który na pytanie, dlaczego pisze, krzyknął: „Bo ja się boję śmierci!” — należy pod tym względem do wyjątków.

W jednym ze starych numerów *New York Times Magazine*, które przyniosła mi M., trafiam na wywiad z amerykańską znakomitością, pisarzem doprawdy wybitnym, autorem „Herzoga”: Saulem Bellow. Na pytanie „dlaczego pan pisze?” Bellow odpowiedział historyjką o tenorze zaproszonym na występ do La Scali. Po wysłuchaniu arii sala zatrzęsa się od braw i okrzyków: „bis! bis! *ancora!*” Za drugim razem to samo: oklaski i wołania o bis. Rzecz powtarza się za trzecim razem. Gdy powtórzyła się po raz piąty, zdziwiony tenor pyta: — Jak długo mam śpiewać tę arię? Wówczas rozległ się głos z galerii: — Tak długo, dopóki jej pan dobrze nie zaśpiewa!

Śmiałem się pół dnia. Nie jest w najlepszym guście opowiadać cudze historyjki, ale historyjkę o tenorze musiałem zacytować, bo w jej komizmie brzmi przypowieść, która zasługuje na to, aby ją sobie przywłaszczyć.

Tu przypomina mi się pewna szanowna pani, która w roku 1968 czy 69 stwierdziła w *Kulturze* (paryskiej), że „Brandys się wypisał”. W pierwszej chwili zdumiałem się, że użyto takich słów, aby ocenić krytycznie moją książkę. Ale zaraz ogarnął mnie niepokój, czy w tych słowach nie kryje się czyjaś brutalna racja. Może naprawdę się wypisałem, tylko nie wiem o tym, inni połapali się wcześniej? I pewnie aby sobie udowodnić, że tak nie jest, zacząłem pisać „Wariacje pocztowe”. Poniekąd odwrotnie niż w historyjce Bellowa; śpiewak, do którego wołają: „Straciłeś głos!” — śpiewa dalej, żeby się przekonać czy stać go na kolejne solo. Publiczność krzyczy: „basta!”, na co on: „zobaczymy, spróbuję jeszcze raz... *ancora!*” Więc może powinienem być wdzięczny tej pani o żelaznej pięści.

Prawdopodobnie również z takich pobudek napisałem później „Nierzeczywistość”, „Rondo” i „Miesiące”. I kto wie, czy w ogóle moje książki nie rodziły się z niepewności: co dalej? czyżby już po wszystkim? a jednak może jeszcze...? *Ancora, ancora.*

W małżeństwie inne rzeczy budzą irytację o kobiety, inne u mężczyzny. Kobiętę najczęściej irytują drobiazgi (M. wyrzuca mi, że piję za dużo płynów). Mężczyznom chodzi o znacznie ważniejsze sprawy. Obarczają żony odpowiedzialnością na przykład

za to, że w wojnie japońsko-rosyjskiej zginęło wielu Polaków wcielonych do armii carskiej.

W liście od Ewy R. wiadomość o śmierci pani Helenki. Zmarła latem, na wsi u rodziny. Od roku chorowała poważnie na serce, M. jeździła do niej do szpitala. Po naszym wyjeździe pani Helenka zamieszkała u nas, na Nowomiejskiej. Opiekowały się nią nasze późniejsze gosposie i sprzątaczk, z którymi się przyjaźniła. Pierwszy list, jaki otrzymaliśmy z Polski po 13 grudnia, kończył się słowami: „Kłaniają się i pozdrawiają serdecznie — pani Helenka, pani Zosia, pani Wanda, pani Józia”.

Pani Helena Nawrocka pracowała u nas dwadzieścia dwa lata. Była wierzącą chrześcijanką, praktykującą religijnie, a przy tym rozumiała inne ludzkie wiary. Przed wojną służyła w domach pobożnie katolickich i bezwyznaniowo żydowskich, ludzi mierzyła według zasad przyzwoitości i umiaru — nie osądzała ich inaczej. Była mądrym człowiekiem. Gdy zmieniał się ustroje i reżimy, ona, jakby tego nie zauważając, żyła w swoich rzetelnych i skromnych przeświadczeniach. Będąc z natury mało mówna, rzadko wyrokowała o ludzkiej moralności. Kiedy na parę tygodni przed naszym wyjazdem odwiedziliśmy ją w jej pokoiku na Ochocie, powiedziała nam, że sąsiaduje przez ścianę z meliną pijacką, gdzie matka, stara prostytutka, stręczy do nierządu córkę. Pani Helenka powtórzyła nam, co przez tę ścianę usłyszała: „Daj mu, daj mu! Widzisz, że chłop potrzebuje!”. Mówiąc to patrzyła na nas bystro i z zafrasowaniem: — Powiem państwu: wielkie zmartwienie z tymi ludźmi.

Byliśmy do siebie przywiązani. Lubiła nas oboje, chociaż przypuszczam, że każde na swój sposób. Gdy wróciliśmy kiedyś z paromiesięcznej podróży, czekała na nas z kolacją i przyglądając się, jak pijemy herbatę, oznajmiła z pełnym treści naciśkiem: — O pani to dużo myślałam. A pan mi się śnił. — Nie wątpię, że dobrze nas zna i bacznie obserwuje nasze życie, które okresami musiało jej się wydawać niezrównoważone. Myślę, że zwłaszcza na początku niepokoiły ją, a może nawet przerażały, odgłosy naszych rozmów i sprzeczek i namiętne okrzyki w czasie porannych dyskusji. Pani Helence w ciągu tych lat głośniejszy okrzyk wyrwał się raz tylko. Po wspólnej z nami kolacji wigilijnej odwoziłem ją, jak zwykle, na dworzec — święta Bożego Narodzenia spędzała na wsi u brata. Byliśmy już na Świętokrzyskiej, gdy nagle zza moich pleców rozległ się cienki, zdenerwowany głos: — Niech pan zawraca! Zostawiłam

biżuterię na blasze! — Biżuteria składała się z kolczyków, dwóch pierścionków, turkusowej broszki oraz... Tak, wybierając się na wieś do rodziny pani Helenka zawsze miała obrączkę na palcu, mimo iż była panną. Niemożliwe, aby płynęło to z chęci wprowadzenia kogokolwiek w błąd. W obyczajach wiejskich obrączka stanowi o należnym miejscu w hierarchii doświadczeń życiowych, jest symbolicznym znakiem, nakazującym szacunek. Nakładając ją przed wyjazdem na wieś, pani Helenka wyznaczała swoje prawa — prawa mądrej starej kobiety, świadomej wszelkich tajemnic poznanych przez żony i matki. W rodzinie była poważana. Co jakiś czas telefonowały do niej bratanice i siostrzeńcy. Wtedy ujmowała delikatnie słuchawkę, zasłaniając ręką drugie ucho: — Czy to Antoś? Dziękuję Antosiowi. U mnie jakoś tak.

Gdy usiłowano pozbać ją kwaterek mieszkania na ulicy Węgierskiej, zeznawałem w sądzie. Moje wystąpienie rozstrzygnęło sprawę na jej korzyść i pozostanie dla mnie jedną z rzeczy, którymi się szczycę. Pani Helenka siedziała tuż przed stołem sędziowskim, w fokowej bermudy, ofiarowanej jej przez M., i z czarną lakierowaną torebką na kolanach; odradziłem jej wzięcia biżuterii, przysłała tylko z obrączką na palcu. Słuchając moich zeznań, powoli czerwieniała. Była wychylona sztywno do przodu, z oczami nieco w słup i półotwartymi ustami. Od czasu do czasu jej wzrok prześlizgiwał się ukradkiem ku M. i wtedy przez sekundę pojawiał się w nim wyraz przytomnej niewinności. Najwyraźniej postanowiła udawać przed sądem osobę przygłupią. Tak zachowywały się nieraz w krępujących sytuacjach sędziwe damy ze sfer arystokratycznych.

Od lat było w zwyczaju, że okresy naszych pobytów za granicą pani Helenka spędzała w mieszkaniu na Nowomiejskiej. Lubiła oglądać telewizję, zwłaszcza filmy sowieckie, w których ucziwy człowiek zawsze na końcu triumfuje. Odkładała nadchodzącą pocztę i opłacone rachunki; mieszkanie zastawaliśmy po powrocie lśniące od czystości. Często odwiedzał ją nasz dozorca, pan Pawlak, który darzył panią Helenkę życzliwym respektem. Będąc nieraz daleko, czułem się spokojny, że w domu nie stanie się nic złego.

Tym razem po wyjeździe pani Helenki na wieś mieszkanie zostało puste. Nie odzyskała sił, brat zabrał ją do siebie. Data nie była mi znana, nastąpiło to pewnie wczesną wiosną. Ale zanim przysłała wiadomość o wyjeździe pani Helenki, od jakiegoś czasu zacząłem ze wzmożoną intensywnością myśleć o naszych dwóch pokojach, widzieć je napełnione ciszą i mrokiem i jakby

oczekujące na nasz powrót. Miałem uczucie, że dzieje się coś niedobrego. Meble, sprzęty, książki występowały ku mnie w pytającym milczeniu, z półek i szaf płynął smętny cień, malowana sójka o rozpostartych skrzydłach, na których M. wieszała swoje medaliony i korale, patrzyła niespokojnie znad tapczanu płaskimi, niebiesko-żółtymi oczami. Byłem wówczas w Nowym Jorku. W warszawskim mieszkaniu spędziliśmy dwadzieścia pięć lat życia. Zostały w nim szuflady pełne fotografii i listów, książki czytane przez lata. Budziłem się nocą w obcym pokoju z myślą o tym małym znajomym świecie, któremu odjęto nasze istnienie. W nocy na Nowomiejskiej za oknem pali się latarnia, jej blask pada na ściany. Widziałem srebrne monety połyskujące na komodzie i jasnobrązową szafę z kolumienkami, przenikniętą wewnątrz zapachem sukienek M. Słyszałem cichy trzask rozsyhających się krzesel, które od lat lepiłem klejem, szумы w rurach i bulgot wody w starych rdzewiejących kaloryferach. Łączyły się we wspólny szmer, podobny do szepeącego wezwania, i był w tym wyraz nieomal ludzkiej samotności. Przychodziło mi na myśl: jeżeli tam nas nie ma, to znaczy, że nigdzie nas nie ma. Zdawało mi się, że powinniśmy jak najprędzej wracać.

Dopiero we wrześniu do naszego mieszkania wprowadziło się młode małżeństwo z dzieckiem, krewni bliskich przyjaciół. Czyjeś głosy, śmiech, obecność... czyjeś życie wypełni tę przestrzeń. Meble i sprzęty wymagają nieustannego obcowania z ludźmi, to są prawie zwierzęta domowe, które nie potrafią żyć same. Od września czuję **większy spokój**.

Coraz więcej spokoju. Dziwny jest ten spokój: zmęczenia a zarazem utraty ciężkości, oddalania się i równoczesnego zbliżania do światła. Tego nie przewidywałem. Ale po drodze ludzie ubywają. Rzeczy są mniej potrzebne. Zostawiliśmy w Warszawie niemal wszystko, wzięliśmy tylko ze sobą trochę cieplejszych ubrań na zimę. Okazuje się, że można bez wielu rzeczy dość łatwo się obejść, przykra natomiast jest myśl, że one zostały przez nas porzucone i czekają. Nie mam pewności, co komu jest bardziej potrzebne — rzeczy ludziom, czy odwrotnie.

A jednak przed moją chorobą kupiliśmy sobie w magazynie „Alexander's” gustowne nakrycia głowy. M. w dziale damskim wybrała miękki tweedowy kapelusz z rondkiem, ja w męskim beżową czapkę w kratę. W domu po przymierzeniu doszliśmy do wniosku, że M. wygląda ładniej w czapce, a mnie bardziej do twarzy w kapeluszu. I teraz M. chodzi po sprawunki w zawa-dackim kaszkiecie z daszkiem, gdy ja czekam na nią przed

sklepem w przyciasnym kapelusiku z działu damskiego firmy „Alexander's”.

Grudzień

Nadal bardzo pogodnie. Suche, ciepłe powietrze, jak w Polsce we wrześniu. Piszę po przerwie, były złe dni.

Gaję Kuroniową, żonę Jacka, pochowano w trumnie okrytej szarfą z napisem „Solidarność”. Z obozu dla internowanych kobiet w Gołdapi wyszła z chorobą płuc. Zmarła w łódzkim szpitalu, gdzie opiekował się nią dr Edelman, jedyny ocalały dowódca powstania w getcie. Jacka Kuronia przewieziono do umierającej z Warszawy, z więzienia. Spędził z nią ostatnie godziny. Zezwolono mu na udział w pogrzebie i widziałem go stojącego u trumny wśród płaczących i śpiewających ludzi. W czterech kanałach amerykańskiej TV nadano zdjęcia z kościoła i cmentarza. Jacek, wychudły, z obnażoną głową i gołą szyją, miał na sobie tę samą wiatrówkę, w której przyjeżdżał na Nowomiejską i do Obór. Nie znałem bliżej jego żony, spotykaliśmy się przelotnie, ostatnim razem bodaj na Starym Mieście jesienią, gdy z uśmiechem skinęła mi głową prowadząc na smyczy jamnika podobnego do łasiczki. Przyjaźnili się z nią Marianowie, Janka i Wiktor Woroszyłscy, i od nich często słyszałem o żonie Jacka: o Gaji. Latem 1977 u Woroszyłskich na Żoliborzu odbyło się przyjęcie w 50-lecie urodzin Wiktora. Do mieszkania napłynął tłum gości. Przyszli *wszyscy*. Nie było tylko KOR-owców, których w tym czasie uwięziono. Kiedy dzisiaj przypominam sobie owych gości urodzinowych, nazwisko po nazwisku, układa mi się lista internowanych w pięć lat później. Na dole wokół domu czuwali tajniacy i gdy rozpadał się deszcz, ktoś rzucił pomysł, czy by ich nie zaprosić na górę, niech się rozgrzeją i przeschną. Obok mnie parę osób rozmawiało o aresztowanych: — Adaś podobno godzinami czyta Prousta. A Jacek...? — Jacek — oznajmiła szczupła ładna kobieta — no, Jacek nareszcie może się odespać, przecież zasypiał na stojąco! — To była Gaja Kuroniowa. Widziałem ją wtedy po raz pierwszy i pamiętam chwilę zaskoczenia: żona Kuronia? Tę śliczną, delikatną panią trudno mi było dopasować do ciężkiej siły Jacka, do jego wagi. Mówiłem o nim „schrypnięty buldożer” i na myśl mi nie przyszło, że w ogóle ma żonę. Z czasem się dowiedziałem, że byli zakochanym w sobie małżeństwem.

W przesyłce, którą wczoraj otrzymałem, nadawca załączył

kopię swego listu wysłanego do przyjaciela i przeznaczonego również dla mnie. Jest w nim opis śmierci Gaji Kuroniowej.

„Umarła 23 listopada nad ranem. To nie był rak. W akcie zgonu jest *włókniste rozpadowe zapalenie płuc*, nienależycie swego czasu wyleczone. Miała 30% płuc, astmę, dusiła się. Była do końca pogodna i przytomna. Jacek został dowieziony do niej na dzień przez Jej śmiercią, do Łodzi (odwieziono ją do szpitala dwa dni wcześniej, gdy nastąpiło pogorszenie, przedtem leżała u dr. Edelmana w jego mieszkaniu). Jacek widział Ją parę godzin. Jak mówi, do końca 'grali swoje role' i mówili o jej wyzdrowieniu. Gajka była pod namiotem tlenowym. Wieczorem Jacka zawieziono na Komendę. Gajka była przytomna, żartowała i dowcipkowała, czy pielęgniarka stojąca w otwartym oknie zaziębi się, czy nie. Umarła we śnie. Jak mówi dr Edelman, była to najłagodniejsza śmierć, jaka istnieje w tej chorobie (mogła się udusić). Rano Jacek miał być do Niej ponownie dowieziony. Nie spał, zdrzemnął się nad ranem. Obudzono go i zaprowadzono do dyżurki. Zobaczył dwóch oficerów i trzy szklanki herbaty. Mówi, że wtedy zrozumiał, co się stało. Oficerowie zapytali, czy chce zobaczyć ciało, czy zaraz wracać do Warszawy”.

„...wyszła za Jacka bodaj jak miała 18, a jak go wzięli pierwszy raz — na trzy lata — została sama z 4-letnim Maćkiem (on jest chyba z 60-go). Jak było potem, wiecie już sami. Co do mnie, nie umiem sobie wyobrazić naszego warszawskiego świata bez Niej, i w ogóle świata. To jest jednak wojna i spustoszenia takie jak na wojnie. Ale nie umiem, nie potrafię zrozumieć, dlaczego takie właśnie muszą być ofiary. I myślę, że żadna śmierć nie mogła tak poruszyć, jak Jej właśnie, i że to zmusza do myślenia bardzo poważnego — o przyszłości”.

Tekst amerykańskiego komentatora sprawnie podążał za obrazami, tłumacząc z niezwykłą biegłością, kim była zmarła, czym się odznaczył jej mąż i dlaczego na pogrzeb nie przyjechał Wałęsa, którego nazwisko brzmiało w jednej z odśpiewanych pieśni. Pokazano Jacka Kuronia schylającego głowę przed trumną w zdławionym spazmie bólu (kamera na twarz), Kuronia u grobu żony, jak przygarnia do siebie kogoś młodziutkiego i zapłakanego, a na końcu Kuronia w chwili gdy wsiada do samochodu żegnając przyjaciół krótkim gestem splecionych rąk. Potem cięcie: pustawy Ogród Saski, matki z wózkami, starzy ludzie w ciepłych okryciach, karmiący łabędzie okruchami bułki. „Polacy — wyjaśnił komentarz — są już zmęczeni i nie chcą bezużytecznej walki. Przywództwo podziemnej *Solidar-*

ności odwołało zapowiadane demonstracje. NO STRIKE IN POLAND". W oczach spikera pojawił się wyraz dobrodusznego zadowolenia.

Życie trwa w dwóch rzeczywistościach naraz, istnieję tu niby w wąskiej smudze między nimi. Ma to w sobie coś niematerialnego i daje poczucie niezupełnej prawdy; taki żywot może pędzą duchy błakające się między światami. W owym bycie cienkim i niepewnym ból fizyczny jest najrealniejszym konkretem. Chora noga, świdrujący nerw w biodrze, lekarstwa i przegrzane łóżko stworzyły mi wreszcie solidną egzystencję, rodzaj gniazda. To zrozumiałe, choruje się w czterech ścianach, w małym, ale wymiernym świecie. Nie wychodziłem z domu. Choroba ograniczała moje ruchy: łóżko-wanna, łóżko-biurko. Żyłem w rutynie bólu, na krótkich i sprawdzonych odległościach. Czasami przypominały mi się rekonwalescencje po warszawskich grypach. Zwolnienie tempa, nie naciera, nie goni, rozesłana pościel, dreptanie, kusztowanie... Cisza. Prowincja. Ból w nodze stał się moim zaściankiem, schronieniem przed obcością.

Na ostatni dzień listopada przypadają urodziny M., żeby więc o nich nie zapomnieć, od tygodnia miałem na biurku kartkę z datą opatrzoną wykrzyknikiem. I zapomniałem. We wtorek rano wstaję, idę pod prysznic z parasolem, którego używam zamiast laski, i po dziesięciu minutach wracam w płaszczu kąpielowym. Przez ten czas M. się obudziła. Pytam, jak spała. Uśmiecha się, nie patrzy na mnie. Mówię o gąbce, którą upuściłem i nie mogłem podnieść. Jest ciepło, przez zasłony przecieka miękkie światło. Zastanawiam się, jak długo może trwać indiańskie lato, nieprawdopodobne — mówię — przecież to już grudzień... M. wstała. Widzę ją teraz odwróconą plecami, unosi ręce ku włosom i dopiero w tym wolnym ruchu zarysowuje się przypomnienie. Stoimy objęci przy oknie, potem siadamy na łóżku. Ostatni dzień listopada, słońce błyszczy w jej włosach i na pierścionku z kameą. Gdy na rogu Foksal i Nowego Świata złożyłem jej pierwsze urodzinowe życzenia, był zimny, wilgotny dzień i mieliśmy razem niewiele ponad trzydzieści lat. Teraz mamy z górą sto trzydzieści, pokój jest pełen słońca, daleko odpłynęliśmy, sto lat minęło od tamtego dnia i nie na miejscu byłyby życzenia, prócz jednego, o którym oboje milczymy, bo możliwość, że natura nie zechce go spełnić, jest bardziej przerażająca niż myśl o rozstaniu z sobą samym.

O 1-ej jadę do Press Center na 50 Ulicę, aby razem z Jaku-

hem Karpińskim udzielić wywiadu telewizyjnego dla Wenezueli. W autobusie usiadłem między dwiema Murzynkami po tężnej tuszy, o twarzach dobrych nianiek. Posunęły się trochę, zrobiły mi miejsce, siedzę między nimi wygodnie, oparty na lasce, którą mi pożyczył pan Falencki. Murzynki są duże, ciepłe, mają w spojrzeniu senną bolesność. Jadę około godziny, bo na Piątej Alei są już zatory. W Press Center zastaję ekipę telewizyjną z kablami, reflektorami i kamerą. Wenezuelczycy ustawiają światła. W pięć minut po mnie przyjeżdża Jakub Karpiński. Brunet z wąsikiem umieszcza się między nami. Najpierw dziesięć minut ze mną, drugie dziesięć z Karpińskim. Zaczynam mówić. Brunet przerywa mi co trzy słowa i tłumaczy wołając w stronę kamery po hiszpańsku. Nagle zamieszanie. Wenezuelczycy przepraszają, zabrakło taśm dźwiękowych. Część ekipy idzie na miasto kupić nową kasetę. Długo nie wracają. Brunet jest zdenerwowany, my z Karpińskim uspokajamy go twierdząc, że podobny wypadek mógłby się zdarzyć także w naszym kraju. Czekamy, patrzymy przez okno. Telefonuję do M., że się spóźnię, ale nie ma jej w domu, pewnie wyszła do sklepu. Po godzinie wpadają spoceni Wenezuelczycy, jest nowa kasetka. Znow wsiadamy z Jakubem Karpińskim przy stoliku, wąsikowaty brunet między nami wykrzykuje po hiszpańsku. Koniec. Światła gasną. Patrzę na zegarek: w pół do 5-ej. Telefonuję do M., dalej jednak nikt nie odpowiada. Mogła zejść na dół, żeby czekać na mnie w hallu, nie lubi być sama w mieszkaniu, kiedy się spóźniam. Szybko wkładam płaszcz i żegnam się z Wenezuelczykami. Karpiński odprowadza mnie do przystanku na Madison Avenue, nadjeżdża autobus, rzucam się z laską i wsiadam.

Przez kilkanaście przystanków myślałem o rodzinie Karpińskich. O tym mianowicie, że znam ją od dawna. Nie tylko ojca Jakuba widywałem przed wojną, ale i jego stryja, poetę Światopełkę, i również jego dziadka, pana Franciszka Karpińskiego, który bywał często w biurze mego ojca i kiedy wstępowałem po drodze ze szkoły, ojciec mnie przedstawiał. W Warszawie na zebraniach redakcji *Zapisu*, czy przy szatni w Związku Literatów, witając się z Jakubem oznajmiałem mu tę wiadomość, dla mnie wciąż zadziwiającą: — Pamiętam pańskiego dziadka! — na co wnuk pana Franciszka reagował grzecznym i lekko znudzonym uśmiechem. Nie znał swojego dziadka, bo urodził się po jego śmierci. W Press Center, kiedy czekaliśmy na kasetę, napadła mnie silna chęć, żeby powtórzyć mu tę nowinę o dawnej znajomości z jego dziadkiem, ale pohamowałem się. Później w autobusie myślałem o tym, dalej z upartym zdumieniem wspominając

rozsiane w moim życiu twarze Karpińskich z kilku epok. Łączyło je podobieństwo, przetrwał w nich jakiś rys wspólny, odkładany przez czas. I uświadomiłem sobie, że przez ten sam czas w mojej twarzy zaszły niemniejsze zmiany, po chłopcu z tornistrem na plecach został mi jedynie nikły ślad rodzinnego podobieństwa. Tylko kierunek odwrotny. Karpińscy młodnieją, a ja przeobrażam się w swojego dziadka. Myśl dziwna. Zapatrzyłem się w nią i usiłując oswoić się z jej osobliwością spostrzegam naraz, że w autobusie wszyscy pasażerowie oprócz mnie są czarni. Za szybą ciemno, na chodnikach stoją Murzyni.

Wsiadłem w zły autobus i wjechałem w sam środek Harlemu. Na ławkach przed domami siedzą czarni mężczyźni w kapeluszach, tu i ówdzie włączają się grupki murzyńskich chłopców. Autobus uwozi mnie coraz dalej od domu. Wstaję i podchodzę do kierowcy. Pytam, kiedy mam wysiąść i wymieniam mój adres. Za kierownicą siedzi młody, drobny Murzyn. Potrząsa głową, wyraźnie spłoszony: — Tu niech pan lepiej nie wysiada... — Radzi mi wrócić na miejsce. — Pan się bardzo spieszy? — Żona czeka — staram się żartować, ale Murzynek nie uśmiecha się: — Teraz pan nie wysiądzie, wskażę panu przystanek, gdzie można będzie się przesiąść. *A long way...* — Odchodzę, siadam na poprzednim miejscu, mijamy puste, zaśmieczone skwery. Czy to nie tutaj przebito sztyletem profesora Friedmana, który postanowił zwiedzić Harlem? Czuję się nienaturalnie. W autobusie jest cicho. Murzyni nie patrzą na mnie, wiem jednak, że odgadują mój niepokój. Patrzą niby przed siebie, ale mam pewność, że kątem oka widzą i omijają spojrzeniem tę białą plamę, jedyną w całym autobusie. Jestem sam wśród ich twarzy brązowych, pustynnych, jak kureczak w klatce z lwami. Niektórzy drzemią. Obrzmiałe, zwisające wargi, płaskie nozdrza i sfałdowane czoła, znikła dobroćliwość starych nianiek. Są teraz razem, spokrewnieni ze sobą, milcząc osaczają mnie w ciszy, złośliwie, wrogo. Za szybą coraz ciemniej, w mętnych światłach ukazują się zaniedbanie i brzydota nędzy. Na gankach obdrapanych slumsów widać cienie ludzkich sylwetek, słyszeć pijacki śpiew, wycie i bełkot, dobywające się z barów. Raptem most. Olbrzymi, wiszący w mroku. Nie ma już ulic, przede mną wiadukt zapchany pełznącymi samochodami, w dole grzmi pociąg. Pot mnie oblewa. Rozglądam się po autobusie i nie spotykam ani jednego spojrzenia. Ale tuż przed wjazdem na wiadukt skręcamy ostrym łukiem w lewo, Murzynek wygięty do tyłu obraca z wszystkich sił kierownicą, dodaje gazu i z rykiem oddalamy się od mostu. Po chwili widać światła i budynki, wsiadają nowi pasażerowie.

Murzynek wzywa mnie do siebie i pokazuje coś palcem. Widzę stację subwayu. Autobus przystaje. Wsiadam, biegnę. Biegnę z laską, wpadam w tunel, w tłum, i nagle znowu klatka z lwami — nie, pudło żelazne, brunatne, krzyk, tłok, same czarne twarze o lśniących zębach i białkach, ja wśród nich, ściśnięty z wszystkich stron.

Długo jeszcze przeżywałem uczucie, że groziła mi rzecz okropna, że cudem wydobyłem się z ziejącej czeluści i że Nowy Jork jest chorym potworem, trawionym od środka złą tajemnicą i cierpieniem, skrytym, niebezpiecznym.

Byłem się. Ale byłem się jakby nie osobiście. To znaczy — nie o siebie, nie o własną skórę. Czułem strach na myśl, że splugawione ulice Harlemu są obszarem poniżenia, który musi rodzić nienawiść i nostalgię zemsty. Mam w pamięci widok niemożliwy do opisania, haniebną szpetotę miejsc, które budzą trwogę, jak podziemny świat szczurów; pustkę brudnych placyków ze szkieletami drzew i wzdętą skorupą zadeptanej ziemi (ziemi takiego koloru nie widziałem nigdy, ani w malarstwie, ani w przyrodzie), te okaleczone domy i cienie ludzkie błędzące między światłkami, jak w wiecznej nocy opuszczenia.

Odpowiedź, że sami Murzyni doprowadzili Harlem do ruiny i że biali w strachu dawno już uciekli z dzielnicy, na pewno jest zgodna z prawdą. Zgodna z prawdą, ale nie zmienia rzeczywistości. Rzeczywistość nie rozumuje, nędza i upodlenie patrzą z dołu, widzą przymrużonymi oczami blaski i wieże najbogatszego miasta świata.

Dziwne uczucie. Po raz pierwszy w życiu przeżyłem lęk białego człowieka o przyszłość białych ludzi.

Około roku 1880 grupa liberalnych deputowanych przedstawiła Kongresowi program wywiezienia Murzynów statkami z USA z powrotem do Afryki. Dla oświeconych białych Amerykanów było wówczas jasne, że innego rozwiązania nie ma. Murzyni wróciliby do afrykańskich wiosek tą samą drogą, jaką przywieziono ich dwieście lat temu. Projekt upadł. Eksperti powołani przez komisję Kongresu obliczyli, że przy użyciu całej floty Stanów Zjednoczonych eksport czarnych obywateli do Afryki zabrałby lata, w ciągu których część ludności murzyńskiej pozostała jeszcze na miejscu nadrobiłaby ubytek przyrostem naturalnym, i to z nadwyżką. Błędne koło. Płodność Murzynów prześcigała okręty.

Wczoraj przed pizzerią „Kronet” na Broadwayu stała dziew-

czyna z tranzystorowym odbiornikiem, z którego dobywał się jazz. Szybkie synkopy wybijane na bębnach, saksofon jęczał przenikliwie, wysoko. Idący przede mną młodziutki Murzyn na cienkich nogach nagle przystanął. Drgnął jak różdżka. Rytm wszedł w niego i zaczął go wyginać w natchnionych, pulsujących spazmach. Było to równie odruchowe jak spazm bólu lub śmiechu. Bardzo czarny, o pięknej krągłej główce, powiedział coś do białej dziewczyny trzymającej odbiornik. Przez dłuższą chwilę rozmawiali stojąc naprzeciw siebie, chłopak co parę sekund drgał tanecznie. Z pizzerii wyszła krzykliwa banda Portorykańczyków. Melodia brzmiała. Murzyn rozmawiając znów zapulsował, przez jego główkę, ramiona i pośladki przebiegły miękkie, kołyszące dreszcze. Na chodniku obok mnie przystanęło kilka zaciekawionych osób. Saksofon i bębny wpędzały chłopca w coraz szybszy płas. Musiał być urzeczony i szczęśliwy, śmiał się. Nie mogłem oderwać wzroku od smukłego ciała poddanego synkopom, od małej tańczącej głowy. Było w tym coś przyrodniczego — zwierzęca naturalność a zarazem jakby konieczność przeistoczenia się, zrzucenia z siebie skóry. Biała dziewczyna potrząsała włosami, wydając zachęcające okrzyki. Z grupy Portorykańczyków oddzielił się kędzierzawy chłopczyk w przepasce na czole i także zaczął tańczyć. Nie zwracali uwagi na przyglądających się ludzi, pochłonięci na przemian rytmicznym podrygiwaniem i rozmową. Czasami zbliżali się do siebie i wtedy mówili półgłosem, ale ich nogi nie przestawały się ugiąć w takt bębnów. Rozmawiali tańcząc, podobnie jak rozmawia się pijąc i jedząc.

Żałowałem, że muszę wejść do sklepu. Kiedy po kwadransie wyszedłem, mój czarny tancerz stał pod ścianą domu paląc papierosa i gawędząc z obdartym mężczyzną w paletku przepasanym sznurkiem. Nie było już widzów. Portorykańczycy i dziewczyna z tranzystorem odeszli.

Chodzę po Broadwayu, a wokół mnie amerykańskie niepewności. Prawie nic nie można ustalić jednoznacznie. Czy czarni dalej nienawidzą białych, czy chcą już z nimi współżyć... nie wiem. I zdaje się, że nikt nie wie. Czy Nowy Jork jest wspałały, czy potworny — czy zniszczy go brak inwestycji i dzika ludność napływająca z Trzeciego Świata? Zniszczy. A może nie, może Nowy Jork w przyszłości nadal będzie zdumiewać swoim rozmachem i odwagą, różnobarwną współobecnością ras, zachwałą, szaloną architekturą, jakiej nikt gdzie indziej nie wy-

myślił? Jedno i drugie jest prawdopodobne. Czy Stany Zjednoczone są wielką, żywotną demokracją, która ocali ludzkość, czy upadającym kolosem, drażonym od środka chorobami kapitalizmu: dziesięć milionów bezrobotnych, co drugi Murzyn poniżej 25 lat nie ma pracy. Apogeum czy dekadencja? Nie wiadomo.

W Ameryce jest tyleż rzeczy budzących najwyższy podziw, co zgorzenie i sprzeciw. Ten kraj można pokochać, z filmów hollywoodzkich o II Wojnie Światowej bije miłość do Ameryki zwycięskiej i sprawiedliwej, mężczyźni szli na wojnę jak skauci na wycieczkę. Duma ze sztandaru w paski i gwiazdki jest uzasadniona. Można umierać dla takiej ojczyzny. Ale czy to jest nadal żywe, czy zechcieliby umierać dzisiaj? Nie ma pewności. Wyczuwa się tu jakby wykołowanie duchowe, osłabienie fundamentalnego przekonania o własnej racji — przekonania, które sto i dwieście lat temu dało amerykańskiemu społeczeństwu niewiarygodną energię i śmiałość w tworzeniu świata od początku, bez oglądania się na europejskich wujków. Czy są do tego jeszcze dzisiaj zdolni, czy nie nadzarły ich europejskie myśli, tak, egzystencjalizm, freudyzm i pacyfizm, i marksizm, a jakże, właśnie marksizm, ze swoją umiejętnością wsączania kompleksu winy? Któż to wie. A przy tym myśl, że może tkwią jeszcze w amerykańskim organizmie utajone rezerwy, które w momencie prawdziwie krytycznym przekształcą się w siłę nieoczekiwaną i odradzającą, taka myśl jest ciągle obecna. W dziesięć lat po katastrofie kryzysu gospodarczego, który wstrząsnął do dna życiem kraju, Stany Zjednoczone odniosły największe zwycięstwo w swoich dziejach i po II wojnie światowej zadominowały nad światem.

Chodzę, patrzę. Tłum ubrany jaskrawo, bez europejskiego gustu. Puste domy opuszczone przez mieszkańców, obłąkani bełkoczący na Broadwayu, rozsadzany bogactwem środek Manhattanu i wokół Ameryka bukolicznych domków. To, że brutalna selekcja dała tu szansę najsilniejszym i na wierzchu są ci co ją przetrwali, to widać gołym okiem. Lecz oto w tym babilońskim mieście, toczonym przez wszelkie nowotwory moralne i fizyczne, częściej niż gdziekolwiek można napotkać przejawy delikatności wobec upośledzonych. Kiedy burmistrz Nowego Jorku potępił oszustów wrzucających fałszywe żetony przy wejściu do kolei podziemnej i nazwał ich „wyrzutkami społeczeństwa gorszymi od trędowatych”, amerykański Związek Trędowatych ostro zaprotestował. Burmistrz Koch ogłosił publiczne przeproszenie.

Jednakże osobnikiem, któremu się nie powiodło, bezdomnym głodomorem lub głodującym artystą lepiej być w Paryżu niż tutaj. W Ameryce nawet bezzenny mężczyzna budzi wśród sąsiadów podejrzliwą niechęć. Pasażerowie „Mayflower” przywieźli ze sobą żony, Biblię i topory do wyrąbywania lasów. Z owych trzech elementów miało powstać życie oparte na woli, skuteczności i cnocie. To piękne i proste.

Owszem, piękne, tylko czy oni później czegoś nie przeskoczyli, czy aby w swoim zdobywczym rozpędzie nie nadwerżyli zbiorowej wytrzymałości psychicznej, jakichś czynników równowagi, wymagającej cierpliwej i długotrwałej kultuwacji? Nie wiem.

A to są pytania najpoważniejsze, bo na Amerykę spadły dziś obowiązki wobec świata, od których Europa Zachodnia się uchyla. Ameryce nie wolno sobie powiedzieć, że można odsuwać niebezpieczeństwo i opóźniać przygotowania do koniecznej obrony. Musi decydować już teraz w sprawach tak konkretnych, jak opracowanie planów strategicznych na wypadek inwazji (np. w Korei) czy rozmieszczenie baz i jednostek wojskowych strzegących obszaru ziemi, którym nie zawładnął komunizm. Ameryka nie może, jak Francja, prowadzić gry o neutralność, ponieważ ma do czynienia z partnerem, który neutralizuje po to, by unieszkodliwić. I wreszcie Ameryka nie może się wykręcać od obowiązków samoocalenia licząc, że w krytycznym momencie przyplyną zza oceanu Amerykanie. Bądź co bądź Stany Zjednoczone są jedynym krajem, który nie może liczyć na pomoc amerykańską. Myśl, że na szczycie tego słupa odpowiedzialności siedzi człowiek, który był aktorem w filmach kowbojskich, jest niepokojąca.

Często się zastanawiam, jak ów 72-letni mężczyzna budzi się rano. W jakim nastroju idzie pod prysznic w dniu, gdy musi wydać decyzję w sprawie Nikaragui albo rakiet MX. Każda taka decyzja może spowodować nieobliczalne konsekwencje dla losów całej planety. Prócz grupy doradców ten człowiek może słuchać tylko swego głosu wewnętrznego — swojej amerykańskiej inteligencji i sumienia. Zapewne jest człowiekiem niegłupim i dzielnym. Ale ten dzielny i niegłupi człowiek budzi się rano z myślą, że pod sobą ma kulę ziemską a nad sobą niebo i że między ziemią a niebem jest sam ze swoją decyzją, o której nie wie, czy okaże się słuszna. Odpowiedzialność niemal metafizyczna. Nie chciałbym być prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Można by sądzić, iż szef drugiego supermocarstwa na przeciwległym krańcu znajduje się w podobnej sytuacji. Jednakże

niezupełnie. Filozofia władzy totalnej wyłącza odpowiedzialność przed Bogiem. Tę odpowiedzialność znają dziś tylko demokracje, metafizyka totalitaryzmu — jeśli istnieje — tkwi w konstelacjach zbiorowego kłamstwa i strachu.

U podnóża gór w stanie Oregon wiją się dziś asfalty. Na skałach pozostały jeszcze ślady lin, na których pionierzy spuszczały konie i wozy, ażeby się dostać do urodzajnych dolin po zachodniej stronie gór. Kosztem nadludzkich wysiłków zagospodarowano te ziemie. Myślę o tym, kiedy jadąc linią nr 1 subwayu w dół miasta przyglądam się pasażerom w wagonie. Przeważa typ człowieka skrajnie zmęczonego, prawie nikt nie rozmawia, wiele osób zasypia w czasie jazdy. Często rzuca się w oczy abnegacja w wyglądzie zewnętrznym, twarze ponure, cierpiące. To jest tłum nowojorski z *uptownu*, zmordowany miastem, jakby półprzytomny ze znużenia. W subwayu widać amerykańskie dno społeczne, zastraszająco głębokie. Patrząc na tych ludzi można zrozumieć wiele rzeczy, które z początku wywołują szok. Napady w biały dzień na przechodniów w śródmieściu, ilość narkomanów na ulicach, plagę karaluchów w nowojorskich mieszkaniach, bezpłatne kuchnie dla nędzarzy, wypalone budynki. Takich pokładów degradacji w zachodniej Europie dzisiaj nie ma.

Obrazy atakują świadomość, myślenie o Ameryce ciągle się rozszczepia na linie poplątane ze sobą w sprzecznościach. Trudno ogarnąć kierunek, całość. Komputery... karaluchy... Biblia... śluby homoseksualistów... serce skonstruowane z aluminium i plastiku... Statua Wolności z pochodnią... komory gazowe dla przestępców...

O czym ja piszę? Na miłość Boską. Jutro Wigilia.

Rano w dniu wigilijnym zatelefonowałem do pana Wacława Solskiego. Lubię z nim rozmawiać. Ma lat osiemdziesiąt sześć, był działaczem Socjal-Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy, z partii bolszewickiej wystąpił kilkadziesiąt lat temu. W każdej rozmowie potrafi wypowiedzieć zdanie, które długo się pamięta. Tym razem usłyszałem w słuchawce: — To nie jest rozumowe, to jest intuicyjne, alogiczne, może artystyczne, rozumie mnie pan, to jest irracjonalne, ale ja przeczuwam w nadchodzącym roku możliwość cudu w Polsce. Niech pan sobie myśli, co pan chce.

Więc do tego doszło, że starzy bolszewicy marzą o cudzie nad Wisłą.

Z poczty na Amsterdam Avenue wysłałem dwie kartki zaadresowane *Warszawa, więzienie Mokotowskie*, żeby dać znak pamięci Kuroniowi i Michnikowi, których proces ma się wkrótce rozpocząć. Prócz nich będą sądzeni inni członkowie KOR-u oraz Solidarności. Nie wiem, czy dostaną moje kartki. Napisałem im, że mają przyjaciół w całym świecie. To jest prawda, ale nie mam pewności, czy tę prawdę przepuści cenzura więzienna.

Styczeń-luty 1983

„Zamiast czytać zdezaktualizowaną już książkę pt. 'Kto jest kto?' nastawiam radioodbiornik na „Głos Ameryki” i już po chwili mam odpowiedź na to frapujące pytanie. Oto pan Katz, przedstawiający się jako polski dziennikarz, rozmawia z panem Kazimierzem Brandysem. Pan Kazimierz Brandys swą ostatnią książkę wydał dość dawno. Teraz nie pisze — mówi. Mówi 'Głosem Ameryki', że '...nie chcę i nie mogę wrócić do Polski...' Mówi o swym ostatnim eseju napisanym już na emigracji, na której przebywa od początku stanu wojennego. Pan Kazimierz Brandys stwierdza, że esej pisany w formie dziennika, a zatytułowany 'Miesiące', jest wiernym obrazem oblężonej Warszawy w miesiącach stanu wojennego. To nic, że pan Kazimierz Brandys takiej Warszawy nie widział. Pisze więc jak ślepy o kolorach. Jak sam wspomina, stan wojenny zastał go w USA, z których powędrował do Paryża, gdzie, jak twierdzi, spędził 6 miesięcy i wiele godzin na 'nocnych rodaków rozmowach' z panem Blumsztajnem, przewodniczącym paryskiej 'Solidarności'. Z tych to rozmów chyba narodziło się postanowienie napisania owego dziennika 'Oblężonej Warszawy'. Zapytany przez pana Katza, mieniącego się polskim dziennikarzem, pan Brandys wyjaśnia, że otrzymał posadę na Uniwersytecie Kolumbia w charakterze pisarza-rezydenta. Tego typu instytucja, wyjaśnia, w Polsce nie jest znana. Zajrzyjmy do 'Słownika wyrazów obcych', by przeczytać dokładną definicję słowa rezydent. Tak jak u nas jest ono rozumiane. I tak oto dowiadujemy się, że 'rezydent — ubogi krewny lub wysłużony oficjalista korzystający ze stałego przytułku we dworze szlacheckim lub magnackim'. Wystarczy?"

I tak dalej... W *Głosie Robotniczym*, łódzkiej gazecie partyjnej, ukazał się artykuł pt. „Kto jest kto?”, poświęcony mojej osobie i podpisany przez nieznanego mi dziennikarza. Nade-

słał go zaprzyjaźniony młody człowiek uprzedzając że nie będzie to miły upominek noworoczny. Czytałem z początku nie bez rozbawienia. Sztuki fałszerstwa autor dokonał za pomocą przeinaczeń i kłamstw w każdym zdaniu, tak prymitywnych, jak choćby twierdzenie, że w „Miesiącach” opisuję Warszawę stanu wojennego, czy też sfałszowanie nazwiska mojego rozmówcy w „Głosie Ameryki” (rozmawiał ze mną p. Holik). Ale o to mniejsza — od ludzi, którzy podejmują się takich robót, nie należy oczekiwać uczciwości. Artykuł miał spełnić zamówienie antyemigracyjne i antysemickie, dobór nazwisk musiał być odpowiedni; reszta to przystawka do głównego dania.

W ubiegłych dwudziestu latach napisano sporo paszkwilów o moich książkach, nie oszczędzając przy tym mnie samego. Ataki wynikały przeważnie z inspiracji polityczno-administracyjnej. Po ukazaniu się „Sposobu bycia” pewien krytyk w warszawskiej *Kulturze* przedstawił mnie jako snoba-kosmopolitę w tandetnym gatunku. Był to paszkwil zamówiony. Na krótki czas przed tym członek biura politycznego i sekretariatu PZPR proponował wydrukowanie podobnej napaści na mnie innemu krytykowi, który jednak zdołał się wymówić złym stanem zdrowia. Po „Wariacjach pocztowych” oskarżano mnie o zohydzanie historii Polski i również te ataki były zamawiane przez instancje partyjne. Nie byłem na nie uczulony. Przykrość dopiero sprawiała mi napastliwość wychodząca z kół literackich. Aroganckie omówienia moich książek publikowali również niektórzy literaturoznawcy, wypełniając zapotrzebowanie inne niż polityczne — bliższe sugestii wąskiego kręgu ekspertów, kształtujących opinie o poszczególnych autorach (lubi się tam np. okazywać wzdargę dla poezji Tuwima i przeciwstawiać mu Leśmiana, wspaniałego poetę miary nie większej i nie mniejszej niż Tuwim). Źródłem takich zamówień, niekoniecznie bezpośrednich, bywały nieraz katedry uniwersyteckie. Czasami owe dwa źródła — polityczne i literackie — mieszały się ze sobą; ale nie zawsze. Tak czy owak, od lat 60-tych w przekreślaniu mojej twórczości specjalizowali się początkujący krytycy z nowiutkimi dyplomami filologii polskiej uniwersytetów w Warszawie lub Krakowie. „Jesteś pochyłym drzewem — powiedział mi kiedyś JMR — na które włożą debiutanci, żeby przyspieszyć swoją karierę literacką”.

Powtarzam, to są przykrości, można jednak przejść nad nimi do porządku, jeżeli ma się oparcie w czytelnikach. Czytelników, ich uwagę i zaciekawienie czułem od dawna. Dawało mi to odporność na krytykę, zarówno na oczerniającą, jak i na po-

chlebną. Nieco trudniej znosiłem przemilczanie mego nazwiska i książek w prasie literackiej i środkach masowego przekazu. W roku 1975 na majowym kiermaszu Książki i Prasy zaledwie parę osób podeszło, aby kupić mój tom. Szersza publiczność czytelnicza już mnie nie znała.

Natomiast, jak powiadam, napaści z pozycji administracyjnych bądź policyjnych niewiele mnie obchodziły. Były zbyt jawnie kierowane, by móc je traktować jako ocenę wartości. Gdzieś tam napisano, że nienawidzę Polaków, gdzie indziej — że hołduję zgniłym ideom Sartre'a. Miałem pewność, że moi czytelnicy wzruszą ramionami, nie warto było się przejmować. Tak też zareagowałbym na artykuł w *Głosie Robotniczym*, gdyby nie zdania umieszczone w końcowej części: „Siedzieć u kogoś na łaskawym garnuszku to nie miłego, chyba że się nie ma zbyt dużych ambicji i wtedy prawdą jest to, co pan Brandys powiedział na początku audycji — 'Nie chcę wracać do Polski'. Tyle że nie trzeba już dodawać, iż nie może do niej powrócić”.

Czytając zatrzymałem się w tym miejscu, jakby mi się wzrok potknął. Co to oznacza: *nie trzeba już dodawać... nie może powrócić?* Sformułowanie dosyć zagadkowe. Nie idzie o to, co o mnie myśli autor felietonu. Chodzi mi o rzecz inną: czy autor został poinstruowany przez instancje, które powzięły lub przygotowują administracyjną decyzję, aby uniemożliwić mi powrót?

Przyznaję, że długo wpatrywałem się w ostatnie zdanie. Odczytywałem raz po raz to zdanie kłamcy, jak szyfr nieprzyjaciela, jak zakłęcie...

Poniedziałek. Zima. Suchy, popielaty dzień. Wracając do Butler Hall pustą 119 Ulicą spostrzegam, że na przeciwległym chodniku stoi przypatrując mi się z zainteresowaniem wysoki murzyński chłopak, może siedemnastoletni. Kiedy byłem już niedaleko Butler Hall, chłopak przeszedł zwolna przez asfalt, uśmiechnął się do mnie, po czym nieśmiało spytał o godzinę. Także z uśmiechem odsłoniłem zegarek na rękę. Równocześnie w drzwiach wejściowych do Butler Hall stanął portier w uniformie, Murzyn z łysiną, bardzo okazały. Na jego widok chłopak jakby się stropił. Podziękował i odszedł. — Trzeba być ostrożnym — zwrócił się do mnie portier — oni umieją zerwać z ręki zegarek jednym ruchem. Nie wolno się zatrzymać, trzeba powiedzieć *go ahead* i przyspieszyć krok.

Później w domu wyobrażałem sobie inne sposoby ocalenia

zegarka i jeden przypadł mi do gustu. Idę ulicą, Murzyn pyta o godzinę. Uprzejmie podciągam mankiet obnażając przegub, na którym mam narysowany czarnym tuszem zegarek — strzałki wskazują kwadrans po 2-giej. Odechodzę. Murzyn stoi zbaraniały. Po chwili idzie przed siebie. Na rogu widzi zegar uliczny, który wskazuje dokładnie kwadrans po 2-giej. Murzyn przystaje, długo spogląda na zegar, po czym obraca się za mną i patrzy w zamyśleniu jak znikam w wejściu do Butler Hall.

Po uratowaniu mego zegarka przez portiera znalazłem w skrzynce kartkę i list z Warszawy. Kartka ozdobna, z parą taneczną w krakowskich strojach. JMR pisze: „Hopsasa, hopsasa — historia bardzo długo trwa — to się śmieje, a to płacze — jak ten właśnie Krakowiaczek”.

Jednocześnie w liście ktoś inny z moich bliskich komunikuje mi o swym „opętaniu historią, które teraz doszło do szczytu. Rodzaj obłędu, jaki wszyscy przeżywamy. Właściwie, jak tylko rozmawiamy poważnie, to rozmawiamy zaraz o latach sześćdziesiątych (oczywiście XIX w.), o tym jak wtedy należało postąpić, i kto co miał zrobić w 61, a kto i co w 63, i dlaczego nie zrobił, biada mu. Pytanie tylko, czy my jesteśmy w 62 dopiero, czy już w 65? A tego nikt nie wie”. W tym samym liście wiadomość o wejściu Dejmka do prezydium rządowej Rady Kultury i o usunięciu Hanuszkiewicza z dyrekcji Teatru Narodowego. „Hanuszkiewicz na swojej ostatniej premierze miał benefis w patriotycznym stylu: szalejąca z entuzjazmu publiczność, płacze, okrzyki itp., i podobno tak na każdym przedstawieniu...”.

Bardzo to wszystko niezwykle i dziwne. Z czego oni może nie zdają sobie sprawy.

Siostra mego dziadka chwyciła za broń w Powstaniu Styczniowym, będąc mu przeciwna. Wybuchło wbrew jej woli. Potem żyła jeszcze sześćdziesiąt osiem lat. W dzieciństwie, kiedy babka zabierała nas do niej z wizytą, obaj z Marianem przymierzaliśmy jej czapkę powstańczą, której mimo naszych prośb nigdy nie zgodziła się włożyć na głowę.

Wtorek. Nie na wszystkie pytania ma się chęć odpowiedzieć. Czasami dotyczą spraw niejasnych i zawiłych — albo zbyt oczywistych. L., dobrze zorientowany w stosunkach amerykańskich, pytał mnie ze zdziwieniem, dlaczego tak obojętnie przyjąłem ukazanie się fragmentów „Miesięcy” w *New York Times Magazine*. — To dla pana powinno być ważne, pismo ma ogromny

nakład, czyta je cała Ameryka. — Doprawdy trudno mi było wytłumaczyć, dlaczego nie przejawiałem ożywienia tym faktem. Może dlatego, że nie bardzo chętnie czytam *New York Times* i nie żywię sympatii dla prasy, dziennikarzy i ich niezbyt rzetelnego światka, który ma informować o świecie. Świat jest dziś dostatecznie okropny, nie pożądam nadmiaru informacji o jego okropnościach; tym bardziej że informacje są przeważnie mało obiektywne, a często nieodpowiedzialne. W takim stanie rzeczy własne nazwisko wydrukowane nad kawałkiem tekstu jest dla człowieka przytomnego jakby czymś nie *à propos* i w dodatku śmiesznie przelotnym. Zbyt nikły to epizod w nawale kasujących się wzajemnie zdarzeń i szaleńczym przyspieszeniu czasu, gdy jutro nikt nie będzie pamiętał co wczoraj zostało napisane.

Ponadto — wiek. Być może w pewnym wieku traci się zdolność przeżywania prawdziwych satysfakcji. Zwłaszcza jeśli ów wiek nie cieszy się społecznym szacunkiem, albo inaczej mówiąc: kiedy szacunek dla starości nie jest składnikiem powszechnej kultury. Co to jest kultura? Dosyć niewyraźne pojęcie. Ktoś pisze listy — to jest kultura. Ktoś przechowuje rodzinne pamiątki — to jest kultura. Ktoś modli się nad grobem lub tłumaczy dziecku jak ma postępować — to jest kultura. Chciałoby się ją nazwać „drugim kręgiem życia”, echem, aurą, smugą, które muszą wiecznie towarzyszyć sprawom materialnym i wymiernym, aby nadać im wartość. To drugie życie wymaga licznych zabiegów i cierpliwej uprawy, kultywacji. W różnych dziedzinach. Dwie osoby, które spędziły wieczór na rozmowie o czytanych powieściach i mają w domu ładnie oprawione książki, dają dowód kultury literackiej. Renesansowe śpichrze u wjazdu do Kazimierza nad Wisłą świadczą o dawnej kulturze rolniczej tego kraju.

Jest również do pomyślenia kultura starości. Szczerze mówiąc, nie wiem w jaki sposób mogłoby coś takiego istnieć w dzisiejszym świecie, gdzie się starości nie ceni. Starość jest ludzką kondycją, która, aby zachować dostojność lub po prostu nie utracić formy, potrzebuje społecznego uznania. Nie czci, lecz uznania. Takiego uznania starość dzisiaj nie ma. Nawet jeśli nie wszędzie traktuje się ją z pogardą, to prawie wszędzie otacza ją obojętność. Jest sama, wyosobniona i zdana tylko na siebie. To ją postarza, wycieńcza, przez co powiększa się jej zniedołężnienie i rozpacz. W Polsce widać to jaskrawiej niż tutaj, bo tam starości nie chronią pieniądze, jedynym kapitałem na rynku jest młodość. Ale przecież i tutaj codziennie mijam na ulicy widma,

jak choćby tę staruszkę o uschniętym ciałku, którą olbrzymia Murzynka toczy przed sobą na fotelu; albo znajomą z widzenia parę małżeńską: on zawsze przodem, w nie zasnurowanych butach na gołych, chudych nogach, z obnażoną szyją i twarzą w białej szczecinie, a za nim w tyle ona, drepcząca z plastikową torbą, w rozprutym futrze i za dużych kaloszach, śmiertelnie uśmiechnięta. Idąc o parę kroków z tyłu spostrzegła kiedyś, że obejrzałem się za nim, i kiwnęła mi głową, niemal wesoło, z porozumiewawczą konfidencją, jak gdyby mówiąc: „Ano właśnie tak...”

Ja mam się cieszyć? że w *New York Times Magazine* ukazał się mój tekst? To miałyby tworzyć mi wartość w świecie dewaluujących się wartości, w tym wściekłym, pomyłonym galopie wszechinflacji? Ależ ja drżę na samą myśl o latach, jakie mnie jeszcze mogą czekać, kiedy nie zdołam już zasnurować butów i nie będę miał sił się ogolić. O latach prawdziwej, bezsilnej starości, którą się mija nie patrząc, tej czepiającej się ludzi i krzesel. To mnie obchodzi: umieranie, którego nikt nie zauważa. W jaki sposób nadać mu formę i godność, i czy to w ogóle jest możliwe. Kultura starości?

O tym myślę, a nie o *New York Times*.

Znowu list z Warszawy, drogą prywatną. W liście przesłano mi felieton pod nagłówkiem „Wiosna nasza”, wydrukowany w krajowym piśmie *Tu i teraz*. Autorem jest rzecznik prasowy rządu, długoletni felietonista satyrycznego tygodnika *Szpilki* i paru innych gazet. Ten sam. W tekście znajduję takie zdania: „W naszym mechanizmie życia zbiorowego opozycja jest kulą u nogi postępu. Taka rola przeciwników nie jest zresztą bezwiedna. Najżywiej opozycjoniści nasi deprecjonują wszystko co jest reformą, nowością, postawą światłą, załączkiem dalszych przemian, porozumień, co może zyskać społeczną aprobatę i związać ludzkie nadzieje. Przemiany w życiu kraju i pomyślnie objawy w gospodarce bardziej jeszcze niż aresztowania i wyroki uświadamiają bowiem opozycjonistom, że 13 grudnia 1981 klepsydra została odwrócona i teraz piasek odmierzający czas ich zaczął przysypywać”.

W liście natomiast czytamy: „Ten to pisze prawdę jak Goebels, niby to propagandowo i na postrach, ale z absolutną pewnością, że wszystko będzie tak, jak mówi. Chyba powinienes odłożyć powrót na później, może na długo”.

Jest dla mnie interesujące, że propagandę obecnego reżimu

najczynniej i z moralnym przekonaniem uprawia kilku felietonistów, którzy od lat cieszą się opinią cyników i na dobrą sprawę nigdy swego cynizmu nie kryli. Rzecznik stanął dzisiaj na ich czele. Trzeba przyznać, iż ludzie ci wykazują sporą odwagę — powiedziałbym, odwagę publicznej prowokacji. Muszą sobie jasno uświadamiać, że budzą w społeczeństwie silny wstręt. Nowość doprawdy uderzająca, skoro przez lata w swoich felietonach zabiegali o sympatię czytelników i częstokroć potrafili ją zyskać. „Ci wiedzą swoje — uśmiechał się czytelnik — nie robią z siebie męczenników, ale też nikogo nie próbują nabierać... Spryciarze”.

Dlaczego spryciarze zachowują się teraz jak straceńcy? Ściągając na siebie nienawiść, nie mogą się nie liczyć z jej konsekwencjami (można ich nie wymieniać, kłopoty infamistów są znane). Czyżby utracili dawną lekkość ruchów i dar ostentacyjnej akrobacji pomiędzy mieczami? Nikt jednak ani na chwilę nie wątpi, że cynizm jest nadal motywem ich postępowania. Ale dziś to jest cynizm niemal samobójczy, to jakby somosierra cynizmu. Skupiają na sobie powszechne obrzydzenie i wściekłość, wiedząc przecież, że przychodzą dni, kiedy drogo się płaci za słowa. Takie dni mogą nadejść. Czyżby więc byli na tyle pewni swego i tak głęboko przekonani... O czym?

Zdaje się, że dawno przemyśleli sprawę. Są przekonani o całkowitym i nieodwracalnym zwycięstwie siły mechanicznej, siły państwa. Z pewnością nigdy dotąd felietonistów nie zagrzewało w pracy tak wyraźnie cielesne poczucie, że za ich felietonami stoją wozy pancerne. Zobaczyli je na ulicach 13 grudnia. Taki widok potrafi ugruntować lub podważyć niejedno filozoficzne założenie. A felietoniści mieli swoje filozoficzne założenia. Nieczęsto je ujawniali, ale mieli. Byli mianowicie przeświadczeni, i to z najgłębszą pewnością instynktu i wiedzy o życiu, że człowieczeństwo, etyka, humanizm, jednostka i łączone z tymi pojęciami wyobrażenia nie są warte owej najwyższej ceny przywiązywanej do nich w tradycji zbiorowych odczuć. Wyznawali ideę wręcz przeciwną — że człowieczeństwo jest godnością wątpliwą, która nie posiada walorów duchowych ani materialnych zasługujących na tak wysokie uznanie, i że w gruncie rzeczy jest to fenomen chwiejny, miąższość, o słabej odporności psychofizycznej oraz niezbyt wygórowanym kursie na rynku sił. „W istocie — przemyśleli felietoniści reżimu — mamy do czynienia z gatunkiem, który daje sobą kierować. Niekiedy przy pomocy żarcia, czasem pałką. Gatunek ten, z wyjątkiem nieuleczalnych głupców, bynajmniej nie jest gotów umierać za swoje

wyższe pojęcia. Nade wszystko chce przetrwać. A zatem, uwzględniając ponadto nowoczesną technikę i broń, jakimi dysponuje rząd, sprawa w zasadzie jest prosta”.

Diagnozę potwierdziły w oczach felietonistów wypadki: grudniowe w 1981 i późniejsze w 1982. Sprawa była prosta, sprowadzała się do porządkowych metod rozpędzania tłumu. Wówczas dopiero felietoniści wpadli w uderzenie i zaczęli przemawiać nowym głosem — przeciwników złudzeń, ludzi, którzy od początku mieli rację. A tu trzeba by dodać, iż przez lata wesoło przytupywali szefom partii i rządu, pechającym kraj do upadku, i dowcipnie szydzili z opozycji, która biła na alarm w obliczu coraz bliższej katastrofy. Kiedy powstała Solidarność, felietoniści orzekli: to się nie może udać — i zaczęli szydzić jeszcze dowcipniej. Gdy Solidarność padła, zawołali: a nie mówiliśmy, że trzaśnie?! — i zbiegli się w rządowych przedpokojach, by dalej stać u boku szefów państwa, odpowiedzialnych za narodową ruinę.

Co mnie w nich zastanawia, to brak poczucia rzeczywistości w stosunku do siebie samych. Felietoniści przyjęli nie swoje role w dramacie, który stokrotnie ich przerasta, i grają jak gdyby w zastępstwie nieobecnych aktorów. Sprawa wydaje im się prosta, ale nie widzą, że skończy się dla nich fatalnie. Kiedy indziej robią na mnie wrażenie hazardystów bez pieniędzy, którzy zasiedli do stołu obsadzonego przez graczy z pistoletami w kieszeniach. Podejrzewam, że nie uświadamiają sobie, jak straszna to gra, i zdumiewa mnie ich lekkomyślność. Wprawdzie przemawiają nowym tonem, z poważnymi minami obywatelskich wychowawców, jednakże wszystko co piszą brzmi jak niewczesny dowcip. Ukryłbym się póki czas, gdybym był w skórce jednego z tych przemienionych wesołków.

Popełniają bowiem pewien błąd w rachunku. Rozumując logicznie na miarę swoich doświadczeń i notowanych faktów, zapomnieli o jednym. Rzeczywistość ma własną logikę i zmienia się za sprawą nieporównanie większej ilości faktów i doświadczeń oraz w obszerniejszej skali czasu. Oni rozumują — rzeczywistość się stwarza. Nie sposób przewidzieć ruchów materii społecznej, ich wielkiej i złożonej liczby; będą zależne od wydarzeń przyszłych, jeszcze niedokonanych, i także od irracjonalnej sfery wierzeń, obrzędów, przypadków, mitów i obsesji, a niekiedy szaleństwa. I również od nieobliczalnego przyspieszenia faktów na zewnątrz kraju. To już wymyka się notowaniom felietonistów, tego umieścić w rachunku nie potrafią. Takie niedokładności się mszczą.

Dzieje się koniec końców tak, jak zawsze w naszej ludowej ojczyźnie. Partia jest rozgrywana gdzie indziej, dramat narasta wewnątrz. Scenariusz reżyserują fachowcy szkoleni od pół wieku w laboratoriach wypracowujących metody redukcji człowieczeństwa. Nie znamy ich dalekowzrocznych projektów, lecz mogą być złowrogie, i nie da się wykluczyć, że w niezbyt odległej przyszłości role do odegrania będą wyłącznie tragiczne. Jak u Szekspira: tragicznie szlachetne albo tragicznie nikczemne. A felietoniści nie nadają się do ról szekspirowskich. Może się więc zdarzyć, że zostaną potraktowani bezlitośnie przez reżyserów i publiczność. Gdyby chcieli usłyszeć, co mam do powiedzenia w ich przypadku, doradziłbym: zejść ze sceny, czym prędzej.

„Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty trzeci — pisze na końcu autor felietonu — może być w Polsce pierwszym po trzech latach rokiem bez dramatycznych zdarzeń, rokiem, w którym Polska stanie się dla korespondentów zachodnich krajem nudnym. Należy sobie tego gorąco życzyć”.

Człowiekowi można zadać cios w kręgosłup, który go sparaliżuje. Taki sparaliżowany człowiek będzie *nudny* dla otoczenia. To samo można zrobić z krajem.

Nie mam pewności, czy będzie tak nudno.

Środa. Po południu nagle wizja zimowego wieczoru w przedwojennej Warszawie z pierwszych lat 1930-tych, kiedy po odrobieniu lekcji wychodziłem na samotne marsze przez śródmieście. Nowy Świat biały od śniegu, gdzieś koło Chmielnej czy Wareckiej. W powietrzu cichym i tnącym jak kryształ słysząc dzwonki i szorstkie tarcie płóz. Tędy panowie w melonikach i wydrowych futrach zatrzymują sanki na rogach. Pudełko z ciastkami zahaczone o guzik dynda na cienkim sznurku, guzik obciążony czarnym jedwabiem, z kieszeni futra sterczy *Kurier Warszawski*. Małe, stare tramwaje hamują ze zgrzytem na przystankach. Jezdnia zmarznięta, wyjeżdżona, sanki ślizgają się zakręconymi z przodu płozami. Dorożkarz z twarzą w wełnianej chustce siedzi tuż za końskim zadem, z tyłu pasażer okryty derką, płozy niemal dotykają oszronionych końskich nóg. Błyszczą lampy i gwiazdy, w powietrzu dymi para. Światła witryn nie są jaskrawe. Na wystawie domu mody „Ludwika” z kołnierza manekina szczyrzy się pyszczek łasicy, z cukierni płyną ciepłe aromaty i blaski. U wejścia do sklepu kolonialnego wisi zając, obok niego bażant, a w głębi stoi właściciel z sze-

roko rozczesaną brodą. Ten sklep znajdował się niedaleko Ordynackiej i pamiętam, że brodaty właściciel nigdy się nie uśmiechał. Widziałem go przez szybę i tak pozostał mi w oczach, nieruchomy w głębi sklepu, z poważną, woskową twarzą. Szedłem w górę Nowego Świata do Krakowskiego Przedmieścia, gdzie było szerzej i ciemniej. Mijałem bramę Uniwersytetu i za pałacem, przed którym skrzyły się na mrozie kamienne słupki z łańcuchami, skręcałem w prawo do budynku obok kościoła Wizytek.

Nostalgia, tak. Ale widzenie, którego doznałem nieoczekiwanie i bez wiadomej przyczyny, wynikało jednak z faktu. Przed tygodniem nadszedł list od pana Józefa Garlińskiego, pisarza, który redaguje w Londynie *Pamiętnik Literacki*. Wraz z listem otrzymałem kilka zeszytów wydawnictwa i w jednym natknąłem się na noty biograficzne o autorach polskich żyjących na emigracji. Czytam notę o Józefie Garlińskim i dowiaduję się, że w swych gimnazjalnych latach był członkiem komitetu redakcyjnego *Kuźni Młodych*. Czytam dalej: Gustaw Herling-Grudziński, także współpracownik *Kuźni Młodych*. Tak samo Wacław Iwaniuk — również był i pisał w *Kuźni*. Zaczynam liczyć w pamięci kto jeszcze. Było ich sporo. Jan Kott, Tadeusz Horko, Aleksander Czyżewski, Ryszard Matuszewski... Tadeusz Nowakowski, Tadeusz Różewicz, Jerzy Lerski, Witold Wirpsza... Ryszard Kiersnowski, Leo Lipski, Erwin Axer, Tadeusz Zelenay, Jan Twardowski... Wszyscy w uczniowskich latach przeszli przez *Kuźnię Młodych*. W Sydney mieszka Ryszard Krygier, wydawca pisma *Quadrant*, niegdyś członek warszawskiego zespołu *Kuźni*, mój bliski kolega szkolny. Pisał recenzje filmowe, a ja teatralne. Kto jeszcze? Przecież było ich więcej. Są dziś pisarzami, redaktorami, managerami przemysłu, rozsypało ich po Ameryce, Europie i Australii, jeden jest w Berlinie, drugi w Stony Brook. Kilku leży w grobach. Janek Twardowski został księdzem. Spotykaliśmy się w redakcji *Kuźni*, najpierw w skrzydle Zamku, a potem w oficynie pałacu na Krakowskim. Tam właśnie skręcałem, by wejść po wąskich schodach do korytarza obwieszonego płaszcami i czapkami.

Z jaką straszną łatwością przeszłość zamienia się w sen. Wzywający sanki panowie w melonikach i wydrowych futrach, z ciastkami zahaczonymi o guzik obszyty jedwabiem, wszyscy ci panowie mieli tę samą twarz, śmiałą, tęgą i zarumienioną od mrozu twarz mojego ojca. Bardzo wyraźnie słyszę jego głos: — Przyjacielu, jedźcie galopem do Lourse'a!... — Opisuję tu często sny, które mnie nawiedzają. Zimowy obraz Nowego

Światu wieczorem, gdy szedłem na zebranie redakcyjne, miał wyrazistość snu. Była w nim tęskna nieosiągalność, a zarazem drobny wymiar i zapatrzenie się w niewiarygodny punkt czasu, dawno unicestwiony przemijaniem. Lecz dzieje się rzecz zadziwiająca, bo po pięćdziesięciu latach tutaj na drugiej półkuli sen się przybliży i spełnia. Pojawiają mi się rysy jakby wydobyte z mgły, słyszę brzmiące znajomo nazwiska, ktoś mówi, że mnie pamięta: — Ukończyłem gimnazjum Reja na sześć lat przed panem... — Jest w tym jakaś dawna warszawskość i coś z niepewnego rozpoznania, jak po przebudzeniu, kiedy przypominają się sceny i postacie, które występowały we śnie, i odtwarza się je z nocnych majaczeń. Raz po raz odkrywam w czyjejś sylwetce podobieństwo do kogoś, o kim zapomniałem że istniał, i nie mam pewności czy to jest on, czy tylko odbitka pokolenia. Często wydaje mi się, że przetrwał tu dalszy ciąg świata, którego w Polsce już nie ma; jak gdyby emigracja lepiej zakonserwowała przeszłość, ocaliła polski typ czy styl, a może tylko wzięcie, atmosferę...

— Niesamowite, ja tu tkwię w czterech planach — mówi Maciej K., tylko co przybyły z Warszawy — mam jeszcze w sobie tamto powietrze, a jednocześnie chodzę po Manhattanie i, czego nie przewidziałem, wpadam tu w polskość podwójną, w tę od Wałęsy i KOR-u i w tę dawną, przedwrześniową, z Marszałkiem, PPS-em, endekami i pułkownikami. Nieprawdopodobne rozszczępienie!

Ta polskość inteligencko-szlachecka, i sanacyjno-akowska, i demokratycznie pepesowska, i klerikalno-endekoidalna przechowała się tu całkiem nieźle. Starsi panowie, których widuję na odczytach, byli niegdyś młodymi piłsudczykami (pamiętam ich z zebrań studenckich) albo krakowskimi socjalistami; inni rozpoczynali już karierę w rządowych resortach, jeszcze innych przypominam sobie z wykładów prawa rzymskiego, a z tamtym panem w ciemnym garniturze biłem się na dziedzińcu uniwersyteckim, chodził wówczas w korporanckiej czapeczce i z grubą lagą. Teraz kanty się starły, światopoglądy złagodniały i pomieszały się w Polskim Instytucie, gdzie przy wspólnym opłatku panowie ściskają sobie ręce i składają życzenia świąteczne. Emigracja... Coś się przetopiło w wygnańczym tyglu. I nadal się przetapia. Wśród starszych panów w garniturach są dawni łagiernicy z Kołomy, więźniowie Gestapo i zmotoryzowani ułani II Korpusu, którzy po wojnie pracowali na kanadyjskich farmach. Ale obok stoją młodzi ludzie w znoszonych swetrach i kurteczkach, ze znaczkami Solidarności na piersi. Ci przyje-

chali niedawno: działacze Studenckich Komitetów, technicy i kolporterzy NOWEJ, graficy nielegalnych drukarni. Zaczynają to, co tamci kończą. Oto jak się buduje Druga Polska poza granicami Kraju. Ta Rzeczpospolita Obojga Narodów ma już dwa wieki istnienia.

Nowym Światem chodziłem często w rozmaitych okresach, w czasie okupacji i po wojnie. Widziałem zawalone domy i leżące na jezdni końskie zwłoki. Pamiętam też lata późniejsze, gdy zakładano kawiarenki wśród rusztowań. Tramwajów już nie było, sanki znikły. Ulica przeobrażała się kilkakrotnie, wreszcie odtworzono ją ze starych rysunków i plansz. Biegnie dziś tym samym lekko zakrzywionym łukiem. Jest inna, zmieniona charakter. Ale — jeśli istnieje coś, co można by nazwać duszą ulicy — sądzę, że dusza Nowego Świata nie uleciała z tych miejsc. Moment gdy w Nowym Jorku nagle poczułem jej tętnienie, wydaje mi się zastanawiający. Nie mam zupełnej pewności, czy przyczyną był tylko list i noty w *Pamiętniku Literackim*. Być może wszystko, czego nas pozbawiono, jest bliżej niż przypuszczamy i daje się wezwać w chwili, gdy bardziej napięta myśl wyśle trafny sygnał. Trafność mojej sygnalizacji zapewne polegała na tym, że obraz zimowego wieczoru na Nowym Świecie z lat szkolnych jest dziś dla mnie widokiem najbezpieczniejszego czasu życia. Zatręskniłem... i mimo woli wezwałem. Przyszło. Ukazał mi się biały, lśniący duch mojej ulicy.

W kręgu *Kuźni Młodych* był również pewien inteligentny uczeń lwowskiego gimnazjum, syn profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza i kolega szkolny Jerzego Lerskiego, który w *Przeglądzie Polskim* kreślił sylwetkę.

We Lwowie chodzili do jednego gimnazjum. „Sypiał przeciętnie trzy godziny w nocy i godzinę po południu, by więcej czasu poświęcić poważnej i systematycznej lekturze. Chudy był więc jak szczapa, a żółta cera świadczyła o chronicznym niedośpaniu”. Przy całym respeckie dla zalet intelektualnych wybitnego kolegi Lerski dostrzegał z niepokojem jego pogardę i arogancję wobec przeciwników. Spotkali się znowu na studiach w ugrupowaniu Polskiej Młodzieży Społeczno-Demokratycznej, utworzonym przez rozczarowanych piłsudczyków, dawnych gimnazjalistów z *Kuźni* i Filarecji. Jerzy Lerski wspomina, że jego przyjaciel próbował rozbić tę organizację, co spowodowało między nimi konflikt i zerwanie. „Posłał mi nawet sekundantów — pisze — lecz do pojedynku nie doszło...” Dopiero po wojnie

dotarła do niego wiadomość, że dawny kolega znalazł się z gro-
nem wspólnych przyjaciół we władzach lwowskiej Delegatury
Rządu londyńskiego. Aresztowany przez NKWD odrzucił propo-
zycję współpracy — wybrał zesłanie. Z ZSSR wrócił po Paź-
dzierniku z żoną Rosjanką. W kilka lat później zostaje kierow-
nikiem badań nad kulturą w Instytucie Filozofii i Socjologii
PAN. Należy do socjologów o światopoglądzie marksistowskim.
„Przyszłość kultury socjalistycznej — cytuje go profesor Lerski
— zależeć będzie od siły wzorotwórczej, jaką posiadają i posia-
dać będą podstawowe dla nowego ustroju klasy i warstwy spo-
łeczne, z klasą robotniczą i socjalistyczną inteligencją na czele”.
Publikuje szereg prac naukowych, jedną z nich pod ciekawym
tytułem: „Wspólnota śmiechu: studium socjologiczne komizmu”.
Ministrem Kultury i Sztuki został mianowany niedługo
po grudniu 1981.

Jerzego Lerskiego widywałem w redakcji na Krakowskim
Przedmieściu, kiedy przyjeżdżał ze Lwowa. Jego przyjaciela,
Kazimierza Zygulskiego, nie pamiętam i chyba nigdy z nim się
nie zetknąłem. Ale musiałem pomyśleć o tym dawnym kompa-
nionie ze wspólnego pokolenia czytając list, jaki tu nadszedł
przed tygodniem od znajomego z kraju: „Nowy minister jest
inteligentnym potworem i wszystko świadczy o tym, że postawił
sobie za cel zniszczenie polskiej inteligencji. Dużo już zniszczył
i będzie niszczyć dalej. Możecie być tego pewni. Ma żądzę niszc-
czenia i odpowiednie stanowisko, żeby ją zaspokoić”.

Obok leży na biurku kilka innych listów z Warszawy. Julek
Strykowski pisze: „Siedzę sam w domu, całymi dniami nie
widuję ludzi. Ale przecież nie trwa wiecznie. Jakie to szczę-
ście, że czas mija”. Niedawno skończył 77 lat. Mój brat donosi
mi w ostatniej kartce: „Ciotka jest bardzo chora, nie już nie
zapowiada polepszenia Jej zdrowia. Spodziewamy się najgorszego.
Nie rób sobie wyrzutów, że Cię tu nie ma, bo nie byś Jej nie
pomógł”. To brzmi prawie jak wzmianki o „chorej Kuzynce”
w listach pani Salomei z Krzemieńca.

Głucho o Polsce w amerykańskich mass-mediach. Palę pa-
pierosa i wpatruję się w zapisane linijki. Za oknem sypie ame-
rykański śnieg. Wali na ukos, pomieszany z deszczem i pędzony
wichrem od oceanu. Białło wszędzie. — Co oni tam będą robić
— pytałem wczoraj przez telefon Zbigniewa Byrskiego — za-
kładać tajne kółka samokształceniowe, czy obcinać uszy kola-
borantom albo rzucać butelki z benzyną na partyjne Wołgi i

potem kibitką na Sybir? A co my tutaj mamy robić? Obwiniać się i wywlekać błędy, kłócić się o koncepcję przyszłej Niepodległej, i co dalej? Z powrotem do Chrystusa Narodów?

W sali Fundacji Kościuszkowskiej na 65 Ulicy wisi duży obraz przedstawiający chwilę uwolnienia Kościuszki z twierdzy petersburskiej przez Pawła I. Car w generalskim fraczku stoi z wyciągniętą ręką, na głowie ma peruczkę i trójkątny kapełusz. Opowiedziały mi sekretarki Fundacji, że pewien docent habilitowany, który przyjechał na stypendium z Warszawy, wziął cara za Waszyngtona, a temat obrazu za scenę podziękowania składanego Kościuszcze przez ojca wolnych Amerykanów po zwycięskim rozstrzygnięciu Independence War. O płótnie tym, wyobrażającym nieznaną epizod w dziejach stosunków polsko-amerykańskich, docent napisał w Nowym Jorku pracę naukową i zawiózł ją do Polski.

Wieczorem, umówiony dopiero o 8-ej we francuskiej restauracji na 54 Ulicy, przez godzinę chodziłem po centrum Manhattanu. Na ulicach o tej porze jest luźno, nie ma tłumu, godzina kolacji. Ukryte reflektory rozjarzały szczyty wieżowców, które stoją tu blisko jeden przy drugim, tworząc kolonie świecących grzybów-olbrzymów. Wierzchołki starszych drapaczy, ozdobne, o spatynowanych kopułach, mieniły się niczym jubilerskie brosze. Obok nich najnowsze, podobne do ustawionych pionowo ciemnych i jasnych lusterek, objawiały się niespodziewanie od dołu, ciągnąc wzrok w górę i przebijając swoją wysokością mrok i światło. W zimowe niebo wstępował masyw brył, wież i ścian — spiętrzony, potężny system napowietrznych fortów. Jeden z najwyższych kolosów słał z dachu w krąg reflektora wieczną chmurkę dymu, połyskującą jak rtęć. Inny, szklisty i gładki, wyrastał z terrarium: z ulicy przez tafle przezroczyste i bardzo wysokiej klatki hallu widać było wewnątrz drzewa o świeżych, zielonych liściach; pod nimi na gazonie kilku Murzynów w kapeluszach grało w szachy — zapatrzeni i nieruchomi, spokojni jak w zaświatach.

Zatrzymałem się przed wystawami oglądając buty i książki. Manhattan nie wprawiał mnie już w osłupienie, a fakt, że spaceruję po Piątej Alei, od dawna przestał mnie zadziwiać. W sumie, odliczając pobyt w Paryżu, spędziłem w tym mieście dziewięć miesięcy. Przeżywałem w nim różne nastroje, z nudą

włącznie. Mam jednak mieszkanie, w którym mogę pracować, i lubię przez kilka dni pod rząd nie wychodzić z domu. Oglądam telewizję, czytam, słucham muzyki. Telefonują znajomi, od czasu do czasu ktoś przyjeżdża na kawę. Słowem, życie niemal warszawskie. M. nawiązała znajomości w sklepach. Na Amsterdamie jest supermarket „Apple Tree”, którego właściciel, pan Apfelbaum, w roku 1945 opuścił ziemię małopolską po stracie całej rodziny. Pan Apfelbaum ma dla M. sympatię: — Jak się państwo czują, mąż chwala Bogu zdrowy? — Na śniadanie jadamy twarożek z supermarketu „Apple Tree”. Piszę w listach: „Nie ma powodów do osobistych narzekań. Teoretycznie wszystko dobrze”.

I jednocześnie nieustanne poczucie braku najważniejszych treści. Jest w tym naszym amerykańskim bycie jakieś *niby*, cudzysłów czy nawias odgraniczający od powiązań z własnym losem. Nie umiem tego wyrazić. Jest za cicho. Polski czas, który przez siedem lat tykał jak bomba zegarowa i natężał oczekiwanie, teraz stanął. Cisza. Z ciszy wyłania się myśl, że cud, na który czekaliśmy, już się dokonał. Przeciw nam. Cud przeobrażający: straszny cud klęski. Niemoc ogarnia w obliczu tego przemienienia nadziei w proch. Żyje się jeszcze w nawyku oczekiwania, snują się resztki wątków, ale już nic się ze sobą nie wiąże. W telewizji co kilkanaście dni pojawia się wieczorem biało-czerwony sztandarek z napisem *Solidarity*, po czym na ekranie widać jak otyły mężczyzna z wąsami śpiewa w kościele nabożną pieśń. Trwa to dwadzieścia sekund, tyle co opowiadanie dowcipu z pointą. Nazajutrz wstaję z pustą głową. Próbuje robić notatki i słyszę jak stuka we mnie jałowy bieg czekania.

W restauracji „Le Cygne” na 54 Ulicy miałem spotkać dwóch amerykańskich uczonych, wybitnego biologa i znakomitość w dziedzinie pediatrii. Pierwszy ukończył przed wojną studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim, drugi jako czternastoletni chłopiec był łącznikiem w Powstaniu i po maturze zdanej w Krakowie wyjechał na Zachód. Czekałem na wybiecie godziny, krążąc w pobliżu restauracji i starając się usunąć z głowy pewną myśl. Tego dnia rano napisałem list do Leszka Kołakowskiego, także profesora, który opuścił Polskę w dwadzieścia kilka lat po wyjeździe biologa i pediatry oraz pana Apfelbauma. List wysłałem do Oxfordu w Anglii, gdzie Kołakowski od dawna mieszka. W liście, dzieląc się z nim ową nawiedzającą mnie myślą, napisałem: „Od wczoraj wykładam na Columbii o literaturze polskiej po wojnie. Mam około dwudziestu słuchaczy. Moim celem jest doprowadzenie do momentu, kiedy zrozumieją,

że mówi do nich człowiek zrozpaczony, który od dziecka nie-
nawidzi analizowania utworów literackich, ale obecnie musi
się z tego utrzymywać. Przewiduję, że przy zachowaniu pewnych
środków ostrożności katastrofa nastąpi w połowie kwietnia.
Kurs chcę zamknąć pożegnalnym odczytem: 'Dlaczego nie
należy wykładać o literaturze'. Walizki będę miał już spako-
wane''.

Do wykładów na Columbii zobowiązałem się jeszcze przed
wyjazdem z Paryża, był to punkt umieszczony w oficjalnym
zaproszeniu. Termin wydawał mi się daleki, majacący w nie-
jasnej przyszłości, zgodziłem się więc bez większych oporów.
Z jednym tylko życzeniem, abym nie musiał wykładać po an-
gielsku. Życzenie zostało przyjęte. Uznałem sprawę za pomyślnie
załatwioną i powierzyłem ją czasowi. Po przyjeździe do Nowego
Jorku termin rozpoczęcia wykładów był jeszcze wciąż odległy.
Nie zaprzątałem sobie głowy obawami, które — sądziłem —
rozproszą się w zetknięciu z konkretem. Pewnego dnia wejść
do sali, przed sobą będę miał studentów, za sobą tablicę z kredą.
I zacznę mówić. Z takich sytuacji nie ma wyjścia. Zacznę, po-
nieważ będę musiał zacząć. Z pierwszych słów rozwinie mi się
wykład, w końcu jest o czym mówić, są autorzy i teksty, mam
zresztą doświadczenia z dawnych paryskich wykładów...

I otóż paryskie wykłady — tu właśnie pamięć mnie zwiodła
jakimś beztróskim upiększeniem. Z przeżytej wówczas męczarni
pozostał mi tylko sztafaż, garstka rodzajowych wspomnień. A
przecież było tak, że po powrocie z wykładu mówiłem w domu
o torturach i pędzeniu przez kije. I nic innego nie miałem na
myśli, jak tylko własną upartą niechęć do wykładania o litera-
turze, mój strach przed nudą i mózgową próżnią — przed nie-
dorzecznością. Bo odczuwałem jako niedorzeczną sytuację w któ-
rej uczy się kogoś rozumieć utwór literacki. Nigdy żadnej
książki nie czytałem po to, aby ją zrozumieć. Lektura z włą-
czonym jednocześnie przewodem interpretacyjnym byłaby dla
mnie czymś równie niemożliwym, jak akt miłosny połączony
z badaniem lekarskim. Czytać oznaczało dla mnie ulegać, wie-
rzyć, utożsamiać się, być bezbronnym. Moje prawdziwe wielkie
lektury... ależ to było wejście w świat stworzony od nowa i po-
grążenie się w nim aż do utraty własnej osobowości. Byłem
dobrym medium. Analizować? obrabiać intelektualnie? W tran-
sie czytania należałem do utworu, byłem jego własnością, jedną
z postaci wplątanych w jego wątki. Nigdy na dystans, zawsze
wewnątrz. To nie ja pochłaniałem książki, to one wchłaniały
mnie w siebie. Powieści i wiersze dzieliły nade mną światło od

ciemności, opowiadały o duszach i losach, czułem jednak, że chodzi o mnie. Mówiły o życiu i śmierci, ale zarazem mówiły o mnie. Ja natomiast nie miałem o nich nic do powiedzenia. Byłem wyeksploatowany jak po seansie hipnotycznym, zaparty w siebie i całkowicie niezdolny do refleksji. Czasem tylko litery ulubionego tytułu lub nazwisko autora wlewały we mnie ciepły haust zachwyty. Było to dość bliskie religii i kultu świętych. Podobny stosunek do literatury miał wspomniany tu kiedyś student uniwersytetu Yale, który na widok Faulknera stojącego przed księgarnią na rogu Fifth Avenue chciał uklęknąć i pocałować go w rękę. W moim pojęciu jest to stosunek do literatury najbardziej właściwy i naśladowania godny. Mówię bardzo poważnie.

Tak było i jest. Traf, że po raz drugi w życiu muszę zająć miejsce wykładowcy prowadzącego kurs uniwersytecki o literaturze zakrawa na wyrafinowaną ironię. Brak mi nie tylko powołań: nie mam s z k o ł y. Przez cały okres moich studiów na Uniwersytecie Warszawskim ani razu nie wpadło mi do głowy, by zająć do audytorium wydziału polonistyki i posłuchać wykładu. A na wykładach polonistycznych bywało wielu moich kolegów z wydziału prawa, z pewnością najinteligentniejszych. I właśnie oni przechodzili przez szkołę usystematyzowanej wiedzy o literaturze. Wiedzy, która miała swój język. Używali go w rozmowach. Mówili na przykład „biologiczny witalizm Skamandrytów” albo „futurystyczny urbanizm Awangardy”. Wpadałem w przygnębienie. „Post-romantyczny modernizm Wyspiańskiego...” Tam na polonistyce każdy miał szpilkę, którą nakłutwał motyla i umieszczał go w odpowiedniej przegródce atlasu. Czytali, owszem, namiętnie, ale jak gdyby zbiorowo i nie wprost, czytali w wiecznym trybie komentarza, badając i opracowując utwór z historyczno-literackiego *ponad* czy *obok*. Niektórzy założyli już własne kartoteki z „fiszkami”, w których poezja leżała rozczłonkowana na cytaty, jak w słojach laboratoryjnych. Czułem przez skórę w tych naukowych opracowaniach nowy rodzaj stosunków z twórczością, niedyskretnie elokwentny i, powiedziałbym, wyzuty z pokory. Nie przeczuwałem tylko, że mam do czynienia z mocarstwem przyszłości. To była organizująca się armia filozoficznych wykładowców, która dzisiaj sięga po władzę nad literaturą. Zostałem wiecelony.

Polana leśna otaczała niski dom o złuszczonych narożnikach i głęboko osiadłym dachu z trzema lukarnami mansard. Polana

niegdyś musiała być częścią parku, który po wojnie dziczał, aż w końcu las w niego wszedł. Z bramy zostały tylko dwa kamienne słupki obrosnięte mchem. Kiedyś musiał tu być także klomb ze słonecznym zegarem, z którego przetrwała obłupana podstawa, a wokół klombu chyba szeroki podjazd przed nieistniejący już ganek; na frontowej ścianie widać było zamalowane ślady. Przyjechaliśmy wówczas z M. odwiedzić siostrę mojej matki, która rokrocznie spędzała dwa letnie miesiące w tym wiejskim domu, gdzie na parterze były chłodne pokoje. Starsze panie mieszkaly wśród rozsychających się mebli z zeszłego wieku, w pokojach unosił się słodkawy zapach. Przypominam sobie czarnobiałe fotografie w ramach, zniszczone talie kart i fajansowe miednice z dzbankami na komodach. Bywali tu także profesowie uniwersytetu, aktorzy i żony adwokatów. Przyjechał wtedy z nami młody reżyser filmowy z przyjaciółką, malarką. Siedzieliśmy na leżakach i składanych krzesłach wokół stolika, na którym ustawiono filiżanki. Z domu co jakiś czas wychodziła jedna ze starych pań, gospodyni wymieniała nasze nazwiska i pochylała się w ukłonie przed eleganckim szkieletem o suchej ręce wspartej na laseczce. Za domem, w lesie, mówiła gospodyni, są mogiły styczniowych powstańców, ale trudno je rozpoznać, bo zrosły się z grobami rosyjskich żołnierzy, tych z pierwszej wojny.

Z początku rozmawialiśmy o powieściach Nałkowskiej i o jej mężach. Przeważnie o drugim z kolei, w binoklach i mundurze pułkownika, którego zdjęcie stało na fortepianie w pokoju o wyglądzie dawnego salonu. Był krewnym tego domu. Właśnie w trakcie rozmowy o Nałkowskiej ukazała się w głębi polany kobieca sylwetka w jasnej sukni, o zwiewnych i powolnych ruchach, jakby idący ku nam od drzew wiotki duch z przezroczystą twarzą i czarną przepaską na czole. Była już blisko. Biała, wapienna, o martwo świecących oczach, niosła ogromny bukiet polnych kwiatów. Najpiękniejszy z kościotrupów, wpadło mi na myśl. M. wstała i podeszła do niej. Zjawa patrzyła długo wielkimi oczami bez powiek, dosłyszałem okrzyk, westchnienie, kredowa ręka przygarnęła M. i rozległ się chrapliwy, cudownie melodyjny bas: — Poznając... Ależ tak, poznając... — Usiadły obok siebie.

Rozmowa potoczyła się o kwiatach i bukietach, mówiono o Odetcie i epizodzie z katlejami, a potem o malwach podkrakowskich i Zosi z „Wesela”, pani Boyowej-Zeleńskiej. Ktoś nagle wspomniał przedwojenny Bal Mody, kiedy Iwaszkiewicz tańczył z żoną Wieniawy, i zastanawiano się, czy to było przed

czy po „Pannach z Wilka”. To przecież Bunin, zauważyła gospodyni, Kazia i Jola są całe z Bunina... Rozmawialiśmy o autorach i postaciach z ich książek. Również o kobietach zakochanych w pisarzach i o tych, w których oni się kochali. A także o Rachel w czerwonym szalu i jej — tak mówiono — krakowskim flircie z Komendantem... Zaczął ktoś opowiadać o samobójstwie Wieniawy, który wyskoczył z okna w Nowym Jorku, przed czy po Lechoniu? — pytał zaciekawiony reżyser. Przed, na wiele lat przed. Opowiadano, jak na Wieniawę burzyła się przedwojenna ministrowa, że rzucił się z okna w szlafroku i nieogolony, on, polski ułan, oficer Komendanta. Proszę sobie wyobrazić: jak gdyby to było najważniejsze, co w takim dniu miał na sobie Wieniawa, albo ta biedna Karenina. O czym tu mówić, rzekła gospodyni, ubrał się w co tam miał... A później znowu o kwiatach, „Kwiatach polskich”, i ciemnej owalnej plamie na twarzy Tuwima.

Była to rozmowa, w której mieszały się osoby żywe, fikcyjne i umarłe, bohaterki powieści z muzami poetów. Jedna z tych rozmów, bez których literatura nie potrafi się obejść i nie wiem, czy mogłaby istnieć. Tworzą wokół niej drugi, współbrzmiający krąg, otaczając twórczość swoimi głosami — powtórzeń, okrzyków, plotek i zachwyconych jęków. I może w tych głosach spełnia się ostateczne złączenie sztuki z życiem, właściwie dopiero one robią z niej prawdę między ludźmi. Muszą być tylko naturalne. Tak rozmawiać mogą jedynie osoby nie poszkodowane przez sztukę. Brzmi to dziwnie, są jednak ludzie, którym obcowanie ze sztuką zaszkodziło. Przez to że zobowiązała ich ponad stan, że skłoniła ich do odrzucenia prostoty, a nawet do zatajania własnych zalet z obawy przed naturalnością, która wydaje im się pospolita. W zetknięciu ze sztuką na takie osoby pada zły czar, ogarnia je zamęt i lęk. Nieprzekonane o swoim dobrym smaku, pełne wątpliwości w swój wzrok i słuch, ratują się sztuczną — zapożyczonym kultem bądź rekomendowaną pogardą. I zamieniają się w niepewne siebie monstra z wiecznym grymasem na ustach, bałwochwalczym albo bezlitosnym. Znam sporo takich osób, kobiet zwłaszcza, poszkodowanych przez sztukę.

Biała dama, spoczywająca w trzcinowym fotelu obok M., paliła gauloisy. Co pewien czas dorzucała w rozmowie ciche słowa, wypowiedane z roztargnieniem, jakby zza innych myśli. Ale w każdym jej odezwaniu uderzająca była dla mnie nieomyślność dotknięcia i jakaś rozmarzona poufałość, kiedy mówiła o zmarłych przed wiekiem poetach. Można było pomyśleć, że ich znała. I doprawdy zastanowiłem się przez chwilę, skąd ona tutaj do nas

przyszła. — Kto to był? — spytałem wsiadając do samochodu. Na co M. zdziwiła się, jak mogłem nie odgadnąć, przecież tyle razy mi o niej opowiadała, o pani W... z Wołynia, która paliła francuskie papierosy przez długą bambusową fajeczkę i abono-
wała La Revue des Deux Mondes, i w której kochał się Bunin, a przedtem Matisse, i podobno ktoś jeszcze... bodaj Narutowicz. Niewidzialna w kresowym miasteczku, ukryta za kotarami przysłaniającymi okna, cierpiąca na migreny po powrotach z Paryża lub Genewy, kruczowłosa pani W... z aksamitną przepaską na czole. Czasami można ją było zobaczyć przez sztachety ogrodu, czytającą w cieniu parasolki; książki, rękawiczki i pędzle leżały rozrzucone na trawie obok sztalug.

Przypominam sobie najlepiej opowiadanie M. o dniu z jej dzieciństwa, gdy idąc z matką przez główną ulicę miasteczka pierwsza dostrzegła z daleka panią W... spowitą w kir peleryny i woalki, sunącą w pośpiechu środkiem jezdni. Pochyliła się nad M. odsłaniając twarz mokrą od łez: — Nie ma go już... Odszedł. — Deszcz padał tego dnia. Pani W... biegła do kościoła modlić się za duszę Żeromskiego.

Nie mam pewności, czy Żeromski mógłby wyklądać o literaturze.

Przyboś mógłby na pewno wyklądać o literaturze.

O literaturze mógłby wyklądać Gombrowicz, ale osobliwie. Gałczyński? Może po wódce, ale osobliwie.

Ważyk mógłby wyklądać o literaturze.

Czy Słowacki mógłby wyklądać o literaturze? Nie ma pewności.

Fredro w żadnym wypadku.

Mickiewicz wyklądał o literaturze.

Mam inteligentnych słuchaczy. A właściwie — słuchaczy o inteligentnych twarzach, bo żaden się jeszcze nie odezwał. Nic nie mówią. Są chyba tak samo skrępowani jak ja, z tą różnicą że ja muszę mówić. Na pierwszy wykład przyszło dwadzieścia kilka osób. W większości młode kobiety, o dyskretnie uśmiechniętych albo bardzo poważnych spojrzeniach. Niektóre robiły notatki. Najwięcej zapisywała postawna, zadbana szatynka, z wyglądu żona lekarza albo przemysłowca, pewnie niepracująca i o zainteresowaniach artystycznych. Po prawej stronie błada, czarnooka dziewczyna sprawia wrażenie studentki z powołaniem

seksualnym. Bardzo intrygująca — nagrywa na taśmę. Z lewej strony, przy drzwiach, dwaj zupełnie młodzi chłopcy. Jeden po roku studiów rolniczych w Polsce, drugi — psycholog. Trzy wesołe Amerykanki, w tenisówkach i z przewieszonymi przez ramię drelichowymi torbami, nie mówią po polsku, ale jedna zapisuje, więc rozumie. Poprosiłem słuchaczy o podanie nazwisk. Student siedzący naprzeciw mnie powiedział: — Jestem Marek.

Przed wykładem ktoś podszedł do mnie pytając, jakie książki będziemy przerabiać. To mnie przeraziło. Po lekturze książki mam o niej do powiedzenia najwyżej jedno zdanie. Drugie przychodzi mi do głowy może po tygodniu, może po miesiącu. Nasz brodaty polonista u Reja, Leon Rygier, wiedział, że nie lubię *przerabiać*, i jakoś mi to odpuszczał. Nieraz poczytałem sobie dość zuchwale. Gdy klasa męczyła się w ciszy nad zadany temat: „Konflikt dwóch światopoglądów w 'Nieboskiej Komedii'”, ja pisałem od ręki trzy stroniczki: „Czar Łazienek jesienią”. Raz jednak na pauzie Rygier przyparł mnie brzuchem do ściany: — Ty może zostaniesz pisarzem, ale w piątek na lekcję przyjdzie wizytator i ja cię będę pytał z „Anhellego”. O Łazienkach zapomnij! — Boże, jak ja ubóstwiałem tego człowieka. „Moja była żona, pani Zofia Nałkowska...” Po rozwodzie uwiódł ją w jej pokoju, o czym napisała w „Dziennikach”.

Wykład trwa od 6-ej do 8-ej. Trzeba mówić nie śpiesząc się, żeby wystarczyło materiału na dwie godziny. Na pierwszy i drugi wykład przygotowałem rzut ogólny. Rozpocząłem od „Bogurodnicy”. Było kwadrans po 6-ej. O 7-ej byłem już przy pozytywizmie. W czterdzieści pięć minut siedemset lat. Zostało mi tylko sto i cała godzina wykładu.

Dobre duchy sprawiły, że nie muszę wyklądać po angielsku. Tu by nie pomogło *e...ee...eee...* Amerykanów, rodzaj namysłu przed doborem słowa, to ich stękanie, które podrabiam rozmaivając, żeby załatać dziurę w angielszczyźnie. Tak samo nie pomógłyby mi żartobliwy wstęp, od którego rok temu zaczynałem przemówienia, podobno londyńskim akcentem: „Mój nauczyciel angielskiego umarł po jedenastej lekcji...” Tak sprzedawałem śmierć Stephena Willeysa, by po życzliwym szmerku móc już sobie pozwolić na błędy.

Zamieć. Dzika, oslepiająca. Ludzie widoczni jakby przez białą zasłonę machają nieprzytomnie rękoma biegnąc do taksówek. Autobusy suną w kurzawie, dyszą ciężko. Kiedy szedłem do subwayu, wiatr ciskał wściekle w oczy garście śniegu, ostre

jak sól. Wielu przechodniów miało twarze owiązane szalami, taki wiatr powoduje odmrożenia. W czeluściach stacji Grand Central zbity tłum parł z kilku stron ku peronom. Niewidomy Murzyn z laską i garnuszkiem w ręku stał na skrzyżowaniu trzech podziemnych przejść, cudem nie zatratowany. Głowę miał jakoś dziwnie zadartą, tłum go potrzącał napierając w milczeniu i zdawało się, że lada chwila głowa ślepcy zniknie. Nagle w tłumie przystanął jakiś człowiek i wrzucił monetę do blaszanego garnuszka — mężczyzna w wełnianej czapce z pomponem. Miał jedną nogę i dwie metalowe kule. Zaraz potem tłum go zastonił. Trwało chwilę, gdy kulawy wsparł ślepego.

Nazajutrz słońce i odbłask. Wzdłuż pustej jezdni Amsterdam Avenue słychać okrzyki i śmiechy ludzi odkopujących samochody. Przed węgierską kawiarnią, w której bywają studenci z Columbii, ktoś zdążył już ulepić rzezbę w śniegu. Dwie białe postacie ludzkie naturalnej wielkości, mężczyzna i kobieta, siedzą obok siebie, w połączone ręce wetknięta świeża pąso-wa róża.

Podczas uroczystości ogłoszenia nagród Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego mówiłem w podziękowaniu:

„Nagroda dzisiejsza ma dla mnie znaczenie poważne. Może przede wszystkim dlatego, że unoszą się nad nią najlepsze duchy literatury polskiej. Przyznawana jest od lat niemal dwudziestu, zawsze z myślą o wartościach, które tworzą tej literatury niepodzielność. Chciałoby się powiedzieć: jej rozum i piękno. Przyznano nagrodę Fundacji Jurzykowskiego pisarzom żyjącym w Kraju i poza jego granicami; autorom, których biografia i twórczość miały linię konsekwentną i prostą, oraz prozaikom i poetom, którzy przebyli inną drogę — zawiłą, uwikłaną w sprzecznościach. Do galerii laureatów weszli Józef Wittlin obok Jana Parandowskiego, Gustaw Herling-Grudziński obok Tadeusza Konwickiego i Wiktora Woroszylskiego. Otrzymali ją Czesław Miłosz, Sławomir Mrożek, Zbigniew Herbert i Julian Strykowski. Otrzymał ją także Paweł Hostowiec. I Andrzej Kijowski. Witold Gombrowicz i Jerzy Andrzejewski. Jury nigdy nie dzieliło literatury polskiej na krajową i emigracyjną. Widziało ją mądrze: w jej całości. W jej całości dramatycznej. Dzisiaj ta niepodzielna całość jest dla nas oczywista i dawne rozgraniczenia wydają się równie niedorzeczne, jak niedorzecznym byłoby nazywać Aleksandra Fredrę pisarzem krajowym lub Adama Mickiewicza poetą emigracyjnym. Dziś brzmi to absur-

dalnie, jakkolwiek tę różnicę dwóch polskich kondycji i losów przeżywano głęboko, nieraz tragicznie. Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że Fredro przestał wystawiać swoje komedie po przeczytaniu „Dziadów”, że załamał się — on, autor szlacheckich krotchwil — pod wrażeniem rozpaczy i gniewu dobywających się z Wielkiej Improwizacji. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że gdyby nagroda Fundacji, którą Państwo reprezentujecie, istniała już wówczas, dano by ją i Mickiewiczowi i Fredrze. A wkrótce potem Norwidowi i Kraszewskiemu. Jest to bowiem nagroda przyznawana rozumnie. Przez co tym bardziej zaszczytna. Laureat musi przywołać głos opamiętania, aby zachować skromność”.

„Jest to nagroda ufundowana na emigracji, daleko od Kraju. Tak się bowiem dzieje — i nie za naszą sprawą — że Polska nadal żyje w dwóch egzystencjach, będąc również dzisiaj, w innym sensie niż królestwo Jagiellonów, Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Kraj i Emigracja. Od prawie dwóch wieków kultura polska czerpie siły żywotne ze wzajemnej osmozy, z przenikania się substancji kraju i emigracji, emigracji i kraju. Dzisiaj znowu widzimy nasze dzienne sprawy w świetle powtarzalności dziejów narodowych. Myślimy o epoce paskiewiczowskiej, o Styczniowcach i kamiennej obręczy Cytadeli wokół Warszawy. Polską rządzi grupa ludzi w uniformach, bez idei społecznej, bez myśli o zbiorowym urządzeniu życia w godności i prawach — jedynie w oparciu o siłę mechaniczną, duchowo martwą. Dzisiaj znowu Emigracja jest niezbędna dla Kraju jako druga, współistniejąca Polska, źródło duchowego życia. Znowu jest konieczne przeciąganie nici, widzialnych i niewidzialnych, łączących obydwie rzeczywistości we wspólny polski organizm”.

„Myślę dziś o pisarzach w Kraju. Trudno nie myśleć o warunkach, w jakich przyszło żyć i pracować pisarzom, którzy bronią w Polsce swej niezależności. Są to pisarze doprawdy niezależni. Nie pozostało im nic oprócz pióra i rękopisu, który można im odebrać każdej nocy. Cieszą się wspaniałą niezależnością więźniów. Niektórzy są więźniami w znaczeniu dosłownym. Nazwano ich więźniami sumienia. Obecność i głos emigracji są dla nich wszystkich życiodajne. Potrzebna im jest pomoc. Materialna i nie tylko materialna. Widzialna — i ta promieniująca umysłowo, która przenika przez mury. Pisarzom w kraju potrzebna jest nadzieja i pewność, że w Nowym Jorku, w Londynie, w Paryżu nie zapomniano o nich. Że pomoc nadejdzie stamtąd. Z Emigracji”.

Hilarego Koprowskiego, współtwórcę (razem z Salkiem)

szczepionki przeciw chorobie polio, który zdał maturę w gimnazjum Reja jednocześnie ze mną, widziałem w czwartym rzędzie krzesła. Zdzisław Baua, przedstawiciela radiostacji „Głos Ameryki”, nie pamiętam ze szkoły, bo u Reja był o kilka klas wyżej. Siedział z magnetofonem tuż koło środkowego przejścia między krzesłami. Laureat nagrody w dziedzinie naukowej, profesor Jan Venulet ze Szwajcarii, ukończył gimnazjum Reja w pięć lat po mnie i z kolei on mnie nie pamięta. Maturę zdawał już po wprowadzeniu przedwojennej reformy szkolnej, zwanej „jędrzejewiczowską”, której autor, ówczesny minister Oświaty Wacław Jędrzejewicz, siedział z żoną po prawej stronie w drugim rzędzie.

Obaj z Hilarym podkochiwaliśmy się w pięknej siostrze profesora Venuleta, którą często mijaliśmy na Kredytowej po drodze ze szkoły. — Ale ty zacząłeś już chodzić na wieczorki z panną Marysią Zenowicz — uśmiecha się Hilary.

Mocno się dziwię, że ludzkość nie wymyśliła dotąd przekleństwa: „Obyś musiał żyć w obcym kraju!” Po latach w Polsce, przeplatanych długimi pobytami za granicą, w pełni doceniam wartość „bycia u siebie”. Do Warszawy z każdej podróży wracałem nadszarpnięty, w pośpiechu i z ulgą. W losie emigranta czułem udrękę i gorę przemilczanych cierpień. Przemilczanych — bo stykając się z emigrantami zauważyłem, że nie lubią mówić o swoich dawnych przejściach na obczyźnie, zwłaszcza o początkowych, tych najcięższych. Tu w Ameryce obserwuję je z bliska. I na uwadze mam nie siebie, moje położenie bowiem nie jest odcięciem bezpowrotnym, nie została zerwana ostatnia nitka: wciąż jeszcze mogę kupić bilet do Warszawy. Ponadto okoliczności tak się ułożyły, że mam tu z czego żyć do końca roku. A to jest dużo, zważywszy że nowy emigrant, aby utrzymać się przez rok, musi dokonywać z dnia na dzień rozpaczliwych i nieraz upokarzających wysiłków i tylko dzięki kureczowym ruchom nie idzie na dno. Widuję tu dość często ludzi, którzy przeżywają tę pierwszą, najgorszą fazę. Młodszych i starszych, o rozmaitych zawodach. Studentów z Wrocławia, nocujących w składziku przy sklepie, i takich jak znajomy M., lekarz z Łodzi, który jest sprzątaczem na Wall Street („nocą zmywam klozety po Arabach, a w dzień wkuwam angielskie słówka...”). Przyjeżdżają *via* Wiedeń albo wprost z PRL — z polskim wyobrażeniem o Ameryce kalifornijskiej, złotodajnej, gdzie po roku człowiek ma własny domek z basenem i dwa samochody. Zała-

manie przychodzi na ogół po miesiącu. Pewnego dnia w ciemnych korytarzach subwayu, na widok byle jak ubranych ludzi, stłoczonych w niechlujnym wagonie albo biegnących ku wyjściom jak gnane stado, nowo przybyłego ogarnia strach. Czuje się biedną myszą patrząc na cudowne kolorowe wieże w centrum miasta. Boi się opustoszałych kamienic, w których gnieźdzą się bezdomni, i tłumów przewalających się przez ulice. Nogi mu spuchły od daremnych wypraw do urzędów i firm, ręka mdleje od wypisywanych podań, język ma wywichnięty od amerykańskich zwrotów, mózg wymęczony bezustannym wsłuchiowaniem się w dzielnicowe slangi. I myśli ze zgrozą, co zrobi z nim to miasto, gdy wszystko go zawiedzie i nie będzie już miał gdzie się podziać.

Są tacy, co nie wytrzymują miesiąca, słyszałem o próbach samobójstwa. Wielu przeklina chwilę kiedy zwrócili paszporty, niektórzy chcą jechać dalej, do Afryki Południowej, do Australii. A równocześnie przybywają nowi, z Warszawy, z Poznania, Szczecina. Naukowcy, robotnicy, inżynierowie, byli działacze Solidarności. Przyjeżdżają z żonami i dziećmi, żeby zacząć od zera.

Ale żyją tutaj stare Chinki, Żydówki, Peruwianki, bardzo stare i źle mówiące po angielsku. Żyją samotnie albo przy dzieciach i wnukach, które skończyły amerykańskie szkoły i uniwersytety. Przypatrując im się w sklepach lub na ulicznych skwerach, gdzie można je zobaczyć siedzące na ławeczkach, myślę: Judymowe. Często namawiam przyjaciół, żeby przeczytali dziś w „Ludziach bezdomnych” ten najwspanialszy w literaturze opis uchodźczej pielgrzymki. Nowy imigrant z Polski mógłby na takiej ławeczce usłyszeć wiele ciekawych opowieści. Te sterrane, zgrzybiałe kobiety wiedzą dobrze ile razy człowiek, nim pojmie, że nie zginął, musi tu poczuć śmierć w duszy. Bo Ameryka przygarnia, lecz nie przygarnia łatwo i od razu. Tak było zawsze. W chińskich, polskich, włoskich i hiszpańskojęzycznych dzielnicach Nowego Jorku mieszkańcy, którzy dzisiaj uroczyście obchodzą swoje narodowe parady, są już Amerykanami, ale kiedy się rodzili, byli częstokroć dziećmi nędzy. Stać się z emigranta Amerykaninem to niemal zawsze wymaga ofiary czyjegoś losu. Aby ktoś został Amerykaninem, ktoś musi przejść przez czyściec. Dziedzińce Columbii roją się od różnoetnicznej młodzieży o niejednakowych odcieniach skóry, młodzieży trochę krzykliwej i roznamłanej zewnątrz. Jej swoboda bycia

i bezpośrednio są godne zazdrości. Idąc przez campus spotykam często twarze o bardzo czystych rysach, prawdziwie marzycielskie; chyba nigdzie indziej nie widywałem tak romantycznych profilów, jak wśród amerykańskich studentów. Bynajmniej nie trąci fantazją przypuszczenie, że wielu z nich jest wnukami starych kobiet z Podhala czy Kalabrii, które pół wieku temu przeżywały tu mękę pierwszych lat emigracji.

Parę dni temu oglądałem w telewizji zdjęcia ukazujące grupę nędzarzy z tobołkami, uchodźców z Wietnamu. Objuczeni, pchając przed sobą wózki z niemowlętami, szli po mokrym asfalcie w stronę punktu imigracyjnego. Widać było powiewającą flagę Stanów Zjednoczonych i widać było, że ci ludzie, uratowani od głodu lub śmierci w obozie, drepczą ku amerykańskiej fladze niepewnie, jakby z trwogą. Zbliżali się do miejsca, w którym Ameryka ich przyjmie. Bo Ameryka przyjmuje. Ameryka nadal przyjmuje, Ameryka jeszcze przyjmuje.

— Jeżeli z jakiegoś kraju ludzie nie chcą uciekać — powiedział mi w zeszłym tygodniu pan Apfelbaum — jeżeli w tym kraju z każdym klientem pan może rozmawiać o wszystkim, co pan chce, i jeżeli co drugi pana klient gdzieś ma na świecie swoją starą Wieliczkę, ale żyć chce w tym kraju, to znaczy że to jest dobry kraj.

Dzielnice Greenpoint zamieszkuje amerykańska Polonia, która osiadła tu dawno. We wnętrzu olbrzymiego Brooklynu leży to miasteczko o węższych, mniej ruchliwych jezdniach niż Broadway i niewysokich, dwu-trzypiętrowych domach, przeważnie drewnianych, lecz z zewnątrz imitujących „city” i oblepionych firmowymi reklamami. Boczne uliczki ciche, smętne; z tyłu za domkami są podwórka, na których rosną jabłonie. Czasem przypomina się polska prowincja z Galicji czy Zagłębia. Ani pięknie, ani brzydko, za to bezpieczniej. Są tu jeszcze sklepiki z pętami kiełbas za szybą i ogórkami z koprem w słojach. Na chodnikach co krok słychać polski język. W ów kawałek znajomego świata wjechałem starym Fordem. Przywieźli mnie dwaj młodzi chłopcy z klubu POMOST.

Salka niby kawiarniana, ze stolikami, światło nie jaskrawe. Przywitał mnie malowniczy kierownik klubu, chyba trzydziestoletni, z brodą spływającą do pasa. Pełno. W znacznej większości młodzież. Wszedłem na estradę, usiadłem i zacząłem czytać fragment „Miesięcy” pisany jeszcze w Paryżu.

Czytałem trzy kwadranse; reakcję publiczności czuje się już

w pierwszych minutach. Tu odbiór był dobry, życzliwa cisza przerywana niekiedy śmiechem, zawsze w porę; raz w trakcie lektury rozległy się oklaski. W przodzie sali, blisko mojej estradki, widziałem państwa Jędrzejewiczów i żonę nieżyjącego już Aleksandra Janty, z którym się przyjaźniłem. M., zaproszona przez nich, siedziała przy ich stoliku. Dalej w głębi nieznajome twarze, z boku stało kilkanaście osób. Atmosfera skupiona i z lekka uroczysta, przy jednym ze stolików zauważyłem nawet kogoś w ciemnym garniturze: mężczyznę z rumieńcem i przystrzyżonym wąsem, czterdziestka, biały kołnierzyk i popielata muszka. Po lekturze nastąpiła część dyskusyjna, a właściwie rozmowa, padały uwagi i pytania. Dotyczyły sytuacji w kraju, głównie środowisk artystycznych i naukowych. Ale nie tylko. Pytano również o KOR, ktoś zagadnął o „lewicowe poglądy” Kuronia i Michnika. Odpowiadając na pytania czułem utkwione we mnie spojrzenie mężczyzny w ciemnym garniturze, tego z muszką i wąsem. Słuchał moich wyjaśnień z ciekawością i przychylnie znaczącym uśmiechem. Ten się na pewno odezwie, myślałem, to jeden z takich, co przeczekują, aby zabrać głos pod sam koniec, rzuci parę efektownych tytułów lub cytatów, którymi się oddzieli od przeciętności.

Odezwał się nieco wcześniej niż sądziłem, po czyjejs uwadze o osobie znanego literata, który w warszawskiej telewizji gorąco poparł stan wojenny. Sala była tą sprawą zainteresowana i pytanie słuchacza w ciemnym garniturze przeszło jak gdyby mimo uszu. Odpowiedziałem mu więc dopiero po chwili i krótko, gdy padły już następne pytania. — To nie jest pseudonim — wyjaśniłem — po prostu nazwisko. — Bo o co spytał, dosłyszałem wyraźnie. Wysunął ku mnie głowę z grzecznym uśmiechem: — Przepraszam za ciekawość, może niedyskretną... mnie interesuje, czy obaj z bratem panowie sobie wybrali ten literacki pseudonim ot tak, dla żartu? pewnie na cześć angielskiej „brandy”? Ja bardzo przepraszam, że tak wprost... ale właśnie myślę, taka okazja, więc może najlepiej bezpośrednio... — I zatopił we mnie serdecznie dociekliwe spojrzenie.

Ja także przez chwilę patrzyłem na niego z uśmiechem. Witał — pomyślałem — niestrudzony badacz proveniencji, znów się spotykamy jak w dawnych czasach i znów czytam pytanie w twych nadwiślańskich oczach: z kim mam przyjemność? Nie, to nie jest pseudonim. To jest moje prawdziwe, odziedziczone po rodzicach i dziadkach, askenazyjskie nazwisko, choć nie brzmi zdecydowanie po żydowsku. Ale nie więcej ci nie powiem.

A mógłbym. Mógłbym odpowiedzieć mu tak:

„Jeśli doprawdy interesuje pana autentyczność mojego nazwiska, chętnie udzielię bliższych informacji. Proszę z nich wybrać te, które uzna pan za najważniejsze w odniesieniu do mojej osoby. Niedaleko Pragi czeskiej znajduje się miasto Brandys. Wspomina o nim Szwejk: 'Pewien zegarmistrz z Brandysu...' W wieku XVII i XVIII nastąpiły w tym mieście prześladowania ludności żydowskiej. Żydzi z Brandysu poszukiwali schronienia w innych krajach — w Niemczech, Holandii, Danii, później w Ameryce Północnej. Część osiedliła się w Polsce. Nazwa miasta, z którego pochodzili, zmieniała końcówkę. W Niemczech najczęściej zwali się Brandisami, w Danii — Brandesami (krytyk i myśliciel Georg Brandes), w Stanach Zjednoczonych sędzią Sądu Najwyższego był Louis Brandeis i powstał uniwersytet jego imienia. W Polsce zachowała się na ogół końcówka pierwotna. Rodziny Brandysów żyły w Polsce południowej i centralnej. Niektóre przyjęły chrzest w XVIII wieku, inne pozostały przy judaizmie. W początku w. XIX nazwisko Brandys nosili założyciele żydowskich manufaktur w Tomaszowie Mazowieckim oraz posiadacze majątków ziemskich w Krakowskim. W roku 1863 żołnierzem Powstania Styczniowego była Anna Brandys, z matki Wertheim. W latach 1890-1900 jeden z Brandysów miał dostawy dla kolei warszawsko-wiedeńskiej, inny był nauczycielem gimnazjalnym w Warszawie. Przed pierwszą wojną światową młoda lekarka o tym nazwisku była działaczką niepodległościowej PPS; jej starszy brat objął po wojnie katedrę na Wolnej Wszechnicy polskiej, a młodszy, matematyk — profesurę na uniwersytecie w szwajcarskim Fryburgu. Podczas wojny zginął w jednej z potyczek na wschodzie oficer POW i legionista Rudolf Brandys, w latach zaś międzywojennych właścicielem domu bankowego w Łodzi był Henryk Brandys, zmarły w r. 1940 w więzieniu niemieckim na Pawiaku. Kilka wcześniejszych okoliczności wzbogaca, ale i komplikuje obraz. W roku 1794 tratwę dla przeprawy przez Wisłę ofiarował Kościuszcze włościanin nazwiskiem Tomasz Brandys. Można by więc sądzić, że część ochrzczonych Brandysów schłopiała, albo że z miasta Brandys parę wieków temu uchodziła ludność nie tylko żydowska, lecz także czeska. Być może z tej gałęzi Brandysów pochodził ksiądz Jan Brandys, kapelan polskiej emigracji w Londynie, zmarły przed paru laty. Genealogię nazwiska wikła ponadto wiadomość w *Herbarzu Polskim i Imionospisie zasłużonych w Polsce ludzi*, opracowanym na podstawie herbarza Niesieckiego; autor Hipolit Stupnicki. Czytamy: 'Z korony wy-

staje ręka zbrojna po ramię, nieco zakrzywiona, trzymająca miecz końcem na dół obrócony, a na hełmie w koronie podobnie taka ręka. Niegdyś kwitnęli Brandysowie na ziemi Pruskiej, gdzie Jan Giszkra Brandys wspomniany już w r. 1458'. Opis herbu wraz z powyższą wzmianką przysłała mi niedawno znajoma czytelniczka, emigrantka. Wydałoby się ryzykowne przypuszczenie, że potomkiem owego Giskry Brandysa był żyjący w 350 lat później Benjamin Lewi Brandys, rabin cudotwórca z Tarnowa. Chociaż... kto wie? Wypadki przejścia na judaizm zdarzały się także”.

Na koniec mógłbym jeszcze dodać, że szczegóły mego rodowodu nigdy nie budziły we mnie zainteresowania (co nie jest zupełną prawdą) i że nie dzielę ludzi według ich przynależności etnicznej czy religijnej (co jest prawdą). Dlatego też trudno mi w pełni zaspokoić ciekawość dotyczącą mojego nazwiska. „Niech pan wybiera — zakończyłbym — i sam zadecyduje, z kim ma pan przyjemność”.

Marzec

Powiało wiosną, chodzi się już bez szalika i z gołą głową. Powietrze blade, przejrzyste, ściany i kontury budynków rysują się wyraźniej, jakby w zbliżeniu. Na Riverside mijają mnie biegacze w gimnastycznych koszulkach zamiast dresów. Dużo psów na ulicach. Także Murzyni chodzą z kundelkami. Ich psy nie trzymają się blisko nogi, kręcą się tuląc pod siebie ogony, wygląda to jakoś po wiejsku. Usiłuję sobie wyobrazić stosunek murzyńskich kundli do białych ludzi i do ich wyszczotkowanych psów, ale to już doprawdy zbytne komplikacje, więc daję spokój i przyglądam się wiewiórkom, które uwijają się po chodniku między pniami drzew. Są to szare wiewiórki, bardzo tłuste, o błyszczącej sierści. Po wymordowaniu rudych pędzą miłe, spokojne życie i nie boją się ludzi, którzy je darzą sympatią.

W domu, porządkując korespondencję i papiery, których sporo nagromadziło się w szufladach, trafiam na list sprzed kilku tygodni. Nadszedł z Francji. Czytam go od początku i znajduję fragment, który mnie zaniepokoił przy pierwszej lekturze:

„Kiedy weszliśmy do małej, bardzo prostej i pięknej kaplicy, Papież już klęczał na swoim klęczniku, z głową opartą na rękach. Patrząc na Jego nieruchomą, zatopioną w modlitwie postać miałem dojmujące uczucie, że jestem świadkiem jakie-

gość zmagania, jak gdyby mięśnie barków i ramion pod białą sutanną były naprężone do ostatecznych granic. Sama audyencja przebiegła w nastroju serdecznej prostoty i wzruszenia, ale Papież nie uśmiechał się, nie okazywał dobroduszości, nie żartował. Na myśl mi teraz przychodzi, że chyba bym się wtedy nie zdziwił widząc Go wkraczającego do tej sali w stroju bojowym, w pancerzu, jaki dawniej nosili czasami dostojnicy Kościoła. Papież wydał mi się — i nie tylko mnie — surowy, skupiony i napięty. Jak zawsze uważny i obecny, ale mniej dostępny. Wyższy. Waham się, czy ciągnąć te swoje impresje dalej. Tym bardziej, że nie daję się zazwyczaj ponosić wyobraźni i próbuję zachować trzeźwość. Przypominam sobie jednak spojrzenie Papieża w chwili rozpoczęcia mszy, gdy wstał z kłęcznika i zwrócił się w naszą stronę twarzą — spojrzenie, w którym przemknął ciemny i głęboki ból. I kiedy wracam pamięcią do tego niedawnego spotkania, tłumacząc sobie rozsądnie zmianę wyrazu twarzy Papieża i otaczającej Go atmosfery wydarzeniami ostatnich dwóch lat, nieodparcie nawiedza mnie myśl dziwna, irracjonalna: że może tu nie chodzi tylko o przeszłość, może On wie coś, czego my jeszcze nawet w koszmarnych snach nie przeczuwamy, coś strasznego, co musi się stać. I ciarki mnie przechodzą. A chociaż przywołuję się energicznie do porządku, mimo wszystko czuję się po tej audyencji trochę nieswój”.

List pisał człowiek, którego inteligencję i wrażliwość miałem okazję poznać; w czasie mego pobytu w Paryżu często mnie odwiedzał. Wiem, że nie powinienem lekceważyć jego niepokojów. Siedzę z listem w ręku i usiłuję odgadnąć czym może być ta rzecz straszna, o której wie Papież. Czuję, że autor listu nie napisał wszystkiego co go dręczy i że chciał mi zasignalizować niebezpieczeństwo konkretne i groźne, którego — niewykluczone — ma powody się obawiać, a nawet być może zaalarmowały go jakieś informacje; należy bowiem do ludzi żyjących w stałym przepływie wiadomości, to jest jego zawód. Siedzę więc z tym listem w ręku, czytam go trzeci, czwarty raz, ale do niczego nie dochodzę, nie umiem nic odgadnąć. Śnuje mi się tylko po głowie przypuszczenie: czy Papież dla tego zgodził się na przyjazd do Polski w czerwcu i mimo ustępstw wymuszonych przez rząd, dla tego nie odwołał wizyty? czy wziął na siebie ciężar, którego nie mógł odepchnąć, ponieważ wie o czymś, czego my nie wiemy?

Niejasność tych domysłów jest mroczna, émi w nich złe przecucie — lęk przed polityczną zbrodnią. Coraz posępniej i mętniej staje się nad Polską. Rośnie groza powtórzenia dzie-

jów i strach że wraca przeszłość, że trzeba będzie w nią wejść, zanurzyć się, pograć... mocny Boże.

Przygotowuję szósty wykład. Kilku studentów przemówiło, nawiązał się już kontakt między nami i mniej się boimy. Przychodzą, słuchają. Po trzecim wykładzie zadano mi sporo interesujących pytań.

Mówię nie tylko o literaturze. To znaczy — o literaturze przede wszystkim, ale także o jej stosunkach z historią. Nie umiem widzieć inaczej i nie potrafię rozdzielić tych dwóch sfer, które stanowią dla mnie podwójny i splątany ze sobą zbiór metaforycznych fabuł. Staram się ukazać ich przenikanie wzajemne i zależność. Tak aby mieszać granice faktów i wyobraźni i mówić o fikcji jako sprawie zdarzeń będących materią fikcji. Bo jeśli się zastanowić, nie jest może najważniejsze czy Piłsudski był postacią autentyczną, czy też literacką — ważne jest, że tkwi w naszej świadomości. Gustaw-Konrad tkwi w naszej świadomości równie silnie. Obydwaj są osobami dramatu, które wyłoniły się z narodowej wyobraźni i narodowych realiów i z kolei odcisnęły się na nich, kształtują je po dziś dzień. Tak, że w końcu zmyślenie i prawda utożsamiają się ze sobą, są czymś jednym, i dopiero to jest rzeczywistość, która p r a c u j e.

Pytanie, czy uda mi się jasno wyłożyć tę myśl, a może raczej przekazać ją, dać do zrozumienia? Czego moi słuchacze oczekują ode mnie i co ich zaciekawia, tego jeszcze nie wiem. Przychodzą jednak. Więc pewnie w jakimś celu. Może być tak, że wezmą ze mnie co innego, o czym nie mam pojęcia i o czym oni także nie mają pojęcia i nie będą mieli. Możliwe, że w ogóle nauczyć czegoś najlepiej udaje się mimo woli.

Niektóre zupełnie młode Amerykanki, kiedy idziemy z M. rozmawiając dość żywo i czasem głośno, patrzą na nas tępo zdumionym wzrokiem, jak zwierzęta. To sprawia niewielką przykrość, bo jest w nas trochę dumy z przeżytego wspólnie pół stulecia, a pewną biologiczną obojętność w stosunku do młodości czujemy i my; my także bowiem potrafimy korzystać z praw różnicy wieku. Zabawne bywa natomiast, gdy niemile zdziwiona obcość spoziera na mnie z oczu dziecka naszych znajomych, które pisze pracę doktorską o francuskim twórcy, nie wiedząc że główny temat dysertacji — miły i przystępny w swojej ludzkiej po-

staci — wytknął mi kiedyś zbytnią skromność: „Pisarz nie może być skromny, bo powiedzą o nim, że jest na swoim miejscu”.

Twierdzi się nieraz, że ludzie urodzeni po II wojnie światowej mniej się interesują żywym, indywidualnym człowieczeństwem, niż spektrum człowieka, jego zmatrycowaną lub zelektronizowaną transmisją. Człowiek osobowy i cielesny podobno stał się nudny przez swoją bylejakość i niedokształt. Tymczasem ja nadal widzę w człowieku przede wszystkim „ukształtowanie”, sztukę owładnięcia swoją materialnością. Na tym przecież polegała moja edukacja — na obserwowaniu człowieka jako wyniku pracy dokonywanej nieustannie na sobie i ze sobą. To mnie zaciekało najbardziej: stopień osiągniętej równowagi między sprzecznościami, od których — co dość wcześnie przeżyłem — nikt ani chwili nie jest wolny. Obserwowałem sposoby bycia i gesty, wsłuchiwałem się w intonacje. Uczyłem się też zdolności wyrażania sądów, a także kultury przemilczeń. Ważne było nie tylko co ludzie mówią, lecz również jak mówią i o czym nie mówią. Interesował mnie wysiłek nadania sobie zamkniętej formy zewnętrznej i domyslałem się, że nie osiąga się tego bez przyjęcia jakichś wyobrażeń czy idei. To właśnie było najciekawsze: ile w człowieku jest z materii a ile z pojęć, i jak one ze sobą się łączą, w jakiej mierze przenikają się i kształtują wzajemnie. Kto wie, czy mój życiowy temat nie zarysował się od samego początku. Później rozszerzałem go tylko. W gruncie rzeczy stosunki między sztuką a rzeczywistością, płynność granic dzielących losy od alegorii i mitów, imaginację od dziejów, czyli to wszystko w czym dzisiaj widzę jednorodność i co nazywam „fabułą”, wiecznym i powszechnym „stawaniem się” — było już zawarte w moim pierwszym uważniejszym spojrzeniu na człowieka.

Sroda. Czytam powtórnie „Zakład czeski” esej Milana Kundera wydrukowany w *Zeszytach Literackich*. Kundera ogłosił kilka tomów prozy, które przyniosły mu międzynarodowy rozgłos. Jego „Żart” i „Książka o śmiechu i zapomnieniu” są to utwory prawdziwie wybitne, a „Walc pożegnalny” uważam za arcydzieło gatunku małej powieści (mówiłem mu o tym). Ponadto Kundera udziela wywiadów i pisze eseje. Otóż twórczość Kundery jest dzisiaj ważną sprawą na Zachodzie, ponieważ czeski pisarz twardzo unaoecznia zachodnim intelektualistom światową obecność kultur Europy Środkowej, z ich nowymi

doświadczeniami i wiedzą polityczną, które być może stanowią przyszłość Zachodu.

„W siedemnastym i osiemnastym wieku — twierdzi Kundera — naród czeski znajdował się na granicy unicestwienia. Czesi wiedzą, że z łatwością mogli byli pogodzić się z całkowitym pochłonięciem ich narodu przez Niemców, i że jeśli istnieją, to dlatego, że istnienie *wybrali*. (...) Ich istnienie dziś jest wyborem, zadaniem, lub też posługując się wyrażeniem Pascala, *zakładem*. Intelktualiści czescy dziewiętnastego wieku umieli zdobyć się na trzeźwe pytanie: czy z punktu widzenia interesów ludzkich nie lepiej uczestniczyć w wielkiej kulturze niemieckiej, ukształtowanej już i wyrafinowanej, aniżeli trwonić siły umysłowe na tworzenie nowej kultury dla małego narodu? Czy kultura czeska zdoła odnaleźć swą specyfikę? I czy zdoła przekształcić ją w niezastąpioną wartość? Przypomnijmy tu, że w tym samym mniej więcej czasie, w którym literatura czeska została ponownie wskrzeszona do życia, Goethe sformułował znaną ideę literatury: literatury narodowe straciły na znaczeniu, nadszedł czas literatury światowej. (...) Literatura czeska musiała włączyć się do wspólnoty świata, albowiem tylko w takiej ponadnarodowej przestrzeni mogła znaleźć dla siebie ochronę i gwarancję wolności”.

Wszystko co drukuje Kundera zawsze trzeba czytać z uwagą, gdyż pisze to mądry, wolny Europejczyk, świadomy rzeczy, jakie się stały i dzieją. „Zakład czeski” powinien ze szczególną uwagą przeczytać każdy myślący człowiek w Polsce. Pisząc bowiem o *zakładzie czeskim* Kundera mimo woli ukazuje odmiennosć *zakładu polskiego*. Ten zakład (wybór, zadanie) określający charakter polskiej kultury jest inną niż czeska odpowiedzią na dylemat „być-nie być”. Albo ściślej: wyborem innego sposobu istnienia. Bardzo to pobudzająca lektura dla Polaków, ów „Zakład czeski” Kundery.

Grypa we dwoje. Przez tydzień z M. obok siebie na wznak w bieli, jak na dwóch sarkofagach. Jadwiga i Jagiełło, mówiłem. Byliśmy w dobrych humorach. Pod drzwiami zostawiano nam kury i buliony. Piękna Murzynka przychodziła sprzątać, spod krótkiej spódniczki widać było jej czarne, rosłe uda. Kiedy gorączka szła w górę, czułem euforię. Radio nadawało muzykę, jakiś znajomy menuet pogrążał mnie w widzeniach, ciepłych i wyrazistych, przyływały odgłosy kolacji u JMRów, kiedy siedzieliśmy w kuchni z malowanymi talerzami na ścianach i Ewa

zmywając naczynia wołała przez szum pieniącey się wody: — Musicie przeczytać na nowo Balzaka, mówię wam, to wielki człowiek, Wawrzek, pohamuj się z tym ciastem, pamiętacie co napisał o Słowianach, a o artystach, genialne, Wawrzek, do łazienki i spać, weźcie koniecznie „Kuzyna Ponsa”, tam są wspaniałe rzeczy, Wawrzek, mówię ostatni raz, i „Kuzynkę Bietkę” także, nie macie pojęcia ile ten człowiek wiedział! — W fartuchu przypasanym do długiej spódnicy, w gumowych rękawicach, z rumieńcami na rozognionej twarzy. Szczęk naczyń przekrzykiwany klasykami francuskimi, rosyjskimi. Wysoki, śmiejący się głos i ruch, jakim odgarniała grzywkę z czoła wierzchem przedramienia. Urok tego domowego pomieszczenia zapachów kuchennych z arcydziełami literatury, których często nie kończyła, żeby mi czym prędzej je pożyczyć. Pewnie nie wiedziała, jak bardzo to mnie w niej pociąga. Teraz leżąc przebiegam czas warszawski na amerykański, u nich jest 5 rano, więc śpią jeszcze, na Morningside Drive rozległy się trzy strzały rewolwerowe, potem cisza i znowu muzyka. Menuet okazał się częścią *Divertimento* Mozarta.

Nazajutrz rano podnoszę się na moim sarkofagu i pytam, czy długo jeszcze nasze zwariowane animule będą się błękać po tych kamiennych zaświatach, które mnie osobiście w minimalnym stopniu przypominają Pola Elizejskie, raczej chyba jakiś aztecki Hades... Więc czy długo jeszcze?

Gorączka mi spadła.

Z notatek do wykładów:

„Mam wiele za złe literaturze współczesnej, a przynajmniej jej poważnej części. Nastąpiła w niej utrata czegoś, co tak wysoko cenił Conrad: utrata rygoru istnienia. Wiemy, że świat jest przerażający, lecz mimo to, ponieważ chcemy żyć, musimy jakoś się trzymać, nadać sobie formę. Conrad określał to francuskim słowem *tenue*. Nie wiem, czy trzeba w naszym przerażającym świecie opisywać wszystko co nas dręczy. Prawdopodobnie jesteśmy fragmentem ogromnej całości lub nieskończoności. Czy wolno uznać świat za absurdalny, skoro właściwie żyje się w niewiadomej? Ale świadomość i wyobrażenia zmniejszają chaos. Rzeczywistość opowiedziana przez sam fakt jej opowiedzenia staje się bardziej wytłumaczalna. Ktoś przypadkiem ginie, kto inny przypadkiem się ratuje, ktoś jest łotrem i powodzi mu się dobrze, ktoś jest uczciwym człowiekiem i ponosi same klęski. Co robić? Opowiedzieć o tym. W każdym dobrym opo-

wiadaniu jest wymierzona sprawiedliwość. Formuła Conrada o wymierzaniu sprawiedliwości widzialnemu światu należy do najwspanialszych zdań wypowiedzianych o literaturze. Dodalbym dzisiaj, że jest to również wymierzanie sprawiedliwości niewidzialnemu światu”.

„W Polsce trudno nieraz odróżnić fakty widzialne, rzeczywiste od literatury. Najbardziej znamienym przykładem są „Dziady”. Wyrosły z pewnej rzeczywistości historycznej, z poczucia klęski po rozbiorach i powstaniu, i z kolei zaczęły kształtować nową rzeczywistość historyczną. Kształtują ją do dziś. Studencki marzec 1968 wybuchł jako protest przeciw zakazowi przedstawienia „Dziadów” w Teatrze Narodowym. Tak to u nas literatura miesza się z życiem i historią. Dotyczy to z pewnością nie tylko „Dziadów”, ale i „Trylogii”, „Wesela” i „Przedwiośnia”... Chyba tylko w dziejach Żydów księgi tak głęboko weszły w życie”.

„Każda zbiorowość ma swoją wspólną przeszłość. Ta przeszłość ciąży, jest bezustannie obecna i trudno się z niej wyzwolić. Niewątpliwie przeszłość Rosji, począwszy od Bizancjum i najazdu Mongołów, łącznie z biurokracją niemiecko-carską, ciąży na Rosjanach. Czy można to określić jako przeznaczenie? W pewnym sensie tak. To jest rodzaj genów etnicznych. Tak samo Polacy mają pewne cechy kształtujące ich przeznaczenie. Choćby pamięć swojej wielkiej przeszłości i naturalne poczucie związków ze światem cywilizowanym. Polska była krajem, który przez trzysta lat, od Kazimierza Wielkiego do wojen szwedzkich, w swoim interiorze nie zaznał najazdów, gdy w tym samym czasie Francji kilkakrotnie groziły rozbiory, a w całej Europie wybuchały wojny domowe i religijne. Ten sam naród znajduje się co jakiś czas w sytuacji upokorzonego niewolnika. To musi prowadzić do głębokich rozszczepień psychicznych (nienawiść-bezsilność, pogarda-poniżenie) i do religijnej postawy wobec historii. W polskiej literaturze historia nabiera znaczeń metafizycznych. Konkretnie historyczny, który u Balzaka czy w powieści angielskiej nie ma żadnych znaczeń nadziemskich, w literaturze polskiej uzyskuje wymiar irracjonalny. Jest narzędziem losu, Opatrzności. Przypuszczalnie dlatego tak trudno tę literaturę zakwalifikować według genealogii historyczno-literackich istniejących w literaturach Zachodu. Warto o tym pamiętać, jeśli o tej literaturze pragnie się mówić sensownie”.

Od dwóch tygodni przed moim prawym okiem porusza się

drobniutka, zwinna muszka. Patrzę w górę, muszka w górę. Patrzę w dół, muszka w dół. Chwilami są dwie muszki, a niekiedy snuje się między nimi kawałek pajęczyny. W prawym oku mam od dawna sześć dioptrii i astygmatyzm. Teraz zaczynam odczuwać pewną niewygodę przy czytaniu. Macham ręką, ale muszki nie dają się odgonić. Co z tego wyniknie, zobaczymy. Może lewym okiem.

Kwiecień

Sny od dłuższego czasu nawiedzają mnie rzadko, bardzo rzadko. Niekiedy jednak... Zeszłej nocy przyśniło mi się nad ranem, że stoję w tłumie ludzi na Świętojańskiej przed Katedrą i oglądam procesję w dniu Bożego Ciała. Niosą monstrancję, idzie Prymas. Prowadzą go pod ręce z dwóch stron. Z lewej generał w ciemnych okularach, z prawej krępy mężczyzna z ciemnymi wąsami. Dziewczęta sypiące kwiatki pod stopy Prymasa miały na sobie jasne bluzki i czerwone krawaty. Tłum stał w milczeniu, ja w tłumie, i było jakoś nudno, ciężko. Budzę się nieswój i myślę, że wołałbym mieć inne sny. Dawniej mi się śniło, że jestem koniem w górach, albo że spotykam po latach dziewczynę, która już nie żyje. Stanowczo wołałbym mieć sny miłosne, a w każdym razie mniej narodowe i upolitycznione. Ale snów się nie wybiera, o nie... Zresztą nie mam pewności czy to był sen, czy półsen, czy może pierwsza myśl po obudzeniu.

Matematyczka, docent z Wrocławia, kiedy po przyjeździe obrzucono ją pytaniami, co będzie z Polską i co się w Polsce stanie, odpowiedziała: — Nic nie będzie i nic się nie stanie. Tam nie ma dna, nie ma od czego się odbić. Dajcie mi święty spokój.

I przyśnił mi się święty spokój. Polskie Treuga Dei z uśmiechniętym Prymasem, sztywnym generałem i wąsatym mężczyzną na czele. A wokół milczący tłum. A dzwon dzwonił.

Straszy, chodzi za mną ten półsenny obrazek, i matematyczka z Wrocławia, i listy nadsyłane z kraju. Mgła, w której nie widać żywych kształtów, ciężka, brudna, a w niej niewyraźne ruchy, gramolenie się bolesne, ułomne, i talony, talony na buty, do których podeszwy sprzedawano oddzielnie, bo kleju zabrakło, i kawa, trzy i pół tysiąca złotych za kilogram kawy, i gazetki podziemne nawołujące do tworzenia struktur równoległych, i sfałszowany list prezesa zawieszzonego Związku Litera-

tów Polskich, w którym jeszcze czynna jest stołówka. „Gnije w szpitalu — pisze Marian — a w perspektywie mam roczne leczenie przeciwgruźlicze...” Kartka była w drodze czterdzieści trzy dni, widocznie cenzura pocztowa ma trudności w rozszyfrowaniu naszej korespondencji. Wysyłam list, który dojdzie pewnie w maju, i tak porozumiewamy się ze sobą niezdarnie, jakby obezwładnieni przez tę mgłę, w sennie zwolnionym tempie, kiedy głosy i znaki rozmijają się w próżni.

Jak widzę przyszłość, czego oczekuję. Czasami zadaję sobie takie pytania i myślę: trzeba mieć jakąś odpowiedź. Pragnienia, nostalgie, intuicje to za mało, trzeba mieć odpowiedź. I tu pewna jest dla mnie jedna rzecz, a mianowicie, że nie wybuch, nie upust krwi potrzebne są teraz w Polsce, i nie wejście w starą, wyoraną koleinę zbiorowych ofiar, po których zaciąga się noc klęski do dnia ponownego całopalenia — ten cykl historycznych powtórzeń mamy przepracowany od dwóch wieków i na podziw cywilizowanego świata zarobiliśmy już sobie, więc nie sprzyjam patriotycznemu wyczekiwaniu t u t a j na bohaterskie szaleństwo t a m; co do tego mam dość gruntowną pewność: że są inne sposoby ocalenia tożsamości narodowej niż dwieście tysięcy trupów co czterdzieści lat.

W takim razie wyciągnąć kraj z rozbitcia i prostracji musiałoby coś innego, jakaś siła inna mniej jednorazowa, trwalsza. Kiedyś mówiło się: idea. Dziś to słowo kojarzy się z twarzym braniem za mordę. Chętniej powiedziałoby się: myśl. Ruch umysłowy, wyobraźnia i praca intelektualna od końca XVIII przez wiek XIX tworzyły byt narodu. Państwo zaborcze było wrogiem społecznym numer jeden, życie polskie kształtowały siły duchowe — w kraju i na emigracji. Inteligencja polska, dążenia robotnicze i chłopskie, z ich programami demokratycznopodległościowymi, wyznaczały kierunki i cele niezależne od woli imperiów. Były to przedsięwzięcia odważne i długotrwałe, szukające podbudowy w różnych koncepcjach, od socjalizmu do katolicyzmu i myśli pozytywistycznej. Z nich powstawał ruch ogarniający całość, rodziły się ośrodki edukacji społecznej, obywatelskiej. Taką szkołą była zarówno niepodległościowa PPS w Królestwie, jak i stara endecja w Poznańskim i stronnictwa chłopskie w Galicji. Brało się to z ogólnej, zbiorowej woli, z wysiłku intelektualnego i organizacyjnego. Warto poczytać niektóre pamiętniki z tych lat, choćby Ludwika Krzywickiego, a nawet fragmenty „Dzienników”, gdzie Żeromski

opisuje „kółka” studenckie. Jak tam kipiało od energii umysłów, ile kotłowało się prądów, ile ci ludzie czytali...

„Państwo napadło na społeczeństwo i wzięło mu zakładników” — tym strasznym i prawdziwym zdaniem rozpoczął w *Kulturze* paryskiej swój tekst o 13 grudnia 1981 autor podpisujący się nazwiskiem Maciej Poleski. Powiedzmy wyraźnie, że dzisiaj w Polsce wrogiem numer jeden społeczeństwa jest państwo i jeżeli istnieje możliwość oparcia się niszczącej działalności państwa, to przede wszystkim trzeba się od niego odsunąć. Trzeba wytworzyć strefę bezzarazkową, pas ochronny, przez który nie przeniknie infekcja. Rządowe muszą być instytucje, rządowe, niestety, pozostaną szkoły i teatry, aktorzy będą grać, uczniowie przychodzić na lekcje. Ale zdrowy rozum każe wiedzieć, że państwo komunistyczne — rząd, partia — że każdy jego gest, manewr czy hasło jest oszustwem dążącym do zdestruowania społeczeństwa. Działacze, literaci, którzy się łudzą, albo udają, że można z państwem iść na partnerskie układy lub wspólne machinacje, to są zarażone ryby, owszem, płynące, ale brzuchami na wierzch. Stawili się w liczbie 270 na „bal ofiar” w KC i o czym mówili przez dziewięć godzin, łatwo się domysłać. Wśród pospolitych oskarżeń rzucanych na *Zapis*, *NOWą* i *Kulturę* słowa Putramenta tchnęły niewinną świeżością: „Przyszłe tysiąclecie jest po stronie komunizmu i trzymając się partii macie szanse przetrwać w historii”. To rozumiem. Ten, jak mówiło się niegdyś w STS-ie, idzie na całość. Po czym literatom partyjnym odczytano falsyfikat listu prezesa ZLP.

Takich zatęchłych ławie bardzo wiele jest w obecnej Polsce i z tej strony nie innego oczekiwać nie należy. Spływy kadrowców, których udziałnym samopoczuciem zachwiała nieco Solidarność, odbywają się w licznych środowiskach w całym kraju. Na studium języków obcych Uniwersytetu Warszawskiego powstała grupa inicjatywna nowych związków zawodowych. Weszło do niej dziesięć osób, z czego podobno sześć ma obywatelstwo sowieckie.

Społeczeństwo, jego świadoma część, wie o tym wszystkim, a skoro wie, sprawa nie jest zakończona. Form oporu, a właściwie istnienia, przewidzieć jeszcze się nie da, bo to wymaga przemyśleń, czasu i umiejętności wyciągnięcia wniosków z klęski. To była klęska. Co może przetrwać po klęsce? Szesnaście miesięcy Solidarności i hasło Rzeczypospolitej Samorządnej — za krótko i za mało, aby wypracować już dzisiaj program dla pokolenia. Solidarność była olbrzymim ciałem, rozdzieranym

sprzecznościami od wewnątrz i szarpanym prowokacjami z zewnątrz. Za krótko i za dużo. Dalekosiężna myśl polityczna nie mogła się w tym ciele wyłonić. Solidarność pod koniec nie panowała już nad własnym ruchem i traciła poczucie rzeczywistości, chrypła w sejmikowaniu. Na zjeździe w Gdańsku próbowano wyprzeć się KOR-u.

KOR od początku rozumiał, że trzeba za wszelką cenę przebić się poza sferę niereczywistości systemu i mówić prawdziwym językiem. A więc wyrwać władzy kodeks praw obywatelskich i ukazać go robotnikom: to są wasze prawa. Wkrótce z KOR-u wyszła akcja tworzenia wolnych związków zawodowych, z których narodziła się Solidarność. Było to decydujące dla zasięgu i znaczenia całego ruchu: pod hasłami wyłącznie narodowymi i religijnymi nie uzyskałby tak szerokiego rezonansu i poparcia w świecie. Solidarność stała się międzynarodowym symbolem walki o polityczną sprawiedliwość i godność ludzkiej pracy.

KOR myślał wówczas za wszystkich. I działał za wszystkich całą inwencją swego rewolucyjnego demokratyzmu. Stanowił nieliczną, zwartą grupę — można by ją porównać do głowicy pocisku — i jeśli była tu mowa o dawnych szkołach odwagi politycznej, to KOR w pierwszym rządzie należałoby wymienić jako spadkobiercę. Był przy tym zbyt wysunięty naprzód w stosunku do ogólnej świadomości, by w pewnej chwili nie zostać przez nią opuszczonym. To się zdarzało, podobne momenty zna również historia PPS. Tak się jednak dzieje, że czyjaś myśl po latach dogania niespełnione przedsięwzięcia i nawiązuje do nich. Przywódcy KOR-u są dziś zamknięci w celach na Rakowieckiej. Rząd dobrze wie, kogo uwięzić. Powinien także wiedzieć, że więzienia bywają fabrykami legend, i wie o tym na pewno, ale mając niewiele kart w ręku bije niezawodnym policyjnym asem. A więc dwie grupy przywódców oczekują na procesy, trzecia zesłała w podziemie. Społeczeństwo jest znękanе i upokorzone, nie ochłonęło jeszcze po uderzeniach pałek. Takiej egzystencji 36-milionowy naród w środku Europy długo prowadzić nie może, wkrótce z natury życia musi wyniknąć ruch umysłów i prace społeczne, które wytworzą nowe połączenia między ludźmi. Że tak właśnie będzie, co do tego mam pewność, chociaż to nie oznacza, że będzie lekko. Niebezpieczeństwa są wielkie — grożące zarówno od strony imperium na Wschodzie, jak i od sąsiada z Zachodu. Z obu stron jednocześnie. Polska nadal jest w kleszczach, uchwyt można zacisnąć. Myślę, czy takie są trwogi Papieża? I zaraz gaszę tę myśl.

Przychodzą także dni, gdy widzę powrót do Kraju jako rzecz nieuchronną. Bez złudzeń i z ciężkim sercem. Wiem z góry czego mogę oczekiwać, smak tamtejszych trucizn jest przecież od dawna znajomy, trzeba by tylko przełknąć ich więcej. I to nie straszy mnie zanadto, nie byłbym zresztą sam, wróciłbym do wspólnego losu i po tygodniu zdeptałbym swoją nieobecność. Tak już bywało. Ale przychodzą inne dni, kiedy myśl o powrocie wydaje się tchórzliwa i marna, jak powrotny atak nałogu. Widzę sufit nad tapczanem o zmroku i pływające cienie, w których czai się nuda bezsensu, łatwa, senna. Czuję już ssące przyleganie tamtego życia do mnie, Polski doznawanej na co dzień, z jej świętościami i nieczystościami. I wtedy strach mnie oblatuje.

Jacques Barzun, miły siwy pan i wybitny krytyk literacki, powiedział mi w trakcie rozmowy u wydawcy Scribnera: — Niech pan bez skrępowania podkreśla swoją wartość. W Ameryce tak należy postępować.

Spytałem, czy mógłby to za mnie wykonać. Podkreślając swoją wartość Amerykanie nie boją się śmieszności. Nie boją się także wielu innych rzeczy. Zwłaszcza pod jednym względem są nieustraszeni. Ci wnukowie pionierów nie cofną się przed żadnym ryzykiem, aby przedsięwziąć rzecz nową i nieznaną. Nie boją się postępu. Mózgi elity naukowej i technicznej kierują tym krajem od góry. Profesor Hilary Koprowski tłumaczył mi, że nie ma sensu, abym używał długopisu. — Powinieneś mieć elektroniczną maszynę z ekranem, na którym od razu widzisz tekst. Komputer poprawia błędy. — Twierdził również, iż nie ma sensu, abym nadal znosił bóle reumatyczne: — Wstawia ci biodro z plastiku i po tygodniu będziesz biegał na średnich dystansach. — Powiedziałem Hilaremu, że muszę się zastanowić. Hm, ja z plastikowym biodrem, siedzący przy skomputeryzowanej maszynie, która natychmiast wyświetla moje myśli... Po pięćdziesięciu latach pisania ołówkiem, a później długopisem... Doprawdy trzeba się nad tym zastanowić. Takie sztuczki mogą mi zmienić osobowość. Nie jestem pewny, czy powinienem dać sobie wyjąć mój długopis i moje stare biodro, po to by wskoczyć w wiek XXI.

Amerykańskie mózgi polityczne są natomiast zajęte czym innym. Przede wszystkim zbliżającą się kampanią wyborczą. Kongres piętrzy trudności przed Prezydentem, odmawia mu uchwalenia kredytów na cele obronne. Moi znajomi, emigranci

żydowsy z lat 1930-tych i 60-tych, rozpaczają: — Panie Brandys, to jest prywatna, to jest nasze szlacheckie warcholstwo!

Amerykanie... Amerykanie...

W tutejszym *Przeglądzie Polskim* czytam rozważania Andrzeja Pomiana „Kult powstań czy służba niepodległości?” Autor, którego poglądy są mi bliskie, zastanawia się w swoim pięknym szkicu nad rolą pięciu powstań narodowych w dziejach i świadomości polskiej. Od Konfederacji Barskiej w roku 1768 do Powstania Warszawskiego w 1944. Czytam uważnie i zgadzam się. „Przeszłości odwrócić nie można. Można tylko próbować nie dopuścić do jej powtórzenia się w przyszłości”. I dalej: „Męczennicy i święci budzili ongiś swym przykładem chrześcijańskiego ducha religijnego, który przemógł pogaństwo. W życiu narodów taką rolę spełniają ci, którzy walczą i niejednokrotnie giną za sprawę. Nie pozwalają wygasnąć uczuciom patriotycznym”. To druga prawda. I również to jest prawdą: „Powstania pozostały tym, co przemawiało najpotężniej do uczuć i wyobrażeń pokoleń”.

Ale jeżeli w wyobraźni i uczuciach pokoleń będzie przypieczętowana świadomość, że powstania nadal są konieczną ofiarą krwi, ceną, jaką się płaci za wolność i przymierze z Bogiem, że tak było i nie będzie inaczej, wówczas trzeba zdać sobie sprawę, że to jest równoznaczne z przyjęciem losu narodu wybranego. Dokonując takiego „zakładu” Polacy musieliby się psychologicznie nastawić na dzieje Żydów. Naród wybrany przez Boga jest narodem, który wybrał swoje przeznaczenie, a sens przeznaczenia dotychczas nie został objawiony. Wiadomo tylko, że jest długotrwałe. W żydowskich pięćdziesięciu wiekach zawarło się wszystko, co może spotkać zwykły naród, i również wszystko, czego doświadcza naród wybrany. Włącznie z powstaniami i niewolą, zburzeniem stolicy, diasporą. I z odzyskaniem własnego państwa na ziemi przodków po dwóch tysiącach lat. Czy Polacy dojrzeliby psychicznie do tego, aby przyjąć los Żydów? To nie są wróżby. Skoro jednak myślimy o sposobach ocalenia ciała i duszy narodu, który nie chce się poddać, to znaczy, że jesteśmy już w Księdze.

Mój dobry znajomy, którego nazwiska nie wymienię, bo jest znane, mówi: — Być Polakiem to już jest nieszczęście. Być Polakiem i Żydem to jest nieszczęście w nieszczęściu. Być Pola-

kiem, Żydem i pisarzem to są trzy nieszczęścia. Być Polakiem, Żydem, pisarzem i emigrantem to jest samo nieszczęście. — A być Polakiem, Żydem, pisarzem, emigrantem i byłym komunistą? — pytam. — To jest Wat — odpowiedział mój znajomy.

Aleksander Wat odebrał sobie życie w Paryżu. Chorował długo, cierpiał na straszliwe bóle czaszki. W liście napisanym do żony prosił ją o przebaczenie. Był człowiekiem, którego nie można zapomnieć.

Sroda. O 11.30 lekarz-okulista ma zbadać moje prawe oko. Przed śniadaniem robię notatkę w rękopisie: „Starość nie powinna dotyczyć wszystkich. Powinna być tylko karą dla grzeszników. Pewnie dotyczy wszystkich, bo wszyscy są grzesznikami”. Potem szybkie mycie i śniadanie. Przy śniadaniu nagryzając bułkę wyłamuję sobie przedni ząb. Golić się nie ma już czasu, kręcę numery znajomych, wreszcie Bob Scott z Columbii podaje telefon dentysty w Manhattanie. Dzwonię, sekretarka zapisuje moje nazwisko, ale wizyta będzie możliwa dopiero za tydzień. Biegiem na przystanek i punkt 11.30 pojawiaam się u okulisty na Sześćdziesiątej Ulicy. Doktor George Carter: szczupły, żwawy, łysy, o siwych skroniach, w uśmiechu odsłania duże białe zęby. Porusza się szybko, ruchy krótkie, *staccato*. Na ścianie wisi portretowe zdjęcie starego pana z brodą. Czy widzę błyskawice. Nie. Opisuję pajęczynkę i muszkę. Dziwne, ale tego pana z brodą jakbym znał. Badanie dna oka. Aparatura supernowoczesna, takich urządzeń nie widziałem nigdy dotąd. Kwadrans, przerwa i znowu badanie. W przerwie siedzę w poczekalni z dwiema połyskującymi biżuterią Amerykankami w ciemnych okularach i oczy mi łzawią od zapuszczonych kropli. Sekretarka wypełnia za mnie formularz. Podpis. Wracam do gabinetu. Przypadek nie jest poważny — mówi dr Carter obnażając zęby. Ulga. Mogę pisać. Powinienem jednak unikać nagłych ruchów głową, zwłaszcza w dół. W zasadzie tego się nie leczy, z następną wizytą przyjść mam dopiero, gdybym zobaczył błyskawice. Szkieł nie trzeba zmieniać, są dobre. Słuchając patrzę na fotografię pana z brodą i rośnie we mnie pewność, że go znam, tak, przypominam sobie jego głos. Tylko skąd? kiedy i gdzie? Wypisuję czek sekretarce: *fifty dollars and no cents*. Do Polskiego Instytutu piechotą dziesięć minut. Bardzo słonecznie, tafle wieżowców odbijają światło, po kroplach razi mnie blask, a jednocześnie ulicę widzę w zamgleniu. M. czeka w Instytucie. Przychodzę nieogolony i bez zęba, jest sporo osób, uroczystość towarzyska z winem

i pasztecikami. Panie już wiedzą o wszystkim, telefonowały, za godzinę przyjmie mnie dentysta, dr Stewart na Trzeciej Alei. Opowiadam M. o przebiegu wizyty i o fotografii pana z brodą. Zagadka, przysięgłbym, że go znam z Warszawy. Nie z Warszawy — mówi M. — tylko z Krakowa, zapomniałam ci powiedzieć, to ojciec, profesor Rosenhauch. Nie wiedziałem. Profesor Rosenhauch, słynny okulista, znakomitość krakowska, byliśmy u niego zaraz po wojnie. Sławek razem z narzeczoną zginęli w Powstaniu, ale ocalał się młodszy syn, brat Sławka. Sławek był ostatnią miłością Inge-Albertyny. Wnosząc rannych do gmachu Pod Orłami oboje zostali trafieni odłamkiem pocisku. Moje oko badał młodszy brat Sławka, właśnie ten ocalony, który ukończył studia w USA. Świat jest mały, mówi się w takich razach. Dla mnie jednak nie, dla mnie jest w nim ogromna skala możliwości. Jadę autobusem przez Piątą Aleję. Patriarchalna broda profesora Rosenhaucha... pocisk rozrywający się w gmachu Pod Orłami... ukwiecony grób na Powązkach... broda profesora Rosenhaucha przelatująca nad Oceanem... dr Carter, brat Sławka, bada w Nowym Jorku dno mojego oka... Świat nie jest mały. Róg 47 Ulicy, wysiadam z autobusu, dochodzę pieszo do Trzeciej Alei. Gabinet doktora Stewarta mieści się na 17 piętrze. Lustro, sześć wind, portierzy. Wita mnie kształtny brunet w lekarskim kitelku, czarna brew, oko i wąsik, spodnie w kolorze gołęmb. Ukłon z niskim zapraszającym gestem. Doktor Stewart przypomina włoskiego tenora, ma dźwięczny, śpiewny głos, krągłe ruchy i uczucie w spojrzeniu. Dobierze się na poczekaniu i skleci, hahaha! Na ścianach dyplomy, książkę Pepi i Kościuszkę w sukmanie, konno i z psem. Obok półeczka, na półeczce biust, Chopin. Cicha muzyka z adapteru i widok na przymglone drapacze. Koło fotela dla pacjentów biały aparat z gazem rozweselającym, hahaha. Miłym tenorkiem dr Stewart opowiada o swoim przyjeździe z Lublina do Stanów. Przybył tu w ślad za kobietą, którą kochał. Oglądam zdjęcia dwóch córeczek, a po godzinie mam nowy ząb. Proszę go zatrzymać w prezencie — ukłon maestra z ręką na piersi — i proszę nie mówić, nie ma mowy o niczym prócz sympatii! — Ależ doktorze kochany... — Ha!ha!ha! — zaśpiewał doktor Stewart — wszystkiego najlepszego! — Biorę go w objęcia. Wracam autobusem M-4 przez Madison Avenue, zamglenie ustąpiło, na chodnikach kotłuje się żywy tłum. Piękny dzień, ciepło i kolorowo, wszyscy w rozpiętych płaszczach. Piękny dzień.

Na przystanku koło rogu Madison i 87 Ulicy (tam gdzie *boutique „French Connection”*) do autobusu wsiadł mężczyzna

z psem. Mężczyzna po czterdziestce, trzymający się prosto i bardzo wysoki, o pięknej, orlej głowie. Kiedy pies wprowadził go do autobusu przednim wejściem, kierowca obejrzał się za siebie: ani jednego miejsca, pełno. Siedziałem tuż przy wejściu. Zwalniając miejsce ująłem mężczyznę za ramię i pomogłem mu usiąść. Wyczułem pod palcami twarde, napięte mięśnie. Podziękował bez uśmiechu, pies ułożył się obok siedzenia kierowcy z pyskiem między łapami. Miał założoną uprząż w rodzaju szelek, ze sztywną skórzaną ramką na grzbiecie, podobną do uchwyty walizki. Mężczyzna trzymał w ręku smycz, spleciony rzemień z okuciami. Pies był skrzyżowaniem wyżła z nowofundlandczykiem, duży, o ciemnej sierści i żółtych poważnych oczach. Zanim autobus ruszył z przystanku, kierowca schylił się i poklepał psa. Miał mlecznokawową twarz w kryzie zarostu, chyba Indianin z Dominikany czy Peru. Za każdym razem gdy mężczyzna zwracał głowę profilem, widziałem za płaskimi okularami o czarnych szklach wąską szparkę oka z powieką bez rzęs, jakby czymś sklejoną. Przypomniały mi się komunikaty na pierwszych stronach gazet: Wietnam, spalona ziemia, napalm. Nie pamiętam, czy Wietnamczycy używali napalmu. W Waszyngtonie wybudowano monumentalny pomnik żołnierzy poległych w tej wojnie. Uczciły go tłumy ludzi z całego kraju, przed amerykańską ścianą płaczu stali komandosi bez rąk, w bluzach z odznaczeniami i polowych czapkach, z rękawów wystawały protezy podobne do widelców. Mężczyzna z psem mógł być jednym z nich. Siedział wyprostowany, czuło się w nim siłę i nieco wyniosłą samotność. Pies na każdym przystanku obracał ku niemu łeb z wyczekującym spojrzeniem w żółtym oku, po czym znowu kładł pysk między łapami. W tym spojrzeniu psa na człowieka, krótkim lecz skrupulatnym, była powaga fachowca. Niedawno w telewizji pokazywano takie psy. Psy słynne w Ameryce i otoczone szacunkiem. Program zapoznawał widzów z metodami tresury, potem filmowano psy w trakcie pełnienia obowiązków. Psy bacznie wpatrzone w ludzi i nie zwracające uwagi na kamerę. Pojawiały się pary: brzydka dziewczynka z wielkim owczarkiem alzackim na lejcach, starzec w bamboszach prowadzony przez krępego mieszańca o grubych łapach bulteriera... Para w autobusie wyróżniała się tym, że obydwaj, człowiek i pies, byli piękni. Przykuwali uwagę swym połączonym bezruchem i kiedy obaj jednocześnie podnieśli się do wyjścia i pies ustawił się przy nodze mężczyzny, natychmiast utworzyli doskonale zespoloną kompozycję, rzeźbę: człowieka z psem. Autobus stał pod czerwonym światłem. Tylko

oni dwaj czekali przy pasach dla pieszych. Gdy sygnał przekroczył na jasne litery *WALK*, pies wprawnym ruchem dosunął się do biodra człowieka podstawiając mu pod dłoń skórzany uchwyt. Po czym sprzężeni ze sobą ruszyli naprzód przez jezdnię. — Ten pies reaguje na zmianę światła — powiedział kierowca.

(Komu innemu niż psu opłaciłoby się przyjęcie odpowiedzialności za niewidomego mężczyznę? Tylko psu albo kobiecie. Kiedyś zapisałem w notatkach: „Kobieta i pies to najlepsi przyjaciele człowieka”. Pamiętam, że M. się śmiała. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć dlaczego).

Czwartek. W skrzynce gazeta i trzy listy. Dwa z Francji, trzeci z polskimi znaczkami na kopercie. Po drodze do windy rzucam okiem na adres nadawcy. I zatrzymuję się: *Adam Michnik. Warszawa, ul. Rakowiecka 37 „M”*.

Datowane 18 lutego. „Jak dostaniesz ten list, będę już pewnie po wyroku. Teraz właśnie kończy mi się śledztwo. Czuję się dobrze, zwłaszcza psychicznie. To ogromny luksus, przez tyle miesięcy nie grzeszyć, nie marnować czasu, osiągnąć wewnętrzny ład i zgodę z samym sobą. Od lat nie byłem w tak dobrej formie umysłowej. Warunki kiepskie, ale wszystko można polubić. Żarcia mało i podłe, ale za to utrzymuję szczupłą sylwetkę. Biblioteka dobra, więc studiuję Bunina i Manna, a ponadto codziennie uczę się francuskich słówek. W więzieniu karnym spróbuję starać się o prawo do pisania pracy doktorskiej”.

Omylił się. Nie tylko że wyrok nie zapadł, ale nawet proces jeszcze się nie zaczął. Prawdopodobnie zdecydowano, że odbędzie się po wizycie Papieża. Albo...? Papież przyjeżdża w czerwcu. Cena tej wizyty jak dotąd nie jest publicznie wiadoma. Stałaby się wiadoma, gdyby w dniu przyjazdu Jana Pawła II ogłoszono w Polsce amnestię dla więźniów politycznych. Lecz jeśli proces odbędzie się później, jeżeli wyroki zapadną w Warszawie po odjeździe Papieża do Rzymu, to cena, za jaką Ojciec święty zgodził się przyjechać do Polski na warunkach określonych przez rząd, nadal pozostanie niejasna. Obawiam się, że spośród licznych tajemnic doczesnego świata ta będzie jeszcze jedną, której nie poznamy. Michnik na Rakowieckiej ma chyba podobne myśli, trudno inaczej rozumieć wzmiankę o pracy doktorskiej w więzieniu karnym (czyli po wyroku).

Listy od „politycznych” przechodzą przez szczególnie ostrą cenzurę więzienną. Ktoś przywiózł tu z Warszawy jeden z takich listów, w którym całe ustępy były pokreślone, nieczytelne.

Natomiast list Michnika przyszedł w stanie nietkniętym i gdyby nie koperta z więziennym adresem nadawcy, polskimi znaczkami i stemplem pocztowym, można by pomyśleć, że dotarł do mnie prywatną drogą. Jest w nim i taki fragment: „Pamiętaj, napisz coś o 'Kuźnicy' — myślę, że to był dość centralny moment w biografii duchowej polskiej inteligencji i godzien jest Twojej refleksji. Już choćby późniejsze losy jej redaktorów są znakomitym kluczem do odczytania tego momentu historycznego. 'Kuźnica' widziana z perspektywy dzisiejszej jest coraz bardziej interesującym fenomenem, dużo ciekawszym niż socrealizm *à la* Szczeciński Zjazd”.

Ani jednego skreślenia. A przecież te zdania mogły obudzić czujność i w normalnym trybie cenzor by je wymazał. Przypuszczam, że list Michnika cenzura więzienna po zastanowieniu przekazała wyższym instancjom, które puściły tekst w całości, bez skreśleń. Być może uznano go za artykuł eksportowy na Zachód, dobrą reklamę dla liberalnych rządów w pogrudniowej Polsce. Jakże tolerancyjna musi być administracja, która zezwala aresztantowi zakończyć list tymi słowami: „Najgorzej jest z tym, że oświecenie tu nędzne, a o lepszej żarówce trudno marzyć, bo — jak mnie poinformowano — 'wtedy wszyscy by chcieli, a więzienie ma swoje limity' (sic!!!). Poza tym klozet nie jest oddzielony żadnym przepierzeniem, co dla ludzi wychowanych na wzorach schyłkowej kultury mieszczańskiej bywa kłopotliwe. Wszakże uzyskanie zgody na przepierzenie równa się zdobyciu Bastylii, a Bastylia jeszcze się trzyma. Ale — jak mówił tow. Stalin — nie ma takich twierdz, których bolszewicy nie mogliby zdobyć”.

W więzieniu, nie licząc wielokrotnych 48-godzinnych zatrzymań, Michnik jest po raz trzeci. W r. 1968 przesiedział dwa lata; miał wtedy dwadzieścia dwa. W 1977 siedział kilka tygodni; wraz z innymi KOR-owcami zwolniono go po ogłoszeniu amnestii. Wspominał te okresy niechętnie. Kiedy go zapytałem, czy ciężko je znosił, napomknął tylko, że w więzieniu traktowano go źle, ponieważ odmówił zeznań w czasie śledztwa. — To w ogóle nie jest dla ludzi — machnął ręką — a w dodatku ja bardzo lubię dziewczyny... — Zapamiętałem, że powiedział to bez uśmiechu, wcale nie żartem, i chyba moje pytanie sprawiło mu przykrość.

M. jest pewna, że do procesu nie dojdzie, bo Adam, Jacek Kuroń wraz z innymi zostaną objęci amnestią. Zapala się do tej myśli, wytacza argumenty. Oczywiście błyszczą: — Chcesz? Może-

my się założyć! — Nie. Zresztą nie wiem, o co moglibyśmy się założyć. Nie wiem także na ile ona sama w to wierzy. Jej argumenty mają dar przekonywania. M., zagadując los, rzuca na szalę oszołamiające zasoby swojej elokwencji i w takich chwilach jest potężna. Nie próbuję zgłębiać jej tajemnic i kiedy już przekona mnie i innych, nie pytam, czy przekonała również siebie. Tak jest lepiej, mimo iż jej wróżby nie zawsze się sprawdzają. Ale wtedy nie mówimy o tym. Są nowe sprawy, które M. zaklina głosem, spojrzeniem i gestami, niestrudzona w swojej profesji dobrej wróżki. Z początku słucham ze zdumieniem, po chwili chcę jej przerwać. Ale równocześnie wpada mi na myśl, że nie należy przeszkadzać w pracy osobom, które usiłują wspomóc pomyślny obrót gwiazd.

Podobno coraz częściej piszą o mnie w warszawskich tygodnikach, że chcę wyprowadzić literaturę polską z kraju na emigrację. Nie podejrzewałem się o takie możliwości. Wyprowadzić literaturę... Jak się to robi? Przykleili mi tę nową etykietkę po moich wywiadach radiowych dla Wolnej Europy i Głosu Ameryki. A zwłaszcza chyba po wywiadzie udzielonym Ewie Czarneckiej dla *Nowego Dziennika*. Owszem, mówiłem o emigracji. O zrastaniu się ze sobą literatury powstającej w kraju i na emigracji. Mówiłem o tym, jak studenci przenosili przez Tatry książki Czapskiego, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego, Miłosza, Hostowca, wydawane przez Giedroycia w Paryżu, i jak w odwrotną stronę, do Paryża, przewożono rękopisy z kraju. Przypomniałem, że w całej naszej literaturze raz tylko użyto rymu do słowa *ceł* (od *cto*), gdy poeta napisał, iż Żyd przewoził przez granicę tomiki jego *dzieł*. Od dziesiątków lat tomy polskie mijają się na granicy. Jedne idą z zachodu na wschód, inne ze wschodu na zachód. Tak więc urzędy celne mogłyby skompletować pełną bibliotekę dzieł zebranych naszej literatury.

W Instytucie wpada mi w oko stary numer *Twórczości* (kiedyś już przejrzany, bodaj sprzed dwóch lat) z prozą Adolfa Rudnickiego. Tytuł „Rogaty Warszawiak”. Dziwaczny, jeśli miał dotyczyć Słonimskiego. Ale tekst dotyczy wielu innych autorów. Rudnickiego drażnią szczególnie ci, co założyli *Zapis* lub drukują w NOWej. Zarzuca niektórym pisarzom, że znów się pchają do pierwszych rzędów. Ci zawsze obecni, którzy w pierw-

szych rządach byli już w roku 1950. Piszę gorzko, że w tym okresie całymi dniami nie wychodził z domu. To prawda, miał wówczas trudności z publikowaniem. Jednakże autorzy *Zapisu* również przez kilka lat, a może i dłużej, mieli trudności z publikowaniem i nie zawsze byli w pierwszych rządach. Zakładając *Zapis* ryzykowali wypadnięciem całkowitym, już nie z pierwszych, lecz ze wszystkich rządów. A nawet mogło im grozić coś więcej. Od ilu lat byli na czarnych listach — od 1966, kiedy zerwali z partią, czy od 1968, czy dopiero od 1976, kiedy bronili ludzi masakrowanych przez milicję? Być może wtedy ten i ów także nie wychodził z domu. Lub przestał wychodzić w kilka lat później, po powrocie z internowania. Bo przecież i tam się dopchał niejeden z tych oportunistów. Zawsze są jacyś z pierwszych rządów i jacyś inni, co nie wychodzą z domu. Zawsze zdrowiej wspominać siebie z pierwszych rządów niż przypominać to innym. Drogi Adolfie, kiedy w 1940 drukowałeś opowiadania w lwowskim *Czerwonym Sztandarze*, i później, gdy obaj drukowaliśmy w łódzkiej *Kuźnicy*, było wielu ludzi, którzy w tym czasie nie wychodzili z domu. I sporo takich, których brano z domów.

To, że „Ginącego Daniela” uważam za opowiadanie wstrząsające, nie przeczy temu, co zanotowałem. O „Ginącym Danielu” i „Kupcu łódzkim” mówiłem wczoraj studentom. Mówiłem też o Gombrowiczu jako następcy siedemnastowiecznych powieści sowizdrzalskich (których rękopisy Kościół nakazywał palić).

Coraz gorzej znosi się utratę obowiązkowych form życia, które w młodości wydawały się nam bezsensowne. Uwolniono ludzi ze sztywnych kołnierzy, z długiego siedzenia przy stole i całowania rodziców w rękę, z uczestniczenia w obrządkach zbiorowych, z rymów w poezji, z anatomii w malarstwie, z konstrukcji fabularnej w powieści. Jesteśmy wolni. Możemy chodzić w dziurawych swetrach, możemy się nie cesać i nie golić. Uczniowie mogą wygwizdywać profesorów, mężczyznom wolno spółkować z mężczyznami. Jesteśmy w pełni rozluźnieni. I zaczyna nam czegoś brakować. Czego? Rygoru, który nadałby nam utraconą formę. Gorsetu, usztywnienia. Wiek XIX ze swymi konwencjami budzi coraz silniejszą nostalgię. Ach, gdyby móc się cofnąć, zakłamać się z powrotem, schylić głowę przed odrzuconymi regułami... głowę z przedziałkiem i szyję wciśniętą w kołnierzyk. Ale to się już nie może udać, byłoby zbyt śmieszne.

Więc jesteśmy skazani na naszą własną śmieszność, na komizm ludzi wyzwolonych.

Myślałem o tym w czasie wielkanocnego przyjęcia u Currych, na którym tylko ja byłem w marynarce i białej koszuli z krawatem. Stół zdobiła ogromna szynka. Gdzieś zarżnięto wieprzka. Gdyby mógł zobaczyć siebie leżącego na tym niby-świętecznym półmisku, miałby prawo pomyśleć, że spocząć w pudełku konserw byłoby zgodniej z duchem czasu.

Sobota, trzeci dzień ulewy. Za oknami ukośne strugi wody tworzą srebrną płytę, nad którą widać niebo, zupełnie białe, niemal pogodne. Wilgoć łamie kości, po dwóch godzinach pisania muszę leżeć do wieczora. Takie ulewne deszcze powtarzają się co tydzień mniej więcej. Od Wielkanocy rzadko wychodzę z domu. Robię notatki do wykładów, czytam opowiadania Hłaski i Nowakowskiego, o których będę mówił we wtorek. M. wraca ze sklepu w przemoczonych bucikach i rozpościera w łazience parasol. Nazywam te dni „polskimi dniami”. Deszcz oddziela nas od Ameryki i zamyka w słoju polskości. Nowy Jork jest na zewnątrz, za przesłoną ulewy, a w środku my z polskimi książkami, z polskim *Nowym Dziennikiem* codziennie nadsyłanym pocztą, z telefonem, w którym brzmią polskie głosy, no i z musztardą polskiego wyrobu marki „Kościuszko” od pana Apfelbauma. W deszcz idę na Columbię wykładać o polskiej literaturze, książki wypożyczam z Polskiego Instytutu, w supermarkecie „Apple Tree” rozmawia się po polsku. Deszcz leje, nie widać psa z kulawą nogą.

W deszcz przyszedł Andrzej K., matematyko-fizyk, którego 13 grudnia zaskoczył samego na północy Kanady, w uniwersyteckiej osadzie. Z mroźnej zimy kanadyjskiej uciekł do Nowego Jorku i po kilku miesiącach dostał pracę na uczelni w New Jersey. Pijemy herbatę rozmawiając o tym, co się nam przydarzyło. Szukamy najtrafniejszych określeń. Podróż? antrakt życiowy? emigracja? Nie. Coś jeszcze innego. Oczekiwanie? Tak, ale... nie tylko. — Właściwie można tak żyć — mówi nasz gość — i to jest chyba bliższe sensu — namyśla się — to jest istnienie oczyszczone z rzeczy zbędnych, i wtedy — znowu się namyśla szukając słów, oczy mu nieruchomieją — i wtedy człowiek znajduje się jakby sam na sam z bytem... — Poprawia się: — To znaczy, widzi co jest poważne. — Mówi powoli i głośno. Mówi o swoim życiu na kampusie. Uniwersytet jest czynny także nocą, w salach można

pracować do świtu. Wraca o świcie przez pusty campus, na drzewach budzą się ptaki. Twierdzi, że są to chwile czystości i uspokojenia. Mieszkanie dzieli z trzema Chińczykami, czynsz i stolówkę opłaca z góry, zostaje mu trochę pieniędzy na kawę i tytoń. I na książki. Śmieje się: — Czytam Tucydidesa po angielsku. — Przed wyjściem, nakładając kurtkę, która już wyschła, patrzy na mnie: — Czy to pan mi kiedyś przypomniał ten napis na kamienicy w Gdańsku? *Vivere non est necesse...*? I dalej o żeglowaniu? — Jest bardzo wysoki i żegnając się skłania uroczyście głowę z krótką chłopcęą grzywką.

Jeden z tych, dla których życie nie jest pierwszą potrzebą. Potrzebą jest żeglowanie. *Navigare...* chwile czystości i uspokojenia. Adam Michnik w swoim liście nazywa je „ładem wewnętrznym i zgodą z sobą samym”. Chwile, których ja doświadczam tylko pisząc. Pisać jest trudniej niż żyć — powiedziałem kiedyś mojej żonie. Powinienem być dodać, że najtrudniej mi żyć bez pisania.

W piątek (deszcz) przysłała Ewa z bukietem rumianków i książką. W wąskim czarnym kaftanie, czarnych spodniach i czarnych pantofelkach, skarpetki białe, apaszka wokół szyi biała, fryzurka równo ucięta nad brwiami, ręce o cienkich palcach, wąskie. Cała jest wąska, cienka. — Ale ja jestem najedzona, mnie absolutnie wystarczą trzy garstki ryżu dziennie! — Maluje na wielkich płóciennych chustach płowo-różowo-popielate kompozycje, jak gdyby odcisnięte twarze, dłonie, zarysy kobiecych piersi i brzuchów, i potem rozwiesza na krzesłach te całuny poznaczone ludzkimi śladami. Opowiadała o swoim pobycie w Kalifornii, gdzie żyje się bliżej raj. O czterdziestoletnich dzieciach-kwiatach z długimi siwiejącymi włosami. Kołyszają się przez całe dni w hamakach, zasłuchani w ptasi szczebiot. — Niezmiernie wydelikaceni. Płaczą, jak ktoś zrani się w rękę, nie trzeba im mówić o gułagach, bo będą smutni i nic nie rozumieją... — To ci, co niegdyś uciekali do komun w buszu, do Utopii.

Zostawiła mi tomik swoich esejów. Znalazłem w nim cytaty z „Fausta”. Mógłby posłużyć za motto do mojej powieści „Rondo”, wydanej przed rokiem w kraju. Mefisto zwraca się do widzów: „W końcu od tych zależy/Których sami stworzyliśmy”.

Przyszedł mi na myśl ten cytat, kiedy nazajutrz oglądałem Wałęsę w TV. Pokazano go w rozmowie z przedstawicielami zagranicznych agencji, a później jak siedzi w samochodzie obok swego kierowcy. Co parę dni udziela wywiadu korespondentom.

W tutejszych mass-mediach Polska skurczyła się do Wałęsy. Reporterzy biegają za nim z notesami w ręku, by czym prędzej przekazać światu każdy jego gest czy napomknięcie. Wszystkie kamery na Wałęsę. Przykleili się do niego, wiszą na nim. I mimo woli karykaturują nas samych.

W sobotę przyjechał ktoś z Polski. Opowiada: — Dużo znajomych umarło. Naprawdę żyją tylko ci głęboko zakonspirowani, ci z podziemia. Żyją siłą przekonania.

Podobno jest teraz w Polsce wiele wypadków śmierci spowodowanych utratą woli życia.

Wczoraj, kiedy połączyłem się z Warszawą, w telefonie rozległo się zniecierpliwione „słucham!” Według ich czasu była 10 wieczór, pewnie zadzwoniłem w porze audycji radiowej. Głos Mariana dochodził jak z sąsiedniego pokoju. Był przekonany, że telefonuję z Paryża, i musiałem wyjaśniać, że jestem w Nowym Jorku, do Paryża wyjeżdżamy dopiero w końcu maja. Mówię krótkimi zdaniami, on także, obaj jesteśmy wzruszeni. Ze szpitala wyszedł w początku miesiąca, teraz wraca do formy po antybiotykach. Czy wiemy już o śmierci Jerzego Andrzejewskiego. Tak. Dowiedzieliśmy się przez radio tego samego dnia. Po chwili słyszę: — Podobają mi się twoje plany. My żyjemy tu w stałym napięciu. — Rozumiem, to sygnał, że nie powinienem się śpieszyć z powrotem. M. bierze słuchawkę, pyta o Halinę.

Więc znowu podróż do Paryża. W konsulacie załatwiłem wizy. Wysłałem list do Cité des Arts z prośbą o zarezerwowanie *atelier* na czerwiec. Przez ten czas trzeba będzie zdobyć jakieś meble, by móc zamieszkać na ulicy François Miron. Nasze przyszłe *locum* jest podobno wyremontowane, ale puste. W takich przypadkach zazwyczaj się mówi, że ludzie pomogą. A jeżeli nie pomogą? Widzę się dźwigającego szafę w upały przez bulwary. Stół. Łóżko. Para krzeseł. Fotel do pisania. Lampa. Przeliczam na franki, wychodzi groźna suma i leżę wpatrzony w mój paryski budżet. Pozycje nader skromne: honorarium od Gallimarda za francuskie wydanie „Miesiący” i z radia France Internationale za tygodniowy felieton. Pozostawałyby jeszcze wykłady w Ecole des Hautes Etudes, o których wspomina mi w liście Milan Kundera. Decyzja ciężka do podjęcia. A w dodatku wszystkie obliczenia może załamać jedna choroba: za ambulans dla M. i badania w New York Hospital przysłano mi rachunek na 500 dolarów.

Wkrótce przyjdzie się żegnać i pakować walizki. Zimowe rzeczy popłyną morzem, my powietrzem. W ciągu półtora roku czwarty lot nad oceanem. A jeszcze tak niedawno narzekałem, że żyję w wahadłowym ruchu między Oborami i Warszawą. Przejeżdżając wczoraj taksówką przez Triboro Bridge obejrzałem się i za tylną szybą zobaczyłem nieznany widok Manhattanu. Pod niskimi chmurami. Niebo sine, zwiste i Manhattan jakby spuszczone z chmur. Bliżej snuły się żółte i zielone dymy fabryk chemicznych, a za nimi w głębi rośło to nieprawdopodobne parcie w górę wymyślane przez Amerykanów. Nad wyspą kolosów, nad majaczącą parą srebrzystych stupiętrowych „bliźniaków”, zaprojektowanych przez japońskiego architekta, i biurowcem o ukośnym dachu podobnym do żagla, stały chmury. Wokół hełmu Empire State Building krążył helikopter. Widok był wspaniały i wręcz prosił się o tło muzyczne. Właściwie należy się dziwić, że Amerykanie dotychczas nie skonstruowali grających trzystupiętrowych domów, z których dobywałyby się symfonie Beethovena. Szpikulce starych drapaczy i pionowe tablice nowoczesnych wieżowców tworzyły pod niebem ciemne, zwarte kontury, pogrążając gdzieś w dole nasz Butler Hall i kopułę biblioteczną Columbii. Że z Nowym Jorkiem żegnam się na czas dłuższy, a może na zawsze, to uświadamiam sobie jasno. Ale z rozszczępionymi emocjami. W żadnym mieście nie byłem tak wolny politycznie i tak wyczerpany fizycznie. Żadne miasto na świecie nie budziło we mnie tyle podziwu i od żadnego nie dzieliło mnie tyle obcości. Zdumiewające miasto. Jego brzydota jest patetyczna, a jego uroda tak podniebna, że trzeba ją oglądać z nienaturalnie zadartą głową. Albo z daleka, jak panoramę gór.

Przetelefonowano mi wiadomość o próbie sterroryzowania Michnika w więzieniu śledczym na Rakowieckiej. Dotarł tu tekst pisma, jakie wystosował do prokuratury. Fakt zdarzył się 6 marca: uderzył go więzień nazwiskiem Celegrat, skazany na 25 lat i przebywający z nim w jednej celi. Michnik wskazuje w swym piśmie na okoliczności świadczące o tym, że Celegrat jest informatorem Służby Bezpieczeństwa.

Maj

Marne żniwo z ostatniego miesiąca w Nowym Jorku. Dorobiłem się tylko paru luźnych kartek z notatkami:

„Pierwszego maja dzień spędzony przy radiu i TV. W tele-

wizji zdjęcia z demonstracji ludności w Gdańsku i Warszawie. Widać było wściekłość zomowców, ich zawziętość w biciu i rozpaczliwy opór manifestujących. Straszne sceny. Kobiety przewrócone i ciągnięte po ziemi. Jakiś mężczyzna trzymał się za głowę w szoku po ciosie pałką. Pobitego chłopca wynoszono z tłumu. Zomowcy z łbami w hełmach i w maskach ochronnych, ze swymi ruchomymi pancerzami i długimi białymi prętami, podobni do stworzeń z innej galaktyki, które napadły na ludzi. Demonstracje odbyły się w wielu miastach. Polska — jedyny kraj w bloku komunistycznym, gdzie 1 maja policja bije na ulicach manifestującą ludność”.

„Wtorek, 3 maja. Dzień zakończenia roku akademickiego, pożegnalne spotkanie z moimi słuchaczami w sali wykładowej na 15 piętrze. Nastrój serdeczny, stół udekorowany białoczerwonymi proporczykami i bukietem goździków, także białoczerwonym. Ofiarowali mi zegarek i list z podziękowaniem na kartonie przedstawiającym most Brooklyński. Nie umiałem przemówić w tonie wzruszonego profesora, wzniosłem tylko toast za ich zdrowie. Wspólne pozowanie do pamiątkowych fotografii. Jedna studentka się upiła (ta interesująca i tajemnicza, co pilnie nagrywała moje wykłady na taśmę magnetofonową). Przez okno widać było w dole dziedziniec uniwersytecki i piknikującą młodzież. Rozpostarli obrusy na trawie, dochodziły brzdąkania gitary. Śpiewali i tańczyli. Wyszliśmy z Bobem Scottem. W domu po powrocie telewizyjny reportaż z manifestacji 1-majowych w Polsce. Te same zdjęcia. Bicie pałkami, dziewczyna ciągnięta po ziemi i znowu ten skatowany chłopak wynoszony z tłumu przez kolegów”.

„Dużo zajęć i spotkań przed wyjazdem, brak czasu na regularne pisanie. 9 maja, rocznica zakończenia wojny — tu bez artykułów w prasie i salutów z dział. Jakby zapomnieli o dniu własnego zwycięstwa. Klęska w Wietnamie tkwi w nich głębiej, o niej nie zapomnieli”.

„10 maja. Gustaw z gałęzią. Był niegdyś taki styl latem w Kazimierzu, że młodzi ludzie chodzili po miasteczku z gałęziami. Studenci, artyści, malarze etc. Każdy miał gałąź. Włókł ją za sobą albo trzymał jak kij. Gałąź stanowiła zapewne symbol kontestacji. Chodzić z gałęzią było modnie. Gustaw w IV części 'Dziadów' także wchodzi z gałęzią. Można by tak wyreżyserować tę scenę, że odłączył się od pijanej bandy modnisiów, którzy wracają z zabawy. Słychać ich okrzyki i śmiechy. Znudzili mu się, odchodzi ciągnąc za sobą gałąź. Epatuje nią księdza, zgrywa się przed nim na romantycznego frustrata. Wygłaszając swoje mo-

nologi przez cały czas pamięta, żeby nie wypaść z fasonu. Książd jest zbyt prostoduszny, by się w tym zorientować. Scena na wpół komiczna”.

„Hłasko kiedyś po pijanemu wtaszczył nocą do mieszkania Wilka Macha znak drogowy STOP na żelaznym stojaku, b. ciężki. Potem do świtu zamęczał Macha pytaniami: dlaczego świat jest straszny, dlaczego ludzie są podli. Znak drogowy był jego gałęzią, Mach księdzem. Hłasko miał wiele cech zdesperowanego *playboy’a*, trudno mi było w nim odróżnić cierpienie od ‘fasonu’. Ale przede wszystkim był utalentowany. Był jednym z plejady. On, Zbyszek Cybulski, James Dean, Elvis Presley i inni pojawili się niemal równocześnie. Łączył ich wspólny mianownik gorzko sentymentalnego stylu pokolenia. Umierali młodo i mogli się wydawać ulubieńcami bogów. A jednak byli naznaczeni skazą potępieńców, nacięciem epoki”.

„11 maja. Twórczość następców Hłaski, z Markiem Nowakowskim w pierwszym rzędzie, była ciężkim oskarżeniem rzeczywistości stworzonej przez komunizm. Tej między kioskiem z piwem, zarzygany ustępem i posterunkiem milicji. Nieubłagani mali realiści, dalecy od sentymentalizmu, trzeźwi, z furią w oczach. Krytyka ukuła na nich asekurancką formułkę ‘literatury marginesu społecznego’. Nie pomogło. Ta literatura, ukazując zdegradowane wartości i splugawienie życia, przygotowywała wybuch. W inny sposób niż ‘Zniewolony umysł’, ‘Poemat dla dorosłych’ czy eseje Kołakowskiego. Ale może nie mniej skutecznie. Na Sierpień 1980 literatura polska pracowała ćwierć wieku”.

„W Warszawie pochowano Jerzego Andrzejewskiego. Znaleziono go w pustym mieszkaniu, nieżywego, z głową wciśniętą w fotel. ‘Brał udział niemal we wszystkich inicjatywach, których ludzie w XX wieku próbowali, aby poprawić warunki życia’. (Jacek Bocheński w przemówieniu nad grobem). To zdanie mogłoby dotyczyć niejednej biografii współczesnej, choćby Koestlera czy Malraux. Andrzejewskiemu wypominano, że nie złożył rachunku za swoją postawę w okresie stalinizmu. Gdyby nawet zechciał, nie umiałby chyba takiego rachunku sporządzić. Nie potrafiłby odtworzyć siebie z tamtych lat, swoich ówczesnych treści psychologicznych. ‘Stan błędu’ najbliższy był stanu wiary. Ma tę właściwość, że kiedy mija, przestaje się go rozumieć. Nie pamięta się, na czym polegał. Każda autodiagnoza grozi uproszczeniem”.

„Próbowałem te sprawy wyjaśniać moim słuchaczom na Columbii. Mówiłem także o moich książkach. Krytyka zarzu-

cała mi zmienność. Niech będzie. Pomiedzy tymi książkami kładły się 'cienie moich błędów' (by użyć pięknego cytatu z Sępa-Szarzyńskiego). Pisał je ten sam człowiek i pewnie można go w nich odnaleźć. Jest możliwe, że kiedyś przeczyta je ktoś na nowo i czyjaś wyobraźnia lub inteligencja potrafi wytłumaczyć ich załamania. Albo — nie. Ostatecznie sprawiedliwość wymierzają pisarzowi jego książki. Wraz z karą główną: zapomnieniem”.

Dalej notatka z datą 13 maja :

„Pewien młody człowiek, obciążony wadą niecierpliwości, zdziwił się, kiedy po uwiedzeniu mężatki usłyszał jej pytanie, czy rozwiązał już swoje kompleksy. Nie wiedział, że ma kompleksy. Mogłaby też zapytać, czy zaspokoił już swoje ambicje. Nie wiedział o swoich ambicjach i zdziwiłby się tak samo. Ale nie wiedział jeszcze jednego. Jego ambicje i kompleksy dały mu zdolność koncentracji — zaletę stanowiącą przeciwwagę jego niecierpliwości. Umiał się skupiać na jednym przedmiocie. A ponieważ przedmiotem, na którym się skupiał, był on sam, z upływem lat doszedł do nie byle jakiej wiedzy o człowieku. Stał się myślicielem. Gdy w swym jubileuszowym przemówieniu wypowiedział zdanie, że przez całe życie zaspokajał tylko własne ambicje i kompleksy, nikt mu nie uwierzył, włącznie ze starszką siedzącą w czwartym rządzie. Była to mężatka, którą niegdyś uwiódł”.

„Jubilat sądził, że mówi prawdę o sobie, tymczasem publiczność wzięła tę prawdę za styl, jaki sobie nadał (publiczność woli styl od prawdy). I nie wiadomo, kto się mylił. Nie da się oddzielić w człowieku kreacji od autentyczności: człowiek tworzy dla siebie sposób wyjścia z bezkształtu i równocześnie ów sposób tworzy człowieka. Co było w Andrzejewskim prawdą, a co 'gałęzią', z którą chodził? Lubilem go, ale nie umiałem w nim wymacać jego prawdziwego człowieczeństwa pod stylizacją błazeńsko-kapłańską. Kiedyś zaśpiewał przy wódce: — Dajcie mi tiarę, tiarę, tiarę... — Nie wiem, czy żartował. Jego własna istota połączyła mu się z wykreowanym stylem do tego stopnia, że chyba już nie mógł sam siebie rozpoznać. Maksyma *styl to człowiek* jest dwukierunkowa: *człowiek to styl*. Wiedzano o tym dawno przede mną”.

„'Popiół i diament' jest powieścią budzącą dziś ostre sprzeciw. Ale występuje w niej czysta moralnie postać tragicznego bohatera, akowca, wyposażona przez autora w piękne cechy ludzkie i ukazana z miłością. Model ryzykowny w literaturze

tamtych lat. Dlatego czytano wówczas tę książkę z przejęciem. Miał prawo jej się nie wyrzec”.

„16 maja. Potwierdza się wiadomość z Warszawy o zakatowaniu przez milicjantów w komisariacie na Jezuickiej 19-letniego maturzysty, syna poetki Barbary Sadowskiej. Pamiętam, jak na obiady do stołówki przyprowadzała małego chłopczyka. Pęknięcie wątroby i śledziony. Zmarł po operacji. W trzydzieści lat od 'Popiołu i diamentu' uzupełniona wersja śmierci bohatera”.

„Rozmawiałem o tym z wierzącym katolikiem, lekarzem, który przed tygodniem był jeszcze w Gdańsku. Krzyknął: — I wy tu się zastanawiacie nad celem wizyty Papieża w Polsce? Papież ma jeden cel! Pocieszyć naród, podnieść ludzi na duchu. Jak ojciec, który przyjeżdża odwiedzić syna w więzieniu”.

„Pastorał zamienił w kij pielgrzyma. Gdy w Nikaragui przerwano Mu homilię, potrząsnął nim gniewnie, nakazując ciszę. Kij pielgrzyma, najmocniejsza z ludzkich podpór”.

„Zapaść. Puste, jałowe zmęczenie i lęk przed zmianą miejsca. Trudno ułożyć najprostsze zdanie, w każdej myśli prześwituje koniec wszystkiego. Trzeba schować rękopis do szuflady. Szuflada bywa dla rękopisu pożywna jak ziemia dla roślin. Można by to nazwać 'zasadzeniem'. Wylatujemy 4 czerwca”.

Lipiec

Rzeczy otrzymane i nabyte.

Tapczan z materacem i kapa beżowa od znajomej księży Pallotynów z rue Surcouf.

Drugi materac od przyjaciółki Olgi, pani Nicole Batt z ulicy Ranelagh.

Tapczan, niski stolik, fotel obity brązowym welwetem i szafka biała od Miry Trailovic, poznanej dwadzieścia lat temu w Belgradzie. Transport furgonetką Pallotynów z rue de Lévis. Odkurzacze, krzesło, półka i świecznik.

Lampa i filiżanki porcelanowe.

Szwedzki fotel z poduszką i czerwonymi poręczami, rajzbret na kozłach, zakupione w firmie meblowej w Bobigny.

Stolik i krzesółka do kuchni z magazynu „Conforama”.

Lampy wiszące japońskie do korytarza, lodówka oraz półeczka i lustro w łazience, wszystko z „Bazar de l'Hôtel de Ville”.

Talerze, szklanki i serwis do kawy.

Zasłona na okno ze sklepu „Madura” na ulicy de Rennes.

Powleczenia i prześcieradła nadeszły w paczce nadanej w Nowym Jorku przed wyjazdem.

Płyta szklana na stół. Kuchenka elektryczna i materiał na story.

Wazon i popielniczka.

Poduszki dwie i waga przywieziona w walizce z Nowego Jorku.

Gzymsy do firanek założył b. zecer NOWej, z wykształcenia polonista, obecnie stolarz w Paryżu.

Szafkę przemalował młody elektronik z Katowic polecony przez Chojeckiego.

Elektryczność działa. Instalacje podłączył fizyk z Orsay o duszy humanisty, Lucjan Śniadower.

Telefon działa. Nr 278-90-34.

Pierwszy list, jaki nadszedł na mój nowy adres w Paryżu (22, rue François Miron), był z Berlina Zachodniego od Witolda Wirpsy. Przekazano mi go z Maisons-Laffitte. Wirpsza czytał fragment „Miesiący” w czerwcowym numerze *Kultury* i wysłał do mnie list na adres redakcji. List bez osobistych wstępów, w pierwszym zdaniu wiadomo w czym rzecz: „Właśnie przeczytałem ostatnie ‘Miesiące’ w *Kulturze* i zacząłem rozmyślać”.

Dalej zacytuję — za zgodą autora — najistotniejsze ustępy. Piszę mi Wirpsza tak:

„Myślę o ustawieniu się (wewnętrznym) do problemu emigracji, który stanął przede mną lat temu trzynaście i staję teraz przed Tobą. O sobie powiem najprościej: wyjechałem, bo mnie to brzydziło, tak jakby mi kto zatkał głównym tchawicę. Jak dzisiaj już z dystansu o tym myślę, to wydaje mi się, że w istocie nie się nie zmieniło; obrzydzenie zostało”.

„Początkowo nie myślałem o tym, że zostając na obczyźnie przydam się na coś krajowi. Nawet pisząc książkę ‘Polaku, kim jesteś?’, która uzyskała rozgłos i okazała się pożyteczna, nie myślałem o kraju. Myślałem o sobie — może nawet nie myślałem, tylko instynktownie chciałem się z czegoś oczyścić. Z czego? Z urazów? Z obrzydzenia właśnie — czego nie udało mi się dokonać. Ciągle jeszcze nie wiem, ale wiem, że wciąż jakaś ekstyrpacja nie została radykalnie dokonana; tylko: ekstyrpacja czego? Bo ekstyrpacja to nie ten sam zabieg, co amputacja; amputacji dokonuje się ‘w zdrowym’, jak mówią lekarze. A gdzie tu zdrowe? A jeśli po wyłuskaniu zostaje zakażona tkan-

ka? Tkanka czego? Czym zakażona? We mnie, czy w tym, co we mnie jest polskością? Co to jest ta tkanka polskości?”

„Młodość ukształtowała mnie w mieście portowym, więc w pewnym rozumieniu kosmopolitycznie. Praca mego ojca była związana z portem, w domu panowała tolerancja (czy liberalizm) narodowa i religijna (trzy narodowości i trzy religie jednoczyły wspólne posiłki i wieczory). Patriotyzm był raczej pozytywistyczny: przygoda budowy Gdyni. 'Oni' to były porty w Gdańsku, Szczecinie lub Kłajpedzie, czyli konkurencja, gdzie panowały kupieckie, naznaczone na pewno hanzeatyzmem, reguły gry. I tak się stało, że moja polityczna świadomość polskości, po wszystkich meandrach, jakie przebyłem, i okaleczeniach, jakich doznałem, jest swoiście polską świadomością republikańską. Postawa republikańska Polaków bowiem była ukształtowana przez ruch od 'góry' do 'dołu', odwrotnie niż u Szwajcarów, choć wyniki są miejscami i czasami podobne. Chodzi mi o ten proces, który zaczął się w Nieszawie, a może jeszcze nawet w Koszycach i który na razie zakończył się w Gdańsku roku 1980”.

„Moja literacka świadomość polskości jest wolna od idolatrii Mickiewicza. (...) Coraz mocniej natomiast utwierdza się we mnie przekonanie o niebywalej wielkości Kochanowskiego, 'Treny' zaś uważam za bardziej polski poemat od 'Pana Tadeusza'. Taka jest, z grubsza, moja literacka świadomość polskości. Chyba już niewiele się zmieni”.

„Wydaje mi się, że mój republikanizm plus 'kochanowizm' chroni mnie przed sentymentalną świadomością polskości; a także przed sentymentalną świadomością emigracyjną. Na przykład nie ma we mnie nostalgii krajobrazowej. Jeżeli tęsknię, to za ludźmi i to raczej za konkretnymi ludźmi, nadto nie osadzam ich w pejzażu miejskim, wiejskim czy nijakim. Staram się mieszkać w Berlinie tak, jak Ibsen mieszkał w Monachium, on zaś chyba nie mieszkał w Bawarii, lecz w Monachium właśnie, bo chciał”.

„Czytając 'Miesiące' wyczuwam, że stoicie jakoś na rozdrożu. Emigrantami *de facto* jesteście przecież już od wielu lat, formalnie wciąż jeszcze nie. Przez emigrację rozumiem taki stan świadomości, kiedy pseudo — czy quasi państwa, do którego się jest przypisanym, nie uznaje się za swoje państwo (państwo swego narodu), władzę zaś zwierzchnią uważa się za nielegalną. W tym wypadku problem terytorium ma nikłe znaczenie, czułościowe rzekłbym. Można opuścić państwo — quasi i pseudo — nie opuszczając terytorium. W istocie sprawa sprowadza się

do urządzenia sobie egzystencji zewnętrznej, nie wewnętrznej. I pamiętać trzeba o wyznaniu Tomasza Manna, który powiedział, że Niemcy są wszędzie tam, gdzie on pisze po niemiecku. A to się nie tylko do niego odnosi. Ważne jest dla mnie, że trzniął terytorium”.

„Otóż myślę, że powinniście trznić terytorium. To daje równowagę psychiczną”.

Widzę Witolda Wirpszę przy biurku w mieszkaniu na Alt-Moabit piszącego do mnie list. Widzę, jak skręca bibułkę z piorunująco mocnym tytoniem, jak wciąga haust dymu w płuca, wypuszcza rozdwojoną smugę przez nos i namyśla się gładząc długą brodę, siwoczną i także rozdwojoną na końcu. Zadał u góry: „Zacząłem 12.6.1983” — i dopisał u dołu: „Skończyłem 23.VI.1983”. Cały Wirpsza. Jeden z nielicznych znanych mi ludzi, dla których praca intelektu jest jedyną rzeczywistością i jedynie prawdziwą miarą czasu. Podziwiam w nim od dawna tę pańską udzielnosć, nadającą jego berlińskiemu życiu silny, czysty ton losu wybranego świadomie i egzekwowanego z pogodnym samozaparciem. Wirpsza wybrał myślenie i poezję, lub ściślej — myślenie upoetyzowane. W Berlinie czytał mi swoje poematy i eseje, czy raczej teorematy, rozwijające intelektualny dyskurs wierszem, białym wierszem, a kiedy indziej prozą o myśli skrajnej, osobliwej.

Ten list mógł równie dobrze napisać w formie poetyckiej, nie zdziwiłbym się. I zareagowałbym na jego treść tak samo bezsilnie. Wirpsza precyzuje w nim swoją świadomość polskiego emigranta, kondycję, z którą nie mogę polemizować, tak jak nie mógłbym polemizować z czymś organizmem. Mógłbym najwyżej odpowiedzieć: Witoldzie, ze mną dzieje się inaczej, mniej dorzecznie. Teraz, w dwudziestym miesiącu odcięcia od kraju — a to śmiesznie mało w porównaniu z trzynastu latami emigracji Wirpszy — nie potrafię umieścić mojego *statusu* pod żadną nazwą. I nawet nie usiłuję. Wątpię czy byłoby istotne szukać formalnych określeń dla wstrząsu życiowego, który przeżywa się w nieustającym zdumieniu, w rozsypce, właśnie w rozsypce organizmu, i poza rozumowaniem. Bo tak przeżywam mój wypadek. Wirpsza prawdopodobnie ma słuszość pisząc o polskości jako urządzeniu się wewnętrznym i o emigracji jako urządzeniu zewnętrznym, lub gdy przytacza dewizę Tomasza Manna (co prawda Mann wypowiedział cytowane zdanie w późniejszym okresie emigracji, z początku rozważał możliwość powrotu do Niemiec). Pewnie też Wirpsza ma rację wskazując na „nikłe znaczenie terytorium” i wyrzekając się polskiej świadomości

sentymentalnej, nostalgicznej. Wszystko to jednak pada obok. Nie ma we mnie dzisiaj ani jednej myśli, która by mi pomogła w sformułowaniu poglądu na sprawę. Nie byłbym zdolny do obiektywnej analizy własnego położenia ani rodzaju mojej polskości. Być może jestem uchodzącą politycznym, emigrantem *de facto*, być może powinienem „trznąć terytorium”. Tak, ale na razie... Na razie list Wirpszy budzi we mnie trwogę. Czym — otóż właśnie swoją świadomą pewnością i wyargumentowaniem. Mówię: biada mi, Wirpsza wszystko przemyślał, a ja się rozpadłem. Jedno życie tam, drugie tutaj, to powoduje we mnie zamęt. W zamęcie nie mogę spożytkować dla siebie rozumu przyjaciela.

Tak się zdarzyło, że żyję w pomieszaniu obaw i widziadeł. Gdybym nagle przebudził się w Warszawie, gdyby się okazało, iż ubiegłe dwadzieścia miesięcy było kilkugodzinnym snem, powiedziałbym z ulgą: naturalnie, to się mogło tylko przyśnić. Ale sen trwa dalej i nie rozplącze go logiczne rozumowanie. W przeciwieństwie do Wirpszy tkwię w bycie niepewnym. Po prostu tak jest, że od nocy 13 grudnia znajduję się nie — jak twierdzi Wirpsza — na rozdrożu, lecz jakby w niekończącym się pasmie osłupienia. Tym, co się stało. Tym, co było moim życiem i przemieniło się teraz w szkice pamięci, w kilkanaście twarzy i ulic, w aleję parku, w sień domu. Terytorium chodzi za mną. To nie jest nostalgia, to odlepienie się wszystkich rzeczy dnia, które niedawno przylegały do mnie jak koszula. W tym stanie nie mam nic w głowie. Ani jednej konstruktywnej odpowiedzi.

W moim śnie zmienia się także geografia. Nie bez przygód. Z Nowego Jorku wytaszczyłem cztery walizki, maszynę do pisania, torbę, neseser i dwa parasole. „Miesiące” schowałem do torby. W samolocie poczułem ulgę: siedem godzin, cała noc lotu. Dopiero rano osaczają mnie kolejne wysiłki dźwigania bagażu na Orly, znalezienia taksówki, a później tygodnie zdobywania i przewożenia mebli, załatwiania formalności w urzędach. Postanowiłem o tym nie myśleć. Po półtorej godziny lotu nad oceanem, uspokojony, myłem twarz i ręce w toalecie. I gdy rozległ się ten nieprawdopodobny komunikat nadany z kabiny pilota, nie byłem pewny, czy dobrze zrozumiałem jego sens.

Od półtorej godziny lecieliśmy nad Atlantykiem w samolocie Transamerican Airlines, który wystartował o 8 wieczór czasu amerykańskiego z lotniska JF Kennedy. Trzystu pięćdziesięciu pasażerów przygotowywało się do spędzenia nocy nad oceanem. Niektórzy już drzemali, inni palili papierosy szelesz-

cząc gazetami. Pito soki owocowe, przekręcano gałki regulujące dopływ powietrza. Samolot był wypełniony do ostatniego miejsca. Za mną siedział Francuz z Marsylii, gadatliwy wesołek-monologista; ani na chwilę nie milkł. Przede mną ładna dziewczyna o rudych włosach spadających na oparcie fotela przeglądała ilustrowany magazyn żując gumę. Obok mnie siedział pasażer milczący, z ciemną brodą, pogrążony w lekturze kryminalnej powieści. W rzędzie po drugiej stronie przejścia czterdziestoletni Amerykanin, imponująco wysoki, z głową intelektualisty — jego młoda żona z siedmioletnim synkiem siedzieli o kilka miejsc dalej; co parę minut odbywały się rodzinne wizyty, chłopczyk przychodził z książeczką prosząc, żeby mu czytać na głos. Stewardessy rozniosły tace z jedzeniem. Lecieliśmy bez wstrząsów. Zaczęto gasić lampki i owijać się kocami. Wtedy właśnie poszedłem do toalety, by po chwili, wycierając ręce, usłyszeć głos pilota brzmiący nad moją głową. Jedno zdanie: — *Ladies and gentlemen*, zawracamy na lotnisko JFK w Nowym Jorku.

W samolocie, kiedy z powrotem zająłem swoje miejsce, nie dostrzegłem oznak zaniepokojenia. Można było sądzić, że nie szczególnego nie zaszło. Tylko Marsylczyk umilkł za mną, a dziewczyna przede mną miała rude włosy zaplecione w kok. Mój brodaty sąsiad dalej czytał powieść kryminalną i tylko jego palce — palce zacisnął na okładce, zbielały mu paznokcie. Rozmawialiśmy z M. udając, że nie widzimy jak Amerykanin prosi sąsiadów, by zamienili się miejscami z jego żoną i synkiem. Siedzieli odtąd razem, żona trzymała go za rękę, chłopczyk oglądał ilustracje w książeczce (zauważyłem tytuł: MORE MONEY). Pilot milczał. Zatrzymałem przechodzącego stewarda.

Olej wyciekał z motorów. Płynęliśmy zamknięci w podłужnej, świecącej rybie, z której kapał tłuszcz.

W trzy tygodnie później opisałem ten lot nad oceanem w audycji radia France Internationale. Mówiłem do mikrofonu o cienkiej i kruchej granicy dzielącej życie od śmierci, o niedorzeczności naszych utrapień i złych przeczuć, jakimi dręczymy się na co dzień w obawie o przyszłość, nie wiedząc, że nasz prawdziwy los zależy od czyjejś ręki, która w pośpiechu nie dokręciła jednej z uszczelek w motorze... I tak dalej. To prawda, ale w audycji nie powiedziałem wszystkiego. Pomiąłem ów krótki moment, gdy katastrofa wydała mi się bliska i kiedy błysnęła mi myśl — szaleńcza — że za chwilę koniec, płonący samolot runie w morze, które połknie mnie, moje walizki, moją polskość, rękopis i maszynę, że pozbędę się siebie z całym

balastem rzeczy i spraw do dźwigania — i wreszcie się obudzę. Nie wiem jak długo, może przez kilka sekund pragnąłem, aby tak się stało. Unosiliśmy się w mglistej poświacie nad chmurami. Nikt nie rozmawiał. M. pociągnęła mnie za rękę: — Jesteśmy nad ziemią. — Musiałem chyba zapaść w drzemkę, bo nie dotarł do mnie następny komunikat z kabiny nawigacyjnej. Lecieliśmy nad stanem Massachusetts, w Nowym Jorku przygotowano dla nas samolot do powtórnego startu. W chwili gdy koła dotknęły betonu lotniska JFKennedy, przez rzędy foteli przeleciało westchnienie, rozległy się oklaski. Po dwóch godzinach oczekiwania wystartowaliśmy znowu z tą samą załogą, w identycznej białozielonej rybie Transamerican Airlines. Lot był spokojny, owinałem się kocem, potem zbudził mnie ostry, rażący blask nieba, było południe, schodziliśmy nad Francję. Na lotnisku w Orly przy wyjściu z samolotu żegnała nas załoga. Pilot — niemłody mężczyzna, krwista twarz z jasnymi brwiami — kiedy mu dziękowałem, roześmiał się i klepnął mnie po ramieniu.

Później biegłem z torbą, parasolami i maszyną do pisania w tłumie pasażerów, którzy dziesięć godzin temu mogli wpaść do morza w kamizelkach ratowniczych, i razem, w panicznej furii, potrącając się i tłocząc, rzuciliśmy się do wózków bagażowych. Potem zgubiłem torbę z rękopisem „Miesiący” i M. ją odnalazła na postoju taksówek. Później jechaliśmy przez nabrzeża Sekwany, mignął skrzydlaty posąg na Châtelet, byłem nieogolony, nogi mi spuchły, myślałem skąd wezmę meble do nowego mieszkania i że trzeba będzie wracać do Warszawy. A w dwa dni później staliśmy w tym pustym, białym mieszkaniu o nagich ścianach i trzeszczących posadzkach, oglądaliśmy je, mówiliśmy, że światło jest ładne, i zastanawialiśmy się, czy długo będziemy tu mieszkać.

Wszystko bardzo dziwne. Chodziliśmy z M. po skrzypiących, wybielonych pokojach, w których mieliśmy raz jeszcze zacząć życie. M. była w jasnej bluzce, miała puszyste, świeżo umyte włosy i mówiła: — Daję ci słowo, że jakoś się ułoży. — A później — ale to już było po kilku tygodniach pobytu, kiedy urządzaliśmy mieszkanie, w początku lipca czy pod koniec czerwca, gdy w partyjnej prasie warszawskiej pisano o mnie „najemny pracownik uczelni amerykańskiej” — jechałem w upalny dzień z trzema młodymi klerykami pakowną furgonetką księży Palotynów przewożąc do nowego mieszkania stolik, tapczan i szafkę od urodziwej Miry Trailović, po dwudziestu latach, jakie upłynęły od kongresu w Belgradzie, kiedy zainteresowaliśmy

się sobą i musieliśmy się wkrótce pożegnać. Za opuszczoną szybą przesuwwały się piękne segmenty miasta, młodzi duchowni w samochodzie, przytrzymując szafkę, rozmawiali o homilii Papieża w Krakowie, ja natomiast przypominałem sobie co napisał mi Wirpsza o nostalgii za Polską sprowadzającej się do braku pewnych osób i liczyłem te osoby.

I gdy wreszcie po długim wystawianiu w zatorach samochodowych minęliśmy imponujący kredens Hôtel de Ville, by za chwilę przy kościele św. Gerwazego skrócić w ulicę François Miron, i uprzytomniłem sobie, że stoi na niej dom, w którym będę żył może przez lata, poczułem dreszcz jaki przeszywa człowieka śniącego, że siedzi nago na szczycie drabiny, która nie ma oparcia. Ale jeszcze tego samego dnia poszliśmy na Saint-Paul, widziałem M. wśród straganów z owocami, jak rozmawia z tęgą sprzedawczynią i wybiera owoce dotykając ich końcem ręki. Wtedy poczułem spokój.

Wszystko to jednak dziwne, chwilami myślą mi się plany czasu i pamiętam osobliwy moment, kiedy po odczycie Władysława Bartoszewskiego, na który ściągnął tłum ludzi, ktoś przybyły z Warszawy pokazywał mi zdjęcia robione w Oborach. — To jest ostatnia fotografia Andrzejewskiego... — Jerzy przy klombie, widoczny od tyłu, szedł w kierunku bramy na poranny spacer. — A to jest ostatnia fotografia Jastruna... — Twarz Mieczysława w zbliżeniu, taki sam wyraz miał w oczach, kiedy po literackim zebraniu mówiłem mu o wierszach jego syna. I raptem — ja... Schylony nad otwartym bagażnikiem samochodu, u dołu widać niski żywopłot podjazdu. Wystraszyłem się. — Ale to nie jest moja ostatnia fotografia — mówię — potem robiono mi jeszcze inne zdjęcia. — A na samym końcu obrazek z kępą drzew od strony stawu, znów klomb i dwie małe sylwetki kroczące obok siebie. Co to? Jacek z Jerzym...? Wpatrzyłem się w zdjęcie i nie od razu mogłem się połapać. Kilka tygodni wcześniej przeczytałem w gazecie wiadomość, że jeden przemawiał nad trumną drugiego.

Ponieważ listy na mój nowy adres zaczął przychodzić dopiero za jakiś czas, wiadomości o kraju mam przeważnie z telewizji i prasy. Widziałem na ekranie Wałęsę w pasji, jak wyrzucał ubeków ze swego samochodu. Mocna ludowa scena: pierwszego odepchnął uderzeniem w pierś, drugi, mniejszy, wylał z pochyloną głową. Było to na krótko przed wizytą Papieża. W owym czasie tajniacy nie odstępowali Wałęsy na krok. Sprawili

na mnie wrażenie człowieka, któremu wstręt podszedł do gardła, człowieka gotowego na wszystko; zdawało się, że za sekundę dojdzie do krwawej bójki. Zezwolono mu wreszcie spotkać się z Papieżem, ale decyzję wydano jak na mękach, niemal w ostatnim momencie. Po odjeździe Papieża rozszły się pogłoski, że Watykan usiłował wymóc na Wałęsie rezygnację z publicznej działalności, i telewizja znów go pokazała: nad wodą, z wędką. Pytania dziennikarzy zbywał krótkimi odpowiedziami, z szorstką drwiną, ale bez uśmiechu. Był chmurny, czuło się w nim złość i niesmak. Odjazd Papieża także oglądałem w telewizji. Tłumy na lotnisku odgrodzono, nie widać ich było na ekranie, tylko ich głos dochodził, z głębi, jakby z lochów. Krzyki i jęki: „Ojciec-do-nas!... Zo-stań-z-na-mi!...” W trakcie przemówień kardynała i przewodniczącego Rady Państwa wciąż odzywały się te głuche stękania tłumu.

Dwa i pół roku temu napisałem w berlińskiej części „Mieściecy” słowa, które potem nie weszły do książki: „Mamy wspańskiego Papieża — i Kościół. Kościół nie potrzebuje sprzymierzeńców, z opoki ześlizną się obce kamyki”. Dalej odnotowałem fakt, że Prymas nie przybył do Gdańska na odsłonięcie pomnika poległych stoczniovców w dziesięciolecie Grudnia 1970. Po wysłaniu tomu do druku nadeszła wiadomość o śmierci Prymasa, poprosiłem więc redakcję Instytutu Literackiego, aby skreśliła ten ustęp. Myślę o nim często teraz, gdy krążą rozmaite prognozy i domysły w związku z kompromisem, do jakiego — podobno — skłania się nowy prymas, i z przykrą rolą, którą — jakoby — odegrał wobec Wałęsy sekretarz kurii rzymskiej podczas wizyty Papieża.

Tymczasem Papież dowiedział, że posiada rząd dusz w Polsce. Przy białej postaci Papieża, świetlistej a zarazem solidnie cielskiej, fotografowany u jej boku człowiek w mundurze i w czarnych okularach (ileż historycznej ambicji w tej twarzy) upodobił się jeszcze wyraźniej do niesamowitej osoby z gabinetu figur woskowych. W ciągu niespełna pięciu lat od conclave Jan Paweł II ukazał światu swoją duchową siłę. Mniej się już pisze na Zachodzie o talencie aktorskim Papieża, o uwodzeniu tłumów. Paryscy dziennikarze nagle ujrzeli wielkość. Przypuszczalnie widzą ją także ludzie, którzy przed dwoma laty postanowili Go zabić. W prasie na Zachodzie komentuje się dalekosiężne plany Papieża, zwłaszcza jego ideę zjednoczenia chrześcijaństwa. Podkreśla się również odwagę Jana Pawła II i jego wytrzymałość fizyczną. Pisze się z respektem. Pisze się też o Polsce.

Polska w dniach papieskiej wizyty znów weszła na pierwsze kolumny gazet. Jest obecna w prasie i telewizji obecnością dawną i niejako tradycyjną, przenikającą Francuzów pewnym niepokojem. — Dla Zachodu — powiedział mi bardzo inteligentny Francuz — od dwustu lat Polska istnieje tylko jako wyrzut sumienia. — Przypomniał mi, że Chopin w listach do rodziny opisywał alegoryczne spektakle wystawiane w paryskich teatrach po upadku Powstania Listopadowego. Obrazowały chwałę i męczeństwo bohaterskich Polaków, białoczerwone sztandary powiewały na scenie wśród huku armat, publiczność krzyczała. W wieku XIX roіło się we Francji od broszur, artykułów i proklamacji w sprawie Polski. Stała się symbolem zdławionej wolności, niepokoiła sumienia. Ale jako organizm polityczny, gospodarczy, jako cywilizacja — od dawna dla Zachodu nie istniała. Pisano i mówiono o Polsce niby o męczeńskim duchu unoszącym się nad Europą cesarzy. Pisano ze współczuciem i nie bez poczucia winy. Tak było przynajmniej do wybuchu Komuny Paryskiej. Wielu Polaków walczyło po stronie komunardów, Polacy byli generałami Komuny. Po zgnieceniu powstania mieszczaństwo francuskie, jeszcze przerażone, obróciło swój strach przeciwko Polakom. Polskich komunardów rozstrzelowano dziesiątkami. Umilkło *les braves Polonais*. Po jakimś czasie weszło w obieg „*soûl comme un Polonais*”. A w końcu, w 1939, rozległo się wzgardliwe, retoryczne „*mourir pour Danzig?*”... z wielkim pytańnikiem. Można się było rozgrzeszyć w stosunku do podbitego narodu, który nie stanął na wysokości zadania.

Co teraz?

Polscy antysemita, a jest ich rzesza w kraju i poza krajem, zapewne kiedyś wymrą. Póki co jednak są, żyją i wykonują za Rosję tęgą robotę oszpecania Polski w oczach świata. Trzeba sobie wreszcie powiedzieć, że uraz Żydów w stosunku do Polaków bierze się nie tylko z lat wojennych, lecz przede wszystkim z tego, że antysemityzm w Polsce istnieje dzisiaj, teraz. Twierdzenie, że Polacy pomagali hitlerowcom w mordowaniu Żydów jest takim samym nadużyciem, jak pogląd że Żydzi pomagali Stalinowi w mordowaniu Polaków. Jest niesprawiedliwą odpowiedzialnością na niesprawiedliwe zdanie (robili to niektórzy Polacy i niektórzy Żydzi). Wygaduje się głupie okropności po obu stronach. Ale gdyby antysemityzm w Polsce przestał istnieć, uraz Żydów szybko by minął. Niestety polski antysemityzm nadal istnieje. Istnieje w Polsce bez Żydów, po zagładzie na wspólnej ziemi, wypłynął w szeroki świat, zdumiewa

cudzoziemców i można oczekiwać, że wkrótce stanie się dla Zachodu kolejnym argumentem uwalniającym od obowiązku współczucia dla Polski.

Przez trzy lata słowa *Polska, Gdańsk, Wałęsa* były na Zachodzie symbolem walki o godność i braterstwo. *Solidarność* stała się międzynarodowym hasłem demokracji. Kiedy po 13 grudnia do krajów zachodnich przyłynęła nowa fala polskich emigrantów, ofiarowywano im mieszkania i pracę. Po trzech latach wciąż jeszcze utrzymuje się życzliwość dla Polaków, nadal odbywają się wiece na rzecz solidarności z Polską (byłem niedawno w ogromnej sali „Mutualité”, gdzie kilka tysięcy osób skandowało nazwiska Wałęsy i Kuronia), a równocześnie coraz częściej dochodzą mnie pytania o polski antysemityzm. Dopłynął z falą emigracji, jest, daje znać o sobie. Polski antysemityzm — gadatliwy, paplający co ślina na język przyniesie. Bezkrwawy, nie okrutny i bezmyślny. Przywożą go ze sobą nieraz ludzie młodzi, którzy nigdy nie widzieli Żyda, lecz mówią o Żydach ze wstrętem. W Kanadzie zaczęło się ukazywać pismo w polskim języku, z emblematem „Solidarności” w nagłówku i pogrozkami wobec Żydów amerykańskich na pierwszej kolumnie. W Stanach Zjednoczonych wychodzi świetnie redagowany *Nowy Dziennik*; po artykułach upamiętniających Powstanie w getcie warszawskim redakcja otrzymała listy z obelgami. W Paryżu... Trzeciego dnia pobytu usłyszałem od 28-letniej emigrantki z Torunia, że Polak, aby załatwić przydział mieszkania, musi dać butelkę wódki Żydom w merostwie. Nie widziała Żyda w Toruniu ani w merostwie. Nie była złym człowiekiem, ale powiedziano jej, że Żydzi są źli. Polski antysemityzm wymawia dziś słowo Żyd niby głoskę magiczną, oznaczającą złe siły losu. Mówiąc *Żydzi* ma na myśli nie osoby konkretne i cielesne, lecz zagrożenie przez niewiadome moce, które trzeba nazwać. Nic, jak się okazuje, nie poszło na marne. Ani stary antysemityzm klerykalno-endecki, ani nowy, komunistyczno-wschodni.

Pewien uczciwy człowiek — jeden z tych, o których myśli się: przyjaciel — obrzucił mnie wymówkami w czasie spotkania u Wiktorów Woroszylskich na Żoliborzu. Ukazały się wtedy „Miesiące” wydane przez NOWą. Usiadł koło mnie i wybuchnął: — Dlaczego wciąż wracasz do tych spraw? Żydzi, antysemityzm... czy naprawdę ciągle musisz o tym pisać? To obsesyjne. — Był przyjacielem i nie mogłem go posądzać o niechęć do Żydów. Pragnąłem mu wytłumaczyć dlaczego piszę o *tych sprawach*. Co mu powiedziałem? Mówiłem o metafizycznym

wymiarze zbrodni popełnionej na Żydach. Mówiłem, że o zagładzie Żydów nie można przestać myśleć — pozostanie źródłem ludzkiej pamięci jak księgi Biblii, i jeśli się było jej świadkiem, już to wystarczy, aby o niej pisać do końca życia. Mówiłem o sześciu milionach. Zapytałem go, czy mnie rozumie. Zdało się, że nie chciał rozumieć. Był zresztą po paru kieliszkach i pewnie nazajutrz żałował, że doszło do tej rozmowy między nami. Był to przyzwoity i niegłupi człowiek, prawy Polak. A zarazem jeden z wielu przyzwoitych ludzi, którzy nie lubią mówić o żydowskich nieszczęściach. O pewnych sprawach w Polsce zawsze się milczało, polska kultura przemilczeń ma stare i głębokie korzenie.

Również dlatego powracam do tych spraw. Bo antysemita nie milczy. Bełkoczą, wyplatają swoje ciemne brednie. Antysemityzm był zawsze głupi i odrażający. Kiedyś jednak próbowano widzieć w nim problem społeczny, analizować przyczyny — badać go rozumowo. Dziś antysemityzm nie ma przyczyn społecznych i wymyka się rozumowaniu. Stał się wulgarnym upiorkiem, który wchodzi w ludzi. Nie ma na niego siły racjonalnej, jest z rodziny małych, pospolitych diabłów, pierzchających dopiero przed egzorzyzmami.

Ludzie poniżający Murzynów wyrządzali szkodę Ameryce. Sprawili, że przez wiele lat uważano Amerykanów za naród rasistów. Powtarzam przy każdej okazji, że niesprawiedliwością jest nazywanie Polaków narodem antysemitów. Ludzie poniżający Żydów wyrządzają Polsce zło trudne do naprawienia.

Bardzo inteligentnym Francuzem, który mówił o formie istnienia Polski dla Zachodu, był Jean Daniel, redaktor tygodnika *Le Nouvel Observateur*. Włoski wydawca z Mediolanu zaprosił wówczas na kolację parę osób, by porozmawiać o kongresie, który na wiosnę ma się odbyć w Tokio pod hasłem *La Deuxième Renaissance*. Był także Kundera z żoną. Mówiło się o wielu innych sprawach — o literaturze, o Rosjanach, o Polsce. Milan Kundera jest mądrym człowiekiem, z którym lubię rozmawiać o naszych krajach. Ma dla Polaków zainteresowanie i sympatię, podobnie jak ja dla Czechów; obaj uchroniliśmy się od sąsiedzkiego poczucia wyższości. Zapytał mnie wtedy, czym tłumaczę sobie, że Żydzi mieszkający od lat we Francji lub w Stanach Zjednoczonych zachowali sentyment dla dawnej Rosji, tęsknią za monarchią austriacką, natomiast o Polsce krzyczą w rozdrażnieniu i z żalem.

Chciałem na to pytanie odpowiedzieć, zacząłem mówić przez stół do Kundery, który siedział naprzeciw mnie. Powiedziałem

kilka zdań i utknąłem. Wyjaśniać po francusku Czechowi sprawy Polaków i Żydów, nabołałe, zlepione ze sobą ranami... Te wieki niezrozumień wzajemnych, których myśląc we własnym języku nie potrafię rozwikłać... Kundera przyjrzał mi się i dał spokój.

Wyszliśmy późno. Miałem ochotę wrócić pieszo do domu, przez most nie było daleko. Pożegnaliśmy się, został ze mną tylko włoski wydawca, który postanowił wziąć taksówkę. Parę minut ciągnęliśmy jeszcze rozmowę o kongresie w Tokio, wydawca twierdził, że żyjemy w epoce Drugiego Renesansu. Byłem zmęczony i po raz któryś z rzędu przyjąłem jego zaproszenie. Wsiadając do taksówki pomachał mi ręką. — *Au revoir à Tokio!*

Ja. Do Tokio. Na kongres. Drugi Renesans. Nie.

Dwa tygodnie u Krzywickich w La Hacquinière koło Bures-sur-Yvette. Odpoczynek był już konieczny — pierwszy od Sopotu w sierpniu 1981, nie licząc kilku dni spędzonych w Stonybrook i później w Kent. Paryż po Nowym Jorku z początku jakby nie męczył. W Nowym Jorku wydawało mi się, że Amerykanie są dwa razy więksi ode mnie i dwa razy głośniejsi mówią. W Paryżu pomyślałem: wreszcie miasto na ludzką miarę. Dopiero po miesiącu poczułem nagłą utratę sił. Ręce mi latały, krzyczeliśmy na siebie o byle drobiazg, o niezamknięte drzwi.

Teraz powietrze, cisza i koty. Wieczorem przypływają zapachy z ogrodu, sypia się przy otwartych oknach. Drzewa szumią. Rano gwiżdżą szpaki. W ciągu dwunastu lat mieszkaliśmy w tym domu wiele razy. Kiedy się budował w 1970, pomagałem nosić deski. Później, ilekroć Andrzej z Elą byli w Szwajcarii czy w Niemczech, przyjeżdżaliśmy do Paryża do osamotnionej Ireny na długie pobyty. Mieszkaliśmy we troje, z kotami. Koty nazywały się Wobo i Ruda. Teraz są już inne, nazywają się Panda i Mrukot. — Wszystko rozumieją — ostrzega Irena — niebezpiecznie przy nich mówić.

Mówimy, rozmawiamy. Irena, półociemniała, chodzi po domu z białą laską. Oznajmia: — Nic nie widzę, mam sto pięćdziesiąt lat! — i zastanawia się gdzie przewiesić obraz ze stołowego pokoju. Widzi wszystko. Pragnie również zobaczyć w ludziach to, czego nie widać. Dawno temu, gdy powiedziałem jej że jest najmłodszą z moich sympatii, miała 75 lat. Teraz patrzę jak polewając hydrantem krzak róży nagle rzuca hydrant, chwytą laskę i po chwili, wyprostowana, sunie do sąsiadki,

aby się dowiedzieć czy jej wnuczka zdała maturę. — Jest jak chłopka — twierdzi M. — silna i zaprawiona w nieszczęściach. — W czasie wojny straciła męża, syna i przyjaciela, którego kochała. Zabrano jej dom, musiała się ukrywać. Po wojnie jej młodszy, uratowany syn zachorował na polio, ocalała go wbrew prognozom lekarzy. W zeszłym roku umarła Ela, jej synowa. — Pan Bóg na mnie sprawdza, ile człowiek może wytrzymać. — Mówi to spokojnie, z nieruchomymi, jakby zapałzonymi oczami. Wstaje z fotela, woła koty. Zapowiada że w przyszłym tygodniu pojedzie do Paryża obejrzeć wystawę sztuki polskiej, gdzie wisi jej portret malowany przez Witkacego. Nakarmiła koty, wraca i cytuje zdanie Ludwika Krzywickiego, swego teścia: „natura dąży do przeciętności”. Siada w fotelu, po czym z twarzą przy tarczy telefonu nakręca numer Piotrów, by zapytać czy barany na ich fermie w Chante-Mêle przestały chorować. (— Ona wygrywa ze swoim organizmem, nigdy nie będzie stara, bo starość zaczyna się wtedy, gdy następuje rozdźwięk między władzami psychiki i ciała...) Wieczorem koty przychodzą z ogrodu. Dziennik telewizyjny podał wiadomość z Salwadoru o ruchach partyzantki wspieranej przez ZSSR. — Natura dąży do przeciętności — mówi Irena — i dlatego komunizm ma sukcesy.

W domu bywają goście z sąsiedztwa i z Paryża, przyjeżdżają koledzy Andrzeja, młodzi fizycy z żonami, inteligentne dziewczyny, artyści. Pieśniarz Jacek Kaczmarski przyjechał z gitarą. Po raz pierwszy słuchałem go sześć lat temu na Żoliborzu u przyjaciół. Był wtedy maturzystą, przyszedł z matką i śpiewał „Obławę”. Dwa lata temu znów Żoliborz, jubileusz NOWej, Kaczmarski zaśpiewał z przyjacielem pieśń „Mury runą...”, dwieście osób podejmowało refren. Teraz słucham piosenki o „Przejściu Polaków przez Morze Czerwone” i o Polaku-kolaborancie, który służy władzy w zamian za miskę i budę. Brzmi refren: „nikt mi tego nigdy nie da, co mi moja buda da! buda moja, buda moja, buda, buda, buda ma!” Kaczmarski śpiewał dla Ireny i jej gości hojnie, przez trzy godziny. Jego młodziotka żona tylko co przyjechała z Polski. Ładna.

Przed Kaczmarskim niedawno wystąpił w La Hacquinière inny pieśniarz-poeta, Natan Tennenbaum. Szczupły, niewielki, z zarostem i wrażliwymi oczami; proteza w czarnej rękawiczce zamiast prawej dłoni. Studiował archeologię na UW, był w warszawskich „Hybrydach”. Przyjechał ze Sztokholmu. W zachodniej Europie i w Ameryce ostatnio się rozpowszechnił typ polskiego minestrela śpiewającego przeciw niewoli i komunizmowi.

Po odjeździe Papieża dyktatura w Polsce odetchnęła i nabrała powietrza w płuca. Rząd zniósł oficjalnie stan wojenny, po czym nadał sobie uprawnienia równoznaczne ze stanem wojennym. Amnestia, która obejmuje kilkaset osób, pominie głównych więźniów politycznych. Dwunastu oczekuje na proces. Cały świat wie, że nie są przestępcami. Są więźniami państwa. Dawna nazwa *więźniowie stanu* byłaby tu podwójnie trafna. Lekarz z Gdańska miał słuszność, twierdząc, że Papież przybędzie do Polski jak ojciec, który odwiedza syna w więzieniu.

Kilka dni po wizycie papieskiej tuby rządowe zaryczały na literaturę. W *Trybunie Ludu* ukazał się artykuł w dwóch odcinkach rozprawiający się z niezależnym środowiskiem pisarskim. Autor o nieznanym mi nazwisku (zapewne pseudonim) podzielił tekst na rozdziały; pierwszy miał tytuł: „Upadek Grenady. Wierność i zdrada”. Artykuł pełen fałszów, pisany tępych piórem a zarazem z delatorską biegłością. Zająłem w nim poczesne miejsce: manipulator, stypendysta Departamentu Stanu, zakamuflowany piśsudczyk, stały współpracownik ośrodków dywersyjnych, Szaweł i Paweł. Jeden z moich radiowych wywiadów został przeinaczony, tak aby czytelnik odniósł wrażenie, że usiłuję wyprowadzić literaturę polską z kraju na emigrację i że płacą mi za to Amerykanie. Referat, który wygłosiłem na zjeździe ZLP w 1954, określono — wbrew prawdzie — jako ustawianie literatury w myśl zasad Żdanowa. Kilkudziesięciu innych autorów, wybitnych i znanych, przedstawiono w mrocznym świetle: zausznicy lub narzędzia antypolskiej polityki Izraela i Niemiec Zachodnich. Tym stekiem niedorzeczności nie byłoby warto się zajmować, gdyby nie to że autor, bądź zespół autorski, ma wyraźnie na oku pewien cel. Albo raczej powierzone zadanie: przygotować atmosferę do usunięcia obecnego zarządu Związku Literatów i zastąpienia go ciałem uległym. W dalszej zaś perspektywie chodzi być może o likwidację ZLP. W artykule jest mowa o „wyeliminowaniu wpływów opozycji antysocjalistycznej”, o niezbędnych „wewnętrznych samookreśleniach i transformacjach” oraz „wyrazistych znakach orientacyjnych działania w rzeczywistości, która oferuje jako przestrzeń pracy związkowej realizację programu twórczo-zawodowych zadań związku...” Sądząc po stylu można się domyśleć, że układał te zdania jeden ze spisku niezdolnych. W istocie ów żargon oznacza, że reżim chce złamać opór grupy pisarzy wybranych do Zarządu Głównego na zjeździe w grudniu 1980. Przedłożono im listę warunków. Jednym z zadań jest wyrzucenie ze Związku autorów publikujących w nieoficjalnych wydawnic-

twach krajowych oraz w emigracyjnych; wśród nich Zdzisława Najdera, skazanego na śmierć przez sąd w Warszawie za objęcie dyrekcji polskiego programu w rozgłośni Wolna Europa.

Kończy się ważna epoka w dziejach środowiska literackiego. Trzydzieści lat temu paru młodych krytyków z Krakowa zakwestionowało realizm socjalistyczny w literaturze. Wkrótce ukazał się „Lament papierowej głowy” Andrzejewskiego, później „Poemat dla dorosłych” Ważyka. Związek Literatów wkroczył wówczas w ćwierćwiecze między Październikiem a Sierpniem. Na zebraniu otwartym organizacji partyjnej ZLP w roku 1957 uczczono minutą milczenia pamięć Imre Nagy, rozstrzelanego premiera Węgier. W następnych latach z sal Związku wyszły protesty przeciw cenzurze. Na jednym z zebrani uchwalono potępienie kary śmierci, stosowanej za rządów Gomułki. W 1964 list trzydziestu czterech pisarzy i naukowców, którego autorami byli członkowie ZLP, zapoczątkował akcję zbiorowych memoriałów przeciw administracyjnym ingerencjom w dziedzinie kultury. W roku 1968 na lutymowym zebraniu nadzwyczajnym oddział warszawski napiętnował zdjęcie *Dziadów* ze sceny Teatru Narodowego. W latach 1972-80 dom Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu był miejscem, z którego wychodziły kolejne inicjatywy oporu przeciw nadużyciom władzy, w kawiarni zbierano podpisy pod apelami protestacyjnymi. W roku 1980 warszawskich członków ZLP na listopadowym zebraniu wyborczym powitał w imieniu wolnych związków zawodowych przewodniczący „Mazowsza” Zbigniew Bujak.

Tak można by widzieć ten okres niemal trzydziestoletni. Jako burzliwy, walczący. Patrząc inaczej można w nim dostrzec pewien typ życia w układzie zamkniętym. Codzienność była szara. Stołówka, biuro, głucho echa walk o fotele w zarządzie, marazm i wszechobecność partyjnego nadzoru, przyklejanie do ludzi nalepek politycznych — to dusiło. ZLP był odskocznią do karier dla urzędników literackich podniesionych do rangi pisarzy. Ich działalność, poziom, charaktery, i ludzie — niekoniecznie najgorsi — zabiegający o ich względy, wszystko to zatruwało. Jednakże w ciągu lat Związek stał się autentycznym ciałem zbiorowym, rzeczywistością międzyludzką, która żyła. Znaczy to dużo więcej niż przynależność organizacyjna. Było to nieustanne zderzanie się postaw — życiowych, etycznych, intelektualnych; był to wybór zasad i gra o sposób istnienia. To były także obiady w klubie, to była biblioteka, z której brało się książki, i domy w Zakopanem czy Oborach, gdzie spędzało

się kilka miesięcy w roku. A przede wszystkim ludzie. Ludzie, jakich się widywało w tych domach i na zebraniach i w kawiarni. Twarze znane od lat, poglądy i obyczaje znane od lat, ludzie obgadani i przewierceni na wylot. Ci, od których wszystko zależało, i ci, z którymi wszystko łączyło. Przez lata wśród nich upływało życie. Przybywali także nowi, coraz młodszy, by wkrótce stać się częścią środowiska. Środowisko... Pojęcie dość obszerne. W domu na Krakowskim bywali aktorzy, historycy, filmowcy, adwokaci, modelki, filozofowie i wdowy po pisarzach. W Klubie Literatów poznałem Adama Michnika. Po odsiedzeniu swego pierwszego wyroku przyszedł na kawę i rozmawialiśmy o „Wariacjach pocztowych”. Tam również zetknąłem się z byłym duchownym, który w czasie okupacji wykonywał wyroki na kolaborantach, potem uciekł z Oświęcimia, odniósł rany w Powstaniu i przyjął święcenia kapłańskie, by po latach wystąpić z hierarchii kościelnej i rzucić sutannę. W Klubie spotkałem także pewnego psychiatrę i wysłuchiwałem historii o naszym znajomym, Józefie S., którego strach przed partią wtrącił w obłąd (napisałem wtedy opowiadanie „Hotel Rzymski”). To zamknięte środowisko miało liczne rozgałęzienia i było otwarte na rzeczy prawdziwie ważne.

Piszę: domy, klub, obiady, kawiarnia. O elitarnym życiu literatów krążyły bajeczne opowieści. A było chude. W porównaniu z domami wezasowymi wielkich zakładów lub zjednoczeń przemysłowych — w Krynicy, w Szklarskiej Porębie — pałac w Oborach czy zakopiański dom ZLP „Astoria” raziły zaniedbanie i brakiem wygód. W stołówce na Krakowskim były blaszane łyżki i widelce. Klubowe obiady składały się z zupy, mięska z kaszą, względnie dwóch naleśników, i płynu kompotowego w szklance. Płaciło się tanio: w ciągu kilkunastu lat cena obiadu dla członka ZLP wahała się od 12 do 15 złotych. Przez kilkanaście lat chodziłem na te obiady codziennie, a nie raz z chęcią. Zastępowały mi życie towarzyskie. Na obiedzie mogłem spotkać rzadko widywanych znajomych. Co jakiś czas przychodzili ludzie, których lubiłem słuchać i oglądać, tacy jak Gustaw Holoubek czy Bogdan Tomaszewski. Inni wzbogacali koloryt lokalny stylem niekiedy malowniczym. Przez wiele miesięcy jadałem obiady z Andrzejem Doboszem, który wprowadzał mnie do domu, krocząc tanecznie w swym kostiumie staroświeckiego *dandy*, pełen wyszukanej dyskrecji. Bywali tam również najbliżsi przyjaciele. Przez rok mieliśmy wspólny stół z Kijowskimi i JMRymkiewiczami. Przychodziły też ładne kobiety. I młodzi ludzie, od których można było więcej się dowie-

dzieć o tym, co dzieje się w Polsce, niż z krajowej i zagranicznej prasy.

Tworzyło to rozległą siatkę stosunków, informacji, rozpoznań, sięgającą do spraw i miejsc, których nie znało się bliżej. Związek, jego połączenia, kuluary, przyległości, nieustający przepływ opinii i wydarzeń, trasy między ZLP a PEN Clubem, między ZLP a Uniwersytetem i Pałacem Staszica, między Warszawą a Krakowem — wyznaczały treść egzystencji i plan czasu. To już nie była rzeczywistość narzucona. Była życiem i przenikało do niej życie kraju. Sejsmograf „kawiarni literackiej” czujnie reagował, notując każdy podziemny wstrząs. Izolację społeczną pisarzy także trzeba włożyć między bajki. I w końcu trudno byłoby znaleźć inny sposób na to warszawskie życie, lub bodaj pomyśleć, że można żyć inaczej. Bo żyło się w społeczności.

Opowiadano mi, już tutaj we Francji, o niedawnym zdarzeniu w warszawskiej stołówce Związku Literatów. Tłok, wszystkie stoliki zajęte, długa kolejka oczekujących na wolne miejsce stała pod ścianą. Ale przy jednym z czteroosobowych stołów pewien literat siedział sam. Nikt z czekających pod ścianą nie zajmował miejsca obok niego. Był to członek Związku, który przed miesiącem oczernił publicznie działalność zarządu w okresie Solidarności i wypowiedział się za rozwiązaniem ZLP. Siedział sam do końca. Dopiero kiedy zapłacił i wyszedł, przy stoliku usiadły cztery osoby z kolejki.

Warszawsko-literackie sprawy i afery, chwilami czuję, że mi ich... brak? Owszem. Może jak kulawemu laski, ale jednak. Słyszę, że po rozwiązaniu przez rząd Związku Plastyków dom na Łobzowskiej w Krakowie — a jest to dom z tradycjami — zabrało miasto. I robi mi się nieco dziwnie. Myślę: nie, chyba przecież się cofną...

Ostatni raz przed wyjazdem z kraju przemawiałem w sali związkowej na zebraniu wyborczym oddziału warszawskiego w 1980, w listopadzie. Był to 10 listopada, dzień oficjalnego zarejestrowania Solidarności przez państwo. Mówiłem o grupie KOR-u, o tym że jest to grupa zagrożona. Przewidywałem moment, w którym KOR znajdzie się w sytuacji najcięższej, i zwróciłem się do obecnych, aby nie dopuścili do osamotnienia KOR-u, jeśli taka sytuacja nadejdzie. Taka sytuacja nadeszła, wtedy jednak, rok wcześniej, nie potrafiłem dokładnie przewidzieć jej okoliczności i tła. Przywódcy KOR-u są dziś osa-

motnieni w celach na Rakowieckiej. Nikt z obecnych, do których się wówczas zwracałem, nie jest w stanie im pomóc. Ani ja. Być może wyobrażenia i przewidywania uprzedzające przyszłość są zawsze trochę dziecinne. Może tylko rzeczywistość jest naprawdę dorosła, bo uczy bezsilności.

Mieszkanie na François Miron. Długi korytarz, biały i wąski. U jego końca łazienka, dobrze wyposażona, z oknem i szafą w ścianie. Po prawej stronie korytarza duża kuchnia, także z oknem i kredensem ściennym. Dalej po tej samej stronie pokój M., słoneczny, z półbalkonem (i szafą od Miry T.). Po lewej stronie trzy nie łączące się ze sobą pokoje. W jednym pracuję i śpiam, dwa jeszcze nie urządzone. Wszystkie trzy z oknami na ulicę, nie słoneczne, ale bardzo jasne. WC osobno w drugim końcu korytarza. Dom z lat 1930-tych, winda, piętro trzecie i pół. Do domu wchodzi się po naciśnięciu czterech guzików według kodu. Konsjerżka — młoda Portugalka z mężem, pani Drago. Lokal jest w gestii miasta, czynsz dwukrotnie mniejszy niż za analogiczne mieszkanie w tej dzielnicy. François Miron biegnie od kościoła św. Gerwazego łukiem do Rivoli i Saint-Paul. Od północy sąsiaduje ze starymi uliczkami Le Marais, w kierunku zachodnio-południowym ma za sobą Sekwanę z mostem Ludwika Filipa, którym dochodzi się do Wyspy. Święty Gerwazy miał brata, świętego Protazego. Zapewniano mnie, że Mickiewicz, często bywając w tych stronach, musiał niejednokrotnie widywać ten kościół. Na wschód Bastylia, na południe Panteon. Hm.

Tu więc jadam i śpiam. Mieszkam. Tam, gdzie przedtem mieszkalem, nie ma mnie. I zdaje się, że oprócz mnie nikogo to nie dziwi. Ale jestem w Paryżu. Paryż jest pięknym miastem („czy naprawdę tak pięknym, skoro ja w nim jestem?” wątpił niegdyś Wilek Mach). Jest pięknym miastem również dlatego, że je znam. Znałem je zanim się w nim znalazłem, bo mi je opowiedziano. Podobnie jest z książkami. Najpiękniejsze są te wielokrotnie przeczytane, które się zna na pamięć, albo te, które nam opowiedziano, kiedyś dawno. Podobnie jest z leśnymi pagórkami i zielonymi łąkami, z wszystkimi krajobrazami. Są piękne, kiedy są wyobrażone, lub tak blisko doznane, że wydaje nam się jakby one doznały nas także.

Mojej znajomości z Paryżem nie mógłbym nazwać wzajemną. Lepiej ja znam to miasto niż ono mnie. Wzajemna jest moja znajomość z Warszawą. Znam ją i dałem się jej poznać.

I tu źródło ulgi, której nie przeczułem. Ta jednostronna znajomość — gdy ja znam Paryż, a Paryż mnie nie widzi — jak gdyby wyzwalala mnie ze zbytnej obecności. Nie ma mnie tam nad Wisłą, chwala Bogu, w ojczyźnie lepiej nie być znajomym nawet z widzenia. Lecz równocześnie moja obecność nad Sekwaną jest także niepewna, czyżby i tutaj mnie nie było? To wrażenie rozdwojonej absencji daje jakąś lekkość, sublimuje.

Tak więc obczyzna ma swoje plusy. Tylko... co dalej? Wszystko to razem wzięte odsuwa od czegoś co było realne, i zbliża ku czemuś, co jest ważne. Mniej realne, ale bardzo ważne.

Sierpień

Upały bez słońca. Zamiast powietrza ciepła, mętna zupa. Pełno wycieczek. Niemcy i Anglosasi obsiedli stoliki przed lokalami na obu brzegach. Gromada amerykańskich studentów wtargnęła z rejdachem na pocztę, kiedy nadawałem listy. Absolutna swoboda i bezceremonialność. Na tle obojętnego ściszenia Francuzów wydają się jeszcze głośniejsi i jeszcze mniej dorośli. Dwie dziewczyny były w cytrynowych koszulkach z czerwonym napisem LOVE. Całe ich grupy włóczą się po Wyspie. Piją coca-colę siedząc na chodniku i nawołują się jak dzieci. Dopiero tu naprawdę widać jacy są wolni i czuje się w tej ich wolności hałaśliwy amerykański niepokój. Tak jakby zagłuszali swoimi okrzykami stąpienia nadchodzącego czasu. Lubię ich. Po Nowym Jorku są mi teraz bliżsi, znam ich lepiej. Na pocztce dziewczyna w cytrynowej koszulce, ta drobniejsza, przypominała mi rudawą blondynkę poznaną na Wielkanocnym przyjęciu u Currych. Kremowa cera, garsteczka piegów na małym zadartym nosie i oczy z przymglonym światłem. Oboje mieliśmy wtedy pewność że widzieliśmy się już przedtem i wpatrywaliśmy się; ja w nią, ona we mnie, usiłując sobie przypomnieć: gdzie i kiedy. — Na pewno się znamy — powiedziałem w końcu — może ze snu? — I kiedy wychodziłem, pożegnaliśmy się: — Do zobaczenia w następnym śnie.

„Wydaje mi się, że o naszym tutejszym życiu nie warto opowiadać — piszą mi z Warszawy — podobnie jak nie warto opisywać życia w szpitalu. Mamy świadomość osobliwości, wyłączności naszego życia. Wiemy, że ani nasze smutki, ani nasze żarty nie nadają się do przekazania. Trudno i darmo, po

półtora roku nieobecności już jesteście 'stamtąd', nie jesteście już pacjentami tego szpitala i nie zabawią Was wiadomości o narowach naszych pielęgniarek i lekarzy, ani o tym komu gorzej, komu lepiej, kto wychodzi do domu, a komu wróciło się z powrotem".

Nowe wycinki z tygodników ukazujących się oficjalnie w kraju. W jednym piszą: „To nieustanne stwarzanie wrażenia wszechmocy i wszechmożliwości ma na celu urobienie w opinii publicznej przeświadczenie, że gdy tylko zechcą, mogą zgnieść, zniszczyć wedle uznania czy widzimisię. Stąd u wielu ludzi światłych lęk, obawa wypowiedzenia własnego zdania. Ów lęk, obawa ma w wielu przypadkach solidne podstawy. Chociażby Zdzisław Najder czy Kazimierz Brandys. Obydwaj niezwykle wpływowi. Zatem posiadali (a przecież oni są tylko ledwie małym odpryskiem z tej góry lodowej) niezbędne instrumenty, aby na innych wymusić posłuch".

W tymże artykule, sygnowanym znowu pseudonimem, czytamy takie zdania: „Teraz staje się zrozumiałe dlaczego rewizjoniści i szydercy nie są w stanie pojąć (albo nie chcą, co na jedno wychodzi) czym jest dla Polaków Rej, Kochanowski, Słowacki, Mickiewicz, Wyspiański, Kasprówic, Tetmajer, Broniewski, Czernik, Grochowiak. Nie są w stanie zrozumieć dlatego, bo wymienieni twórcy gloryfikują trwałe wartości, a nie akcje aktualnie obowiązujące na współczesnej giełdzie".

Wziąwszy pod uwagę spryt taktyczny wojskowo-policyjnej ekipy, a są w niej ludzie co się zowie bystrzy, te cytaty uderzają połączeniem niebywałej głupoty ze strachem przed domniemaną siłą. Tacy ludzie mogli łatwo spowodować rzeź. Jeżeli do rzezi nie doszło, nie było to zasługą generałów. Dziennikarze na Zachodzie piszą o samoograniczającej się polskiej rewolucji, po której nastąpiła samoograniczająca się kontrrewolucja. To dosyć ładnie brzmi, ale prawda jest inna. Zrobiliby rzeź, gdyby instynkt zbiorowy nie kazał społeczeństwu zaniechać oporu.

Opór będzie teraz. Wypracuje sobie nowe formy, żeby trwać w podziemiu. Dla najmłodszych konspiracja będzie jedyną możliwością przygody w bytowaniu bez perspektyw, z obciążeniami. Podziemie stanie się w Polsce analogicznym ujściem dla fantazji życia, jakim w krajach zachodnich jest przygoda wielkich imprez cywilizacyjnych (trzydziestoletni organizatorzy przemysłu w swoich prywatnych odrzutowcach przelatują nad oceanami między Nowym Jorkiem, Singapurem,

Hong Kongiem, Frankfurtem...). Coraz straszniejsza będzie w Polsce współobecność dwóch gatunków ludzkich: Europejczyków i ludzi sowieckich. W tej części świata nie będzie drugiego społeczeństwa tak głęboko podzielonego.

W paryskich *Zeszytach Literackich* fragmenty dzienników Józefa Czapskiego. Język prosty i niezwykły, niemal dotykalne obrazy myśli i widzeń. Piękny dokument życia duchem. Pisz o Żeromskim. Poznał go w 1921, w Gdyni. Był wówczas studentem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i latem pojechał na Kaszuby malować. Do Gdyni udał się pieszo z Sopotu, aby odwiedzić Żeromskiego. Tak wspomina swoje wrażenia: „Widziałem przez cały czas jego twarz — kochałem się w nim po jakimś, jak my wszyscy wtedy, którym odkrył świat okrucieństwa i krzywdy społecznej, a także odkrył inną Polskę — namiętną i tragiczną”. I nieco dalej: „Dlaczego mam potrzebę jeszcze raz to zapisać? Jego książki, gdzie całe partie zdają mi się nie do czytania, wprost źle pisane, mają tuż obok strony genialne, a przecież to był człowiek, jeden z paru wielkich, których spotkałem”.

Do napisania byłby szkic o pośmiertnych losach Żeromskiego, czyli o polskiej zdolności do samoniszczenia. Po wojnie, ilekroć zaczynałem mówić o Żeromskim, wzruszano ramionami, że grafoman. Wszelkie argumenty były na nic, nie chcieli słuchać. Raz tylko Leszek Kołakowski w czasie wspólnego wieczoru, nie pamiętam u kogo, przyznał: tak, wielki pisarz, bo wypowiedział się na wielkie tematy kraju i czasu. Później przez lata, aż do tych ustępów dziennika Czapskiego, nie słyszałem o Żeromskim słów przyznających mu tę najwyższą rangę. Żeromskim krytyka dzisiaj się nie zajmuje, wypadł z orbity jej zainteresowań. Wypadł nie tylko on zresztą, którego znaczenie dla polskiej świadomości było większe niż znaczenie Krasińskiego i lepsze niż Sienkiewicza. Wypadła cała linia pisarstwa, od Fredry, Orzeszkowej i Prusa do Boya, włącznie z Zapolską. Stali się dla krytyki zbyt przejrzysti i przez to nieciekawi. Wydaje się ich i wystawia podobnie jak obowiązkową klasykę literatur sąsiednich, są w lekturach szkolnych, ale poważnych i ambitnych krytyków nie obchodzą. Nie nadają się do współczesnych badań literaturoznawczych, do interpretowania symbolicznych znaków, konstrukcji świadomości i podświadomości. Można zinterpretować symbolikę Brunona Schulza, można wyznaleźć gotyką formę u Gombrowicza — ale u Żeromskiego?

Co jest do roboty z autorem, który tak bezpośrednio i nie parabolicznie obnaża społeczną rzeczywistość?

Wspaniałą część literatury wyrzucono na złom pod pomniki, gdyż ucziwie rzecz biorąc trzeba by ją odczytać na nowo. A to jest trudne, bo to wymaga nowych metod historyczno-literackich i socjologiczno-literackich, tak, i biograficzno-literackich. To jest trudne dla dzisiejszych filologów uniwersyteckich, którzy wiele zdziałali na polu interpretacji komparatystycznych i strukturalistycznych, prawie z reguły nie wychodząc w swych badaniach poza kilku autorów. A warto by raz jeszcze przyrzeć się dawnym klasykom z lektur szkolnych, odkopać ich ówczesne ludzkie i polskie sytuacje. Warto się zająć i taką komparatystyką, właśnie dzisiaj, kiedy tła zeszłowiecznych dramatów i powieści znów stały się realistyczne. W świetle obecnych doświadczeń.

Tymczasem filologowie piszący i wykładający o prozie i dramacie współczesnym (ci nawet spośród nich, co nie należą do gatunku inteligentnych głupców, którzy obsiedli literaturę), wpatrzeni w horyzont Witkacy-Schulz-Gombrowicz, nie widzą że filiacje między Witkacym a Schulzem są naciągnięte w porównaniu ze stopniem pokrewieństw Witkacy-Żeromski. O tym jednak nie honor mówić. Chwilami rozpacz bierze, że i tu coś się po swojemu zniekształca, że wytwarza się dodatkową strefę niereczywistości.

Byłaby w tym szkicu, którego pewnie nie napiszę, mowa nie tylko o Żeromskim i literaturze. Także o Żeromskim i jego wpływie na trzy pokolenia inteligencji polskiej. Czy lepiej — o wyobrażeniu narodu, jakie rzeźbili w polskich głowach Mickiewicz, Fredro, Sienkiewicz, Wyspiański, Żeromski. A później Boy i Gombrowicz. O tym, że przed Brzozowskim i Żeromskim prawdę o Polsce i obraz duszy polskiej zamalowały na długo dwa arcydzieła: „Pan Tadeusz” i „Trylogia”. W mądrym eseju o „Transatlantyku” Konstanty Jeleński przypomina zamiar Gombrowicza: chciał napisać *kontr-Pana Tadeusza*... Otóż na lata przed Gombrowiczem „Popioły” i „Przedwiośnie” były poniekąd *kontr-Panem Tadeuszem* i *anty-Trylogią*. Warto by również w owym szkicu dotknąć miejsc zaciemnionych przez historiografię i publicystykę różnych epok, kiedy dzieje Polski obrabiał sarmatyzm, kontr-reformacja, endecy i marksieści. Do dziś leżą w zagranicznych archiwach niezbyt jeszcze poźłokłe dokumenty, bez których nigdy nie da się opracować wiarygodnej monografii Kościuszki.

Francuzi mają prostsze sytuacje historyczne niż Polacy,

ale — lub może wskutek tego — mniejszy zmysł do samookaleczania. W stosunku do własnych klasyków przejawiają respekt. Czasem tylko pomieszany z ironią. Słynne zdanie André Gide'a, gdy autor „Fałszerzy” i „Lochów Watykanu”, zapytany kto jest największym pisarzem w dziejach Francji, wykrzyknął: „Victor Hugo, *hélas!*” — również to zdanie ma swoje miejsce w literaturze francuskiej.

Niedziela. Kolacja i rozmowa. Upał. Pani domu ma wyrobiony pogląd w każdej sprawie. Jej mąż poci się smutno, w milczeniu. Dwaj monologisci siedzą naprzeciw siebie z uniesionymi brwiami i wysuniętymi nosami. Jeden czyha na moment, kiedy drugi włoży sobie do ust kawałek mięsa. Wszyscy mają zmętniałe oczy, mąż pani domu zdjął okulary i wyciera szkła serwetką. Duszo. W butach cicho puchną stopy. Ktoś mówi o kimś kto się ześwinił politycznie. Pani domu ma wyrobiony pogląd i ogromne, ruchliwe wargi. Pierwszy monologista wskakuje w oddech drugiego, by rozpocząć swoje *bel canto*. Drugi popada w depresję. Krawat mi przemiękł. Dlaczego nie dają wody. Za co się tak karzemy. Mężowi pani domu przybyło dwadzieścia pięć lat. Och, te małe, proszone piekła...

O 1 w nocy wydostaje się na ziemię. Podjeżdża taksówka. Za kierownicą siedzi młoda kobieta z papierosem; odwinęte rękawy męskiej koszuli, na kierownicy palce o różowych paznokciach. Obok niej skulony na białym futrzaku charcik w obróżce. Dym gauloisa i piosenka z radia: „*Si tu n'existais pas, je t'aurais inventée...*” Suniemy wzdłuż Luwru, kobieta mówi coś do psa, widzę jej profil z wąską skronią i odgarniętymi włosami o połysku miedzi. Wpada mi do głowy słodka myśl, żeby się oddać w jej ręce, i ona pewnie to zgaduje, bo nagle zwraca się do mnie półuśmiechnięta... Trzydzieści dwa franki. Plus napiwek.

Noga od biodra do stopy jak w żelaznych obcęgach, niedowład i ból przy każdym ruchu. Zaćmione oko łzawi się od pisania, coraz trudniej mi odczytać rękopis. Prawa noga i prawe oko. Wiele przemawia za tym, że wylew, jeśli mnie kiedyś porazi, będzie prawostronny. Ogólnie jednak — norma. Tak jak dr Preibisz stwierdzał w czasie badań kontrolnych: *zgodnie z wiekiem*, po czym ja pytałem: z dwudziestym? Żartować, panowie, żartować jak długo się da.

Kilka sylwetek i twarzy nieznanymi kobiet, spotkanych tylko raz w życiu i potem już nigdy. Tkwią w pamięci zatrzymane w jakimś geście lub spojrzeniu. Piękne i nieme jak obrazy. Jest ich pięć, sześć, trwają rozstawione wzdłuż życia, z pytającą zagadką w uśmiechu, albo poważne i zajęte sobą. Dlaczego nie można ich zapomnieć? Łatwiej przestają istnieć kobiety, z którymi się romansowało. Tamte nieznane są wieczne. Czas je przybliża, są coraz bardziej widzialne. Pierwsza, z blond warkoczem i kokardą jak motyl, rzuciła w górę jasną obręcz sersa. Po latach inna zanurzyła blaszany kubek w wiadrze stojącym na obmurowaniu studni i przypatrując się jak piję duszkiem spytała, czy nie chciałbym wejść i odpocząć. Zapamiętałem białe ramię jej czoła widoczny spod zsuniętej wiejskiej chustki i drobnutki kropelki potu nad górną wargą. Miałem przed sobą drogę na cmentarz. Prowadząc rower do furtki przystanąłem, żeby spojrzeć za siebie. Patrzyła ku mnie uważnie, stojąc przy studni z ręką uniesioną i odgiętą za głowę, chyba poprawiała węzeł u chustki. Zobaczyłem jaśniejszą, wewnętrzną stronę jej ramienia. Nie pamiętam, czy miała jakieś buty lub trzewiki na nogach, zdaje się że stała boso, a także nie jestem pewien, czy rzeczywiście patrzyła na mnie, może ją zainteresował mój rower. Po dwóch godzinach, wracając, spostrzegłem obok studni mężczyznę naprawiającego pług.

Nie przysiągłbym dzisiaj, że była naprawdę taka piękna jak ją zapamiętałem, ale coraz chętniej i częściej ją wspominam, a chwile, które jej poświęcam, są coraz dłuższe. To jest dziwne, że stała się jednym z paru najważniejszych obrazów mojej pamięci — właśnie ona, dlaczego ona.

Wszystko to dawno zostało opisane. W „A la recherche du temps perdu”, w „Czarodziejskiej Górze” i z pewnością w wielu książkach, których nie czytałem. Toteż ani mi w głowie cokolwiek odkrywać. Nie zmienia to jednak faktu, że zjawiska przetwarzone dziesiątki lat temu przez literaturę wciąż istnieją w życiu i nadal są źródłem zadziwień. Mimo iż z literatury wypadły. Co się stało z miłością? Tematem współczesnych powieści już nie jest, a jeśli w nich występuje, to jako fragment ogólnej degradacji gatunku. W najnowszej prozie amerykańskiej, choćby u Williama Styrona, widać co się stało z miłością w literaturze. Jest skrzyżowaniem neurozy z seksem i horrorem, jest wzajemnym niszczeniem się pary opętanej własnym i globalnym szaleństwem. Wyłonił się ostatnio pewien nurt w amerykańskiej powieści, ukazujący erotyzm w drgawkach totalitarnego holocaustu (Fuentes dobrze to określił: importowane cierpienia),

gdzie szczytem artystycznego smaku byłby opis spółkowania w komorze gazowej. Maniera zresztą nie wyłącznie amerykańska, podobne skłonności przejawiają Szwedzi.

Zdawałoby się że po Flaubercie, Prouście, Joyce'ie, Genetcie inteligentny człowiek nie może być już zdolny do miłości. Obłuskano ją z wszelkich urojeń i złudzeń, stała się trzeciorzędnym fantazmem, zamówieniem odbiorców kultury masowej — kiczem. Kochać... dzisiaj... jak Fabrycy del Dongo? jak panna de Lespinasse, jak Rogożyn czy Wokulski? Po Freudzie, egzystencjalistach, Mac Luhanie, po krematoriach i gułagach? Literatura nie chce się kompromitować. Kopulacja, tak, sodomia, tak. Miłość — nie.

W tym samym czasie po ulicach wielkich miast chodzą kochające się pary, młodzi kochankowie w džinsach karmią smoczkiem niemowlęta, a na biustach studentek z Harvardu widnieje słowo LOVE. W moim najbliższym otoczeniu mógłbym wskazać tuzin kobiet i mężczyzn, którym miłość stworzyła podstawę i sens życia.

Poza tym wielu ludzi, których znam na tyle, aby o nich wiedzieć to czego nie wiedzą o sobie, zajętych jest w życiu wysiłkami pochłaniającymi ich ambicję i wolę: zawodowymi, sportowymi, artystycznymi, politycznymi. Powodzenie w tych dziedzinach uznali za miarę swojej ludzkiej wartości. Tymczasem nie widzą, że swoją prawdziwą wartość ujawniają w stosunku np. do jednej kobiety. Są dla kogoś dobrzy bez myśli o sukcesie i karierze, niezależnie od wiary czy ideologii. Są opiekunami i pocieszycielami. W stosunku do jednej osoby potrafią sprostać ewangelicznym ideałom, dla kogoś jednego umieliby się poświęcić. Nie wiedząc o tym, spełniają czyny miłości, a równocześnie są ślepo zapatrzeni w swoje życiowe cele, dla których byliby gotowi do aktów nienawiści. Nie pojmują, że ich człowieczeństwo mieści się w owym codziennym i nudnym dzieleniu losu, tak dla nich oczywistym, że już go nie kojarzą z pojęciem miłości. Bardzo wiele znam takich przypadków.

Skąd mi się dzisiaj wzięło pisać o tych sprawach? Stąd, że przedwczoraj w polskim sklepie na ulicy Charlemagne („Charcuterie Casimir”) widziałem dziewczynę, która pakując sprawunek do plastikowej torby wyjęła z niej książkę z czarnym, graficznym tytułem RONDO. Na pewno była Polką i moją książkę przystano jej z kraju. Później idąc do domu myślałem, czy książka jej się spodoba, i doszedłem do wniosku, że chyba tak, bo „Rondo” jest powieścią o miłości. Pisząc ją chciałem się upewnić, że w naszym wstrząśniętym świecie miłość nie tylko

jest możliwa, ale że może uzyskać dodatkowy wymiar i stać się czymś więcej niż była: jakimś wyższym z a m i a s t. Miłością zamiast biografii i światopoglądu, miłością zastępującą stosunek do życia, religię, przeznaczenie. W „Rondzie” mężczyzna wymyśla sobie miłość po to, aby jej sprostać jako duchowemu zadaniu. Postanawia kochać dziewczynę, która kocha innego, który z kolei kocha inną, która nie kocha nikogo. Niemal wszystko w tej powieści jest mistyfikacją albo przywidzeniem, jedyną prawdą, która się spełnia, jest ta wymyślona miłość, bo w niej chciał się ktoś spełnić. Zdążyłem w Nowym Jorku otrzymać parę listów z wiadomościami, że nakład „Ronda” szybko się rozszedł, podobno na bazarach egzemplarz kosztuje 500 złotych. W pismach ukazały się recenzje, jedna inteligentna. Lecz żaden z recenzentów nie dostrzegł że w tej powieści o kilku warstwach znaczeń głównym tematem jest miłość. Miłość staroświecka — mężczyzny do kobiety. Widocznie dla krytyków takie stwierdzenie byłoby żenujące. Rzecz osobliwa, bo przecież do miłości są zdolni również krytycy.

Literatura widzi w świecie współczesnym upadek i niepo czytalność. Istnieją wieczne pokłady życia opuszczone dzisiaj przez literaturę jak stare kopalnie. Pisarze o nich milczą. W perspektywie zagłady planetarnej nieważne im się wydają resztki ludzkich dóbr, które jeszcze przetrwały. Literatura nie bez powodów zwątpiła o świecie. Dziś jednak zaczyna wątpić o sobie, jak gdyby przewidując własny koniec. Czy ma przed sobą przyszłość? Prawdopodobnie przyszłość mają przed sobą ci pisarze, którzy potrafią na nowo odkryć życie. Ci, którym uda się wyjść z kręgu trwóg wielkich katastrofistów naszego stulecia i dostrzec, że życie nadal istnieje. Ich poprzednicy czuli irracjonalne zło bytu, oni natomiast, później urodzeni, poznawali zło w jego konkretnym działaniu. I oni — prawdopodobnie — znowu ukążą wieloraki świat ludzi i rzeczy jako realne istnienie, z którym trzeba się zmierzyć.

Przyszedł list od Ewy z długim i pięknym opisem lata pod Suwałkami. Na końcu dopisek JM Ra: „Wawrzek chodzi jeszcze na grzyby z panną Anią, my zbieramy jeżyny, ale to już koniec, koniec. Za kilka dni kończą się nasze wakacje. A słodko tu nam było. Ja niemal pół powieści tutaj napisałem. Ja! Powieść! Wyobrażcie sobie! I wszystko wymyśliłem pływając w jeziorze! Dlaczego nie możemy ze sobą rozmawiać, kiedy tego chcemy i kiedy jest to nam potrzebne? Usłyszałem twój głos i bardzo

mnie to poruszyło. Zaraz też chciałem biec, żeby się z Tobą pokłócić. Ale gdzie tu biec, z kim się kłócić? No i pozostaje to niewypowiedziane, a więc i niezaistniałe, gdy w rozmowie niewyartykułowane. A tyle miałbym Wam do powiedzenia. Wyobrażam sobie nieraz, że gdy znów się zobaczymy, to będę tańczył i śpiewał i chodził na rękach, bo tylko tak, chodząc na rękach i śpiewając, da się przedstawić to, co tu się z nami działo i co przeżyliśmy. A co jeszcze przeżyjemy? Strach pomyśleć”.

Odpisałem, że widzę ich romantycznie, że list Ewy czytałem z podobnym wzruszeniem jak „Pana Tadeusza”, a dopisek JM Ra jak dygresje w „Beniowskim”, i że tym razem być może sprawa się odwróciła, to w Polsce jest się romantycznym, nie w Paryżu.

Napisałem, że życie płynie, że istota rzeczy wszędzie ta sama i że nic lepszego dotąd nie wymyślono. I że nie ma mądrzejszej wskazówki niż *módl się i pracuj*, co też czynię na swój sposób.

Lektury: „Lenin w Szwajcarii” Sołżenicyna i „Żółty pies” Simenona. Czytam mniej niż w Warszawie. Więcej chodzenia po mieście, jazd metrem i spotkań z ludźmi. Przyjechał Stefan Kisielewski. Zerknął na mnie: — Dobrze panu z tą siwizną. — Sam nie się nie zmienił. Pytam go jak żyje w Warszawie. — Nieźle. Ja to lubię. Stalinizm też lubiłem. W ogóle lubię okupację. — Poznałem go w 1940, jadaliliśmy obiady w literackiej stołówce na Foksal. Obaj wzięliśmy się w tym czasie do pisania powieści. Po wojnie obaj zaczęliśmy drukować, ja w *Kuźnicy*, on w *Tygodniku Powszechnym*. Teraz Kisiel mi komunikuje, że czytał „Miesiące”. — Jestem przeciwny. Leży pan na tapczanie, patrzy pan w sufit i jęczy. Co z tego? — Znowu na mnie zerka, trochę złośliwie, z ciekawością, i nie przestaje być mi sympatyczny. Później oglądamy w telewizji mistrzostwa świata w Helsinkach, gdzie Polak Mamiński zdobywa srebrny medal w biegu na 3 tysiące metrów z przeszkodami. Wracam autobusem, idę mostem Tournelle w stronę domu. Po kolacji czytam „Żółtego psa” na zmianę z „Leninem w Szwajcarii” i wcześniej zasypiam. Od 5 rano w ulicę wjeżdżają autobusy. Szyby dzwonią. Mam dwie godziny do 7-ej, by dojść do wniosku, że Kisielewski we wszystkim, co mówił, miał jakąś niebagatelną rację i że jego racja polega na niepoważnym traktowaniu historii. Wyróżnia go to wśród Polaków, którzy biorą historię na serio. Kisielewski traktuje ją per noga i nawet zdają się go rozweselać jej głupie makabry. Dlatego może szczerze zapew-

niać, że lubił okupację i stalinizm. Prawdopodobnie najlepiej się bawi siedząc między zębami smoka i kłując go co tydzień piórem w podniebienie. Musi go to ożywiać i śmieszyć. Żegnając się powiedział: — No więc kiedy pan wraca? Zaraz pana gdzieś wybierzemy... — I przyjrzał mi się wesoło.

Kiedy w czasie wojny po śmierci ojca mieszkaliśmy z matką u przyjaciół na Narbutta, często w nocy chwycił mnie niepokój, że nie słyszę jej oddechu. Pytałem, czy śpi. Nie odpowiadała, ale po chwili dochodziło mnie jej westchnienie. Mówiła, że nie śpi, bo liczy wszystko od początku. — Pomyśl, ile się stało... — W jej szepcie czułem bezgraniczne zdumienie. Widocznie w swoim rachunku nie umiała się czegoś doliczyć. Zabrakło jej pewnie mianownika, do którego można by sprowadzić liczbę nieszczęść. Powtarzała tylko: — Pomyśl, pomyśl... — Była istotą zdrową psychicznie i bardzo niewinną. Sądzę, że przez całe swoje życie nie miała złych podejrzeń w stosunku do świata. Myślę dziś, co wtedy czuła pośrodku nocy, urzeczona niesamowitym odkryciem, że przez lata pod spodem jej domowej codzienności trwało ostrzenie noży. Nie potrafiłaby tej rewelacji określić żadną nazwą. Ja już potrafiłem. W tych latach wiedziałem czego mogę oczekiwać, instynkt mnie ostrzegał. W 1939 odmówiłem wyjścia z Warszawy na wschód, w rok później nie poszedłem za mury. Kierował mną stały odruch: zakopywać ślady. Pod koniec wojny żyłem w ukryciu. Wyszedłem na wierzch zimą, gdy dobijano Łudojada, i pamiętam, że zacząłem biec przed siebie krzycząc, potykając się w śniegu i wskazując ręką samolociki lśniące wysoko w zamarzniętym niebie. Zdawało mi się, że jestem bezpieczny i wolny. Biegłem dokąd? Przez wieś. Byłem jedynym człowiekiem, który biegł wtedy przez wieś krzycząc z radości. Nasz gospodarz, kiedy wpadłem na podwórko, rąbał drzewo na opał. Obejrzał się zwolna i przy mierząc się siekierką do polana spytał, czy nie mam zapalek. Zdało się, że ten ociężały, flegmatyczny mężczyzna rozumiał w owym dniu lepiej niż ja, że nie ma dokąd się spieszyć.

Przypominam sobie ten moment z zakłopotaniem, podobnie jak się wspomina chwile własnej śmieszności. Po diabła tak biegłem? Zamiast wyłazić na wierzch może trzeba było poszukać lepszej kryjówki. Przecież szło *in n e*. W innej postaci, ale to, przed czym się ukrywałem. Biegłem krzycząc ze szczęścia, że Historia okazała się sprawiedliwa, i wpadłem w nią jak królik.

Otóż pewne jest dla mnie, że obydwaj, Kisiel ze swoim *hihi*, które czasem mnie drażni, i ja z moimi jękami, które

jego irytują, wpadliśmy w ten sam worek, w polski worek z historią, i nasza sytuacja, mimo różnic, jakie nas osobiście dzielą, jest dokładnie tak samo pod psem.

Wiadomości z kraju od J., który przyjechał w środę. Dużo mówi o terrorze policyjnym. Wymienia nazwiska trzech znanych ciężko pobitych na ulicy. Wszyscy trzej są działaczami opozycji. Parę dni temu odwiedził jednego z nich w szpitalu. Napadnięto go w nocy przy postoju taksówek na placu Inwalidów, kiedy wyszedł z przyjęcia po ślubie młodego Kuronia, syna Jacka. Takich wypadków jest więcej, zwłaszcza poza Warszawą. J. opowiadał także o metodach stosowanych w czasie przesłuchań. We Wrocławiu dziewczynę z podziemnej Solidarności trzymano przez całą noc zamkniętą w celi z milicyjnym wilczurem, szczerzącym zęby przy każdym jej poruszeniu. Nazajutrz, gdy ją wprowadzono, major gościnnie zagał rozmowę: co słyszać, panno Basiu? Dalej mówimy o uchwałach sejmu, wprowadzających kary więzienia za wszelką inicjatywę społeczną nie reglamentowaną przez rząd. Wreszcie mamy socjalizm w czarnej koszuli, mówi J., to są przecież ustawy *par excellence* faszystowskie. W Warszawie J. chodzi często pod kościół św. Anny, gdzie ludzie gromadzą się przy krzyżu ułożonym z kwiatów. Wśród wotów znajdują się ręcznie zapisane kartki. Rodzaj *cahiers des doléances*, przekazujących wiadomości o prześladowaniach i krzywdach. Są też na nich modlitwy i wiersze. Również list Wiktora Woroszylskiego, ogłoszony po zamordowaniu Grzegorza Przemyka, znalazł się wśród tych kartek. J. mówi: — Byłem także na ciekawej dyskusji o szkolnictwie... — Pytam: gdzie? J. wymienia jeden z warszawskich kościołów i dodaje, że po dyskusji odbyły się recytacje poezji. — Wie pan, czasami trudno się połapać, czy wiersz jest współczesny, czy powiedzmy Norwida albo Konopnickiej, bo jakoś to wszystko podobnie brzmi... — A na pytanie, jak widzi przyszłość, J. ku mojemu zaskoczeniu odpowiada po krótkim namyśle: — Sowietyzacja z cichym błogostawieństwem Kościoła.

Wszystko to składa się na pewien obraz, w którym trudno mi siebie umieścić. Po półtora roku nie jest się już „stamtąd”. J. żegnając się ze mną powiedział, że słucha w Warszawie moich audycji w radio France Internationale. — Pierwszy pana felieton krytykowano, bo był zanadto osobisty. Fakt że samolot musiał zawrócić znad Atlantyku, no, szczerze mówiąc, ludzie

się tym niezbyt przejęli. Dopiero następne, te o sytuacji w Polsce, miały więcej odgłosów. Tam działa rodzaj cenzury narodowej.

I wyszedł. Zarzucił na mnie polski worek i wyszedł, bo się śpieszył do kina.

Człowiek, którego znam, ma zły charakter. Postaram się wymienić jego cechy.

Jest apodyktyczny, każdemu narzuca swoje zdanie. Jeśli mu powiedzieć prawdę w oczy, doprowadza go to do wściekłości. Nie cofnie się przed najwulgarniejszym kłamstwem, aby zdyskredytować oponenta.

Nade wszystko dba o swój zewnętrzny prestiż. Jest mściwy i pedantyczny w traktowaniu osób, które mu się naraziły. Słabszymi od siebie gardzi. Ludzi z zasadami uważa za głupców.

Kiedy chce oszukać, staje się sprytny i obłudny. Wypowiada słowa, w które ani przez chwilę nie wierzy. Nie dotrzymuje obietnic, lecz spełnia każdą pogroźkę. Cechuje go zawziętość w niszczeniu ludzi, którzy mu się nie podporządkowali. Aby ich uzależnić od siebie, skrzętnie notuje fakty z ich przeszłości.

W pracy nie jest dobrym fachowcem. Własną indolencję i brak kwalifikacji pokrywa wykrętną gadaniną lub zrzuca odpowiedzialność na innych. Nie przyjmuje rad, ale słucha pochlebstw. Boi się swego szefa i nie ufa podwładnym. Myśli, że mogą go wygryźć, przygotowuje go o nieprzytomny strach. Jest wtedy niebezpieczny, posuwa się do intryg i szantażu. Cofa się jednak przed uderzeniem, które mogłoby się okazać ryzykowne. Umie czekać na stosowny moment i wówczas działa brutalnie.

Wszyscy mają go dosyć. Sam jego widok i głos budzą obrzydzenie. Nie sposób jednak go się pozbyć, gdyż cieszy się poparciem szefa. Tych, co próbowali go zdemaskować, wyrzucono z pracy. Reszta jest bezsilna. Doprawdy nie da się współżyć z tym człowiekiem.

Gdyby był tylko człowiekiem... Ale jest państwem. Od czterdziestu lat jest ustrojem i rządem. Policja i wojsko strzegą jego bezkarności, prasa i telewizja powielają jego szpetotę. Zniszczył już prawie wszystko. Ludzie porównują go do pająka, do zarazy, do raka toczącego organizm. Nie ma na niego lekarstwa, nie ma rady. I w końcu pozostaje jedno: można go tylko nienawidzić.

Więc życie w nienawiści. Pomnożonej przez długą codzienność, rozciągniętej na lata. Nie ma co, wspaniała rada dla młodych ludzi. Zastanawiam się, czy w ogóle można cokolwiek im radzić, czy nie lepiej milczeć. Przypuśćmy jednak, że jakiś student z kraju wybrał się do mnie i pyta, co ma robić, jak żyć. Naturalnie mógłbym się wykręcić twierdząc, że nigdy nie zadałem nikomu takiego pytania, że każdy musi sam znaleźć własną odpowiedź itp. I prawdopodobnie po jego wyjściu przysłoby mi do głowy, że jednak mogłem mu opowiedzieć pewną historię. Istnieje bowiem sposób na rzeczywistość, który odsuwa ją w głąb, na daleki plan, izolując od niej za pomocą osłony (w medycynie używa się nazwy „osłona antybiotyku”), by umożliwić organizmowi przetrwanie. Jest to osłona przed obcym życiem, które wtargnęło do nas z zewnątrz. Mógłbym opowiedzieć mu historię Bajkopisarza.

Bajkopisarz pochodził z kulturalnej i zasymilowanej rodziny polsko-żydowskiej, w związku z czym w latach niemieckiej okupacji objęty był „paragrafem aryjskim”. Kiedy go zapytałem, jak sobie wtedy dawał radę, przyjrzał mi się swymi oczami dobrotnego sybaryty: — To bardzo proste. Okupacja mnie nie dotyczyła. Byłem zakochany. — W dniu upadku Paryża zażył truciznę, ponieważ ukochana kobieta oznajmiła mu, że kocha innego. W dniu kapitulacji Niemców pod Stalingradem, gdy wszedł do baru na Nowym Świecie i zobaczył ją siedzącą przy stoliku, runął na kolana, po czym zemdlął. Zgodziła się wówczas na spotkanie, po to tylko aby mu ponownie oświadczyć, że nie rozejdzie się z mężem. Bajkopisarz chudł w oczach, przez co uwydatniły się jego semickie rysy. Dożywiał się słodyczami. Kiedy pewnego dnia kupował w cukierence torcik „mocca”, podeszło do niego dwóch mężczyzn w cywilu. Udał się z nimi w Aleję Szucha, gdzie dwaj mężczyźni w mundurach obrzucili go wyzwiskami krzycząc, że jest Żydem. Na co Bajkopisarz odparł ze smutkiem, iż są w błędzie, lecz jeśli chcą, mogą go rozstrzelać, gdyż na życiu już mu nie zależy. Kiedy po chwili zaskoczenia spytano go o przyczynę, wyjaśnił: — Kobieta, którą kocham, nie chce się ze mną połączyć, a życie bez niej nie ma dla mnie wartości. — Wówczas obaj mężczyźni w mundurach ryknęli śmiechem i wyrzucili go za drzwi. Bajkopisarz zszedł po schodach i zatrzymał się na dziedzińcu przy budce wartowniczej, bo przypominał sobie, że w pokoju został jego torcik „mocca”. Z powrotem wszedł na trzecie piętro, zastukał, przeprosił i zabrał swój torcik. Po czym dalej chudł z miłości. Ukochaną kobietę zdobył dopiero po wojnie. Romansować z innymi

kobietami zaczął wkrótce po ślubie. Byli dobrym małżeństwem aż do śmierci Bajkopisarza.

Inny pisarz, którego znam, kochał się w innej kobiecie od roku 1948 do 1953, czyli od likwidacji odchylenia prawicowo-opportunistycznego do pogrzebu Józefa Stalina. Była to, jak mówił, miłość w obronie koniecznej, antidotum na ideologię, której niestety uległ. Po piętnastu latach zakochał się powtórnie i także w okolicznościach politycznie ostrych: był rok 1968. W obydwu wypadkach jego uczucie minęło w przelotnym okresie liberalizacji.

Takie dawne historie chodzą po głowie w sierpniu, kiedy mózg jest wymęczony upałami. Ale od kilku dni zrobiło się chłodniej. Niedługo rozpocznie się jesienny sezon.

W sobotę 20 sierpnia radio francuskie nadało wiadomość z Warszawy o rozwiązaniu przez władze Związku Literatów Polskich.

Wrzesień-październik

Wczoraj idąc ulicą Saint-Dominique minąłem ludzkie popiersie o doskonale wyrzeźbionej głowie, pchane na wózku przez służącego w białych rękawiczkach i czarnym ubraniu. Kaleka był mężczyzną czterdziestoletnim o uderzająco pięknej twarzy, ze znamionami starej, przesubtelnionej rasy. Nogi w zaniku, głowa zbyt duża w stosunku do korpusu. Miał gładko uczesane włosy z przedziałkiem pośrodku. Twarz o bladej cerze i chorobliwie niewinnych rysach chłopca, krawat z wpiętą perłą. Mieszka pewnie w jednym z pałaców Faubourg Saint-Germain. Przyszło mi na myśl, że mieszka z matką i nigdy nie miał kobiety. Lokaj pchający wózek niósł parasol i pled. Wyobraziłem sobie duże, zimne pokoje o wysokich oknach, z których widać kamienny dziedziniec i bramę z kartuszem. W tym mieście, pełnym samochodów i nowoczesnych, zewnątrznie wyrównanych tłumów, pędzą ukryte życie odłamki dawnych epok. Niektóre widuję codziennie, jak tego wpół zgiętego starca w ciemnozielonym surducie, łosiowych spodniach wpuszczonych w żółte „botforty” i zrudziałym cylindrze na głowie. Ten ma złą twarz i chodzi z grubą laską; mieszka podobno na jakimś poddaszu przy kościele św. Antoniego.

Urzeczenie przeszłością jest we mnie stałe, powiększa się

z roku na rok. I właściwie nie ma uzasadnień, skoro przeszłość nie była lepsza ani ciekawsza niż może być życie. Ale to jest rodzaj głodu. I chyba nie tylko we mnie, o czym świadczyłyby dzisiejszy gust *retro* w sztuce i modzie. Ludzi mniej pociąga prawda historyczna przeszłości, raczej jej obrazy, jej domniemane kształty, głosy — jedyne zaświaty, które na pewno istnieją. Nostalgia jest tak silna, że wystarczy, aby ktoś się przebrał. Ten starzec z laską, ubrany jak Balzak, nie może go pamiętać; najwyżej mógł będąc dzieckiem widzieć Zolę. Więc nie jest postacią z epoki, nosi tylko jej kostium. Ale w roku 1946 na Polach Elizejskich widziałem skręcającą w rue Marbœuf karetę o lustrzanych szybach, wąską, zaprzężoną w parę siwych koni, ze staroświeckimi latarniami i stangretem w liberii na koźle. Za szybą rysowało się coś białoróżowego, jak obłok pudru: głowa w czepek, falbany z koronki, kredowy nos... Musiała mieć sto lat! Obliczyłem, że nawet jeżeli miała tylko dziewięćdziesiąt siedem, to Chopin przejeżdżając przez Pola Elizejskie mógł kiedyś spostrzec jak wiozą ją na spacer, ocienioną przed słońcem koronkowymi falbankami, różową, w niemowlęcym czepek.

I co z tego, jak mówi Kisiel. Nic. Chopin może by mi także spowszedniał, gdyby go wskrzesili. Pewnie nie zawsze chciałoby mi się pójść na jego koncert, stałby się częścią życia, oczywistością. I co z tego? Także nie. W końcu natrafia się na tę samą cześć. A jednak, kiedy mi ktoś mówi, że przeszłością się nie interesuje i woli czytać *science fiction* — nie lubię. Myślę: niepełny człowiek. Dlaczego? Nie wiem, co najwyżej tylko podejrzewam, że w fascynacji przeszłością mieści się odbłask religijnego kultu zmarłych i że nawet w jej formach powierzchownych, kostiumowych czcimy duchy przodków. W erze pragmatycznej, a zarazem przenikniętej zwątpieniem i lekceważącej świętości, może to nie jest najgorsza z ludzkich zachcianek.

Stać w rzymskim tłumie i oglądać triumfalny wjazd Juliusza Cezara. Być w Notre-Dame podczas koronacji Napoleona i Józefiny. W wywoływaniu obrazów historycznych można osiągnąć stopień widzialności niemal halucynacyjny. Czasami to mi się udaje. A czasem — i to jest dziwniejsze — jakaś chwila, dawno przeżyte zdarzenie, scena — wcale nie historyczna — z własnego życia, które się przecież zna i pamięta... Ciekawość i urzeczzenie wyobraźni są wówczas takie same. Wejść w ten obraz, być tam i wtedy. Przez moment zobaczyć dawnego siebie. Wymaginalność.

Zresztą o fascynacji własną pamięcią także już przede mną pisali.

Gdyby mi jednak dano do wyboru: znaleźć się na ślubie Napoleona z Józefiną, czy na ślubie moich rodziców? móc zobaczyć Sobieskiego pod Wiedniem, czy siebie prowadzonego przez babkę do parku?

Nie wiem co bym wybrał.

Wracając do Bajkopisarza. Po wojnie spotkałem go w Łodzi, rok 1946, pisał wtedy swoje poetyckie arcydzieła o pchłach szachrajkach i kaczkach dziwaczkach. Powodziło mu się wspa- niale, miał piękną żonę, młode kobiety nazywały go Królem Życia. Był hojny, słynął z szerokiego gestu. Autorki książek dla dzieci oskarżały go o formalizm i reakcjonizm, lecz jego sławie nie mogło to już zaszkodzić, tytuły jego bajek stały się nazwami barów kawowych i sklepów z zabawkami. W Łodzi sąsiadowa- liśmy ze sobą w domu ZLP na Bandurskiego. W tym samym domu mieszkał Stefan Żółkiewski, redaktor naczelny *Kuźnicy*, oraz poważna część zespołu redakcyjnego: Paweł Hertz, Mie- czysław Jastrun, Ryszard Matuszewski, Adolf Rudnicki, Adam Ważyk.

Bajkopisarz nie należał do redakcji *Kuźnicy*. Był „Panem Brzechwą”, który pisał dla dzieci i lubił życie. Uznał, że po wojnie trzeba żyć normalnie. Pisał, zarabiał, wydawał pieniądze i otaczał się miłymi ludźmi. Niektórzy mili ludzie wkrótce zaczęli mieć kłopoty. Po latach Bajkopisarz opowiedział mi o swojej znajomej, wytwornej starszej pani, którą zmuszono do informowania UB. Jej syn, akowiec, był w więzieniu. Przyszła do Bajkopisarza we łzach: ma pisać donosy, zagrożono jej, że jeśli odmówi, syn nigdy nie wyjdzie na wolność. — Pisałem z nią co tydzień sprawozdanie — uśmiechnął się — tak żeby nikomu nie zaszkodzić. Doszli pewnie do wniosku, że jest starą idiotką, bo dali jej spokój. — Było to już w późniejszym okre- sie, w Warszawie. W okresie łódzkim, 1945-48, takie fakty jeszcze do nas nie przenikały. Żyło się ideami i żyło się nieźle. Co wieczór spotykaliśmy się w klubie *Pickwick*. Odległość od Moskwy wydawała się ogromna. Bliskość Warszawy nie budziła niepokoju. Oko partii obserwowało nas uważnie, ale z dystansu. Zapewne też dbano o to, aby łódzkie środowisko kulturalne oddzielić od życia kraju szczególnym uprzywilejowaniem: pier- wsze paszporty na Zachód, przydziały mieszkań w willach po fabrykantach niemieckich i miękka śruba cenzury. Nie postu- lowano jeszcze socjalizmu w sztuce. Dla ludzi z pieniędzmi było w sklepach wszystko, od bielskiego kamgarnu do wędzonego

łososia. W kraju więziono akowców, łódzcy robotnicy jedli ziemniaki i kluski. Artyści wiodli życie białych w kolonialnym mieście. Łódź była wówczas centrum intelektualnym i artystycznym: teatr Leona Schillera, drugi teatr pod dyrekcją młodego Erwina Axera, Film Polski, kabaret „Syrena”, szkoła dramatyczna. I zespół *Kuźnicy*. Przede wszystkim zespół *Kuźnicy*.

Stefana Żółkiewskiego pamiętałem sprzed wojny, był prezesem studenckiego koła polonistów UW. Zdaje się, że odbywaliśmy wtedy podobną drogę, od liberalnego demokratyzmu do lewicy. W wiele lat po wojnie, gdy zapytałem go co sprawiło, że podczas okupacji wstąpił do PPR, wyjaśnił: była to jedyna partia w polskim podziemiu, której program zapowiadał wywłaszczenie majątków obszarniczych bez odszkodowania. Ta odpowiedź charakteryzuje może nie tyle *Kuźnicę* jako zespół, ile samego Żółkiewskiego. Ale on był w redakcji osobowością potężną, inspirującą, jego poglądy formowały pismo. Myślę, że stworzył *Kuźnicę*, aby przeobrazić kulturę polską, i mocno wierzył, że ta przeobrażona kultura będzie zgodna ze sprawiedliwością społeczną. I racjonalna. I polska. Wstępując do PPR w czasie okupacji pewnie również sądził, że wstępuje do polskiej partii robotniczej. Rozlepiał jej proklamacje własnoręcznie na murach domów w Warszawie (we dwóch z Władysławem Bienkowskim, opowiadał mi o tym). W roku 1946, kiedy cały zespół *Kuźnicy* był już w partii, na pierwszej kolumnie tygodnika umieszczono cztery portrety: Kołłątaja, Mochnackiego, Świętochowskiego i Boya. *Kuźnica* silnie akcentowała swoje przywiązanie do tradycji polskiego oświecenia, radykalizmu oraz postępowości. Bodaj w tym samym roku odbył się w Łodzi zjazd Związku Literatów, na którym Żółkiewski wygłosił referat zatytułowany cytatem ze św. Augustyna o „wyjściu na rynek”. Maria Dąbrowska odpowiedziała mu przemówieniem ironizującym i ostro krytycznym, zniekształcając jego nazwisko: „pan Żółkowski”... Zabrał głos powtórnie. Zwracając się do Dąbrowskiej jako do autorki „Rozdroża” mówił o sprawie socjalnej w polskim piśmiennictwie, o społeczno-narodowym charakterze literatury polskiej, któremu *Kuźnica* była wierna. Wygrał. Po przemówieniu podszedł do niego Stefan Kisielewski: — Dobrze zaryczałeś, lwie.

Dąbrowska miała powody i racje, aby tak wystąpić. Czuła nakładający się na Polskę cień Rosji i komunizmu. Ale Żółkiewski wtedy wygrał, bo argumenty, jakie wysunął w swojej

odpowiedzi, znajdowały — wówczas jeszcze — oddźwięk. W tamtych latach społeczeństwo nie było w całości wrogie ani obojętne wobec przeprowadzonej reformy rolnej. Nie wszyscy też jednakowo oceniali fakt uwolnienia Polski od Niemców przez armię sowiecką. Nie wszyscy od razu zrozumieli, że Rosja wyzwalała zagarnia, że podbija przez wyzwolenie. Nie jest także prawdą, że uczciwi ludzie w Polsce dzielili się wówczas na tych, co siedzieli w więzieniach i takich, którzy poszli do lasu albo na emigrację. W każdym środowisku zawodowym była część uczciwych *przekonanych*, którzy przyjęli nowy porządek rzeczy. Psychologiczny opór przed uznaniem go za kolejną okupację oraz potrzeba normalnego życia po okropnościach wojny często decydowały o współpracy. Uczciwi *przekonani* byli nie tylko wśród inteligencji, także wśród robotników. Nawet wśród wyłączonej byli uczciwi *przekonani*.

W wypadku *Kuźnicy* ważne znaczenie miała ponadto argumentacja w płaszczyźnie wyższej. Argumentacja nadbudowy.

Adam Ważyk spędził wojnę w ZSSR. Tam się przeraził i uwierzył. Czy wiara może się łączyć ze strachem? Myślę, że tak. Niedługo o dobrym, wierzącym chrześcijaninie mówiło się „bogobojny człowiek”. Słowo „bogobojny” nie pasowałoby wprowadzić do napastliwego Ważyka, mimo to dla mnie jest oczywiste, że się bał. Bał się ideologicznego boga, który mu się ukazał w Moskwie czy Samarkandzie, albo już we Lwowie, gdzie Ważyk znalazł się po wyjściu z Warszawy we wrześniu 1939. Przed wojną znałem go tylko z widzenia. Przychodził czasami do kawiarni „Zodiak”: mały człowieczek w rogowych okularach, który podobno zawsze wygrywał w szachy. Pisał wiersze. Wyszły także jego dwie powieści, „Latarnie świecą w Karpowie” i „Mity rodzinne”. Mówiono, że jest wykształconym erudytą, również w dziedzinie logiki matematycznej. Na odległość wydawał się typem profesjonalnego intelektualisty, mózgowca. Trudno by sobie wyobrazić, że taki człowiek zajmuje się poezją. Majakowski, wysiadając z pociągu w Warszawie, kiedy zobaczył go w grupie poetów zebranych na peronie, zdumiał się: Czy u was mikroby także piszą wiersze? — Jako poeta Ważyk objawił się dopiero po wojnie. Był poetą wspaniałym, jednym z tych, których wersy brzmią w pamięci. „Graj katarynko Katarzyny na zaręczynach snu i drwiny... Myśmy zerwali zaręczyny”.

Wiosną 1945, kiedy przyjechał na kilka dni do Krako-

wa, był w mundurze kapitana i wojskowych butach z cholewami, u pasa nosił pistolet. W domu literatów na Krupniczej odbył się jego wieczór autorski z dyskusją. Ważyk mówił o sobie, o swojej drodze poetyckiej, ideowej. Skandował wiersze akcentując rytm głucho, jednostajnie dudniącym głosem, po czym objaśniał. Objaśniał piskliwie, jakby miaucząc. Ktoś wtedy powiedział: kot w butach. Ale kot uczony, mądry kot: wykład był na świetnym poziomie intelektualnym. Później — małe przyjęcie w czyimś mieszkaniu, wódka i rozmowa. Ważyk piał i pisał. Sporo wypił. Dopiero po którymś kieliszku, gdy zapytałem go o Katyn, w jednej chwili otrzeźwiał. Wysunął dolną szczękę: — To som wojenne sprawy. Podczas wojny zawsze się dziejom straszne rzeczy. — Wypowiedział to głucho i dudniąc. Poczułem, że jest zły i atakuje. Ważyk, kiedy był zły i atakował basem, wymawiał z chłopska końcówki. Pan Bóg wie skąd mu się to wzięło. Moje pytanie musiało go przestraszyć.

Także w późniejszych latach nasze stosunki nie układały się spokojnie. Nawet gdy był w nastroju łagodnym i przyjaznym, czułem jego zawziętość. Nie darowywał najmniejszej różnicy zdań, w dalszym, ostrym planie zawsze gotów do napaści. Nie w sprawach osobistych. W płaszczyźnie dialektycznej. Atakował wyłącznie w sferze nadbudowy. Z czasów *Kuźnicy* przypominam sobie zajadłą kłótnię o Rewolucję Francuską. Twierdziłem, że była rewolucją spełnioną, ponieważ od swego wybuchu realizowała duchowe i materialne dążenia mieszczaństwa i zrealizowała je. Ważyk obstawał przy tezie przeciwnej: rewolucja zdradziła proletariat. Właściwie zarzucał francuskim jakobinom, że nie stali się socjalistami. Krzyczał. Myślę, że miał twarde przekonanie o swojej racji, i myślę, że jego racja była poddana woli dialektycznego bóstwa, którego się bał.

W Krakowie zadałem mu pytanie o Katyn nie po to, żeby obciążać polskich komunistów, którzy przyjechali z Rosji. Sądziłem, że dowiem się prawdy. I nawet w zespole *Kuźnicy* nie było jeszcze wspólnej ugruntowanej pewności, kto zamordował polskich oficerów w lasu Katyńskim. Nie było także wspólnej pewności w kilku innych sprawach. Czym jest ZSSR, jego społeczna rzeczywistość i historyczna wartość — jak żyją ludzie w Rosji Sowieckiej i jak myślą — co w tym kraju było następstwem wojny, a co funkcją ustroju — ile tam jest z Rosji, a ile z Rewolucji. Dla większości zespołu *Kuźnicy*, dla pisarzy któ-

rzy w Polsce przeżywali lata wojny, Rosja wciąż była jakby na zewnątrz życia. Nie czuli się zagrożeni jej tyranią i nędzą. Nie poznali jej z bliska. Owszem, mówiło się dowcipy. Żółkiewski, który nie był na co dzień rozgniewanym lwem, często o Ważyku oznajmiał przez nos: nasz Mały Żdanow (jak Mały Larousse — nie był to przytyk do niskiego wzrostu). Z pewnością Ważyk by się nie uśmiechnął. Kościuszkowcy nie dowcipkowali na sowieckie tematy. Nie wypowiadali też sądów ogólnych. Mówili: „Byłem w Taszkencie, potem w I Armii”. Albo: „Budowaliśmy tamę na takiej a takiej rzece”. Poetę, który trzy lata był drwalem na Syberii, M. kiedyś zapytała: powiedz, jak tam jest? Odpowiedział: — Kraj za mało nasycony przedmiotami. — Wkrótce po powrocie z ZSSR wstąpił do partii.

Wspominałem, że w 1946 cały zespół *Kuźnicy* był już w partii. Przebiegu zebrań nie protokołowano, miały charakter na wpół towarzyski. Spotykaliśmy się wieczorem w którymś z mieszkań, aby podyskutować. *Kuźnica* nie zdawała sobie jeszcze sprawy z tego, że wchodzi w potrzask. Pismo nadal głosiło walkę o przemiany społeczne, o nową świadomość i przeobrażenie kultury, nadal podkreślało związki z tradycjami polskiej lewicy i postępową myślą Zachodu, anonsując co pewien czas kulturową odmienność kraju, w którym rolnictwo nie zostało poddane kolektywizacji. W *Kuźnicy* ukazywały się wówczas artykuły o zagadnieniach wiejskich ze zdjęciami nowoczesnych farm w Danii i Holandii. Obok Jan Kott drukował esej o Flaubercie. Poświęcono kolumnę twórczości Borysa Pasternaka. W piśmie znajdowały także odbicie współczesne prądy w dziedzinie filozofii i lingwistyki (Koło Wiedeńskie, Koło Praskie), natomiast nie znajdował odbicia realizm socjalistyczny literatury i plastyki sowieckiej. *Kuźnicy* obawiano się i nienawidzono. Tępiła kilku wybitnych poetów (m.in. Gałczyńskiego), zwalczała endecki obskurantyzm w polonistyce, szydziła z małego realizmu w prozie. Nie zostawiała suchej nitki na swych antagonistach. Była marksistowska, uważano ją za żelazną pałkę reżimu. W tym samym czasie reżimowa młoda gwardia z furią atakowała *Kuźnicę* za snobistyczny elitaryzm. Potrzask się zacieśniał. Żółkiewskiego coraz częściej wzywano do Warszawy, z rozmów w Komitecie Centralnym wracał niespokojny, za każdym powrotem jakby ubywało mu tuszy. Pewnego dnia Ważyk zażądał, aby protokołować dyskusje na zebraniach partyjnych *Kuźnicy*.

Redakcję odebrano Żółkiewskiemu wkrótce po rozprawie z Gomułką na sierpniowym plenum w 1948. *Kuźnicę* przejął

nowy redaktor, członek Komitetu Centralnego. Przez jakiś czas jeszcze ukazywała się w Łodzi, po czym redakcję przeniesiono do Warszawy. Powstał później na jej miejsce tygodnik *Nowa Kultura*; pismo zachowało czerwony napis biegnący w górę nad tytułem: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” Mniej więcej równocześnie z przeniesieniem *Kuźnicy* opuściły Łódź dwa teatry, kabaret z Adolfem Dymszą i grupa znanych pisarzy. Film Polski przerzucano stopniowo do Warszawy. W klubie *Pickwick* zmieniała się publiczność, miał przed sobą nie-
długie istnienie.

Na tym skończę, mimo iż *Kuźnica* była jeszcze czymś innym niż to co zanotowałem. Przypuszczam, że gdybym dzisiaj przejrzał jej roczniki, złapałbym się za głowę. Ile zaślepienia i niesprawiedliwości! jaka lekkomyślność! Te pięć kartek maszynopisu powinno być zaledwie ekspozycją opowiadania o *Kuźnicy*, wprowadzeniem w jej dramat. *Kuźnica* miała swoją wewnętrzną dramaturgię, którą oparłbym na dwóch skontrastowanych postaciach, Żółkiewskiego i Ważyka. W gruncie rzeczy od początku sprawa rozgrywała się między nimi. Między Żółkiewskim, jego pasją reformowania kultury, a Ważykiem, który napisał w poemacie: „Mądrość Stalina, rzeka posępna...” Między Żółkiewskim, który przegrał, a Ważykiem, który po latach krzyczał: „Ja wtedy zwariowałem!”

Radykał-pozytywista zagubiony w korytarzach polityki i poeta-mózgowiec opętany doktryną ideologiczną. *Kuźnica* Żółkiewskiego jest w dziejach polskiej prasy społeczno-literackiej kartą ostrą i ważną. Ważyk zostawił po sobie „Poemat dla dorosłych”, jego wiersze i eseje są piękną własnością polskiej literatury. Byli parą antagonistyczną, jakkolwiek nigdy nie doszło między nimi do otwartego starcia — różnice ich postaw i temperamentów dusiła kłapa partii. Czym w ogóle był zespół *Kuźnicy*? Grupą kilkunastu ludzi, których akces do komunizmu tłumaczył się moralnym odruchem po zbrodni ludobójstwa i potrzebą odnawiającej idei uniwersalnej? Pewne jest dla mnie jedno — że tych uczciwych postępowców i humanistów od początku różniły nie tylko charaktery, lecz także doświadczenia i myśli. Połączył ich wspólny kanoniczny błąd: dopisania racjonalnego sensu do fabuły, która musiała potoczyć się wbrew nim i bez nich. Więc na tym kończę.

(i przyłapuję się w drastycznym momencie tworzenia przeszłości, gdy wybieram z niej obraz i treść na moje dzisiaj spoglądające w jutro, czym bezwiednie potwierdzam własną notatkę

sprzed trzech lat, że „historia to przeszłość uporządkowana przez teraźniejszość zwróconą ku przyszłości”)

Do Warszawy przyjechałem w czerwcu 1949. Miasto było jeszcze w ruinach, dopiero odbudowywano śródmieście. Otrzymałem mieszkanie na ulicy Iwickiej, dwupokojowe, większe niż łódzki pokój z kuchnią. Zacząłem chodzić na zebrania ciągnące się do nocy. Warszawski oddział Związku Literatów sprawił na mnie wrażenie bojaźliwej sekty, w której intrygowały partyjne kucharki. Tam właśnie rozpocząłem moją triumfalną drogę w dół, przez cztery lata nie szczędząc rzetelnych wysiłków, aby zejść poniżej własnej świadomości. Nie jest mi łatwo ocenić człowieka, jakim wtedy byłem — jednego z tych *przekonanych* wbrew sobie, że Rozum zawiera się w dziejach i Prawda sama wypełni się w czasie.

Ale sprawy *Kuźnicy* mogły potoczyć się jeszcze inaczej. Na krótko przed śmiercią Stalina przygotowywano w Polsce serię procesów politycznych, wymierzonych w kręgi partyjne. Analogiczne procesy odbyły się wcześniej w Czechosłowacji. W procesie *Kuźnicy* podstawą aktu oskarżenia miał być zarzut kosmopolityzmu. W dwa lata po śmierci Koryfeusza Nauk opowiadał o tym demoniczny pułkownik Różański, wówczas już przesunięty z resortu bezpieczeństwa do resortu kultury. „Pańscy przyjaciele z *Kuźnicy* i *Pickwicka* mieli szczęście, że nie zdążyliśmy ich wsadzić”. Powtórzył mi to Bajkopisarz. Pułkownik Różański, który w owym czasie był dyrektorem PIW-u i szukał towarzystwa literatów, przysiadł się do stolika Bajkopisarza w zakopiańskiej „Watrze”, by pogawędzić przy kieliszku.

Przewiewny wrzesień, dużo słońca. Miasto ostygło po upałach, znowu pulsuje ruchem. Niedaleko od nas na Rivoli trudno już przejść przez jezdnię. Ale ulica François Miron zachowała spokój. Są tu sklepiki i knajpki, przed którymi od południa do wieczora siedzą na krzeselkach właściciele, starzy brzuchaci mężczyźni w wygniecionych spodniach, przeważnie Żydzi z Tunisu i Algieru. Patrzę na mnie taksując ciężkim wzrokiem nową sylwetkę w dzielnicy. Za nimi przy stolikach klienci w kapeluszach zsuniętych z czoła grają w warcaby. Jest w tym coś dawnego i zapomnianego, wynurzają się ulice z przeszłości, Bielańska, Żabia... Przed tygodniem w narożnej restauracyjce tuż obok nas przez noc śpiewali i tańczyli. Odbywało się żydowskie wesele z muzyką i majufesami. Nieco dalej, po drugiej stronie ulicy, stoją obok siebie dwa czternastowieczne domy, wąskie jak ule,

o spiczastych dachach. Dom Pod Baranem i sąsiedni pod znakiem Żniwiarza. Gdziekolwiek w przyległych dzielnicach przetrwały ślady cechowego rzemiosła. Za Rivoli, idąc w kierunku République, przechodzi się uliczką rymarzy, a za placem Bastylli, na Faubourg Saint-Antoine, ciągną się jeden przy drugim sklepy meblarskie, przed którymi czuwają kupcy z grubymi sygnetami na rękę. Chodzimy tedy w poszukiwaniu stołu. Jeżeli przez tydzień szuka się w mieście stołu, dobrze się je poznaje. Stół, którego nie można znaleźć, jest znakomitym bedekerem.

Jesienne zakupy, wrześniowe spacer. Wczoraj w tłumie na placu Beaubourg piękny siłacz murzyński z ramionami opasanymi skórą i żelazem napinał mięśnie przyciągając do siebie uwieszonych z obu stron łańcucha ośmiu widzów, poczerwieniałych z wysiłku. Tłum śmiał się i klaskał. Murzyn-atleta nosił imię Samson. Półnagi, w drelichowych spodniach komandosa, dumnie kręcił okrągłą, krótko ostrzyżoną głowę. Po występie zarzucił na plecy jedwabny pawi szlafrok. Mali chłopcy podchodzili, by dotknąć jego bicepsów i torsu. Po czym tłum odpłynął znosząc nas w kierunku budki teatru marionetek. Było to pudło wielkości człowieka, obciążone czarnym płótnem. Publiczność w gęstym półkřęgu stała zapatrzona w pacynkę z rudym czubem i tragicznymi oczami. Człowieczek-rękawiczka niemo obwieszczał swój egzystencjalny dramat: nie warto żyć. Z rozpaczą chwycił się za głowę, potrząsał rudą czuprynką i machał smutno łapkami. Potem wyciągnął sznur. Owijając go sobie wokół szyi zegnał się z publicznością. W tłumie jakieś dziecko zapłakało. Samobójca już sztywniał w przedśmiertnym skurczu, gdy nagle z głębi czarnego pudła wysunęła się róża. Wisielec ją spostrzegł i drgnął ze zdumienia. Powąchał, drapnął się w wypukłe czoło i znów pochylił się nad różą. Pudło rozbrzmiało sonatą Bacha. Człowieczek-rękawiczka z zachwytem patrzył na różę. Raptem się wyprostował, zakręcił palcem kółko na czole i odrzucił sznur. Dziecko pisnęło z radości. W pudle grał jeszcze Bach, kiedy z tyłu, zza czarnej kotarki wyskoczył rosty chłopak w kaftanie średniowiecznego giermka, z cylindrem w ręku. Publiczność wrzucała monety do cylindra.

Antyleczyk, połykacz noży. Dwaj Holendrzy z elektryczną gitarą. Bliźniaczki-akrobatki z Filipin. Przykućnięty Irlandczyk z lnianym, kędzierzawym zarostem rysuje kredką na betonowych płytach twarz Jezusa. Przy nim młody Niemiec w meloniku i pasiastym trykocie rozłożył na balustradzie akwarelowe widoczki z Norymbergi. Obok miedzianozłoty Pakistańczyk w zawoju leży na gwoździach. Z wielokolorowych, maszkarowa-

tych rzeźb biją fontanny. Rzeźby są nowoczesne, jedna ma kształt olbrzymich rozchylonych warg, z których tryskają smugi wody. Wokół tłum różnojęzyczny, barwny, kilkanaście narodowości naliczyliśmy z M. chodząc po placu Beaubourg. Ta pstra zbieranina jest czymś ważniejszym niż pomieszanie ras i nacji. Przeżyłem tutaj — może po raz pierwszy tak głęboko — naturalne, prawie fizyczne uczucie wspólnoty ludzkiego gatunku. Takie chwile są wzmacniające i dają wiele spokoju.

Konstrukcja Centre Pompidou wznosi nad placem swoją ekscentryczną płataninę jaskrawo niebieskich, zielonych i białych rur, stalowych pomostów, schodków, przezroczystych wind i eskalatorów, syren pokładowych o rozwartych paszczach, szkła i metalu wtopionego w szkło. Futurologiczny machinopałac, kolaż fabryki, okrętu i zwojów mózgowych — największy Dom Kultury świata. Biblioteki, muzea, sale nauki, muzyki i filmu, kręte pasaże wystaw, rzędy ekranów telewizyjnych, komputery i zbiory malarstwa, kina, czytelnie pism. Na samym wierzchu pod niebem tarasy kawiarni. Z placu widać maleńkie sylwetki unoszone przez eskalatory w górę na wyższe kondygnacje, sąsiednia taśma przesuwana się odwrotnie z góry w dół. Eskalatory pełzną ukośnym zygzakiem w szklanych rurach przyklejonych do klatki gmachu. Zza gmachu z głębi wyłania się spokojnie kościół gotycki, piaskowokamienny, z witrażami i ostrołukami. Za nim sterczy ogromny żółty dźwigar budowlany, którego ramię wydaje się niebezpiecznie zwisać nad absydą. To jest złudzenie perspektywy, budują o trzy ulice w głąb. Blisko Beaubourg, w stronę Châtelet, zachowały się resztki zdemontowanych Hal paryskich, które eksponuje się z pietyzmem, niemal jak ruiny warszawskiego Zamku po wojnie. Ale na miejsce dawnych Hal wbudowano pod ziemię kilka pięter handlowego labiryntu FORUM, z galeriami wielkich firm, magazynów i butików, gdzie tafle witryn tworzą lśniące korytarze, ukazując jak w lustrach magicznych dotykalne kształty współczesności. I znowu eskalatory, znowu tłum wynoszony na wierzch pod filary, skąd znów widać gotycki portyk. A to już inny kościół: świętego Eustachego. I znowu nie znaleźliśmy stołu.

Pytanie: czy Zachód nadal wierzy w życie? Mówiąc życie mówię o nieobliczalności, o nadziei i przypadku. O zagrożeniu. O losie. Czy Zachód widzi życie jako grę z losem, czy jako skazanie? Wierzy w istnienie, czy w śmierć? Życie jest niebezpieczne, było i będzie niebezpieczne, literatura mówiła czło-

wiekowi: żyjesz w niebezpieczeństwie, więc jesteś żywy. Literatura naszego stulecia mówi mu: żyjesz, więc jesteś skazany. Czy teraźniejszość dla Zachodu jest życiem, czy tylko końcówką, wyrokiem w procesie, kolonią karną — absurdem, na który sam się skazuje?

Kiedy chodziliśmy wokół Beaubourg i Hal, w tym samym dniu, nie: w nocy, sowiecka rakieta zestrzeliła nad Sachalinem samolot południowokoreańskich linii lotniczych z 269 pasażerami, kilka dni wcześniej osiemnastoletnia dziewczyna popełniła samobójstwo z miłości skacząc na bruk z wieży Notre-Dame i zabijając stojącą w gromadce turystów kanadyjską studentkę, a przed tygodniem w kościele Saint-Germain-des-Prés Mirek Chojecki brał ślub przy sercu króla Jana Kazimierza, polityka, miłośnika i emigranta. Za mną stał Mrozek w ciemnych okularach, Joanna, Agnieszka... Olga zaszeptała, gdy ksiądz Plater wiązał stułą ręce młodożeńców, że ma dla nich upominek ślubny, miesięczną dalmatynkę, wnuczkę Damy, obrączki błysnęły, i bardzo się martwi że jak on ją polubi, to ona będzie zazdrosna, cichy, uśmiechnięty Chojecki przyrzeka dozgonną wierność, więc życie suczki może się ułożyć tragicznie, zagrały organy, żonę w białym welonie Chojecki prowadzi środkiem nawy posuwicie, tanecznie, my za nimi, przy nas Olga z wielkimi czarnymi oczami, najmniejsze ze szczeniąt jest głuche, co będzie, stoimy w słońcu na placyku przed kościołem, czym będzie życie głuchego psa, stoimy w słońcu przed Saint-Germain-des-Prés...

Naturalnie myślałem o Adamie Michniku. Przed tygodniem, szukając czyjegoś adresu wśród starej korespondencji, znalazłem jego list pisany z więzienia. „Pamiętaj, napisz coś o *Kuźnicy*”... Napisałem wtedy te pięć czy sześć stroniczek, wiedząc zresztą że go nie zadowolą. Ale podczas ślubu Chojeckiego i później, gdy staliśmy przed kościołem, Adaś Michnik ciągle przychodził mi na myśl, bo brakowało mi go w tej grupce ludzi, w której niemal każdego znał blisko i od dawna. Przedostatni raz widziałem go dwa lata temu w Sopocie. Mieliśmy nagrać rozmowę dla *Zapisu* i przyszedł właśnie z Chojeckim, który usiadł na podłodze (wydawcy z NOWej zawsze siadali na podłodze, a w zimie ściągali uprzednio buty w przedpokoju). Myślałem więc o Adamie na ślubie Chojeckiego, co było tym bardziej naturalne że niedawno ukazał się w *Kulturze* jego artykuł nade-

słany z więzienia, a potem wywiad w *Le Monde*. W artykule Michnik pisał o rozumie i honorze intelektualisty.

Rozum i honor intelektualistów w społeczeństwie broniącym czci i chleba, tak widziałbym miejsce inteligentnych grup demokratycznych w Polsce od roku 1956 po dni dzisiejsze. Michnik, wraz z Kuroniem, Gwiazdą, Lipskim, Modzelewskim i innymi, płaci dziś za te lata. Nie tylko za Sierpień 1980. Za Poznań i Październik, za rok 1968 i 70 i za 1976, za wszystkie te lata. Nie zapomniano i nie darowano dat, w których władza się bała i za które teraz bierze odwet. Michnik i inni płacą więzieniem za ćwierć wieku oporu społecznego przeciw dyktaturze bezprawia i obecne polskie sprawy są ciągiem dalszym tamtych lat, mimo że w 1956 Wałęsa był podrostkiem, Michnik gimnazjalistą, a Jaruzelski młodym oficerem. Rachunek sięga daleko wstecz, ale strony pozostały te same: władza i społeczeństwo, obca władza i degradowane przez nią społeczeństwo.

Spśród trzynastu uwięzionych przywódców Solidarności i KOR-u najbliższej znam Michnika i myśl o jego życiu w celi może przez to jest dla mnie tak trudna do zniesienia. Ponadto znam pewne jego cechy. Nawet fizycznie wydaje się niezbyt odporny. Nie sądzę, aby odznaczał się twardym zdrowiem, i pamiętam że się niepokoiłem, kiedy zimą przychodził ze zmarzniętymi rękami, w lekkiej, kusej wiatrówce. Także jego usposobienie, temperament i sposób życia w najmniejszym stopniu nie predestynowały go na więźnia. Szczerłość, z jaką przysięgał że się boi! Często mówił o tym dziewczynom, które lubił. Żył towarzysko, hałaśliwie, wśród przyjaciół i kobiet, między zabawą a dyskusją, jakby eksploatując swoją wolność i miłość życia, których — i to było przejmujące — w każdej chwili gotów był się wyrzec. Co jakiś czas ginął z oczu: areszt. Okresami zamykał się w Laskach, żeby pisać. M. była kiedyś świadkiem jego rozmowy z siostrą zakonną. Adam polecał jej gorąco lekturę Szestowa, na co siostrzyczka rumieniąc się odrzekła, że chwala Bogu nie zna rosyjskiego. Michnik zająknął się z oburzenia: — Co...o mi siostra takie rzeczy o...powiada! Jeden pasterz i jedna owczarnia! — Nikogo takiego dotąd nie spotkałem. Michnika jednak spotykałem często. Przychodził na Nowomiejską, rozmawialiśmy o polityce, literaturze, o sprawach ludzkich i boskich. Po jego wyjściu zostawały niedopałki extramocnych w popielniczkach, skopany dywan koło fotela i niedopita resztką kawy. Za każdym razem poruszał mnie i zastanawiał.

Były w nim rysy znajome, które od razu pojmowałem, ale

obok nich, a raczej może ponad nimi, trudna do ogarnięcia nadwyżka, której nie potrafiłem uchwycić. Michnik był nowy. Czymś się różnił, i nie tylko ode mnie. Czym — może stopniem napięcia. Żył w wysokich temperaturach, częściej się spalał. A przy tym miał w sobie rozumową trzeźwość przekonań, i to było mi bliskie. Tylko że ja i mnie podobni żyli z tymi przekonaniami dość spokojnie, a on nie mógł. Zdaje się, że po prostu nie mógł usiedzieć w miejscu, bo nie godził się na różnicę między światem a tym, o czym był przekonany. Chodziło o kilka prawd i zasad. Nowość polega na przymierzeniu ich do rzeczywistości i wyciągnięciu wniosków. Jeżeli te wnioski się wyciągnię, rzecz staje się poważna i nowa. W Polsce taka rzecz się stała. Lepiej powiedzieć: stawiała się. W ciągu lat przymierzano do rzeczywistości kilka prawd i zasad i w rezultacie okazuje się, że po tych latach wszystko jest inne niż było. Przeformowało się. Można się upierać, że prawica jest nadal prawicą, a lewica lewicą, ale co to dziś naprawdę znaczy, skoro mieliśmy robotnicze samorządy, w których kult maryjny łączył się z żądaniami syndykalizmu, ugrupowania neokonserwatystów, które ożywiały nurt reformy, i środowiska ateistycznych liberałów, do których przeniknęła myśl dominikańska. Katolicyzm był inny, nacjonalizm czymś innym, socjalizm przestał być marksizmem, racjonalizm zaczął uwzględniać istnienie Boga. I Adam Michnik czymś się różnił od formacji swoich poprzedników. Jakiś nowy polski wielokształt formował się w moralnych i umysłowych oazach, poza kontrolą wschodniego systemu. I niezależnie od zachodnich. To, co się rodziło, miało własne, osobliwe znamię: przetworzonego dziedzictwa po dawnej Rzeczypospolitej, z jej utopijnym republikanizmem chrześcijańsko-obywatelskim. Słyszało się: sejmikowanie, obsesja demokracji... Co wynikło z tej krótkotrwałej Polski? Poniosła klęskę i będzie istnieć. Fizycznie przegrała i zwyciężyła duchowo (Wałęsa, Kuroń, Bujak, Michnik są zwycięzcami, podobnie jak byli nimi działacze obozu reform na Sejmie Czteroletnim). Ale zauważmy, że oryginalność tego polskiego przedsięwzięcia jest wciąż niezmiernie trudna do uchwycenia, że jego myślowa i społeczna inność jeszcze się wymyka formułom. Za wcześniej? Na pewno. Rzecz nie jest zakończona, dopiero będzie się przerabiać na wspólną samowiedzę.

Można sobie sto razy powtarzać, że jest się nieszczęśliwym, trzeba jednak jakimś być ponadto i czegoś chcieć. To samo dotyczy społeczeństw. Nie mogę zrównywać nieszczęścia Rosjan sowieckich z nieszczęściem podbitych przez nich narodów, bo

podejrzewam, że Rosjanom własne nieszczęścia imponują, a poníženie daje im poczucie wyższości. Właściwie nie wiadomo jacy są i czego pragną. Opowiadano mi, iż na pogrzebie słynnego pieśniarza Wysockiego rosyjscy studenci łamali gitary i rzucali je w ogień. Podobno był to gest kontestacji. Ale co myślał ci młodzi Rosjanie o inwazji Afganistanu? o wypędzeniu Sołżenicyna i zsyłce Sacharowa? Nikt tego nie wie i chyba oni sami nie wiedzą.

Polacy w roku 1918 mieli za sobą długą edukację ruchów wolnościowych, prac społecznych i postaw obywatelskich. Czuli się europejskim narodem i chcieli odzyskać niepodległość. W roku 1938 mieli za sobą dwadzieścia lat doświadczeń niezależnego państwa, czuli się mocarstwem europejskim i chcieli się pozbyć mniejszości narodowych. W roku 1983... Wiadomo czego dzisiaj chcą Polacy, natomiast mniej oczywisty jest poziom ich rozeznania w sobie i w świecie. Nieszczęśliwy naród może być lepszym albo gorszym, mądrzejszym lub głupszym społeczeństwem; jego przyszłość zależy również od tego, co on sam ze sobą robi, nie tylko od tego, co inni z nim robią. Decydująca będzie praca, jaką wykona, aby zrozumieć siebie i wybrać swój sposób istnienia. Można by to uznać za nowy *zakład polski*. Dlatego są dziś ważne słowa drukowane w gazetach podziemnych i w pismach wydawanych na emigracji — bo to jest szkoła myślenia o sobie i rzeczywistości, wybijanie się Polaków na świadomość.

W ostatnich dniach, myśląc o Adamie Michniku i pisząc o nim, widocznie nadawałem jakieś fale. Bo nagle się odezwał. Wczoraj u Smolarów w Bagneux ktoś miał przy sobie jego listy i przeczytał nam kilka fragmentów. Głównie dotyczyły lektur więziennych. Wśród nich obszerny ustęp o „Legendzie Młodej Polski”, z charakterystyką Brzozowskiego. Właściwie szkic o Brzozowskim. Pasjonujący. Prócz tego nawiązania do poezji Miłosza i Herberta. Po amnestii lipcowej, którą nie został objęty, Adam siedzi w celi z milczącym urzędnikiem, skazanym za przestępstwa gospodarcze. Ma czas, żeby myśleć. W listach uderza ton spokojnego pogodzenia się ze sobą i losem. Ani jednej skargi. Jak gdyby widział długą drogę, którą musi odbyć. Oblicza ją na dziesięć lat. Niektóre zdania sprawiają wrażenie, że chce przejść przez czyściec, który sam wybrał. Wiele pokory jest w tych listach. Ale odważnej, powiedziałbym, energicznej. Myślę, że zbiera siły i przygotowuje się nie tyle do procesu i wyroku, ile do sprawy ze sobą samym, której nie

uważa za rozstrzygniętą. To są, rzecz jasna, moje przypuszczenia.

Przez siedem lat oboje z M. baliśmy się o niego. Wydawało się nieuniknione, że kiedyś zemszczą się na nim. Przez siedem lat zagadywaliśmy tę obawę, pocieszając się, że przyszłość nie spełnia przewidywań i z reguły układa się inaczej. Mówiłem: życie wymyśli co innego. Nie wymyśliło nic innego. Stało się dokładnie to, czego się baliśmy. I jest w tym jakiś wstyd, że życie, zamiast ułożyć rzeczy wbrew naszym złym przeczuciom, potwierdziło je z iście buchalterskim brakiem fantazji. Nie czuje się wtedy dumy, o nie.

Czyta w celi „Legendę Młodej Polski” i osądza ją z taką pasją, jakby Brzozowski napisał ją wczoraj. Genialny nieszczęśnik mocno by się zdziwił, gdyby mu powiedziano, gdzie i kto będzie z nim polemizował po osiemdziesięciu latach. Takie są układanki polskiej szopki; trudno się opędzić rymowanym dialogom intelektualistów z duchami przeszłości, wciąż trwa narodowe wesele. Przeczytałem „Obóz” Waldemara Kuczyńskiego, ekonomisty, jednego z doradców Solidarności. Wieczorem 12 grudnia 1981 w redakcji tygodnika *Solidarność* nikogo nie zaalarmowały doniesienia teleksów o ruchach wojska i milicji wokół Gdańska. „Byliśmy idealnie uspieni” — pisze Kuczyński. I w innym miejscu: „Śpimy wszyscy, a machina wojny nabiera rozpędu. (...) Snem ogarnięci byli wszyscy, nawet wtedy gdy dowody leżały na dłoni”. Poeci, dziennikarze i profesorowie pod rękę z ludem wierzyli do końca w cud. Autor wspomina odpowiedź Wałęsy, kiedy go zapytano, co robić na wypadek użycia siły przez rząd: „Siadamy, bierzemy się pod rękę, niech nas wynoszą”.

Zadziwiające, jak to się u nas powtarza i kołuje. Czyny splecione z poezją, powstania ze snami. Raz dokoła... Ile razy jeszcze?

Hotel „Univers”. Wybraliśmy się na film do małego kina na ulicy Monsieur-le-Prince. Przyszliśmy za wcześnie, kasa była jeszcze zamknięta. M. zaproponowała, żeby odnaleźć hotel, w którym mieszkaliśmy przez dwa miesiące naszego pierwszego pobytu w Paryżu w 1946. Idziemy powoli w górę ulicy. Hotel ma już inną nazwę, nieznajoma właścicielka pyta, czy chcemy wynająć pokój. To nie tutaj. Wejście było inne. Pamiętam że zaraz na prawo znajdowała się łóżka młodego Araba, portiera. Kiedy wracaliśmy późno, trzeba było dzwonić, Arab nas wpusz-

czał i mijając uchylone drzwi jego izdebki widzieliśmy łóżko ze śpiącą szefową. Czterdziestoletnia, mąż pod koniec tygodnia wyjeżdżał na ryby.

Hotel nie zmienił nazwy, z daleka widać pionowy szyld z napisem UNIVERS. Po drugiej stronie chińska restauracja. Więc wtedy chodziliśmy trzydzieści siedem lat temu, o trzydzieści siedem lat młodszy, z nieco inną skórą i włosami, i z myślami także innymi. Tak samo jak dzisiaj szliśmy obok siebie sprzecząc się o różne sprawy ważne i mniej ważne. Chodzimy tak już pół wieku. Po lekcjach biegłem ze szkoły na Marszałkowską, żeby czekać w bramie koło rogu Wspólnej, i kiedy nadchodziła, wyrastałem jak spod ziemi. Oboje udawaliśmy zaskoczenie, przekładała teczkę do lewej ręki i pamiętam jej zdumiony uśmiech: — Cóż za miłe spotkanie... — Pytałem uprzednio, czy można ją odprowadzić. Nie była zdumiona, była pewna, że czekam w tej bramie. Byłaby jednak zdumiona, i może przestraszona, gdyby się dowiedziała, że proponuję jej znacznie dłuższą przechadzkę i że to jest dopiero początek naszej trasy; gdyby się dowiedziała, że za pięćdziesiąt lat w Nowym Jorku będziemy spotykać ludzi, którzy nas pamiętają z uniwersytetu, a potem z okupacyjnych kawiarni, lub kogoś kto widział nas w obozie po powstaniu i z kim niedawno mijaliśmy się na Starym Mieście. „Zawsze byli państwo nierozłączni...” Na co mógłbym dorzucić, że razem i nierozłącznie przebywaliśmy nasze trasy w ciężarówkach, pociągach, autach, samolotach, na statkach i w karetkach pogotowia, wawozami wśród gruzów, uliczkami u stóp Etny, Newskim Prospektem i przez Atlantyk. Szliśmy także obok siebie zmarzniętą szosą, przy której walały się w śniegu trupy niemieckich żołnierzy. Mówiąc bez skrępowania, widzę nas jako parę niezwykłą i wśród naszych przyjaciół nie umiałbym wskazać dwojga tak wytrzymałych długodystansowców. Trzeba by jeszcze dodać, że trasa nie zawsze była łatwa, bo wznosiły się na niej mury, spadały bomby i waliły się domy (w pewnym momencie każde z nas było o krok od śmierci). Okres ten zajął środkową połac XX wieku i już dzisiaj można przewidzieć, że w dziejach powszechnych będzie straszną epoką. W sumie więc mieliśmy szczęście. Nie tylko dlatego że żyjemy i że nas nie rozłączono. Również w tym sensie, że doszliśmy do punktu wyjścia. Okazuje się bowiem, że nasza marszruta była drogą powrotną do źródeł i może odbyliśmy ją po to, aby się przekonać, że nigdzie nie wynaleziono nic mądrzejszego i lepszego niż nasze sztubackie pojęcia o świecie, z ich zabawnym podziałem na dobro i zło. Staliśmy na tej

ulicy wpatrzeni w nią jak w rzekę, usiłując zobaczyć w niej odbicia jakichś dni, scen, twarzy. I siebie. Przez chwilę próbowaliśmy odtworzyć siebie, jakimi wtedy byliśmy. W takich chwilach czuje się wzruszenie, zazdrość, odrobinę litości i nie dochodzi się do niczego. Mimo to próba wejścia po raz drugi do tej samej rzeki jest zawsze frapująca. A potem poszliśmy do kina.

Film składał się ze zdjęć reportażowych nakręconych w latach 1900-1940. Pokazywały się tłumy na ulicach, konne omnibusy, strajki i manifestacje polityczne, premiery w operze, bale, miasta w dniu wybuchu wojny i spadające bomby. Wszystko to sprawiało wrażenie życia mrówek. Ruchy jakby bez celu i przyczyny, uwijające się figurki popędzane niewytłumaczoną energią i pocieszne w swoim zaferowaniu. Nasuwa się myśl, że te fotografie z życia, które minęło, ukazują komizm przeszłości, jakim my także będziemy objęci, i że w przemijających obrazach świata naprawdę poważne jest tylko to, czego nie można w nich zobaczyć.

Czytam tom szkiców Wojciecha Karpińskiego „Chusteczka Imperatora”. W pięknym esej o Astolfie de Custine i jego podróży do Rosji trafiam na zdanie, którego nie rozumiem: „Rosja wydała się marksizmowi wielkim więzieniem, od którego klucz trzyma władca”. Trzy razy czytam i dalej nie rozumiem. Dopiero za czwartym razem odczytuję prawidłowo: „Rosja wydała się m a r k i z o w i wielkim więzieniem, od którego klucz trzyma władca”. Marksizm uparcie tkwi w myślach. Freudowska pomyłka.

Przeczytałem także esej-reportaż pewnego cudzoziemca, który wybrał się do Polski. W czasie odprawy celnej skonfiskowano mu wszystkie notatki i książki. Po powrocie spisał swoje wrażenia. Zacytuje kilka ustępów:

„Polacy są pełni temperamentu jak południowcy, ale nie przeszli szkoły Macchiavellego i brak im politycznej mądrości. To jest naród, którego legiony Napoleon skłonił z łatwością, by wykrwawiały się dla niego... wystarczyło, że wymachiwał przed nimi białym orłem... Taki młodzieńczy albo dziecinny entuzjazm nie jest oczywiście elementem stabilizującym pośród wielkich zmagania narodów o życie w epoce uprzemysłowienia i militarizmu. Nie bardzo daje się on pogodzić z gospodarnością, sprytem, dyscypliną, umiarkowaniem... W dawnych opisach Polaków podkreśla się też chętnie, że na ich rycerskość i oso-

biste męstwo zawsze można liczyć, ale że jest coś pyszałkowanego w ich wspaniałomyślności, coś kapryśnego w ich wielkodusznej naturze, że są uparci, skłonni do zwady, kłótlivi, że nie są w stanie uznać żadnego prawa wyższego ponad ich własną wolę, nie potrafią też na dłużej skupić tej woli na jakimś celu... Słowem, dostrzega się w nich mieszaninę zachodnich i wschodnich przywar... Zapytany w szerokim gronie, co jako krytyk sądzę o polskim społeczeństwie, odparłem z miejsca: — 'Jesteście narodem dyletantów'. — Wydaje się, że ta definicja, w jej najszerszym znaczeniu, jest słuszną, ale nie wolno zapominać, dlaczego z Polakami tak się dzieje. Trzeba mieć nieustannie przed oczami ten energiczny z natury lud, którego energia nie może znaleźć ujścia... naród z żywym, nieposkromionym zacięciem do polityki, któremu uniemożliwiono wszelką polityczną edukację, ponieważ nie wolno mu wybierać swoich przedstawicieli i decydować o sprawach państwowej wagi... trzeba pamiętać o tym narodzie, który od zarania dziejów z egzaltacją bronił praw jednostki, a dzisiaj zmuszony jest żyć bez żadnego prawnego zabezpieczenia przed nadużyciami ze strony przypadkowych dygnitarzy... Życie w Warszawie jest nerwicą, powiedział mi jeden z najwybitniejszych ludzi w mieście, na dłuższą metę nikt nie jest w stanie tego wytrzymać... Mamy przed sobą naród, którego nerwy są napięte do ostateczności, ponieważ musi on dzień po dniu walczyć o swoją egzystencję, zamiast jak inne ludy z niej korzystać. Naród pochłonięty całkowicie swoją sprawą narodową — a przecież ta narodowa sprawa nie jest niczym innym jak ludzką sprawą, ogólnoludzką sprawą”.

Te zdania były pisane w roku 1885. „Wrażenia z Polski” ukazały się w ostatnim numerze *Zeszytów Historycznych*, wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu. Przekładu na język polski dokonał Krzysztof Gruszczyński. Autorem jest Georg Brandes, urodzony w roku 1842, zmarły w 1927. Był myślicielem, pisarzem, eseistą, jedną z najznakomitszych postaci w kulturze duńskiej. W Polsce przebywał dwukrotnie. Łączyły go osobiste stosunki z polskimi pisarzami i można się domyślać, że jego rozmową, który porównał życie w Warszawie do nerwicy, był Prus albo Sienkiewicz.

Dlaczego paryski Łuk Triumfalny jest bardziej imponujący niż Empire State Building w Nowym Jorku — czy dlatego że stoi na perspektywicznej osi, czy że symbolizuje świetniejszą epokę, czy po prostu dlatego że jest wspanialszy?

Jest wspaniały. Ale jego wspaniałość polega przede wszystkim na mistrzowskiej inscenizacji. Paryż to dzieło reżyserów, którzy z przestrzeni miasta tworzą konstrukcję czasu. Łuk Triumfalny — Concorde — Tuileries — Luwr. — Łuk Triumfalny — Défense. Jeśli stanąć twarzą na południowy wschód, otwiera się perspektywa od Cesarstwa, przez Dyrektoriat i miejsce Gilotyny, do Burbonów i nocy św. Bartłomieja. Jeśli zwrócić się na północny zachód, perspektywę zamykają nowoczesne wieżowce Défense, w których po zmierzchu występują rządy świetlnych punktów, jak na ekranach ordynatorów. Do Łuku z dziewięciu stron zbiegają się szpalery klasycyzmu, secesji, końca wieku i początku wieku, nazwane imionami wodzów i bitew (oraz jednego pisarza). U wlotów Łuk widać pod różnymi kątami, z bliska świeci jak wapien, jest ogromny i jasny. Ustawiono go na gwieździe placu, frontem do Pól Elizejskich, za nim biegnie Avenue de la Grande Armée i Avenue de Gaulle. Złotobrazowa brosza Łuku spina kompozycję epok w jednoś akcji i miejsca. Chciałoby się powiedzieć, że Łuk Triumfalny jest wspaniały, bo stoi tam gdzie trzeba: pośrodku dziejów Francji.

Plac Zgody — Plac Gwiazdy — Aleja Wielkiej Armii — Dzielnica Obrony. Patoś retoryki francuskiej zawsze brał się z energii myśli i działania, z energii, którą Francja umiała racjonalnie zużyć. Dziś Francja czuje zmęczenie, jak człowiek, który przeżył wszystko, co chciał przeżyć, i pragnie już spokoju. Energia została spożytkowana. Polska jest zmęczona z odwrotnych powodów: jak człowiek, którego energia nie została spożytkowana i który nie przeżył tego, co chciał przeżyć. Możliwe, że wtedy także pragnie się spokoju.

Jak duński krytyk opisałby Warszawę, gdyby przyjechał po stu latach, jesienią roku 1983? Napisałby pewnie tak: „Polska jest obecnie jedynym krajem sowieckiego imperium, gdzie we wszystkich kościołach odprawia się rzymsko-katolickie msze przy tłumnym udziale ludności; gdzie rozpowszechnia się tajną prasę występującą przeciw rządowi; gdzie przywódca opozycji, uznany przez większość społeczną za przywódcę narodu, znajduje się na wolności, wygłasza przemówienia i udziela wywiadów; gdzie prawdziwym monarchą i prezydentem w jednej osobie jest Papież, witany na ulicach przez miliony ludzi; gdzie pod bokiem oficjalnego rządu działa z ukrycia komitet podziemny. W tym kraju, wyzutym z autentycznych instytucji życia publicznego, ludzie żyją w oczekiwaniu na pomoc Boga”.

Być może też cudzoziemski myśliciel opisałby przebiegającą

przez miasto oś perspektywiczną, w której odbija się trzysta lat historii kraju — od zamku i kolumny Wazów, przez Krakowskie Przedmieście z jego kościołami, wzdłuż Towarzystwa Przyjaciół Nauk i budynku z którego wyrzucono na bruk fortepian Chopina, do Belwederu i ambasady sowieckiej. Prawdopodobnie uderzyłoby go, że perspektywa osi w kilku miejscach zanika, jakby tracąc ciągłość, a w innych się zwęża i biegnie wśród niewysokich, dwu- i trzypiętrowych domów. Zauważyłby, że jest uboższa i mniej zaplanowana niż jej odpowiedniki w stolicach innych krajów. Wy tłumaczyłby to sobie: nie było potężnej monarchii ani bogatego mieszczaństwa, ani rozmachu wielkiej cywilizacji; postawiono kilka magnackich rezydencji i kościołów, później była niewola, bieda i małe interesy. Przypuszczałby najbardziej dziwiłoby go to, że ów długi ciąg urbanistyczny, zniszczony w czasie wojny, po wojnie został z pietyzmem odbudowany i jest rekonstrukcją. Być może cudzoziemiec pomyślałby: czy było warto? Nie zrozumiał bowiem pewnej ważnej rzeczy: że odbudowa miasta i rekonstrukcja przeszłości były w tym kraju ostatnim spełnionym zrywem woli i że po tym zbiorowym wysiłku nie już się tu naprawdę nie udało, czego ten kraj pragnął. Dlatego cudzoziemiec w trakcie swego pobytu w Polsce dostrzegłby prócz fenomenu inności i oporu także objawy zmęczenia. Raz jeszcze się nie powiodło, energia nie została spożytkowana, znowu trzeba oglądać triumf uzurpacji i żyć wbrew pojęciom o życiu. Po stu latach duński obserwator mógłby powtórzyć zdanie, które w czasie swej pierwszej podróży do Polski usłyszał od wybitnego pisarza: życie w tym kraju jest nerwicą, na dłuższą metę nie można tego wytrzymać.

Mogłoby się zdarzyć, że cudzoziemiec pod koniec pobytu usłyszy o przyznaniu Wałęsie pokojowej nagrody Nobla. Przed rokiem Wałęsie tej nagrody odmówiono. Przyznano mu ją teraz, spełniając życzenie opinii publicznej w wielu krajach świata. Cudzoziemiec zastanowi się nad tym faktem, a potem zajrzy do swoich notatek sprzed stu lat. Uśmiechnie się i pomyśli, że miał słuszną rację pisząc wówczas o Polsce jako o symbolu ogólnoludzkich wartości.

Być może też przed wyjazdem z Polski dowie się, że Wałęsę nie można było zawiadomić o nagrodzie, bo tego dnia wcześniej rano poszedł do lasu na grzyby. Przypuszczam, że nasz duński podróżny znowu się uśmiechnie.

Z Warszawy: po rozwiązaniu Związku Literatów zamknięto biura i klub na Krakowskim Przedmieściu. Nie ma obiadów

w stołówce. Kilkadzieśąt osób zakłada nowy związek, prasa krajowa podała nazwiska założycieli. Połowy nie znam, prawdopodobnie wielu z nich nie było nigdy członkami ZLP. Można się spodziewać, że wkrótce przejmą budynek na Krakowskim. W ten sposób ciągłość szczęśliwie będzie utrzymana. Po rozwiązaniu Związku Literatów Polskich nowa organizacja nazwała się Związkiem Literatów Polskich i pozostanie na Osi Królewskiej. Rozmawiam o tym w pokoju, w którym na tapczanach i podłodze siedzi około dwudziestu osób. Przyjęcie w polskim gronie. W poszczególnych grupkach i między nimi krążą polskie tematy. Mówi się o rzeczach smutnych, głupich i okropnych. Mówi się o nich w polskim stylu, półgłosem i *na u ś m i e c h u*. Chwilami głosy zlewają się, tworzą falującą melodię, z nawrotami i powtórzeniami, i wtedy słyszę, jak w jesienny wieczór przywołujemy nasze zmory w monotonnym rytmie obrzędu.

Z telewizji: Wałęsa, w ciepłym swetrze, rozmawia z gromadką przyjaciół w Gdańsku. Zawiadamiają go o nagrodzie Nobla. Wałęsa śmieje się i mówi: nie wierzę. Zajada z apetytem jabłko. Stoi obok samochodu, przed chwilą wrócił do domu. Koledzy przysięgają, że wiadomość podały zagraniczne radiostacje. Wałęsa kręci głową: dopóki sam nie usłyszę, nie uwierzę. I dalej gryzie jabłko. Cięcie. Sala Assemblée Nationale. Chwila uczczenia nagrody pokojowej Nobla przyznanej Lechowi Wałęsie. *A Lesz Walezà*, mówi sprawozdawca telewizyjny. Większość deputowanych wstaje z miejsc, posłowie komunistyczni siedzą. Premier Mauroy wygłasza przemówienie, słysząc okrzyki z ław komunistycznych. Przerywają mu. Cięcie, zbliżenie. Twarz Georges'a Marchais, sekretarza generalnego KPF. Odmawia wyrażenia opinii o nagrodzie Nobla dla Wałęsy: — Mam o tym swoje zdanie. Tak. Ale zachowam je dla siebie. — Czarnobrewy, oko z błękitną glazurą, dużo zębów. Kiedy skończył, oblizał wargi. Cięcie. Artykuł w moskiewskiej gazecie *Izwestia* o dochodach Wałęsy: „Milion dolarów, które śmierdzą... Yankees z Gdańska...” Ani słowa o nagrodzie.

W *Le Monde* obszerny tekst o Wałęsie z cytatami jego wypowiedzi na zjeździe Solidarności. Do przedstawicieli rządu: „Dostyc, wystarczy. Panie ministrze i panie drugi, zabierajcie gówno, któreście przywieźli i do widzenia!” Do korespondentów zagranicznych: „Daję z siebie wszystkie siły, nie mogę zrobić więcej i nie zmienię swego postępowania”.

W podziemnych korytarzach stacji metra rozlepiono plakaty dziennika *La Croix* z twarzą Wałęsy w kolosalnym fotogra-

ficznym powiększeniu. U dołu wielkimi literami: LIBERTE. Twarz Wałęsy oznacza dziś sprawę wolności. Poza nim udało się to tylko gołębiowi w sprawie nie mniej ważnej.

Chłodne dni. Słońce, chmury i deszcz na zmianę. W mieszkaniu zimniej. Niedzielnny spacer w Le Marais. Na ścianie liceum Wiktora Hugo napis czarną farbą: „Laiçé revé vau zé-laive, vou zen feré dé poète”. Pozwulcie mażyć waszym ocznom, zrobicie z nich poetuf). To bardzo ładne, myślę, tylko że w pewnym wieku woli się pamięć niż marzenia. Orły jós otfrónęły i przyszedł czas na ptactwo domowe. Trzeba doglądać swojego kurnika.

Grudzień

Boże, daj mi obojętność wobec rzeczy, których nie można zmienić, odwagę w stosunku do rzeczy, które można zmienić, i mądrość, żeby móc odróżnić jedno od drugich.

To zdanie napisał pewien niegłupi człowiek, którego nazwiska nie ujawnię, żeby nie ułatwiać życia erudytom. Niech się głowią kto jest autorem. Powtarzałem sobie to zdanie idąc rano przez bulwar Arago. Dzień był pełen światła, na chodnikach szeleściły żółte i rude liście. Szedłem o lasce przez pusty bulwar — a bulwar Arago nie jest piękny — czułem się jednak raźnie. Miałem tego dnia wyznaczoną konsultację lekarską w szpitalu Cochin. Ordynatorem kliniki reumatologicznej jest profesor Amor, lekarz nazywa się docteur Illouze. Obydwa nazwiska podobały mi się. Amory, iluzje... profesor Miłość i doktor Złudzenie. Tacy specjaliści jeszcze mnie nie leczyli. Po miesiącu sporów domowych pozwoliłem zatelefonować do szpitala, umówić wizytę, i teraz siedłem ciesząc się, że za godzinę będę ją miał za sobą. Spytałem o drogę zakonnicę w białym kornecie, prowadzącą rower. Wysoka, w okularach, odsłoniła życzliwie długie zęby. — Na rogu skręci pan w lewo i zaraz będzie szpital. — Mówiła z angielskim akcentem. Skręciłem w lewo.

Od pewnego czasu wyrobiłem w sobie obojętność wobec mojej choroby i nauczyłem się z nią żyć. Dopiero w Nowym Jorku stan rzeczy uległ pogorszeniu. Wstając z fotela dźwigałem się na rękach, przechodząc przez jezdnię musiałem uważać, żeby przeciwległy krawężnik wypadł na moją lewą nogę, bo prawą trudno mi było wejść na chodnik. Prócz tego w obu nogach —

Nie dokończyłem ostatniego zdania i zostawiam je tak jak się urwało. Właściwie powinienem skreślić cały ten fragment,

do którego z pewnością nie wrócę. Zachowuję go jednak na pamiątkę. Albo raczej dla przestrogi: że każdy wątek może nagle się urwać. W nieoczekiwanym czasie i z niejasnych powodów następuje stylistyczny zgon. Rozpoczęte zdanie jak gdyby nie chce żyć dalej i sztywnieje z otwartymi ustami. Tym razem postanowiłem nie usuwać ciała. Niech leży. Niech mi przypomina, że pisać ani przez chwilę nie jest się bezpiecznym.

Lektura „Pamiętników” Wacława Lednickiego. Dwa bardzo grube tomy, w sumie około 1400 stron. Wydane w Londynie. Pierwszy tom w r. 1963, drugi w 1967. W drugim tomie na str. 131 czytam:

„Historia wymierza nieraz kary bardzo surowe. Mało kto chciał zrozumieć Krasińskiego, gdy w swoich politycznych memoriałach i pismach (w których analizował działalność rządów Mikołaja I na terenie Polski i politykę zagraniczną tych rządów) dowodził, że imperium cesarzy rosyjskich to wcielenie rewolucji światowej. Uważał on, że systematyczne niszczenie polskich instytucji, praw, kulturalnych tradycji stanowiło w swojej istocie rewolucyjną agresję wobec ustalonego porządku. W zagranicznej polityce Rosji Krasiński dopatrywał się tendencji zrujnowania wiekowych fundamentów zachodnio-europejskiej cywilizacji i w popieraniu przez cara rozlicznych wywrotowych ruchów w Europie zachodniej widział dążenie do dezintegracji europejskiego porządku społecznego”.

W 4 numerze *Zeszytów Literackich* znajduję rozmowę przeprowadzoną przez Wojciecha Karpińskiego z francuskim myślicielem i historykiem idei, Alain Besançonem. Na pytanie Karpińskiego: *Jak widzi Pan związek pomiędzy tradycją rosyjską a sowiecką rzeczywistością?* — Besançon odpowiada:

„Jest to problem szalenie ważny, gdy uświadomimy sobie, że większość mężów stanu na Zachodzie myśli, że wymknie się kłamstwu państwa sowieckiego, przyjmując że to jest nowe wcielenie tradycyjnego imperium rosyjskiego. (...) Sądzę, że to jest najgroźniejsze ze złudzeń, gdyż raz jeszcze mylimy się co do przeciwnika. Kiedy państwo sowieckie objęło władzę, przejęło wraz z nią spadek po poprzednim państwie. Nie odziedziczyło celów poprzedniego państwa, lecz przejęło pewną ilość środków, które tamto państwo stosowało, by zyskać posłuch. Państwo rosyjskie miało mocną tradycję przebiegłości i gwałtu, którymi się posługiwało. Państwo sowieckie zastosowało ten plik recept rządzenia, ale użyło ich do swoich własnych celów, nadając im rozmach i skalę, których państwo dawnego ustroju nie znało.

(...) Jest to zmiana skali bezwzględnie godna uwagi, która równa się zmianie natury. Sądzę, że nie można uczynić bardziej poważnej pomyłki, niż użyć państwu sowieckiemu natury dawnego państwa rosyjskiego”.

W pierwszym cytacie prof. Lednicki, przywołując myśl Zygmunta Krasińskiego, pośrednio wyraża pogląd, że ZSSR jest nową inkarnacją odwiecznych rosyjskich dążeń do podminowania i zburzenia struktur europejskiego Zachodu. W drugim cytacie francuski historyk, który zapewne myśli Krasińskiego nie zna, a z Lednickim być może nigdy się nie zetknął, jak gdyby przestrzega obydwóch, aby nie popełniali tego fatalnego błędu. Cele, zasięg i charakter sowieckiego mocarstwa są według Besançona czymś zgoła innym i stokroć groźniejszym niż despotyzm i panslawistyczne ambicje carskiej Rosji. Nie ulegajcie złudzeniu — zdaje się mówić Francuz do Polaków — że wasz prześladowca zmienił tylko skórę z rosyjskiej na sowiecką. W rzeczywistości macie dziś do czynienia z potęgą innego rodzaju i wymiaru. Nie zamydlajcie sobie oczu anachronicznymi pojęciami: to już nie Rosja zagraża wam, Polakom, to nam wszystkim zagraża państwo diamentu, które chce podbić ludzkość.

Obydwa stanowiska mogą się wydać sprzeczne, polemizujące ze sobą. Sprawa jest niezmiernie ważna, idzie w niej o ustalenie istoty sowieckiego totalitaryzmu. Można by jednak w tych dwóch cytatach dopatrzeć się wspólnej racji i uznać, że wyrażają one nie dwie prawdy, tylko dwie części prawdy. Rosyjski absolutyzm od dawna gotował światu przewrót rewolucyjny na niespotykaną dotąd skalę — tak wydaje się sądzić Lednicki idąc za myślą Krasińskiego. Natomiast Besançon twierdzi, że państwo sowieckie zrodzone z tej rewolucji przejęło tylko pewne cechy rosyjskiego absolutyzmu, lecz jest zjawiskiem nowym i potężniejszym, którego nie wolno utożsamiać z Rosją. W gruncie rzeczy te dwa pozornie odmienne punkty widzenia razem tworzą jeden pogląd. Można by go tak sformułować: w carskim samodzierżawiu, w jego pogardzie dla ludzkiej jednostki i w nienawiści do kultury Zachodu tkwiła wynaturzona idea wschodniej teokracji i właśnie z niej, a może tylko z niej, mógł się narodzić system państwowego komunizmu — nowouformowana potęga, która przekracza dzieje Rosji, zachowuje jednak religijno-nihilistyczne piętno wielkorosyjskiej satrapii.

Podobna myśl przewija się zresztą w zbiorze esejów „Chusteczka Imperatora”, wybitnym tomie Wojciecha Karpińskiego (młodsze go brata Jakuba, o którym wspominam w nowojorskiej części „Miesiący”). Czytałem tę książkę na krótko przed

lekturą pamiętnika Wacława Lednickiego i dialogu z Alain Besançonem. Jest w niej wiele przemyśleń, a także cytatów, które zdają się nawiązywać do sprawy „rosyjsko-sowieckiej”, interesującej obu uczonych. Karpiński, pisząc o narodowym odstępstwie Adama Gurowskiego, przytacza fragment wykładu Mickiewicza w Collège de France poświęcony Gurowskiemu. Powtarzam za Karpińskim słowa Mickiewicza:

„Rzecz wcale zastanawiająca, że teorię zaprzeczną, najpełniejszą teorię materializmu politycznego i systematu burzącego, dał Polak, polski apostata. Apostata ten musiał z konieczności poszukać dla siebie podstawy w historii rosyjskiej; oddaje on, jak Panowie widzicie, złą przysługę Rosji, zdradza tajemnicę filozoficzną caratu, wypowiada ostatnie słowo jego idei filozoficznych. Pisarz ten, w swojej książce, ogłoszonej za zgodą rządu rosyjskiego, dowodzi wyraźnie, że jedyną zasadą polityki jest 'zabić lub być zabitym'. Książka ta poucza dosłownie, że wszystko co zowiemy moralnością, religijnością, religią, to tylko cześć słowa, że siła stanowi o wszystkim, że cesarstwo rosyjskie, podbiwszy tyle narodów, dało dowód istnienia owej siły i że już to samo ostatecznie usprawiedliwia jego postępowanie. Biada zwyciężonym! Zresztą siła zależy od obszaru i liczby ludności. Otóż cesarstwo rosyjskie posiada najrozleglejszy obszar i najliczniejszą ludność; ma zatem prawo rozkazywać Europie. Miało ono na koniec przebiegłość, co warta najwięcej; miało przebiegłość zagarnąć rząd duchowy i stać się przez to władzą religijną. Tym sposobem Rosja jest jedynym państwem wyrozumowanym, mądrym, silnym i potężnym”.

Mickiewicz wygłosił ów wykład na 75 lat przed ustanowieniem władzy sowieckiej w Rosji. Przenikliwość jego uwag niezwykła jest przez to, że słowa, które wypowiedział o Rosji carskiej, brzmią tak jakby dotyczyły państwa sowieckiego. W niektórych zdaniach wystarczyłoby zastąpić „carat” literami ZSSR, by uzyskać pełne złudzenie, że wieszcz Adam w roku 1842 odsłonił *tajemnicę filozoficzną* przyszłego imperium sowieckiego. Możliwe to było nie dzięki jasnowidzeniu, lecz dlatego że Mickiewicz dobrze znał Rosję i rozumiał jej historię. Wacław Lednicki także znał Rosję, także przeżył młodość na ziemiach zagarniętych przez cesarstwo rosyjskie. I może właśnie dzięki temu wiedział, że tajemnica filozoficzna carskiego samodzięrzawia jest głęboko ukryta w sowieckim *państwie diamentu*, mimo dzielących je różnie ideologii, strategii i zakresu działania. Wydaje się natomiast, że Besançon zna Rosję teoretycznie — że jej nie doświadczył. Twierdząc np. w rozmowie z Karpiń-

skim, iż Rosjanie nie są w ZSSR narodem uprzywilejowanym, pomija rzeczywiste fakty; choćby taki jak przymusowe nauczanie języka rosyjskiego w szkołach wszystkich republik sowieckich (i krajów satelickich).

Myślę z głową nabitą pytaniami i wróżbami. Przyszłość rysuje się groźnie. Zachód boi się wojny. Ostatecznie powinno mi być wszystko jedno kto mnie pożre, Rosja czy *państwo diamentu*, i może w ogóle nie trzeba o tym myśleć. Ale myślę cały dzień, jak gdyby od tego co wymyślę zależały losy świata. Co wieczór siadam przed telewizorem, przystojna spikerka, *mademoiselle Christine Ockrent*, pokazuje mi świat współczesny. Świat naładowany bronią, dyszący nienawiścią i pełen dzikich twarzy. Czasami jakaś wiadomość z Polski: przywrócono kartki na masło, Wałęsa spotkał się z przywódcami podziemnej Solidarności, przed sklepem na Marszałkowskiej widać stojące kobiety w włóczkowych czapkach. Wpatruję się w szklany kwadrat. Przystojna pani Ockrent mówi już o Libanie: zburzone domy i krzyczące matki z dziećmi na ręku. Boże, nie daj mi być obojętnym wobec rzeczy, których nie mogę zmienić. Kiedy w mieszkaniu jest chłodniej, siedzimy oboje przed telewizorem zakutani w pledy. Telewizja stała się naszym obrazem świata. Nie znamy jego sensu, nie wiemy czy kieruje nim najwyższa idea i czego chce Bóg. Ale co wieczór czekamy. Na co — na zadośćuczynienie? na karę i nagrodę? Czekamy w napięciu. Wielka jest w nas potrzeba dobrej nowiny. Czy wreszcie z tego pudła zabrzmi głos Opatrzności? jakaś jedna wiadomość, która wyjaśni chaos?

Czekamy. Naiwne jest to czekanie i wąta nasza wiara. Wiemy, że nic się nie spełni i nie się nie rozstrzygnie, że pozostało nam niewiele czasu i że ocalenia możemy szukać tylko w sobie. A jednak czekamy.

Kolacja z Kunderami i François Furetem, historykiem, dyrektorem *Ecole des Hautes Etudes*. Od lutego mam co tydzień wyjaśniać doktorantom, czym jest i czym była inteligencja w Polsce. Przed 11-ą Furet odwiedził nas do domu. Jadąc powiedział nagle zza kierownicy: — Sprawa polska wraca do dziewiętnastego wieku.

Sergio Ferri przywiózł mi z Rzymu włoski egzemplarz „*Miesiący*” z przedmową Vittoria Strady. Tytuł: *Mesi*. W kilka dni

później wywiad dla *Libération*. Rozmawia ze mną Daniel Rondeau, inteligentny i życzliwy Polsce. Słyszę, że lewicowi intelektualisci przeżywają niepewność czy święte zasady progresizmu nie niszczą podstawowych wartości społecznych. Zaskoczyła ich polska Solidarność, w której ujrzeli ruch bezsprzecznie postępowy, rewolucyjno-demokratyczny. Głowią się jednak nad połączeniem w tym robotniczym i masowym ruchu haseł proletariackich z religijnością katolicką i obyczajowym konserwatyzmem. Bardzo ich niepokoi Wałęsa z Matką Boską na piersi, wierną żoną i siedmiorgiem dzieci. Dręczy ich bowiem podejrzenie, że ów model komórki rodzinnej okaże się bardziej przydatny społecznie niż wolny związek Sartre'a z panią de Beauvoir. Pod koniec wywiadu Rondeau przyjrzał mi się ciekawie i spytał, czy jestem wierzący.

W La Hacquinrière u Krzywickich. Zawiózł nas Adam Zagajewski swoim zielony Volkswagenem, znanym mi jeszcze z Berlina. Kilkanaście osób przy stole, żywa polska rozmówka, anegdota. Miły nastrój, koty na fotelach, czujne, obserwujące, cisza za oknami i wyborny śledź z soją. Główny temat: Polacy i Francuzi. O szorstkości, jako o sposobie bycia polskim, i grzeczności, jako stylu francuskim. O tym, co się kryje wewnątrz pod jednym i pod drugim i z czego się wzięły te style narodowe. Zagajewski naprzeciw mnie, finezyjny nawet w milczeniu, głowa, podbródek i policzki w króciutkim ciemnym zarostie. Dał mi niedawno swoją książkę osnutą na tle pobytu w Berlinie Zachodnim, bardzo ciekawie pisaną. Powrót o 1 w nocy. Puste bulwary i mosty, w dole Sekwana, czarna, posrebrzona.

Przyszły egzemplarze amerykańskiego wydania „Miesięcy” w przekładzie Richarda Lourie. Tytuł: *A Warsaw Diary*. Na tylnej stronie obwoluty wypowiadają się o książce Philip Roth, Milan Kundera, Irving Howe i Zbigniew Brzeziński. Równocześnie nadchodzi osobny egzemplarz z liścikiem od Klary Głowczewskiej. Odpisałem: nie liczę na sukces, jest bardziej prawdopodobne, że Empire State Building obróci się szpicem w dół. Dzień wcześniej list od Karola Dedeciusa o zawarciu umowy z Suhrkampem. Fragment dla pisma *La Critique* w przekładzie Teresy wziął ode mnie Jean Piel. Stary kulejący pan z sękatą laską, do głębi przejęty Polską. Siedzieliśmy u mnie rozmawiając przy kieliszku wina.

W walizce z Warszawy przyjechały moje dwa swetry i pięć koszul. Kończę „Pamiętniki” Wacława Lednickiego. Przeczytałem Sołżenicyna „Naszych pluralistów”, kilkadziesiąt stron ostrej polemiki z sowieckimi dysydentami. Wiele zaciekałości z

obu stron i jakaś furia, którą trudno pojąć. Sołżenicyn pisze o Rosji nieszczęśliwej, o narodzie rosyjskim jako męczenniku sowieckiego ustroju. Pisze z pasją, jego wielka i sprawiedliwa nienawiść do komunizmu budzi najgłębszy szacunek. Ale w tekście znalazła się brutalna insynuacja w stosunku do Siniawskiego (postaci jednej z najczystszych w tym kręgu) o rzekomych okolicznościach zwolnienia go z gułagu. Przypomina mi się chichot Iwaszkiewicza, jak opowiadał o sowieckich literatach, którzy przybywając do Warszawy w bratnich delegacjach oczerniali jeden drugiego za plecami: tamten donoszczyk, a on kanalia i dusza lokajska...

W Warszawie Andrzejowi Kijowskiemu, choremu na nowotwór oka, odmówiono paszportu do Francji. W gabinecie Ministra Kultury obiecano mi pomoc, ma w tej sprawie wyjść pismo do Warszawy. Przed tym jeszcze, 30 listopada, telefonowaliśmy do Kijowskich z życzeniami imienninowymi dla Andrzeja. Głos brzmiał z bliska: — W ciągu tygodnia słyszę cię po raz drugi... — W piątek wieczór musiał słuchać mojej audycji w Radio France. M. pyta o Kazię. — Nie ma jej w domu — mówi Andrzej — poszła do św. Marcina rozdzielać paczki świąteczne.

Długi spacer wieczorny po Montparnassie, suche powietrze z dymkiem, ciepłe światła i zapach pieczonych kasztanów. Za restauracyjnymi szybami ludzie przy stolikach, połysk sosjerki, czyjaś dłoń unosząca kieliszek, obciśły biały mankiet ze spinką i biały pochylony grzbiet kelnera. Ten obraz trwa już co najmniej od półtora wieku, nie licząc kilku pauz. Czarowna kraina życia, baśń o normalności, po której chodzą Jaś i Małgosia spłoszeni przez babcię-wilka.

Polskie słowo „niewola” bardzo trudno przełożyć na francuski. *Captivité? dépendance? asservissement? soumission nationale?...* Nie. *Esclavage?* Na pewno nie. Podobnie z angielskim *slavery*. Żadne z nich nie przystaje ściśle, każde oznacza co innego. Zdaniem Kundery należałoby wprowadzić termin *non-liberté*. Wyjaśniam jednak, że w słowie „niewola” drugi składnik ma jeszcze inny sens i można by je także przełożyć na *non-volonté*. Co na Kunderze robi spore wrażenie. Wraca do tego kilkakrotnie. Dziwi się, patrzy na mnie... A ja na niego. O, z dumą. Nie wypadliśmy sroce spod ogona, szepcze we mnie najbrzydsze z przysłów polskich.

Dalej „Pamiętniki” Wacława Lednickiego, do których wróciłem po pierwszej lekturze. Dzieło pamiętnikarskie na wspólną miarę. Epicka saga rodzinna i opis życia polskiego ziemianstwa w majątkach na Białorusi — i polskiej inteligencji w Rosji

przedrewolucyjnej. Lednicycy mieli posiadłość Borki w guberni smoleńskiej, koło stacji Katyń. Prócz tego wygodny dom w Moskwie. Ojciec, Aleksander Lednicki, był adwokatem, jednym z najznakomitszych w Rosji, i posłem do Dumy. Prowadził szeroką działalność w kołach polsko-rosyjskich. Społecznik, organizator, postać obywatelska w wielkim stylu. Związany z Rosją liberalną, łączyły go bliskie stosunki z Kadetami, partią konstytucyjnych demokratów. Przewijają się przez te dwie książki nazwiska rodzinne Poczobuttów, Odlanickich, Świackich, Nitośławskich, typy malownicze i bogate, nieraz przezabawne, ciotek, wujków, kuzynów, sąsiadów, rezydentów i charakterystyki dworów okolicznych. Opisy wewnątrz zdumiewająco szczegółowe, nieledwie inwentaryzatorskie. I postaci zaprzyjaźnionych Rosjan, pięknych ludzi-Moskali. Nie mogłem się od tej lektury oderwać, godzinami leżałem zaczytany i zauroczony światem, którego już nie ma. Wszystko dawno przepadło. „Pamiętniki” (w Polsce nigdy się nie ukazały) Wacław Lednicki pisał w Stanach Zjednoczonych, będąc profesorem literatur słowiańskich w Harvardzie i Berkeley. Pożyczyci mi je Bohdanowie Paczowscy. Po kolacji na rue Cassini, w ich mieszkaniu otoczonym książkami, gdy powiedziałem przed wyjściem, że nie mam co czytać na wieczór, Maria zdjęła z półki dwa ogromne tomy. Uśmiechała się: zobaczysz, zobaczysz... nic ci nie powiem. Ale o autorze słyszałem od dawna. I o ojcu także. Drugi tom profesor Lednicki poświęcił niemal w całości obronie swego ojca. Pamiętam fotografię w czarnej ramce, zamieszczoną bodaj w *Kurierze Porannym* po śmierci Aleksandra Lednickiego. Był to mój rok maturalny, 1934, zapamiętałem to zdjęcie, masywną, szczeci-niastą głowę i dłoń spoczywającą ciężko na poręczy fotela. Twarz starego pana, który był kiedyś... ministrem? senatorem? Niewiele o nim wiedziałem. Chyba nie. Prócz tego, że popełnił samobójstwo. Śmierć tragiczna, w okolicznościach niezupełnie jasnych i z przyczyn sięgających do lat przed moim urodzeniem; te lata będą zawsze tajemnicze.

Więc w drugim tomie syn, Wacław Lednicki, oczyszczając zmarłego ojca ze ścigających go oskarżeń — stronie naładowane pasją i miłością — niejedno wyświetla w tym polskim dramacie sprzed lat. Czytając drugi tom miałem chwilami wrażenie, jakby pisał go Hamlet wezwany przez ducha. Obronę syn przeprowadza w punktach. Nieprawda, że na biurku ojca stała fotografia cara. Kłamstwo, że ojciec wyrzekł się Polski niepodległej. Nigdy nie zwalczał Legionów Piłsudskiego. Nieprawda, że w domu mówiło się po rosyjsku. Jest natomiast praw-

da, że ojca szkalowała endecja. I dalej, punkt po punkcie, cytaty z przemówień ojca, akcja pomocy dla Polaków w Rosji organizowana przez ojca, propozycje ugody odrzucone przez ojca, to fałsz, że ojciec chciał Polski bez Gdańska... Syn pisze: w Rosji i w Polsce niepodległej ojca niszczyli endecy, ale fizycznie zamordowali go *inni*. Pisze też o sobie, iż po śmierci ojca wyzwał na pojedynek ministra rządów sanacyjnych, pułkownika Matuszewskiego. Wcześniej wspomina o dawnej kłótni ojca z Piłsudskim — gdzie? kiedy? W dorożce, w Paryżu w roku 1904 czy 1905, gdy Piłsudski, który wyprawiał się wówczas na rozmowy sztabowe do Tokio, uraczył Aleksandra Lednickiego we fiakrze paryskim swymi planami zbrojnego powstania w kraju; na co mecenas zbladł, wysiadł z fiakra i krzyknął, że dosyć już przelało się młodej polskiej krwi. Straszna scena. A trzeba by wiedzieć, że w dorożce siedział nie tylko przyszły Marszałek i Naczelnik Państwa, lecz obok niego co się zowie potężna osobistość, polityk i mówca rangi męża stanu, który mógłby w Rzeczypospolitej zostać prezydentem.

Czytam ten pamiętnik jak powieść kryminalną: zabili go, czy pozbawił się życia? kto był sprawcą śmierci? Pytam o to Bolesława Wierzbiańskiego, który właśnie przyjechał na parę dni z Nowego Jorku. Piłsudczycy — twierdzi — nie darowali mu, że skapitulował przed Rosją, a endecy, że do nich nie przystał. Bolek Wierzbiański redaktor wychodzącego w Stanach Zjednoczonych *Nowego Dziennika*, był moim kolegą w latach uniwersyteckich. U Lednickiego w „Pamiętnikach” kilkakrotnie występuje nazwisko Nagórskich. Żoną Bolka jest bratanica Zygmunta Nagórskiego, który Aleksandrowi Lednickiemu złożył hołd w artykule opublikowanym po jego śmierci. Wierzbiański mówi: nagonka, zaszczucie. Pani Nagórska, matka jego żony, do dziś wspomina tego człowieka z podziwem i bólem. Znała go w Rosji: „Opiekował się Polakami, myślał o nas wszystkich...” Więc w końcu — depresja nerwowa i samobójstwo w 71 roku życia? mord polityczny? samobójstwo wymuszone?

Piłsudskiego trudno obciążać za tę śmierć odpowiedzialnością. W roku 1934 był już chorym starcem. A zresztą... po cóż by? Dawne różnice poglądów i jakaś kłótnia w dorożce przed trzydziestu laty? O zemście politycznej nie mogło być mowy, co najwyżej dzieliła ich obcość. Lednicki-syn wspomina w pamiętniku, że podczas wojny ojciec wyjednał od rządu carskiego dla wziętych do niewoli legionistów status jeńców wojennych, zgodny z międzynarodowymi konwencjami. Byłby to powód raczej

do zobowiązania niż zemsty. Kim zatem byli ci *i n n i*, których syn oskarża o morderstwo w znaczeniu dosłownym, fizycznym? Winę pułkowników sanacyjnych Wacław Lednicki zdaje się sugerować wyraźnie. Nie mówi jednak więcej, milczy. Poza wzmianką o pojedynku z Ignacym Matuszewskim (pułkownikiem) ani słowa przeciw piśsudczyźnie i właściwie nie o piśsudczykach. Prawdziwym gniewem autor wybucha dopiero pisząc o jadowitych kalumniach rzucanych na ojca przez endeków, i wtedy sypią się nazwiska. Jeśli był jakiś konflikt z piśsudczyzną, to musiałyby się wiązać z nieznanymi faktami, których nie przekazały świadectwa. Rok 1934: rok Berezki Kartuskiej, parę lat po Brześciu, emigracja Sikorskiego i Witosa, formowanie się Frontu Morges. Może tu należałoby szukać przyczyn, w kulisach gry politycznej lat trzydziestych. Lecz nawet i w tym wypadku domniemanie zabójstwa nie wydaje się prawdopodobne.

Zagadki polskie. W okresie swojej pracy w Rosji, przed niepodległością, Aleksander Lednicki stykał się bezustannie z polskimi działaczami, którzy później mieli odegrać w Polsce rolę nieraz znaczne; z ludźmi takimi jak Grabscy, Raczkiewicz, Prystor i wielu innych. Były wśród nich osobistości nie tylko polityczne, lecz również inżynierowie, lekarze, artyści, uczeni. W „Pamiętnikach” kilkakrotnie jest mowa o Leonie Petrażyckim. Kim był profesor Leon Petrażycki, dziś zapewne wiedzą jedynie nieliczni specjaliści. Ale ja także wiem, bo na I i III roku studiów uniwersyteckich musiałem zgłębiać jego fenomenologiczną teorię i filozofię prawa. Petrażycki był profesorem uniwersytetów rosyjskich i autorytetem światowej miary. Był „rosyjskim Polakiem”, jednym z tych co po wojnie i rewolucji osiedli na stałe w Polsce. Jednym z najwybitniejszych — wielkim uczonym i myślicielem, chlubą nauki europejskiej. Po powrocie do kraju wykładał na Uniwersytecie Warszawskim. Podobno źle mówił po polsku. Przypominam sobie jego portret wiszący w którymś z audytoriów wydziału prawa. Samobójstwo popełnił na kilka lat przed śmiercią Aleksandra Lednickiego. Jeszcze w moich latach studenckich mówiono półgłosem o zaszczuciu Petrażyckiego oszczerstwami i o intrygach, jakimi go oplątano. Miał, jak pamiętam, zabić się wystrzałem z rewolweru. O Lednickim krążyły dwie wersje: jedna, że się zastrzelił, i druga, że rzucił się z okna mieszkania w Alei Róż.

Kartka z Warszawy od Mariana z wiadomością o śmierci Jasia Steina. Rak płuc. Zeszłego roku w czerwcu był w Paryżu

i z Cité des Arts wziął nas do Closerie des Lilas na pieczone ślimaki. Wesoły i ruchliwy, doskonale wyglądał. Nazajutrz byliśmy z nim u Jo Goldenberga na ulicy des Rosiers. Przy płaceniu rachunku dał chyba jakiś zawrotny napiwek, bo kelner szepnął: — Pan się może omylił...? Jaś spojrzał: — Nie. Uśmiechnął się, ale spostrzegłem, że wzrok mu stwardniał. Musiał już znać diagnozę. Umarł w Caracas.

Przed zapowiedzianą podwyżką cen w Polsce znów pchnięto w teren wojskowe grupy operacyjne. Jak na jesieni 1981 przed stanem wojennym. Po dwóch latach dyktatury generał ze swoją ekipą dziennikarzy wydaje się politycznie bezradny. Wojsko ma kontrolować we wsiach i miastach sklepy, magazyny, transport, skup i komunikację. 4 grudnia na Barburki w Katowicach były zajścia, podobno aresztowano Annę Walentynowicz i Kazimierza Świtonía. Reforma ekonomiczna padła.

Po południu u nas z Marysią Paczowską, która tylko co wróciła z Londynu. Opowiada o dniu spędzonym w londyńskim Zoo („to odpoczynek patrzeć na zwierzęta, jak one sobie żyją bez wiecznego przebierania się i kremów na twarzy i samochodów, włosów sobie nie malują, nawet nie muszą się uczesać czy ogolić”). Potem o Lwowie w 1940, o wywózkach, gdy w nocy było słychać jak budy zatrzymują się przed sąsiednimi domami. Noc w noc do 4 rano ojciec kazał jej siedzieć na łóżku w zimowym płaszczu, ciepłych rękawiczkach i bucikach, z imieniem, nazwiskiem i datą urodzin na tekturowej kartce zawieszanej u kołnierza. Każdej nocy byli gotowi do drogi. Pytam, czy mogą jeszcze zachować pożyczone od niej pamiątki Lednickiego, o których właśnie piszę. Oboje z Bohdanem poznali go we Włoszech w latach 60-tych, w Rapallo. Po jej wyjściu znów biorę oba tomy. Oglądam fotografie i wertuję spis nazwisk. Zdziwiałające, ilu Rosjan w tej książce. Lwow, Milukow, Muromcew, Nabokow... Szachowscy... W „Pamiętnikach” brzmi ton żalu, nostalgii za pojednaniem, do którego nie doszło. Lednicy, Petrażyccy poznawali Rosję wykształconą i światłą, obracali się wśród ludzi rozumiejących Polskę. Piłsudski poznawał Rosję w więzieniach i na Syberii; opisał wstrząs, jaki przeżył, kiedy mały żołdat kuł go pięścią w zęby na aresztanckim etapie. Plan odbudowania polskiej państwowości w oparciu o rosyjskich liberałów był jednak programem trzeźwym, pewnie w owych latach jedynym, który wydawał się realny. Nierealne zdawały się mrzonki zbrojnego wywalczenia niepodległości przeciw Rosji. W rodzinie Billewiczów i Piłsudskich uważano Ziuka za wariata, pisał o tym dziadek Andrzeja, Ludwik Krzywicki we wspomnieniach. W

dziesięć, piętnaście lat później było już oczywiste, że mrzonki wariatów się spełniły. W Polsce, zwłaszcza po maju 1926, realści i organiczniacy musieli przeżywać złe dni.

Prawie wszystko, o czym napisał w obu tomach, cały ten świat połowy jego życia, wszystko dawno przestało już istnieć. Jak gdyby śnił mi się dziwny sen, w którym jeździ się konno do sąsiadów przez lasek Katyński i tańczy mazura na moskiewskich balach, i gdzie Polacy mają przyjaciół Rosjan, z którymi rozmawia się o wolnej Polsce.

Niedawno uświadomiłem sobie, że jedynymi z bliżej znanych mi ludzi, krórczy mają przyjaciół Rosjan, są dwaj polscy rusycyści i poeta, który studiował literaturę w Moskwie.

Vittorio Strada w przedmowie do włoskiego wydania *Miejsięcy*, pisząc o moim stosunku do Rosji, ostrzega mnie przed polskim nacjonalizmem. Podobnie jak Besançon we Francji, twierdzi że nie należy mylić komunistycznego totalitaryzmu ZSSR z dawnym imperium rosyjskim. *Su questo punto mi trovo in disaccordo con Brandys...* I wymienia po kolei różnice — ideologii, celów, obszaru działania. Z pewnością ma rację. Ale może ja nie mylę Rosji z komunizmem. Może sędzę tylko, że Rosja miała decydujący wpływ na formowanie się współczesnych państw ideologiczno-totalitarnych i że to w Rosji od dawna się rodził ich ohydny pierwowzór. Może też niekoniecznie trzeba mnie przestrzegać przed antyrosyjskim polskim nacjonalizmem. Będąc na miejscu Strady raczej bym się namyślił, czy Polacy nie wiedzą o Rosji więcej niż zachodni pisarze. Bądź co bądź od trzystu lat Rosja siedzi im na karku i mają swoje sprawy z Rosjanami. Doprawdy, nieraz za dużo wymaga się od Polaków. Powinni zapomnieć o Rosji i bać się komunizmu. Może jednak i o komunizmie Polacy co nieco wiedzą. Najosobliwsze jest to, że kiedy ja z partii komunistycznej wystąpiłem siedemnaście lat temu, słyszę że Vittorio Strada jest do dziś jej członkiem.

Gdy intelektualści na Zachodzie uczą nas, czym była i czym nie jest Rosja, przypomina mi się odpowiedź udzielona pewnemu krytykowi. W trakcie dyskusji w Związku Literatów na wieczorze autorskim Wiecha zabrał głos krytyk L., który oświadczył, że w gruncie rzeczy Wiechowi brak poczucia humoru. Pod koniec przemówił autor: — W związku z zarzutem kolegi L. opowiem anegdotę o baronie Rotszyldzie. Jadł śniadanie na Polach Elizejskich, gdy podszedł do niego żebrak, natarczywie prosząc o jałmużnę. „Dobry człowieku” — rzekł zniecierpliwiony Rotszyld — macie tu pięć franków, ale na przyszłość

pamiętajcie, że w czasie jedzenia nie należy przeszkadzać żebranią”. „Panie Rotszyld — odpowiedział żebrak — pan może jesteście wielki bankier, ale żebrać pan mnie nie będzie uczył”.

Rzecz byłaby prostsza, straszliwie prosta, gdyby ludzie Moskale w ogóle nie istnieli. Ale istnieją. Był Hercen, Czechow, był Bunin i Muromcew (przewodniczący Dumy, jego sylwetkę ciekawie opisał Wacław Lednicki), był Aleksander Błok, było wielu mądrych i szlachetnych Rosjan. Dzisiaj jest Sacharow — Sacharow niemal zamurowany żywcem w mieście Gorki — i mocarz Sołżenicyn, zamknięty w swojej pustelni w Vermont. Są inni — w Rosji, w obozach i zakładach psychiatrycznych, albo rozproszeni w sowieckiej masie. Na emigracji są też Brodski, Niekrasow, Gorbaniewska, Siniawski, Bukowski. Dlaczego nie powiązały się ze sobą te dwie emigracje, rosyjska i polska, mimo doświadczeń, jeśli nie wspólnych, to przecież nie odległych, dlaczego nie stykałem się z nimi, z przyjaciółmi Rosjanami, ani w Nowym Jorku, ani później w Paryżu, dlaczego odezwał się do mnie Kundera i przedtem Skvorecki, a oni nie, ani ja do nich — nie wiem, ale to jest zastanawiające i wiele daje do myślenia, to że tak mało garniemy się do siebie, jakbyśmy nie czuli wzajemnej ciekawości.

Drobniutka mżawka, ciepło i wilgotno. Chodzi się z gołą głową i w letnim płaszczu na podpince. Pani Drago, która co tydzień przychodzi do nas sprzątać, narzeka na zimno. Usłyszała w radio, że w Warszawie temperatura spadła do 17 stopni poniżej zera, i pyta czy to możliwe. Tłumaczę, że w Polsce mrozy bywają nieraz 30 stopniowe. Wówczas ładna pani Drago patrzy na nas jak na dwa polarne niedźwiedzie i wiem że wieczorem powie mężowi: trzeba wracać do Portugalii.

W piątek na Surcouf w Centre du Dialogue wieczór literacki poświęcony Mironowi Białoszewskiemu, który kilka miesięcy temu umarł w Warszawie. Przed niecałym rokiem w Polskim Instytucie w Nowym Jorku czytał swoje wiersze i prozę. Spotkaliśmy się wtedy po czterech latach od wspólnego pobytu w Oborach. Białoszewski po nowojorskim występie napisał komuś w liście do Warszawy, że miał silną tremę. „Ale nagle widzę jak zza filaru uśmiecha się do mnie pani Marysia Brandysowa i zaraz zrobiło mi się lepiej”. Do Paryża sprowadzono taśmy nagrane w czasie tego wieczoru. W salce na rue Surcouf, z Konstantym Jeleńskim i Jackiem Trznadlem, mamy po kolei

mówić o Białoszewskim. Kiedy przyjechałam, było już pełno, w głębi i w przejściach stało sporo osób. Zawsze chwila zdziwienia na widok tej sali w światłach, zatłoczonej ludźmi. Najczęściej przechodziłem przez nią rano, idąc do jadalni na wczesne śniadanie. Był w niej półmrok, bo witraże Lebensteina nie przepuszczały światła. Nieraz czekałem parę minut aż się rozwidni i księża skończą w kaplicy poranne modlitwy. Listopad 1977, M. leżała wtedy w szpitalu Laënnec. W półmroku bieleła się tylko głowa Chrystusa wyrzeźbiona na krótko przed śmiercią przez Alinę Szapocznikow. Witraże ciągnęły się wzdłuż sali, dzieląc ją od ulicy. Patrzyłem na jeźdźców Apokalipsy występujących z ciemności, jeden miał trupa głowę Goebbelsa, skrzydlate potwory z kopytami były zarazem ludźmi, diabłami i końmi. Zza witraży dochodził już zgrzyt podnoszonych żaluzji sklepowych, rozjaśniało się, po chwili milkił szepot modlitw i mogłem się przyłączyć do księży wychodzących z kaplicy. Ten obraz sali był dla mnie najprawdziwszy. Ilekroć widzę ją zapełnioną publicznością, wydaje mi się zbyt jaskrawa. Przy elektrycznym świetle witraże są matowe, ściany białe. Jest głośno i jasno. Trzeba się przyzwyczaić do drugiego obrazu tej sali, który jest także prawdziwy.

Nie przygotowałem sobie wspomnienia, wiedziałem tylko że zacznę od spotkania w Oborach pięć i pół roku temu. Przyszedłem wtedy za wcześnie na niedzielną kolację i czekając w hallu spostrzegłem przez otwarte drzwi do jadalni mężczyznę w krótkim znoszonym paletku, z gołą szyją i w tenisówkach na nogach. Chodził po jadalni przyglądając się uważnie nakryciom. Na stolikach rozstawione były talerze z wędliną i serami, w niedzielę dawano w Oborach zimną kolację. Gość w paletku wziął talerz ze stolika pod oknem, dołożył sosu i pieczywa, nakrył drugim talerzem i wyszedł z jadalni. Nie zauważył mnie, przeszedł szybko, wpatrzony w talerz. Byłem pewny, że to jakiś mieszkaniec pegeeru zorganizował sobie niedzielną zakąskę pod pół litra czystej i będzie skandal, bo dla kogoś zabraknie kolacji. — A, to pan Białoszewski wziął do pokoju śniadanie — wyjaśniła Tereska, pokojówka. Nie wiedziałem że Białoszewski przyjechał rano do Obór. Żył w nocy, a spał za dnia. Nazajutrz wróciliśmy późno po całym dniu w Warszawie. Chodząc po ciemku wokół klombu zobaczyłem go, jak wysunął się z oficyny. W czapce i paletku z podniesionym kołnierzem szedł w stronę bramy. Gwiazdy, żaby, słowiki... Północ. Dla niego to było południe. Wyruszał na spacer po godzinach porannego pisania. Ale poznałem go dopiero w kilka dni później, na wie-

czorze poetyckim. Julia przyszła nas zaprosić na ten poetycki wieczór w jego imieniu, do jego pokoju w oficynie.

W Centre du Dialogue mówiłem o tym wieczorze w pokoju Białoszewskiego. Powiedziałem, że wewnątrz przypominało szafas lub pieczarę — gałęzie na ścianach, okna szczelnie zasłonięte jakąś czarną materią — i że niewidoma poetka recytowała wiersze. Opowiadałem też o Białoszewskim, jak chodził po pokoju, chwilami niemal śpiewając swoje krótkie, łamigłówkowe utwory. I o tym, że mnie zachwycił. Czym? Tego właśnie nie potrafiłem dokładnie wyrazić. Wspomniałem o rygorze, jaki narzucał, o wytwornej etykietce prostoty i skromności, w której było wiele dumy. A potem jeszcze mówiłem, że jego wierszyki raptem zaczęły mi się kojarzyć z „Dziadem i babą” Kraszewskiego i bajkami Mickiewicza. Później zgubiłem wątek. Publiczność chyba się nie zorientowała. Przez parę chwil czułem pustkę w głowie i zdaje się że spostrzegł to Konstanty Jeleński, który siedział obok mnie z lewej strony.

Powinienem był wtedy przekazać rzecz może najważniejszą. Tę mianowicie: po wieczorze poetyckim w Oborach uzyskałem pewność, że Białoszewski jest blisko skontaktowany z małą i szarą praktyczną codziennością, a zarazem ze sprawami niewidzialnymi. Bliżej niż my. Czułem wyraźnie, że ten gość w paletku i rozdeptanych tenisówkach („nikt nie był do niego podobny, a on był podobny do wszystkich” — powiedział Jeleński, kiedyśmy wstawali zza mikrofonu), że ów poeta-człowieczek dobrze wie, iż w dniach Apokalipsy nie trzeba się dziwić, lecz trzeba mieć kaszę i makaron; a jeszcze lepiej wie o czymś, czego należy strzec milczeniem, o czymś najdyskretniej ukrytym, mającym prawdopodobnie związki z muzyką, i czego nie wypada potrącać słowami.

Powiedziałem kilka zdań o „Pamiętniku z Powstania Warszawskiego”, zabrakło mi jednak trafnych sformułowań. Skończyłem wspomnieniem o wieczorze autorskim w Nowym Jorku; po występie Białoszewski podpisywał książki i przywitał się z nami dopiero przy lampce wina. Rozmawialiśmy chwilę, napomknąłem o wspólnym pobycie w Oborach. — A wie pan — ożywił się — ja niedawno byłem w Oborach. Tam jest dalej tak samo cichusieńko. Sielanka, sielanka... — Później pozowaliśmy we troje z M. do fotografii, którą mam w Paryżu. Wszyscy troje jesteśmy na niej uśmiechnięci. Ale nie zobaczyliśmy się już więcej i nasza znajomość ograniczyła się do tych dwóch wieczorów literackich. Lub do trzech, jeśli liczyć wieczór na ulicy Surcouf. Umarł na zawał serca, trzeci z kolei. Po

pierwszym napisał książkę, którą czytałem latem w Lanckonie. Dał jej tytuł „Zawał”.

M. w kuchni z radiem, ja porządkuję u siebie w pokoju. W pewnej chwili zaczynam słuchać, potem idę do niej i widzę, jak stoi nieruchoma. Oboje patrzymy na tranzystor. Podano wiadomość o Polsce: w Warszawie złożył wizytę szef KGB na czele delegacji (nazwisko zabrzmiało niewyraźnie). Korespondenci zachodni twierdzą, że kluczowe punkty zarządzania w PRL mają być obsadzone przez sowieckich doradców.

W liście z USA: „Nelly była dwa tygodnie w Moskwie z wycieczką studencką rusycystów i później tydzień w Warszawie. Wróciła mocno wstrząśnięta. Mówi, że nigdy przedtem nie widziała Warszawy takiej wschodniej i biednej, takiej brzydkiej, i tylu pustych sklepów. Ogonki mimo to co krok. Ludzie strasznie nienawidzą rządu i żyją w rozpaczliwym pomieszaniu z jakąś mesjanistyczną nadzieją. *Hope against hope*. Wierzą, że w końcu coś się stanie, coś zabłyśnie. A najsmutniejsze jest to, że oni się powoli przyzwyczajają i już nie czują się tak zupełnie nieszczęśliwi. Ale Nelly mówi, że to wszystko i tak nie jest najgorsze w porównaniu z Moskwą. Tam na ulicy co trzeci człowiek zatacza się pijany, a jak nie pijany, to wściekły. Klną okropnie jeden na drugiego. Ulicą wali ponury tłum”.

Jeszcze w Nowym Jorku opowiadał mi G., że był z żoną w Warszawie. Pani G. jest Holenderką, w domu rozmawiają ze sobą na przemian po angielsku i po holendersku. Wieczorem w hotelu „Forum”, kiedy leżeli już w łózkach, zapytała go, co oznacza to słowo, które ich znajomi Polacy wciąż powtarzają w rozmowie. — Jakie słowo? — zdziwił się G. Nie umiała sobie przypomnieć. Dopiero w chwilę później, kiedy zgasił lampkę, usłyszał jak żona szepta do siebie po ciemku: *Nywola...? Niwola...?*

Czwartek. Nagrywam dla radia France Internationale ostatnią audycję przed dłuższą przerwą, którą zapowiedziałem. Wziąłem z „Miesięcy” wspomnienie zimowego wieczoru na Nowym Świecie z moich lat przedmaturalnych. Czytam o sankach ślizgających się po jezdni, o dorożkach i panach w melonikach i wystawie magazynu mody, o sklepie kolonialnym z wywieszonym zajacem i bażantem. Czytam z łezką, przekazuję słuchaczom ów warszawski obrazek sprzed wojny i na zakończenie stwierdzam, że jest to widok najbezpieczniejszego czasu mego życia. Potem przesłuchujemy nagrany tekst. Słyszę mój

głos z taśmy: *...jest widokiem najbezpieczniejszego czasu życia* i myślę, co ja mówię, jak to najbezpieczniejszego, przecież akurat wtedy Hitler objął rządy w Niemczech, a Stalin szykował w Moskwie czystki. Z obu stron szła zagłada, ładny obrazek wkrótce zgaśnie jak świeczka. Ale w tych słowach jest prawda. Czuliśmy się wtedy bezpiecznie. W ostatnich dniach przed zbrodnią nie przeczuwaliśmy jej i nawet nie potrafilibyśmy jej sobie wyobrazić. Byliśmy niewinni. Nie wiedzieliśmy, do jakiego zła człowiek jest zdolny, do czego jesteśmy zdolni my, ludzie. Tak, to były dobre przedwojenne czasy.

Retro przynosi ukojenie. Mam kilka widoków, które oglądam co jakiś czas jak w fotoplastikonie. Tutaj one mi się pokazują częściej niż gdzie indziej; pewnie dlatego, że w Paryżu długo się zachowują kształty epok i właściwie nie tu nie mija. Wszystko trwa na swoim miejscu, czasy przeszłe stoją kamienym rzędem obok siebie, świetnie zakonserwowane. Wprawdzie jest w tym coś z pięknego truchła i drżymy, żeby się nie rozpadło, jednakże dla kogoś, kto lubi nostalgiczne skojarzenia i kogo wzruszają na przykład ławki w ogrodzie, podobne do ogrodowych ławek w jego dzieciństwie... o, to jest wymarzone miejsce. Wczoraj przechodziłem ulicą, przy której wznosi się kościół; aby go obejrzeć, przystanęłem w niewielkiej odległości na skwerze. Skwer był ogrodzony niskimi sztachetami z furtką, ławkę obsiadła grupka licealistów, bardzo hałaśliwa; jeden z chłopców jadł sandwicza rzucając okruchy wróblom. Patrzyłem na nich. Nie na kościół, ale na nich. To był obraz. Unosiło się nad nim kilka chmur, gałęzie platanów i powiew spokoju. To był obraz sprzed pół wieku i przenikał go spokój sprzed pół wieku. Po lekcjach szliśmy na skwer przy Zborze Ewangelickim. Skwer był obrosnięty drzewami, wchodziło się przez furtkę w ogrodzeniu. Siedzieliśmy na ławce jakby w altanie. Powiedziałbym, że mieliśmy wtedy dość czyste sumienie wobec ludzkości, a nasza świadomość nie była jeszcze zavalona stertami trupów i kłamstw. Rozmawialiśmy nie o Hitlerze i Stalinie, lecz o Oskarze Bartlu, naszym wychowawcy i nauczycielu historii, którego lubiliśmy. Niekiedy też analizowaliśmy głośny wypadek nauczyciela geografii, profesora Ballaweldera, który przez siedem lat przygotowywał się do podróży krajoznawczej po Afryce (na ekwipunek zbierano składki w starszych klasach) i gdy zaszczerpionego na wszystkie choroby tropikalne uczniowie wraz z ciałem pedagogicznym odprowadzili na Dworzec Główny i wśród pożegnalnych okrzyków pociąg ruszył, z półki spadł kufer na głowę profesora Ballaweldera, który w

dwa dni później obudził się szczęśliwie w szpitalu Dzieciątka Jezus, lecz Afryki nigdy nie zobaczył. Była to słynna opowieść. Powtarzaliśmy ją ze smutkiem i zachwytem, zbici ciasno na ławce, trzymając teczki między kolanami. Na głowach mieliśmy czapki z granatowego sukna i czasem z nudów rzucaliśmy je celując w gromadkę wróbli. Gdybym miał dziś namalować ten obraz, umieściłbym w głębi za naszymi plecami, albo ponad nami wśród gałęzi, szydercze bestie i potwory o pyskach gargouillów wystających z Notre-Dame lub rogatych jeźdźców z witraży Lebensteina. Czekali już na nas.

„Chłopcze, czy macz jakieś zmartwienie?” W zimie po pierwszej lekcji tak zapytał mnie profesor Bartel, kiedy przyszedłem do szkoły błady z niewyspania, niezupełnie przytomny. Zimą pierwsza lekcja odbywała się przy zapalonych lampach, światło raziło w oczy. Bartel przyjrzał mi się: — Uszy do góry, chłopcze — i odszedł szybkim krokiem w stronę pokoju nauczycielskiego. Na ogół wszakże odnosił się do nas z pokpiwającą ironią, którą przyjmowaliśmy wyrozumiale. Gdy wchodził do klasy bez uśmiešku, wiedzieliśmy, że jego żona znów gorzej się czuje. Miał chorowitą żonę. W czasie wojny spotkałem go tylko raz jeden, na początku 1940-go, wkrótce po opuszczeniu mieszkania na Asnyka. Zajął je Liebert, dyrektor Arbeitsamtu, zastrzeżony później przez AK. Kazano nam się wynieść z dnia na dzień. Matka zapakowała trzy walizki, dozorca wziął na przechowanie obrazy (potem sprzedawaliśmy je z M. do końca wojny), na Filtrowej znalazł się pokój sublokatorski u żony pułkownika, który był we Francji z Sikorskim. Po nocy przespanej na kanapie poszedłem z ojcem do administratora domu. Chudy człowiek w binoklach wstał z krzesła i powiedział, że nas nie zamelduje. — Proszę szukać pokoju gdzie indziej. — Wiadomość o usunięciu nas z domu na Asnyka musiała już dojść do niego. Odsunął ręką nasze dowody osobiste. Ojcu zadrgała górna warga, poczerwieniał. — Pańskim obowiązkiem jest... — Nie przyjmę tego meldunku — powtórzył administrator — mam zakaz. — Kłamał. Dotychczas nic takiego nie ogłoszono, ubiegał zarządzenie niemieckie o dzielnicy żydowskiej. Chciałem mu to powiedzieć, ale ojciec złapał mnie za ramię. Zaczął krzyczeć. Krzyczał strasznym głosem. W tym dużym i pewnym siebie mężczyźnie odezwało się pięć tysięcy lat bólu. Krzyczał o barbarzyńcach i o małopoludach. Wołał o Einsteinie, o matce Jezusa! Wybiegłem za nim na ulicę, kilka osób przystało. Prosząc, żeby się uspokoił, naraz spostrzegłem Oskara Bartla wychodzącego z sąsiedniej bramy, z domu spółdzielni nauczycielskiej.

Ojciec rzucił się ku niemu. Krzyknął: — Profesorze, czy da pan wiarę!... Profesorze!... — Zadyśzał się, sapał. Wyjaśniłem pokrótce co zaszło. Bartel stał pomizerniały, z cierpiącą twarzą. Mnie także było przykro. O tym, że jego żona jest Żydówką, powiedział mi kiedyś na pauzie Jurek Lichtenstein z VIII B.

Wracając z poczty skręciłem w Quai de Bourbon, minąłem dom, w którym Henryk Walezy wyprawiał bale dla młodzieńców, później przez most Ludwika Filipa doszedłem do ulicy o tej samej nazwie, tamtędy do Rivoli i w prawo do rue Saint-Antoine, której wąskie domy, stojące w lekko wygiętej perspektywie, zachodzą na siebie tworząc z daleka korytarz o wysokich, łupkowatych ścianach. W głębi plac Bastylli z kolumną. Przypomina to Krakowskie Przedmieście wbiegające w plac Zamkowy. Nad dachami stało czarne niebo, ale z zachodu padał blask, w którym fasady domów miały odcień jasnego popiołu; wyglądało że znikną za pierwszym dmuchnięciem burzy. Zdążyłem wrócić przed grzmotami. Indocid 75, który zapisał mi doktor Illouze, sprawia że potrafię, gdy trzeba, przebiec kilka set metrów.

Doktor Illouze przyjął mnie wówczas punktualnie o godzinie 11, położył na wznak i wykręcając mi nogi zgięte w kolanach zapytał, czy jestem Polakiem. Po czym weszła pielęgniarka, aby uprzedzić doktora, że następny pacjent śmierdzi kocim moczem. Mężczyzna, który siedział obok mnie w poczekalni i wydzielał z siebie ostry zapach, mówił do pani z lewej strony, że miał początki artrozy, ale czuje się już dobrze, uleczyło go ciepło kociej sierści. — Ma jedenaście kotów i śpi z nimi — rzekła pielęgniarka. W czasie wypisywania recepty spytałem, jakie są przyczyny mojej choroby. — Najzupełniej tajemnicze — odpowiedział doktor Illouze — artroza nie wiadomo z czego się bierze i co jej zapobiega. — Indocid 75 są to podłużne kapsułki; trzeba zażyć jedną w trakcie pierwszego śniadania i potem rozgryźć dwie tabletki Lyophosu, który przeciwdziała ubocznym skutkom. Być może czułbym się jeszcze lepiej, gdybym sypiał z kotami, zdaje się bowiem, że Indocid nie leczy artrozy, jedynie zmniejsza jej bolesność, dzięki czemu mogłem dobiec do domu zanim ulewa zmyła światło ze ścian ulicy św. Antoniego.

W Warszawie mróz około 20 stopni, tak mi piszą. Przed Domem Literatów pośliznął się na oblodzonych schodkach Jan Maria Gisges i padając złamał podstawę czaszki. Umarł w szpi-

talum nie odzyskawszy przytomności. Przez trzydzieści lat pełnił funkcję sekretarza administracyjnego Związku. Miesiąc temu został wiceprezesem nowo powołanej organizacji, która po rozwiązaniu ZLP zabrała mu nazwę, siedzibę, domy pracy i wszelką własność materialną. Jan Maria Gisges upadł po swoim wielkim skoku, lata cichej służby właśnie teraz miały mu zaowocować błyszczącą karierą. Lecz oto źle stąpnął i padł. Nie od pioruna — to zima warszawska podłożyła mu pod obcas lód zamiast posadzki balowej i runął na wznak, ze swoim przedziałkiem i wąsikiem. Cóż to? Psikusy wyczynia Nieobecny w ciemnych dniach, gdy nikomu nie chce się żartować?

W mróz przemówił Prymas. Nie było w miastach wystąpień zbiorowych, do których wezwało kierownictwo podziemnej Solidarności, by uczcić pamięć robotników poległych w grudniu 1970 na Wybrzeżu. W trzy dni później Prymas potępił wezwanie językiem ciężkim i niesprawiedliwym. Mógł nie wypowiedzieć tych słów. 16 grudnia w Polsce panował spokój. Ulice w śniegu, na rogach kordony zomowców z tarczami i w hełmach, ogonki przytupywały z zimna. Wałęsa leżał chory na grypę, pomnik w Gdańsku odgrodziły zwarte kolumny milicji, przez opróżniony plac żona Wałęsy szła po śniegu, by złożyć kwiaty pod pomnikiem. Uklękała, wstała po chwili i rozglądając się zrobiła ręką bezradny gest. Dziesięć dni temu w Oslo witała ją para królewska, tłum skandował jej imię, czekając aż się ukaże na balkonie. Podbiła serca Norwegów, oczarowała pół globu swoją urodą, taktem, swobodną godnością. Mały Wałęsa stał obok niej na podium, trzymając w ręku szczerozłoty medal przyznany ojcu. Ojciec stał w Gdańsku przed radioodbiornikiem, z pochyloną głową, przy nim ksiądz Jankowski. Wszystko pokazała w obrazkach, uśmiechając się do francuskich widzów, mademoiselle Ockrent, przystojna spikierka Antenne 2.

Trwa ballada, cudowna opowieść o Lechu Wałęsie i jego żonie Danucie.

Pod placem Concorde nocą w pustym tunelu metra gra na flecie niemłoda kobieta. Stoi pod ścianą. Ma wąską, kozią twarz o zamkniętych powiekach i czuprynkę ostrzyżoną na jeża. Gra arie z „Carmen”. Jest późno, długim korytarzem prawie nikt nie przechodzi. Muzykantka gra z przymkniętymi oczyma, mając za plecami brudną nagą ścianę, a przed sobą leżący na ziemi stary kapelusz. Błyszczą w nim jedna moneta.

Na ulicach kwietniowa pogoda. Przed sklepami na Saint-

Paulu z wystawionych straganów bije zapach ryb i krabów. Według prognoz meteorologicznych Boże Narodzenie będzie w tym roku najcieplejsze od początku XX wieku. Wiele kobiet ma świeżo ufryzowane głowy, lekkie, przezryste szale chronią je przed wilgocią. Trudno się przecisnąć przez zatłoczony chodnik. Karuzela na placyku obraca się w światłach i muzyce. Stoję przed wejściem do Monoprix. Widzę kupujący tłum, patrzę na formy i kolory przedmiotów, których nie kupię, i czuję... Jest w tym coś z imaginacji czy z abstrakcji, a jednak czuję niepokój podobny do wyrzutu sumienia.

Trzecie kolejne Boże Narodzenie poza krajem. Rok temu byliśmy w Englewood u Witków Markowiczów, z Kropką, Moniką, Klarą, Danielą i garstką znajomych przygnanych do Ameryki w różnych latach. Po wigilijnej kolacji wszyscy mogli siebie zobaczyć w telewizji — video przeniosło na ekran sceny filmowane przy stole. Pamiętam, że później siedziałem z Kropką Minkiewiczową. Prosiłem ją, żeby mi opowiedziała, jak w czasie okupacji wiozła dorożką przez Warszawę ściganego listami gończymi aktora Damięckiego. Opowiedziała mi to jeszcze raz.

Ciepło. Wiosna. W tym roku wigilię spędzimy w La Hacquinière u Krzywickich. Osiedli we Francji nie tak dawno, dwadzieścia lat temu, ale należą do niezbyt licznych Polaków, w których nie wyczuwam niepokoju uchodźców. To, co określiłem jako niepokój podobny do wyrzutu sumienia, przeżywa się nieomal fizycznie. Miejsce, w którym się żyje, jest miejscem niecałkowicie oczywistym i niezupełnie materialnym, rodzajem cienia dającego osłonę, ale substancja jest gdzie indziej.

Wtorek, 27 grudnia. Telewizja ukazała Papieża spowiadającego mahometanina, który miał go zabić. Byli jakby spleceni ze sobą. Papież schylony obejmował klęczącego Agcę, dotykając skronią jego piersi. Nad białą głową Papieża widać było ciemną głowę skazańca. Zdjęcie trwało długo. Papież, wsłuchując się w szept Agcy, przez chwilę, jak w nagłym bólu, zacisnął palce na jego ramieniu. Kamery uchwyciły ów moment: dłoń Papieża gniotącą szary rękaw więziennego swetra.

Styczeń

Rok 1984. Niech konwulsje zatrzęsą cielskiem potwora.

Więc porządek panował w Warszawie. Mimo wezwania podziemnej TKK ludzie nie zeszli na jezdnię. Nie odbył się marsz przez miasto, tłumy nie wyległy. Słyszę: znużenie, niewiara w skuteczność. Dochodzą też cierpkie słowa: „Dlaczego nie zapełnili ulic, mogli iść chodnikami...”

Nie wiem, jak bym się zachował, gdybym był w Warszawie 16 grudnia. Prawdopodobnie tak jak inni. Nie jestem w stanie ocenić na odległość znaczenia ani przyczyn braku odzewu. Gdybym był w Warszawie, pewnie wiedziałbym więcej. Albo nie. Być może ich samych to zaskoczyło i nie rozumieją. Odruchy masowe są nieraz trudne do przewidzenia. W grudniu 1970 wybuch oporu dla wielu ludzi był czymś zdumiewającym. Podobnie zdumiewający mógł być spokój w trzynastą rocznicę Grudnia. Przypuszczam jednak, że wiedzą. Wiedzą, dlaczego wezwanie nie zostało podjęte i dlaczego oni sami nie byli zdolni go podjąć. Są w tamtej rzeczywistości, w jej psychologii zbiorowej, której ja muszę się domyślać. Coraz więcej skrępowania i obaw przed wyrażeniem sądu. Jeżeli napiszę, co według mnie w Polsce należy teraz robić, społecznie i politycznie, jak ludzie mają postępować, słowem, jak w Polsce *być powinno*, to jest o tyle łatwe, że nie poniosę osobistego ryzyka. Kiedy piszę, jak według mnie sprawy społeczne i polityczne w przyszłości się potoczą, czyli gdy ograniczam się do przewidywań, jak w Polsce *będzie*, ryzykuję możliwość omyłki. W gruncie rzeczy każda myśl chybaże się pomiędzy jednym a drugim i każde zdanie jest trudne. W końcu dzieje się tak, że coraz silniej pociąga obraz nostalgiczny i wyidealizowany, wpada się w polskie chęnie sprawiedliwej i pięknej ojczyzny, której nie ma i może nigdy nie było — i tak się odpoczywa, rojąc o macierzyńskiej rzeczywistości narodów, z pieczęcią wyciskającą słowa Wolność, Mądrość, Prawo.

Przebija to czasem w tekstach, jakie przychodzą z kraju. JMR napisał „Rozmowy polskie latem roku 1983”, o których wspominał w liście przysłanym z wakacji nad jeziorami. Brzmi w tej prozie jakieś skołowane, bolesne pragnienie dobra, całe strony wypełnił pogardą dla diabła i prośbami do Boga, o co? o duszę tej ziemi, o zachowanie krajobrazu, w którym trwa jej przeszłość. W święta u Pomianów nagle zagadałem, że pod ziemią będzie rosła mądra, cywilna Polska, i twierdziłem że ona dojrzeje właśnie w podziemnym oporze. Na co Krzysztof Pomian: dlaczego tylko w podziemnym, formy mogą być także jawne — i położył akcent na społeczne działanie poszczególnych środowisk przeciw naciskom władzy. Pewnie miał rację. Sku-

sił mnie obraz. Tymczasem ludzie przyjeżdżają i mówią, że idą lata gdy trzeba będzie opierać się targiem, doświadczeniem, cierpliwością. Przeczekać i kluczyć, wydierać po kawałku. To jest drugi obraz. Mniej efektowny, lecz z nie mniej dawnymi tradycjami.

Była N., która przewiozła przez granicę kilka podziemnych gazetek i stos pism oficjalnych z kraju. Twierdzi, że gazetki mają już znacznie węższy obieg. Dochodzą do nielicznych małych środowisk, przeważnie studenckich, i ukazują się w znikomych nakładach. Są jednak ważne. Ważne jest to, że jacyś ludzie je robią. Ważne są dla nich: wiążą ich między sobą, wyrabiają charaktery i poglądy, tworzą im autentyczne życie. Wśród pism, jakie przywiozła N., tych wychodzących legalnie, znalazł się *Radar*, tygodnik pracy twórczej, taki jest napis pod tytułowym nagłówkiem. W numerze znajduję cytaty z sejmowego przemówienia ministra spraw wewnętrznych („wrogie ośrodki w podsycaniu atmosfery napięcia w kraju stosują znaną i wypróbowaną historycznie metodę: rękami Polaków przeciwko Polsce”) oraz wypowiedź sekretarza KC Świrgonia („celem nadrzędnym naszych działań jest uspołecznienie decyzji w obszarze filmu”). Prócz tego informacje o cenach książek w wolnej sprzedaży poza księgarniami. „Przeminęło z wiatrem” — 4000 złotych. „Pogoda dla bogaczy” — 5000 złotych. „Rzeczpospolita Obojga Narodów” Jasienicy — 3500 złotych. „Ludwik XI”, powieść monograficzna — 6000 złotych. Kryminał „HMS Ulisses” — 5000 złotych. Przedwojenne trzytomowe wydanie „Polska — jej dzieje i kultura” sprzedano za 65 tysięcy złotych.

Z góry, od propagandy rządowej — cynizm i bełkot. Z dołu, od rynku, parcie jak w opętaniu na wszystko, co ma wartość, choćby wątpliwą. Przerazające są nie tyle ceny, jak to że od kilkunastu lat nie ma najważniejszych książek, tych, od których się zaczynało, i tych, bez których później nie można się było obejść. Mówi się o nich: strawa duchowa. Kiedyś tak się mówiło. Skutki dadzą o sobie znać — za pięć, za dwadzieścia lat, albo już dzisiaj. N. opowiadała: „tutaj po przyjeździe, po trzech dniach czytania pism i oglądania telewizji nagle zaczynają bombardować myśli”.

Niektóre wydawnictwa katolickie, jak katechizm lub księga o prymasie Wyszyńskim, ukazują się w kraju nieraz w półmilionowych nakładach. Kościół przez wszystkie lata stał na gruncie zasad moralnych i odrzucał ideologię państwa *diamatu*

(kardynał Wyszyński pierwszy użył tego określenia), słów Kościoła w Polsce dzisiaj się słucha. Lecz jeśli wyłącznie Kościół miałby kształtować polską umysłowość... Bogu co boskie, ale cesarstwu trzeba się przeciwstawiać świecką edukacją społeczną, współczesnym rozumem i kulturą, stopniem poinformowania. W okresie między Powstaniem Styczniowym a rokiem 1905 w Kongresie roiło się od tajnych kółek studenckich i gimnazjalnych, w których dyskutowano o Spencerze i Fichtem, o Zoli, o krakowskiej szkole historycznej... Elity — nie lubię tego słowa, elity to są po prostu najlepsi — przechowały się w tych kółkach, wyszli z nich ludzie, którzy później robili niepodległość. Musi działać energia moralna wytwarzająca ciśnienie od dołu i społeczeństwo musi to ciśnienie odczuwać. Wspominam o kółkach studenckich. Trudno przesądzać formy organizacyjne i określać metody działania. Mówiąc „opór podziemny” mam w pierwszym rzędzie na uwadze życie umysłowe, rzeczywiste krążenie myśli. Plus nowoczesna technika. Kasety i magnetowidy dość łatwo przechodzą przez granicę.

Co pozostanie, jeżeli tego zabraknie? Być może dziesięć najbliższych lat zadecyduje o losach na cały wiek.

Dwunasty dzień pracy bez zakłóceń, dni o wyrównanym pulsie, trochę spotkań z ludźmi, lektury, spacerów po Wyspie. Dni, kiedy nie myśli się naprzód ani wstecz. Dziękuję się za ten dzień i za tę godzinę.

Nadeszła dziś karta świąteczna od Wiktora Woroszylskiego. Nie otrzymał listu, który wysłałem jeszcze z Nowego Jorku; była w nim mowa o jego nowych wierszach. Wspomina o liście dawno wysłanym na mój paryski adres, napisał go po pokazie filmowym „Matki Królów”, która poszła na półki. Ten list także nie doszedł. Widocznie część naszej korespondencji zatrzymuje cenzura. Pisze mi: „Od tego czasu widziałem jeszcze inne filmy i przedstawienia, czytałem inne książki, oglądałem wystawy itd. — bo wbrew latu, jesieni i zimie życie trwa, sztuka trwa, jej potrzeba (dla twórców i bardzo licznych odbiorców) zdaje się większa niż kiedykolwiek. Czy chodzi o pociechę? o bycie razem w salach, pracowniach, kościołach, w których to się dzieje? o przeważenie szali czymś, co tylko w oczach ludzi trwale wybitych z kolei ma jakąś wagę? Ale to istnieje — i najbardziej szkoda, że właśnie tego nie możesz mieć przed oczyma.

Cieszę się jednak, że zostało Ci oszczędzone co innego; że pracujesz; że czasami mogę Cię czytać; że na różnych polskich wyspach, dryfujących po świecie, jest Was więcej, ludzi, o których często myślę, bliskich mi ludzi, nie jesteście zatem samotni...”.

Antenne 2 nadała wywiad przeprowadzony w Warszawie ze Zbigniewem Bujakiem, członkiem TKK podziemnej Solidarności. Bujak żyje w ukryciu od dwudziestu pięciu miesięcy. Był przecharakteryzowany — w peruce i z dorobioną brodą. Pokój prawie bez mebli, stół, krzesło, pościelenie na podłodze. Za oknem widoczne szare budynki. Bujak spokojnie opowiadał o warunkach życia w konspiracji. Zademonstrował pewne szczególności techniczne, sposób korespondencji na małych zwiłkach papieru, łatwych do połknięcia. Mówił, że dwukrotnie zdążył opuścić miejsce ukrycia przed wkroczeniem milicji i że raz był zatrzymany przypadkiem, lecz udało mu się wymknąć. Na pytanie, czy zamierza się ujawnić, odpowiedział: nie, wyrzeczenie się oporu byłoby błędem, świadczy o tym przykład czeski. Mówił bez podniecenia, bardzo prosto, nie czuło się w nim nerwowego napięcia. Pokazał mały telewizor, który włącza na ostatnie dziesięć minut dziennika. — Bo wtedy podają, kogo aresztowali albo kto się ujawnił... — Pod sam koniec sfilmowano go leżącego na pościeli, z książką obok na podłodze. Powiedział kilka zdań o literaturze, której nie da się zniszczyć. Wywiad przeprowadzono przed 16 grudnia. Ten dzień, kiedy wezwanie TKK do wyjścia na ulice nie znalazło odzewu — znaczenie tej daty nie jest jeszcze w pełni uświadomione — powiększył ich izolację, mogą się poczuć niepotrzebni. Patrząc w telewizor myślałem, co teraz zrobi ten człowiek w niedopasowanej peruce, czy nadal będzie chciał i mógł się ukrywać.

Wieczorem u Chojeckich na Tolbiac. Co parę minut telefon. Londyn dzwoni. Chojecki, przykucnięty, odpowiada monosylabami, po czym notuje w terminarzu. Połączenie trwa krótko, ale zaraz telefon znowu się odzywa, dzwonią z Brukseli. Trochę to przeszkadza w rozmowie. Rozmawiamy o liście Adama Michnika do ministra spraw wewnętrznych (gen. Kiszczaka). Odpis listu dotarł do Paryża w wigilię Bożego Narodzenia. Drugiego dnia świąt byliśmy w Maisons-Laffitte, gdzie przed świątecznym śniadaniem puszczono taśmę z nagrany tekst. W oszklonej werandzie był rozstawiony duży stół, przy którym siedziało trzydzieści osób. Obok mnie Lebenstein, za nim M.,

dalej Jeleński, Herling-Grudziński z żoną, córką Benedetta Croce, w głębi po lewej stronie Mrozek i państwo Skalmowscy, Teresa Dzieduszycka i ksiądz Zenon Modzelewski, superior Palotynów. Naprzeciw mnie siedział Jerzy Giedroyc, siwy, wyprostowany, głowa prawie nieruchoma, w klapę granatowej marynarki wpięta miniaturka kotwicy; po jego prawej ręce Chojecki. Zszedł też na chwilę z góry Józef Czapski. W liście Adama uderzył mnie ton — niesłychanie gwałtowny. List był odpowiedzią na propozycję opuszczenia kraju. Michnikowi odebrano książki i trzymano go w celi z więźniami kryminalnymi. Wystosował protest, na który otrzymał odpowiedź generała Kiszczaka. Minister spraw wewnętrznych ofiarowuje więźniowi zwolnienie w zamian za zgodę na wyjazd za granicę. „Mógłby Pan spędzić święta na Lazurowym Brzegu...” Michnik w swym liście odrzuca ofertę używając bardzo ostrych zwrotów. Brzmiała w tym liście wściekłość, którą tłumaczyłem sobie urażoną dumą, a może i desperacją, z jaką odpycha się pokusę. Dotychczas w artykułach i listach Michnika wysyłanych z więzienia nie pojawiały się tak gwałtowne akcenty.

Do Paryża wracaliśmy z Chojeckimi. Na tylnym siedzeniu spał w koszyku urodzony przed miesiącem ich syn, któremu nadano podwójne imię Jacek Adam. W czasie jazdy, kiedy mówiło się o liście, Chojecki milczał. Pomyślałem, że przeżywa złą chwilę, może wolałby teraz być razem z Adamem w więzieniu na Rakowieckiej. Wczoraj jednak odezwał się przy kolacji. Po którymś z rzędu telefonie napomknął o krążącej w Warszawie pogłosce, iż list Michnika został sfałszowany. Tekst otrzymały podobno ambasady i korespondenci zachodnich gazet. Wśród przyjaciół Adama twierdzi się również, że jego odpowiedź nie była „fałszywką” — że dał się sprowokować. Rządowi zależało na tym, aby mieć w ręku i rozpowszechnić list jednego z głównych oskarżonych KORowców, odrzucający możliwość emigracji. Dla zagranicy będzie to dowód, iż rząd miał dobrą wolę i obecnie nie pozostaje mu inne rozwiązanie, jak tylko wszczęcie procesu.

Trudno pomyśleć, że zaryzykowano fałszerstwo. Michnik mógłby je ujawnić. Przypuszczam, że napisał ten list. Pisał go pewnie we wzburzeniu. Być może liczone na jego ostrą reakcję i wzmianka o Lazurowym Brzegu nie była mimowolnym grubiaństwem. Prawdopodobnie więc osiągnęli swój cel, mają na piśmie jego odmowę i będą mogli informować opinię publiczną, że w Polsce więźniami politycznymi są ludzie, którzy nie chcą wyjść na wolność.

Reżimowi praktycy uważają Michnika za wariata lub głupca. I nie oni wyłącznie. Dla wielu ludzi jego wyrzeczenia są zbędnym bohaterstwem, nawet dla tych, którzy nie znając go mówią o nim „Adaś”. Gdyby został skazany, zapewne dość szybko zapomnieliby o nim i może tylko od czasu do czasu przy wódce któryś by mruknął, że bohaterowie leżą na cmentarzach.

W przysłanym mi z Warszawy starym tomiku „Listów do pani Z.” trafiam na takie słowa: „Przekonanie o jedynej słuszności socjalistycznych form współżycia między ludźmi jest dla mnie umysłową miarą człowieczeństwa w okresie, w którym żyjemy”. Zdanie jawnie niesłuszne, wydrukowałem je w roku 1958. Myślę, że w owym czasie podpisaliby się pod nim wybitni artyści i uczeni na Zachodzie, tacy jak Picasso, Sartre, Bunuel, Fuentes, Yves Montand, a także Jacques Monod i kilku innych laureatów Nobla. W roku 1958 Michnik miał kilkanaście lat i założył w szkole Klub Poszukiwaczy Sprzeczności. Młodzi startują z pasa rozpoznanych błędów. Pisałem tu o *stanie błędu*, w jakim tkwiłem, ja i inni ludzie. Pisałem, że był najbliższy stanu wiary. To prawda, ale równocześnie miał cechy porzucenia wiary, oderwania się od źródeł etycznych. Często w rozmowach z Michnikiem twierdziłem, że katastrofą moralną jest utrata dostępu do siebie. Akceptując komunizm nie umiałem się zdobyć na moralny i psychologiczny wysiłek poznania siebie. Siebie akceptującego komunizm. Cofałem się przed dotarciem do paru istotnych motywów w moim myśleniu i pisanii, hamowała mnie nie tylko ideologia, lecz również miłość własna. Nie chciałem się wyrzec złudzeń i samozakłamań dla niewygodnych prawd i nie było mnie stać na to, żeby dostrzec źródła nieprawdy w sobie. Przypuszczam, że Michnik wszystko doskonale rozumiał, były to sprawy, z których wyrósł, ale przede wszystkim rozumiał jedno: że nie istnieje cena, za jaką człowiekowi wolno odstąpić od kilku zasad myślenia i postępowania. I wyciągnął z tego osobiste wnioski. Postanowił wyciągnąć je do końca, tak jak Kuroń i Lipski, który dobrowolnie wrócił z Londynu do więzienia, i jak Vaclav Havel w Pradze. Podobno tą drogą wchodzi się do historii. Niezbyt lubię używać takich zdań, Michnik także ich nie lubi (śmiał się kiedyś: „ro...obię za Kościuszkę”), a poza tym spodziewam się, że nie zostanie skazany i wraz z dziesięciu uwięzionymi wyjdzie na wolność. Co nie oznaczałoby, że nie wejdą do historii, bo już do niej weszli. Oznaczałoby tylko, że nie zapłacą za to w zbyt okrutny sposób.

W sobotę byłem na filmie „Gandhi”, zrobionym przez Anglików. W USA dostał jedenaście Oscarów. Trzygodzinny seans w kinie na Saint-Germain, dobrze opowiedziana historia o wielkim człowieku, który wyzwolił swój naród spod panowania obcego imperium. Trzeba by jeszcze dodać, że naród liczył 400 milionów ludzi, a rządzące nim państwo było wysoko ucywilizowaną demokracją parlamentarną. Idzie się wtedy pod salwy i pałki z przekonaniem, że ofiary nie będą daremne.

Wracając z kina nabyłem w kiosku numer *Time*'u, w którym ukazała się recenzja z amerykańskiego wydania „Miesięcy”. A jakże, na całą kolumnę, bardzo pochlebna, z fotografią. I tępa. Znowu to samo wrażenie, jak gdyby krytyk przeczytał inną książkę. „Brandys tkwi nogami w mistycznym nacjonalizmie, podczas gdy głowę ma zwróconą ku racjonalistycznemu humanizmowi Zachodu”. Okazuje się, że międzynarodówka umysłowych platfusów ma agentury w całym świecie. Wydanie amerykańskie nosi tytuł *A Warsaw Diary 1978-1981*. Poprzedziłem je notatką informującą, że tom jest wyborem z książki pt. „Miesiące”, której pełny tekst ukazał się w języku polskim. Był to dla mnie wybór w podwójnym znaczeniu: albo wersja niepełna, albo nie. Wydawca nie chciał ryzykować kosztów wydrukowania pięciuset stron, mówiących o sprawach i ludziach nieznanym amerykańskim czytelnikom. Inna firma wydawnicza postawiła ten sam warunek przy wydaniu dwóch tomów „Mojego wieku” Aleksandra Wata, opracowanych przez Miłosza. Znowu staje się przed dylematem i trzeba określić swoją zasadę postępowania. Ustaliłem dawno, że granicę ustępstw wyznacza mi zawartość książki. Opuszczenia nie mogą jej zniekształcać, musi przekazywać ten sam sens i obraz.

Wczoraj rano telefon od Olgi Scherer: przyjeżdżają Andrzejowie Kijowscy. Pasporty dostali po wniesieniu drugiego odwołania, za dziesięć dni będą w Paryżu.

Porównanie życia do snu jest mocno zużyte, ale nie znajduję lepszego porównania. Warszawskie lata, ich akcja i konkret, wydają mi się coraz bardziej podobne do ciężkiego, niespokojnego snu, do snu, w którym szarpie się kołdrę. Nowy Jork, Paryż to inny sen. Lżejszy i mniej realistyczny, tak się śni w drugiej połowie nocy, bliżej rana. Najosobliwsze jest to, że postaci, które występowały w pierwszym śnie, raptem wskazują w drugi, przesiadają się do niego z walizkami. Myślę, jak będziemy chodzić i rozmawiać z Kijowskimi, przybywającymi z tamtej połowy nocy, i czy będzie mi łatwo odnaleźć szybki i trochę bredzący język pierwszego snu.

Kijowski był jednym z trzech młodych krakowskich polonistów, studentów Kazimierza Wyki, którzy pierwsi — wkrótce po roku 1950 — nakłuli czerwony balonik powojennej literatury. Wyszunęli zarzut lakiernictwa i schematyzmu. Te nazwy błyskawicznie weszły w obieg. Kijowski w ciągu trzydziestu lat przebył drogę eksterna w szkole doświadczeń Polski Ludowej; dziś jest najbliższy światopoglądu katolickiego. Pozostał najprzenikliwszym obserwatorem, nigdy do końca nie zarekrutowanym, komentującym z dystansu, z ukosa. Czułem w nim zawsze krytycyzm w stosunku do spraw, które mnie zapalały. O moich książkach pisał pięciokrotnie. Trzy razy przychylnie, dwa razy bezlitośnie. Zdaje się, że przez długi czas mi nie ufał, lecz w końcu coś między nami stopniało, zaprzyjaźniliśmy się. Interesujące jest dla mnie to, co nas różni. Chodzi mi głównie o jedną poważną różnicę: że umiał wyminąć pułapki, w które ja dobrowolnie wszedłem.

Czytam opublikowany w elitarnym czasopiśmie wywiad z francuskim intelektualistą:

„W XVIII i XIX wieku natężyła się walka między dwiema koncepcjami świata. Z jednej strony idea głosząca, że natura ludzka jest w istocie dobra, że Historia posuwa się naprzód w kierunku postępu. (...) Z drugiej strony myśl katolicka, zdecydowanie pesymistyczna, nieubłagana i pozbawiona złudzeń: człowiek jest dotknięty grzechem pierworodnym, od pierwszej chwili skażony przez zło. Z koncepcji człowieka jako istoty dobrej, z wyobrażenia natury nie wypaczonej przez złe społeczeństwo (marksizm: wspólnota społeczna, z chwilą gdy uwolni się od walki klas, odnajdzie świetlistą drogę do postępu i szczęścia), bądź nie splugawionej przez występłą krew (nazizm: usunięcie elementu obcego rasowo obwieści przyjście nade człowieka), od tej strony nadeszły dwie największe katastrofy polityczne, ideologiczne i moralne XX wieku. Oto dokąd prowadzi odrzucenie podstawowych założeń myśli judeo-chrześcijańskiej. Fakt, że wszystkie awangardy naszego stulecia, w tym czy innym momencie historycznym, stały się współnikami dwóch totalitaryzmów, nawet jeśli często były ich pierwszymi ofiarami, fakt ten nie przestaje zastanawiać”.

W tutejszych środowiskach intelektualnych takim językiem przemawia się coraz częściej. Nastąpił przełom w świadomości, lewicowe elity rewidują dziś podstawy wiary. Przeżywają to, co przeżywali dwadzieścia lub trzydzieści lat temu zaangażowani w budowę socjalistycznych fasad intelektualistów polscy, węgierscy, czescy. Tutaj, aby ów wstrząs nastąpił, trzeba było „Archi-

pelagu Gułag", najazdu na Afganistan, wybuchu i zgniecenia polskiej Solidarności. Być może również śmierci Jean-Paul Sartre'a. Na jego pogrzeb ściągnęły nieprzejrzane tłumy, żegnano człowieka, który przez czterdzieści lat był intelektualnym sumieniem lewicy. Żegnano go wiedząc, że się mylił. Odchodziło z nim pół wieku złudzeń, żegnano własną przeszłość.

Dlaczego piszę o tym w związku z Andrzejem Kijowskim, z naszymi biografiami, ludzkimi i pisarskimi, jego i moją — nie potrafiłbym dokładnie wytłumaczyć. Ale czuję: ciepło... ciepło... i podejrzewam, że odpowiedź leży ukryta tuż obok. Może przed wejściem w stan błędu chroniło go dzieciństwo przeniknięte katolicką obawą grzechu, dzięki czemu umiał się oprzeć ideologii odrzucającej tajemnicę, podczas gdy mnie pociągała racjonalistyczna i odarta z *sacrum* perspektywa postępu? To jest prawdopodobne. Biografie współczesne, życiorysy ludzi uczciwych w naszym stuleciu różnią się od siebie. Ich linie przeważnie nie są proste. Lecz przy wszelkich zygzakach i splątaniach nieraz dochodzą w końcu do punktu, który je łączy. Do wspólnej świadomości. Nie zawsze, ale czasem tak się zdarza. Można by wówczas w tym widzieć dramat ze szczęśliwym zakończeniem, gdyby nie to, że każde zakończenie jest początkiem i do naszych odpowiedzi dopiszą znaki zapytania ci, którzy teraz się rodzą. Jakże im współczuję i zazdroszczę.

Język prasy warszawskiej w odniesieniu do mnie bywa nieraz taki:

„Po lekturze paru stroniczek 'Miesiący' pomyślałem, że Michener to król, natomiast K. Brandys chciałby nim być, chociaż wie, że najbardziej wykwinny strój królewski nie skryje w nim karła”. (Michener to autor grubej powieści-kiczu, pt. „Poland”, która stała się bestsellerem w Ameryce.)

„Wierni K. Brandysa uważają go za Mesjasza. (...) Najbardziej irytuje go, złości, gniewa, wręcz wściekli 'polski patriotyzm', czyli ta postawa, która (co zawsze podkreślał każdy świątły i mądry Polak i o czym przy każdej okazji mówi także generał Jaruzelski) sprawiła, iż Polacy nie zatracili się jako naród. Te odruchy wściekłości objawiają się podobnie i u Gombrowicza w 'Dziennikach' i u Michnika w 'Lewica, kościół, dialog' i u setek im podobnych intelektualistów”.

„To jest ta potworność, to pospolite judaszostwo, które trudno wyrozumieć”.

Podpisane pseudonimem.

Czytelnik z USA, Frederick Brack (67 Pine Street, North Massapequa), przysłał mi list: „Dear Kazimierz. What's God's

last name? Sincerly, Frederick". Odpisałem: „Dear Frederick. Thank you for your letter. God's last name is God. Sincerely, Kazimierz”.

Wieczór w Foyer des Etudiants Polonais, nieduży pokój w którym usiłowało się zmieścić kilkadziesiąt osób. Na jedno pytanie nie potrafiłem jasno odpowiedzieć. „Czego pan od nas młodych oczekuje, co pan nam radzi?” Odpowiadam, że nigdy nie udzielałem rad młodszym, nie czuję się do tego powołany i nie uważam młodości za kondycję zasadniczo odmienną od mojej; pewien sposób postępowania obowiązuje zarówno ich, jak i mnie: być uczciwym, pracować, ponosić odpowiedzialność... Można było odpowiedzieć lepiej. Chodziło im przecież o to, czy są w porządku nie wracając do Polski, w pytaniu zawarty był niepokój. Powinienem był odpowiedzieć mniej więcej tak: „Pyta mnie pan, co robić — wracać czy zostać — i czy pozostanie za granicą nie oznacza dezercji z Kraju. Chodzi panu o mój pogląd na emigrację, a ściślej na nową emigrację. Sądzę, że nowa emigracja jest faktem. I że jest konieczna, tak jak była konieczna czterdzieści i sto pięćdziesiąt lat temu. Podobnie jak tamte, będzie spełniać swoje zadania w stosunku do kraju. Nie jest najistotniejsze, czy przyjmuje się formalny status emigranta. Jedni zostaną tu przez długie lata, inni za jakiś czas wrócą do Polski, jeszcze inni z Polski przyjadą. Tak będzie istnieć emigracja. Pogrudniowa, zrosnięta z pomarcową i z powrześniąwą, tą najstarszą. Powstały nowe instytucje, pisma i ośrodki. Jeden z tych ośrodków tworzą tutaj, siedząc i dyskutując. W Paryżu niektóre takie miejsca istnieją od półtora wieku. Ich znaczenie było i jest oczywiste, współtworzą z krajem polską świadomość zbiorową. Skoro pan tu przyszedł, już to samo oznacza, że uczestniczy pan w sprawach Kraju. Poza tym mógłbym się z panem podzielić jednym własnym doświadczeniem. Życie można uznać za rzecz bezsensowną lub poważną. Ja osobiście uznałem ją za poważną. Nie agituję pana za tym, podkreślam jednak, że w moim przekonaniu to jest wybór, którego nie da się uniknąć”.

Cokolwiek bym powiedział, miałoby znaczenie najwyżej na ten wieczór. Wrócą do domu, porozmawiają chwilę i nazajutrz obudzą się młodzi i wyspani. Życie może być sprawą poważną lub niepoważną, ale oni mają je przed sobą. I co tu mówić, że nie ma między nami zasadniczych różnic. Wystarczy ta jedna. Zimno mi się robi na myśl, że mogliby potraktować moje opi-

nie jako wskazania na przyszłość. Prawdopodobnie jednak o ich przyszłości zadecydują politycy. A na tę myśl robi się jeszcze zimniej. Z Polski widzi się świat w powiększeniu i wydaje się, że kierują nim siły bezosobowe, ukryte w potężnych mechanizmach. Tu natomiast skala maleje, niemal codziennie widać z bliska twarze ludzi, którzy rozstrzygają o losach naszej planety. I wtedy strach ogarnia. Myśl i charakter nie promieniają z ich twarzy. Ci polityczni przywódcy ludzkości, oglądani w zbliżeniu, są nader przeciętni, nie wyróżniliby się w masie przechodniów mijanych na ulicy. Jak to, więc od nich zależy istnienie globu? życie następnych pokoleń? I od tamtych w Moskwie, których wygląd jest trudny do zapamiętania, jakby stanowili jeden grzybowaty stwór o kilkunastu głowach w identycznych kapeluszach? Doprawdy można się bać.

W czwartek po południu czytałem opowiadania Isaaca B. Singera, przed 6-tą wziąłem parasol i poszedłem niedaleko na rue du Parc Royal do Olgi, u której była M. Zastałem je w trakcie szycia kolorowych pokrowców na poduszki. Psy szczeknęły, obwąchały mi ręce i ułożyły się do drzemki. Przeglądałem książkę Bachtina o Dostojewskim, Olga zaparzyła kawę. Deszcz padał, było nieco sennie, i tak siedząc zaczęliśmy rozmawiać najpierw o wykładach Olgi na uniwersytecie w Saint-Denis, a później rozmowa zesłała na Kraków, gdzie spędziła dzieciństwo. Szyjąc opowiadała o swoich kuzynach i ciotkach, o pensji pani Münich i cukierni Maurizia, i o tym że jej rodzice trochę się w Krakowie nudzili i często wyjeżdżali do Warszawy lub Wiednia. Słuchałem wyobrażając sobie staroświeckie mieszkania, niedzielne spacery na Plantach i fiakry z dorożkarzami w czarnych kapeluszach. Przedwojenny Kraków zawsze mi się kojarzył z czymś niezupełnie poważnym, ale bezpiecznym jak pokój dziecinny, teraz zaś w Paryżu ta przedwojenna i nieco imaginowana krakowskość łączy mi się właśnie z Olgą. Pisałem już, że w emigracji nieraz odnajduję jak gdyby dalszy ciąg przedwojenności; jest mi w szczególności sposób znajoma, powiedziałbym że ma w sobie coś z rodzinnych fotografii, które przeleżały lata w mieszkaniu dalekich krewnych. Olga jest emigrantką, latem 1939 była z matką na wakacjach we Francji, potem wyjechały do USA. Ukończyła szkołę średnią i studia lingwistyczne pod kierunkiem Romana Jakobsona. Poznaliśmy się kilkanaście lat temu w Paryżu, mieszkała wówczas na ulicy Bourg-Tibourg, po czym przeprowadziła się na rue des Francs-

Bourgeois, do pałacyku, który był niegdyś własnością nadwornego krawca Ludwika XIV. Teraz mieszka o kilka ulic dalej, w tej samej dzielnicy Le Marais, miejscami bardzo podobnej do dawnego Krakowa. Można by więc sobie wyobrazić, że po wojażach zagranicznych, świetnie wykształcona i nietknięta przez wojnę, wróciła do miasta swojego dzieciństwa, w którym ja także zamieszkałem i składam jej wizytę w deszczowy dzień. W deszczowe dni lubię fantazjować. Wieczorem po powrocie do domu dalej czytałem opowiadania Singera.

W piątek na Orly oczekiwaliśmy Andrzejów Kijowskich. Samolot miał wylądować o 16.50. Z początku zapowiedziano półgodzinne opóźnienie, potem na tablicy literki się przekreśliły i ogłoszona godzina przylotu zniknęła. Ktoś przychodzi i mówi: śnieżyca w Warszawie, nie wiadomo czy samolot wystartował. Jest nas sześć osób i dwa psy, które Olga zostawiła w samochodzie. Czekamy. Myślę: samolot się spóźnia, bo rewidują Kijowskich. Za szybami widać lądujące i startujące maszyny, głośnik nadaje komunikaty. Nikt nie wie o samolocie z Warszawy. Prócz naszej grupki jest sporo oczekujących Polaków, wśród nich konsul generalny z fajką i przedstawiciel ambasad PRL w kapelusiku. Pan Tadeusz B., kuzyn Andrzeja, wprowadza nas do salonów klubowych Air France, gdzie zagęsbiamy się w miękkie fotele i od razu zaczynamy rozmawiać o Sowietach, czy dojdą do Atlantyku, czy przed tym się rozpadną. Pan Tadeusz bawił w czasie wojny na Kołymie i opowiada, jak w 50-stopniowy mróz wisiał w powietrzu naprawiając dźwigar budowlany. Miły człowiek. Pytam go, czy wyszedł z Andersem. — A jakże — mówi pan Tadeusz — ale zanim wyszedłem, musiałem dojść. Na drogę dali mi śledzia i bochenek chleba. Pokazali ręką kierunek: *idi, idi!*... Po dwudziestu latach witano go na lotnisku w Moskwie, gdy przybył z delegacją koncernu elektronicznego IBM. Tak sobie gawędzimy. Warszawski samolot wystartował z dwugodzinnym opóźnieniem, podobno konsul otrzymał tę wiadomość z lotniska na Okęciu. Olga jest zaniepokojona. Chodzi o psy, czy nie będą straumatyzowane długim oczekiwaniem. Oboje z panem Tadeuszem idą zobaczyć co z psami, głośnik nadaje komunikat o lądowaniu samolotu z Ankarą, my w fotelach popijamy porto. Pan Tadeusz ma kartę klubową, wszelką konsumpcję pokrywa jego roczna składka. Wracają z Olgą. Psy trochę podmarzły — oznajmia pan Tadeusz — ale da Bóg przeżyją. Okulary mu błyszcżą. Miły, dowcipny czło-

wiek, także Krakowianin. Po wojnie długo mieszkał w Stanach Zjednoczonych, wiele razy był w Moskwie i twierdzi, że w hotelach i na bankietach przez piętnaście lat podawano mu zawsze cztery identyczne dania. — Tam się nic nie zmienia, nawet menu skamieniało. — Zamyślamy się. — Czy oni nie wiedzą, że ich ustrój jest niedobry? — dziwi się Olga. — Patrzymy na nią z czułym smutkiem. Chcę coś powiedzieć o reformach Aleksandra II, gdy nagle rozchodzi się wiadomość, że samolot z Warszawy za chwilę wyląduje na płycie. Biegniemy. W pustawej już hali kotłuje się gromadka Polaków. Jeszcze pół godziny. O 21.15 na płycie siada maszyna ze znakiem Lotu. Ustawiamy się przy barierze. M. pierwsza spostrzega Kijowskich. Andrzej uśmiechnięty, w czapeczce z daszkiem na bakier, lewe oko przykryte opatrunkiem, prawie mruży nieco kostycznie, opowiadając, że na Okęciu przed odlotem rewidowano ich półtorej godziny. — Całkowicie! — W Warszawie nie było śniegu tego dnia.

Po czwartkowej wizycie u Olgi znowu poczułem to samo. To, co tyle razy powtarzałem M.: że my tu przyjeżdżamy zza kordonu, ze wściekłej Kongresówki, i w Paryżu odnajdujemy elegancką, zaciszną galicyjskość. Mówiłem: popatrz, to jakby inny zabór, o ile tu łagodniej i dostojniej, i bardziej po ludzku. Ta piękna stara Biblioteka na Wyspie, przecież niemal Skałka. A te uliczki w cieniu absyd? albo okno księgarni na Saint-Louis-en-l'Île z rzędami polskich tomów, których nie można dostać w Królestwie? Co ci to przypomina? Przyjeżdżamy do tej paryskiej Małopolski, żeby się po niej włóczyć i rozglądać. Żeby odpocząć od Warszawy. Żeby pomyśleć. Czasami, żeby tylko posiedzieć w bibliotece i zobaczyć co grają w teatrach, albo po prostu usiąść w kawiarni i przejrzeć numer *Monde'u*, jak niegdyś numer *Czasu* na pluszowej kanapce u Hawelki. Są tutaj domy polskie, gdzie pije się herbatę w cieniutkich filiżankach, mieszkają tu dziewięćdziesięcioletnie znajome Lenina i Prousta, częstujące marmoladkami pod autoportretem Wyspiańskiego. I koty drzemiące na poduszkach, i odpowiednia ilość kulturalnych hrabin, i księża, księża w koloratkach, jakże mili, jacy wykształceni. Wszyscy się znają, spotykają, na odczytach bywa nieodmiennie ta sama publiczność. W porównaniu z Królestwem obowiązuje tu więcej konwencjonalności i umiaru w plotkach, tutaj nie mówi się *dacza* ani *swołocz*. Dobrze jest pod spokojnym zaborem paryskim, gdzie nawet szpicelkowie kłaniają się z uśmiechem ludzi z towarzystwa, bezpiecznie w tej małej autonomicznej Polsce za kordonem. Olgo, ładnie

jest dzisiaj na polu. Siedzę w południe na skwerku pod wieżą Saint-Jacques, jak na kawałku Plant, gdy u św. Gerwazego właśnie zaczęły bić dzwony. I myślę o tobie, przyjacielu Delto. Rozpoznałem cię od razu w „Rozmowach niekontrolowanych”. Poznałem cię może nie po stylu pióra — bo rzecz jest przecież mówiona i nagrana — lecz po ostrości wzroku. Prawie każdym zdaniem trafiasz w środek, każdą myśl chciałoby się cytować. Przytoczę tylko jedną. Jest tak bliska moim imaginacjom nad-sekwańsko-krakowskim, że czytając późno w nocy zacząłem się głośno śmiać. Powiedziałeś: „W tej chwili, co najdziwniejsze, rolę tego drugiego zaboru odgrywa Zachód, ponieważ jest współgwarantem naszej sytuacji, naszego ustroju. Dziś Zachód to jest ten drugi zabór, gdzie można zwać i w jakimś Paryżu, jakimś Nowym Jorku założyć jakąś gazetę, tak jak kiedyś zakładało się w Krakowie czy Poznaniu”.

W noweli, a raczej w szkicu filmowym napisanym jeszcze w kraju, mój bohater w pogoni za miłosno-polityczną awanturą ucieka z Kongresówki do Krakowa, gdzie brnie dalej w akcję tej nowelki, której dałem tytuł „Spokojne lata pod zaborem”.

Na krótko przed śmiercią leżąc w sali reanimacyjnej Miron Białoszewski napisał wierszyk, jeden z ostatnich, może przedostatni. Zaczyna się tak: „W mym półgrobie / Piszę Tobie / Zamówione tango / Póki żyłem / Nie zdążyłem / Teraz za to mam go / (canto) Nie bój się nic / Bo życie nic nie znaczy / Bo śmierć jak rydz / Zdrowa dla umieraczy”...

Tę garstkę ostatnich wierszy Białoszewskiego wydrukowały *Zeszyty Literackie*. Na dalszej stronie zamieszczono wspomnienie pośmiertne sygnowane literkami J.C. Autor przytacza list, który nadesłał Miłosz. „Kochany Panie Mironie. Rad jestem, że odwiedziłem Pana będąc w Warszawie i że odbyliśmy rozmowę telefoniczną między Kalifornią a Nowym Jorkiem podczas Pana wizyty w Ameryce. Zawsze chciałem wyrazić mój podziw dla Pana twórczości, której istotą była dobroć i ten stosunek do opisywanych ludzi, który nazywa się miłość. Powtarzam to teraz, po Pana śmierci”.

Tak się spotkali i tak się pożegnali. Zapisuję, bo prostota i krótkość tych dwóch tekstów przejęły mnie jak mało która z rzeczy ostatnio przeczytanych.

Wykłady zaczynam koniec końców w najbliższy poniedziałek

łek. Wprowadzi mnie Kundera. Mam mówić o dziejach inteligencji w Polsce, słuchaczami będą doktoranci, czyli osoby po ukończonych studiach. Tryb wykładu może być luźny, nieprofesorski, wolno mi schodzić na dygresje i osobiste wynurzenia, w tym zakresie dano mi pełną swobodę. Kundera twierdzi, że choćby tylko z rzeczy, których w rozmowach ze mną dowiedział się o Polsce i o mojej biografii, można by zrobić cykl odczytów (tak powiedział). Będę mówił po francusku. Pięknie, ale mimo wszystko trzeba się przygotować, sporządzić jakiś plan i notatki. Ważniejsze daty muszę mieć w pamięci, a nie jestem w tej dziedzinie silny. Jak dotąd, notatki trzymam w głowie, dopiero dziś wieczór spróbuję je spisać. Wejście inteligencji na polską scenę historyczną widzę w okresie Sejmu Czteroletniego. Nie będę przestrzegał ściśle chronologii, postanowiłem mówić z częstymi nawrotami i szerokimi rozgałęzieniami, a przede wszystkim oprzeć wykład na szkicu autobiograficznym. Więc pewnie zacznę od własnego urodzenia.

W sumie — trema. Na dłuższy czas trzeba będzie się rozstać z pisanem „Miesiący”. Tym bardziej że oprócz zajęć uniwersyteckich czekają mnie wyjazdy: na kolokwium w Wenecji (marzec) i w kwietniu na kongres do Tokio. Przerwa nie przyjdzie mi lekko. „Miesiące” od prawie sześciu lat tworzą mi egzystencję, wokół nich układają się myśli, lektury, przyzwyczajenia. Są dla mnie jedyną rzeczywistością z celem i sensem; jeśli nieraz mi ciężą i jeżeli narzekam rano przed M., że mam już dosyć ich codziennego jarzma, to tak jakby powiedzieć, że ma się dosyć życia, a bardzo chce się żyć dalej. Bez „Miesiący” nie wyobrażam sobie, jak przeżyłbym ubiegłe dwa lata, z tym wszystkim co się stało po naszym wyjeździe z Polski. Jak będę żył i co robił ze sobą po ukończeniu trzeciej części, nie wiem. Lepiej o tym nie myśleć. Prawdopodobnie gdzieś później trzeba będzie raz jeszcze o wszystkim opowiedzieć. Więc może kiedyś usiądę i opowiem jak było naprawdę.

Luty

W pierwszym tygodniu: Kunderowie u nas na obiedzie w czwartek; nazajutrz rano wizyta u dra Teslar i wieczorem odczyt Maksymiliana Borwicza w Centre du Dialogue; w niedzielę na kolacji u S. z Revault-d'Allonnes i jego żoną; w poniedziałek pierwszy wykład na Hautes Etudes, od 4 do 6-ej, i odczyt Andrzeja Kijowskiego o 8 wieczór, także w Centre du Dialogue;

spotkanie z synem Józka K. we wtorek o 9 rano. Dzisiaj 8 lutego, środa.

Leczyłem się z dłuższą pauzą, co najmniej przez luty. Miałem robić plan wykładów i pisać przemówienie na kolokwium w Wenecji (o tożsamości kultury europejskiej; proszą o nadesłanie tekstu do 10 marca). Tymczasem dziś od rana siedzę w *Miesiącach*. W nocy obudziłem się z oczywistą pewnością, że wykłady będę opracowywał wieczorami, a do Wenecji nie pojadę. W każdym razie powinienem dobrze przysiąc fałdów — tak się kiedyś mówiło. Nad ranem zapaliłem lampkę, wziąłem blok ze stołu i wypunktowałem tematy do *Miesiący* na luty. Nie wiem, czy uda mi się je wykorzystać, bo czasu będzie mało, ale na wszelki wypadek zaczynam. Rozpocząłem od kalendarza tygodnia, zawsze to najprościej. Może jakoś pociągnę dalej przez następne dni.

Z Kunderą omawialiśmy sprawy dotyczące wykładów na Hautes Etudes, i inne, bo wypytywałem go też o czeskich pisarzy, takich jak Havel, Kohout, Hrabal oraz Vaculik, którego dziennik, opublikowany we fragmentach przez *Zeszyty Literackie*, spodobał mi się. Oboje z Verą tworzą parę na oko równie kontrastową, jak M. i ja, i chyba nie mniej silnie ze sobą związaną. Ona: żywotność, bystre zaciekawienie ludźmi i humor, w którym czuje się nerwy i odwagę, jakieś ładne stawianie czoła. On: mądry, duży, przygarbiony, z głową zadumanego boksera-intelektualisty (taki był niegdyś Gene Tunney, mistrz świata wszech wag) i cały do wewnątrz, jak gdyby wiecznie pochłonięty namysłem czy troską, a zarazem skupiony, pełen uwagi. Vera śmieje się, kiedy przy powitaniu całuje ją w rękę. — *Les Polonais, ah, les Polonais!*... — Ma, podobnie jak M., pionową kreskę między brwiami, która znika w chwili śmiechu i wtedy charakter ustępuje miejsca lekkomyślności. Gdy rozmawiają po czesku, Kundera mówi do niej „Pepiku”. W czasie Wiosny Praskiej, i później, po interwencji wojsk bloku, była spikerką wolnej radiostacji. Opowiada, że w przeciwieństwie do oddziałów sowieckich i nrdowskich polscy żołnierze okazywali Czechosłowakom serdeczność. Rozmowa spokojna, bez pustych momentów i w dobrym porozumieniu. Wyszli od nas po 3-ciej. Umówiliśmy się, że w poniedziałek zjem u nich obiad, a potem młody Salmon, asystent, zawiezie nas obu na uczelnię.

Ciśnienie miałem najpierw 90-170, ale po kilku minutach już tylko 90-155, bo poleżałem na kanapce. W płucach, mimo nikotyny, eisza. Tętno w nogach dobitne, serce zgodnie z datą

urodzenia i zastarzałym blokiem gałązki Hissa (to samo miał Gomułka, ale pewnie z innych powodów, bo moją „gałązkę” zablokowała przedmaturalna angina, po której za wcześniej poszedłem z kolegami grać w tenisa). Więc stosunkowo nieźle. Mam ponadto zrobić analizy krwi, moczu i czegoś tam jeszcze. Wszystko rano i na czczo. Dostałem też nowe pigułki uspokajające o ślicznej nazwie *Temesta*. Poprzednie, amerykańskie, okazały się barbituratem, z czego zapewne ta lekka euforia po zażyciu. *Temestę* połknąłem na próbę przed odczytem Borwicza i stwierdziłem, że działa podobnie. Maksymilian Borwicz opowiadał, jak go Niemcy powiesili na szubienicy w obozie pod Janowem. Słynny fakt: egzekucja została odłożona, bo kiedy Borwicz już zawisł, sznur się urwał. Słuchając z dziwnie radosnym ożywieniem, coraz bardziej kochałem Borwicza. *Temesta* zrobiła swoje. Dlaczego kocham ludzi dopiero po proszkach uspokajających, jest dla mnie rzeczą niewytłumaczoną. Po odczycie wypilem dwie szklanki alkoholu i wstawionego Andrzeja Krzywicki odwiózł mnie samochodem do domu. Spałem dobrze i obudziłem się żwawy.

W niedzielę wieczór u S. był Revault d'Allonnes, który nadal prowadzi katedrę estetyki literackiej, tak jak w 1970-72, kiedy wykładałem na Sorbonie. Od tamtych lat widziałem go raz tylko; odwiedził mnie z żoną w Warszawie, chyba w 1974. Teraz przywitaliśmy się jak starzy znajomi. Mało się zmienił, tylko posiwiiał trochę, ale tak samo piękny, z łagodnym, chwilami cierpiącym spojrzeniem. S., ekonomista i historyk, jest ożeniony z Bretonką, natomiast żona Revault ma inteligentne paryskie oczy, z odrobiną wschodniej melancholii, która mogłaby świadczyć o jakichś powiązaniach rodzinnych z Rosją lub z polskimi kresami. Rozmowa przy stole długa, zapalczywa i głośna, wszyscy równocześnie mówili o komunizmie, Islamie, Ameryce Łacińskiej, rakietach amerykańskich i dyktaturze w Polsce. W całym towarzystwie Revault zdaje się myśleć najpodobniej do mnie, ale z S. nie szło lekko. Dostrzegłem w nim sentymentalny sowietyzm zachodnich intelektualistów. Twierdzi na przykład, że w demokracjach ludowych mimo wszystko dokonują się zmiany społeczno-polityczne i że w Polsce od Stalina do teraz wiele się zmieniło na korzyść. Na co ja: owszem, zmieniło się, od czasów Stalina dużo się zmieniło, a jeszcze więcej od czasów Kaliguli, lecz przez czterdzieści lat w Polsce zmienia się tylko nieszczęście, z jednego brnie się w inne. Mówię, że Polacy, Czesi, Litwini są jednak Europejczykami i nie chcą mierzyć swego losu taryfą dla niewolników. Wtedy S., że w

Polsce wsadza się na parę lat, a w Chile i Argentynie obcinało się głowy. Tak, zgadzam się, ale argentyńską juntę obalono, tymczasem dyktatury w Polsce nie da się obalić, bo jest w fortecce sowieckiej. A zresztą, mówię, rozumując tak jak pan, można by twierdzić, że w porównaniu z hitlerowskimi metodami rządzenia, gdy zamordowano kilka milionów ludzi, metody junty argentyńskiej były znacznie łagodniejsze, ponieważ zabito tylko około trzydziestu tysięcy.

I w kółko. Gardło mi wyszło. Oni są jeszcze w tym punkcie świadomości, do którego ja dochodziłem w roku 1954 i później, gdy wydawało się, że socjalizm objawi ludzką twarz. Zamiast tego wstawił sobie nowe zęby. Nie cierpię na polonocentryzm, ani nawet na europocentryzm. Wiem, że są obszary głodu i nędzy w Trzecim Świecie, że jest Afryka Środkowa wypalona przez suszę i północ Brazylii rozmyta deszczem. Ale niech oni nie odwracają wzroku od nas, niech widzą z Paryża nasz obszar poniżenia. Nie tylko Trzeci — istnieje również drugi świat rozpacz.

Tymczasem ci mili i inteligentni ludzie dalej po swojemu sympatyzują z komunizmem, czy z własną nadzieją na lepszy komunizm, mimo Czechosłowacji, Afganistanu i wbrew temu co się stało w Polsce. I będą tak sympatyzować, dopóki Sowiety nie zniszczą komunizmu. A że właśnie Sowiety zniszczą komunizm, u siebie i gdzie indziej, o tym nie wątpię.

Siedziałem przy stole obok pani Revault i paliłem jej papierosa, bo zabrakło mi własnych. Kilkakrotnie odniosłem wrażenie, że przyznawała mi rację, aż w którejś chwili zagadnęła półgłosem na stronie, czy lubię Papieża. Pytanie mnie zaskoczyło i nie pojąłem o co chodzi. — Czy widział pan w telewizji tę wyreżyserowaną scenę przebaczenia? Jak on przygarniał do piersi Turka, który miał go zabić? A przecież wiedział, że w celi są ustawione kamery i że filmują go dla milionów ludzi. To prawdziwa Superstar ten wasz papież... — Poczułem przykrość, nie umiałem znaleźć odpowiedzi.

W poniedziałek rano uporządkowałem notatki do wykładu, po czym z M. wsiedliśmy na Rivoli w autobus, który nas dowiózł prawie pod samą Tour Montparnasse, niedaleko ulicy Littré, gdzie mieszkają Kunderowie. Około 3-ej przyjeżdża Salmon, pakujemy się we trzech do jego samochodu, M. została z Verą. Uczelnia znajduje się w Passy na ulicy de la Tour pod numerem 44. Wsiadamy. Salmon parkuje samochód, podczas gdy ja tłumaczę Kunderze czym jest Czterdzieści Cztery dla Polaków i mówię o wykładach Mickiewicza w Paryżu. Kundera

słyszał o nich, ale nie czytał. Jest zaintrygowany i najwidoczniej nie rozumie dlaczego się śmieję, pokazując 44 widniejące u wejścia do gmachu. Wraca Salmon. Zaparkował samochód, idziemy. Sala numer 7 (znowu kabalistyczna cyfra) już wypełniona słuchaczami, wśród których widzę dużo kobiet. Na oko pięćdziesiąt osób. Mężczyźni są przeważnie w swetrach. Oprócz młodych słuchaczek, ubranych po studencku, jest kilka eleganckich pań w kapeluszach. Siadamy za stołem, Kundera prezentuje mnie krótko i przypomina, że mówił o mnie tydzień temu na swoim wykładzie. Zabieram głos od razu po nim. Wyjaśniam o czym będę wyłkładał, uprzedzam że moje wykłady nie będą filologiczne, uzasadniam także wybór przedmiotu i metody, którą z góry określam jako nienaukową i naiwną. Mówię, że jestem romansopisarzem, moje główne zajęcie polega na opowiadaniu, dlatego wybrałem metodę narracyjną, będę opowiadał o własnym życiu. Rozumie się, z dygresjami, retrospekcjami, komentarzami, sięgającymi wstecz i w bok. Czuję, że sala jest zaciekawiona, panie w kapeluszach uśmiechają się do mnie z pierwszych rzędów. Po chwili pada kilka pytań. Jedno dotyczy roli Śt. Ignacego Witkiewicza, jakoby dominującej w literaturze polskiej między wojnami. Drugie — rozbiorów. Jak to było i właściwie kiedy było? Tłumaczę, jak potrafię. Szczególnie trudno wyjaśnić, że twórczość Witkacego przed wojną na ogół uważano za ekscentryczne dziwactwo. Potem kwadrans przerwy. Podechodzi do mnie kilka osób: doktorant, który widział film nakręcony przez Wajdę z mojej powieści „Samson”, dwie starsze Francuzki i polska słuchaczka zainteresowana „Miesiącami”. Polek jest pięć, sześć, nawet znalazła się miła i ładna panna Czartoryska, a także pewna szatynka, nadmiernie serdeczna i w uśmiechu podobna do kogoś znajomego, komu nie ufałem, kiedyś dawno temu.

W trakcie pisania wchodzi M. Umarł Andropow, następca Breżniewa. Trzy zawały, cukrzyca i transplantacja nerek. Rządził piętnaście miesięcy, z czego przez sześć był niewidzialny. Urzędowe komunikaty sowieckie do końca informowały, że jest przeziębiony. Aż raptem wczoraj moskiewskie anteny w miejsce zapowiedzianego programu nadały muzykę klasyczną. Pierwszym zwiastunem śmierci przywódców ZSSR jest Beethoven. Podobnie było, gdy po przewlekłym dogorywaniu zmarł Breżniew. Niesamowitość tkwi w fakcie, że olbrzymią częścią świata zarządza od lat starcze ciało zbiorowe z półtrupem na głównym stole.

Wykład doprowadziłem do końca, czytając fragment „Miesiący” wydrukowany w *Critique*. Nawiązywał do moich pary-

skich wykładów w roku 1970, gdy jednocześnie pisałem „Wariacje pocztowe” w sekrecie przed niemieckim wydawcą, który zamówił u mnie książkę o Polsce współczesnej, i kiedy w grudniu przed wykładem studenci uczcili powstaniem z miejsc strajk na Wybrzeżu Bałtyckim. Pod koniec zadałem kilka pytań, m.in. kto z obecnych wie kim był Adam Mickiewicz i gdzie w Paryżu stoi jego pomnik. Dwa głosy zaszeptały niepewnie: „koło mostu Alma...?” Francuscy doktoranci nie wiedzą, co napisał Mickiewicz, czym były rozbiory Polski i kiedy wybuchły powstania, natomiast doskonale znają sztuki Witkacego. Po wykładzie Salmon odwiózł mnie do domu, skąd o 7.30 pojechaliliśmy z M. autobusem na Surcouf. Odczyt Andrzeja miał się zacząć o 8-ej.

W autobusie nagle przypomniałem sobie, czyja twarz kojarzyła mi się z uśmiechem zbyt serdecznej piwnookiej szatyny. Oczywiście tak samo się uśmiechał Romek Z., podobnie rozciągał wargi.

Kiedy usunięto nas z mieszkania na Asnyka i administrator spółdzielni na Filtrowej nie chciał przyjąć naszych meldunków, przenieśliśmy się na Żoliborz do willi Janusza W. Był moim kolegą redakcyjnym w *Kuźni*, synem oficera Legionów, wicewojewody. Lubiłem go. Należał do typu zdrowych, sprytnych wesołków, zimował w każdej klasie i dopiero wojna uwolniła go od przykrych obowiązków nauki. Zaraz po kampanii wrześniowej ożenił się ze starszą od siebie kobietą o platynowych włosach. Jego bliskim przyjacielem był Romek Z., także nasz kolega z *Kuźni*. Mieszkaliśmy na Żoliborzu do aresztowania ojca. Przechodził często Romek Z., zawsze z kwiatami. Całował matkę w obie ręce, do ojca zwracał się z młodzieńczym oniesmieleniem per „panie dyrektorze”. Był łagodny i nigdy się nie złościł, mimo że Janusz kpił z niego czasami zbyt okrutnie. Mówiło się o nim: Romek? łamaga, ale złote serce! We wrześniu 1940, po aresztowaniu ojca, pojawili się u nas dwaj gestapowcy i przetrząsnęli szuflady wypytując matkę o mnie. Wzięli moją fotografię z albumu. Matka była w domu sama, bo Janusz wyjechał z żoną na wieś po towar, a ja tego dnia wróciłem tuż przed godziną policyjną. W nocy spakowaliśmy walizki i nazajutrz M. wynalazła dla nas pokój sublokatorski na Długiej. Chyba w rok później Janusz zginął w wypadku; zabiła go ciężarówka wyprzedzająca tramwaj, którym jechał z towarem, wisząc na zewnątrz, jedną nogą oparty o stopień. Romka Z. spotkaliśmy z M. na pogrzebie Janusza. Żegnając się z nami przy bramie cmentarnej miał łzy w oczach. — Czy mógłbym

zając w tych dniach, panno Marysienko?... Musimy się przecież widywać... — Stał i patrzył na nas ze smutnym, dobrym uśmiechem. Nie przyszedł jednak, co zresztą nas nie zdziwiło, bo Romek także handlował i dużo czasu spędzał w pociągach. Po kilku tygodniach zastukał rano do Zenowiczów w Alejach Jerozolimskich młody człowiek w narciarskiej czapce. Zażądał okupu. Wiedział, że widuję się z M. i mieszkam w Warszawie pod fałszywym nazwiskiem. M. była w Muzeum. Młody człowiek oświadczył, że przyjdzie o 4-ej, po jej powrocie z pracy. Od wpół do 4-ej, uprzedzona przez rodziców, M. czekała w przeciwległej sieni obserwując wejście. Gość w narciarce przyszedł punktualnie. Po dziesięciu minutach wybiegł, kierując się pośpiesznie w stronę Kruczej (wytłumaczono mu, że córka wprost z Muzeum pojechała do przyjaciół pod Warszawę i wróci dopiero nazajutrz). M. skrzyła za nim w Kruczą. Zniknął w którejś bramie i po chwili wyszedł z niej w towarzystwie Romka Z. M. opowiadała, że w bramie zamienili się nakryciami głowy: wysłannik ukazał się w berecie, a Romek w narciarce. — Właściwie po co? — dziwiła się M. Nazajutrz gość się nie pojawił. W dziesięć dni później złożył państwu Zenowiczom wizytę Romek Z. Przyszedł w berecie, z wiązaną goździków, i już w przedpokoju zapytał ze swoim serdecznym uśmiechem o mnie: czy jestem w Warszawie i czy... Wtedy M. kazała mu wyjść.

W czasie wojny dwukrotnie próbowano ją szantażować i za każdym razem chodziło o mnie. W obu wypadkach szantażystami byli moi koledzy sprzed wojny. Obydwóch wyrzuciła za drzwi. Po takich wizytach spotykaliśmy się nadal prawie codziennie, zachowując tylko pewne środki ostrożności. Trzymałem się z daleka od Alei Jerozolimskich i przestaliśmy być w kawiarniach. M. przyjeżdżała do mnie na Narbutta, a później na Solec. Potrafiła nie dostrzegać zagrożeń — lub udawać, że ich nie dostrzega — prócz bomb, których się bała, odkąd we wrześniu 39 wyciągnięto ją spod gruzów na rogu Mokotowskiej i Wileczej. Zdaje się jednak, że przez cały ten czas żyła w lęku. Już w drugim roku okupacji zaczęła dużo pić. Po wojnie, gdy robiłem jej wyrzuty że znów przekracza miarę, śmiała się: Ja? Ja jak żołnierz. Wódka daje odwagę. Seta i na bagnety! — Ktoś jej powiedział, że w armii rosyjskiej przed rozpoczęciem natarcia dawano żołnierzom spirytus.

W roku 1954 w zakopiańskim sanatorium przeciwgruźliczym odbyły się występy artystyczne, na które przysłano mi zaproszenie. Wystąpiła również jedna z pacjentek, brzocho-mówczyni. Siedziała w fotelu na estradzie i dobywała z siebie

niski, stłamszony głos, jak z worka. Nie poruszając ustami zwracała się do różnych osób na widowni. Zwróciła się także do mnie: — A-dla-pana-Brandysa-wiadomość. O-kimś-kogo-lubi. U-nas-w-Zjednoczeniu-jest-dyrektor-Roman-Z. Często-nam-opowiada-o-panu-Brandysie. Pożyczył-mi-jego-książkę. Niepokona-ne-miasto.

Nie dosiedziałem do końca występów. Było mi obojętne, w jakim mieście osiedlił się po wojnie Romek Z. Prawdopodobnie przeżył chwilę paniki, gdy po powrocie z sanatorium brzocho-mówczyni opowiadała, że byłem na jej występie. Nie myślałem o nim przez czterdzieści lat, wypadł mi z pamięci. Lecz skoro po tylu latach czyjeś podobieństwo i uśmiech z szerokim rozciągnięciem warg wzbudziły we mnie tak przykrą reakcję, mogłoby to oznaczać, że jednak pamiętam tego kolegę z młodości. Przy czym rzecz szczególna: uraz przerzuciłem na nieznaną szatynkę (pewnie bogu ducha winną entuzjastkę), natomiast Romka Z. widzę po dawnemu, jak szkolnego łamagę, który z głupoty i słabości zrobił mi świństwo w klasie. Pięć czy sześć lat temu w Kazimierzu nad Wisłą, wchodząc do kawiarni na rynku, zobaczyłem go przy stoliku w głębi salki. Zbladł, zasłonił się gazetą. Udałem że go nie poznaję i wyszedłem. Pewnie tego samego dnia wyjechał, bo nie zobaczyłem go więcej ani razu. Słabe są moce zemsty we mnie, słabe.

Dewizy... pieniądze... W oficjalnej prasie krajowej uparcie wybija się ten motyw: „Łaknienie życia w świecie dewizowym, dystans do złotówkowego interioru zderza się z rygorami państwowości ledwo co ukształtowanej i łamie je bez skrępowań”. Pisarzy drukujących za granicą i poza cenzurą w kraju porównuje się do: „magnatów z okresu potopu szwedzkiego i protagonistów obozu Targowiczan” — do tych, co: „za talary, ludwiki, ruble i floreny udaremniiali plany królewskiej władzy, pisali paszkwile, motali intrygi, puszczały w obieg oszczercze wierszyki, gardłowali na szlacheckich konwentykłach, przechylając się na rzecz obcych protektorów buszujących po Polsce jak po własnym domu”...

Zanotowałem w „Miesiącach”, że w marcu 1968 wybuchła w Polsce rabacja szmalcowników kierowana przez ministra spraw wewnętrznych. Zaatakowano również pisarzy. Po piętnastu latach rzeczy o tyle się zmieniły, że dziś nie pisze się o intrygach syjonizmu — żydowskie posady i mieszkania zostały już wzięte. Dzisiaj oskarżając pisarzy wywołuje się duchy

szlacheckiej prywaty. Jednym z Radziejowskich jestem ja: „Oto Kazimierz Brandys, autor 'Miesięcy', w których krążąc między Nowym Jorkiem a Paryżem spisuje skrzętnie donosy na rzeczywistość krajową”.

Prawdopodobnie jest to wstęp do nowej akcji przeciw środowiskom inteligenckim w kraju. Wśród prasowych sloganów uderzyła mnie tajemnicza zapowiedź „walki o istnienie”. Brzmi w tym jakaś pogrożka. Ale jaka?

Może lepiej nie znać *planów królewskiej władzy*.

Kartka z Warszawy datowana 6.2.1984. W prawym górnym rogu dwa znaczki pocztowe z wizerunkami Jana Kochanowskiego i Marcelego Nowotki. Trzeci z widokiem Legnicy z roku 1744. Szła piętnaście dni.

„Twój list, taki miły, bardzo nas rozculił. Pewnie wszystko wiecie o naszej egzystencji. I że jest smutno bez Was. Staś został doktorem, potem odbył się obiad dla profesorów i recenzentów. Było bardzo śmiesznie. Tomek jest w Krakowie u dziadków, ma przerwę w szkole, w domu dziwnie pusto i cicho. Chodzimy do kina na filmy z Marleną, w Iluzjonie bywa młodzież i starsze panie. Jest ciepło, plus 5 stopni, i pada deszcz. Dziś miałam niemiłą rozmowę z dyrektorem i chyba zostanę bez pracy. Zaraz pójdę na spacer z Basią i jej psem, a Staś dalej będzie studiował gazetki. Czasem mi się zdaje, że tak jak jest będzie zawsze, ale tylko czasem. Całuję Was. Coś się zmieni, czy tak?”

Z synem Józka K. rozmawiałem w hotelu półtorej godziny. Przed śniadaniem — bo byliśmy umówieni na 9 rano i nie zdążyłem wypić kawy. Tęgi kolos, gęsto obrośnięty, z wyglądu niewątpliwie Amerykanin. Kiedy przyjechałem, kończył się golić, ale z łazienki wyszedł cały w jasnoryżym zaroście, więc właściwie nie wiadomo co ogolił. Budzi zaufanie, patrzy uważnym, silnym wzrokiem. Z początku mówiliśmy o jego ojcu. Miał zawał, zbliża się do siedemdziesiątki, jeździ na nartach i pędzi samochodem na tysiąckilometrowych trasach. — Ojciec lubi życie i życie lubi ojca. — Uśmiechając się opowiada o sobie. W zeszłym roku przez dziewięć miesięcy był poza domem, z dala od rodziny. Mieszka w Kalifornii, ale założył również biura w Londynie i Paryżu. Żyje więc podobnie jak Witek Markowicz, który rano przylatuje z Hong Kongu, zmienia koszulę,

jedzie z Moniką do kina, a później zostawia samochód na lotnisku i nazajutrz jest w Lizbonie.

Syn Józka pracuje w innej branży — w filmowej. Łatwo wchodzimy w temat i zadaję mu pytanie, na które żaden z moich znajomych filmowców nie udzielił mi jasnej odpowiedzi: dlaczego na Zachodzie nie zrobili dotychczas filmu o Stalinie? Tłumaczono mi bezcelowość takich pytań: „Nie dowiesz się prawdy. Oni się boją. Postać jest zbyt złożona”.

Myślałem o filmie fabularnym, ze sceną zabójstwa żony w czołowiec. W głównej roli człowiek z fajką, który przez trzydzieści lat, siedząc za biurkiem lub przechadzając się po gabinecie, uśmiercał ludzi. Mizantrop, sypiający na kanapie, zabijał kobiety i mężczyzn, uczonych, generałów, chłopów i poetów. Mordował także swoich krewnych. Pod koniec życia był widzialny dla kilkunastu osób, które wzywał nocą na biesiady do swojej willi otoczonej drutami wysokiego napięcia. Dżilas opisał go we wspomnieniach, jak połykał łapczywie tłuste kawały mięsa, rzucając od czasu do czasu żarcik przenikający strachem. Podobno własny strach zapijał gruzińską wódką. Cierpiał na nadciśnienie, miał przekrwiony mózg i zwapniałe arterie. Sztychował ze swych współbiesiadników: „Po mojej śmierci utopię was w worku jak ślepe kocięta!” Myśl, że ktokolwiek przetrwa jego śmierć, zapewne budziła w nim gniew. Kilku polskim filmowcom udostępniono w Moskwie zdjęcia dokumentalne przedstawiające go w różnych scenach z życia. Materiał był ogromny i podzielony na osobne tematy. Jeden z tematów ukazywał go na pogrzebach. Były to przeważnie pogrzeby ludzi, których wyprawił na tamten świat. Taśmy puszczano w przyspieszonym tempie. Prędkim kroczkiem biegł z towarzyszącymi niosąc trumnę Frunzego. Po czym biegł w przeciwnym kierunku z trumną Ordżonikidzego. Za chwilę biegł z powrotem podpierając ramieniem trumnę Gorkiego. Gdyby ów film o nim nakręcić w przyspieszonym tempie, główna postać byłaby niezmiernie śmiesznym człowieczkiem. Niestety, w rzeczywistości, która ma tempo normalne, nigdy nie był śmieszny. Kiedy Niemcy przerwali front, zamknął się na Kremlu i pił przez dziesięć dni. Gdy dwunastego dnia otrzeźwiał, wygłosił słynne przemówienie do *braci i siostr*. Słuchało go wówczas pół świata. Byłby to film o człowieku, którego Amerykanie nazywali „pocziwym wujkiem Jo”; który oczarował prezydenta Roosevelta i którego profil Picasso uwiecznił laurem. Na Kremlu, witając delegację PKWN, przedstawiał się każdemu z osobna: — Stalin. — Ministra Rabanowskiego zagadnął jowialnie przy powitaniu:

— A wyjście u mnie siedzieli? — Siedziało u niego trzydzieści milionów. Sto lat wcześniej byłby pewnie agentem ochrony lub hersztem przemytników, albo srogim ojcem w górskim monasterze. Podobno raz w miesiącu zapraszał do siebie na obiad kolegę ze wspólnej ławy w tyfliskim seminarium duchownym. Podobno raz na tydzień oglądał filmy Chaplina. Podobno płakał nad zwłokami Kirowa, którego nakazał zgładzić (opisał tę łzę Aragon). Mówiono, że jedynym człowiekiem, którego szanował był Hitler. Mówiono także, że Nikicie Chruszczowowi kazał tańczyć trepaka. Porównywano go do słońca jaśniejącego nad ludzkością. Grono jego nocnych współbiesiadników co wieczór żegnało się z życiem. Opetany strachem i podejrzeniami, kazał aresztować swoich lekarzy. Na wakujące miejsca współbiesiadnicy skierowali internistów szczególnego wtajemniczenia, którzy umiejętnie stosowanymi zastrzykami przyspieszyli jego śmierć. Kiedy dowiedziałem się z radia, że umiera, byłem wstrząśnięty, jakby ziemia pękła. Dałem temu wyraz biorąc udział w prasowym nekrologu. W tydzień później znów byłem wstrząśnięty, gdy mój przyjaciel, dawny więzień gułagu a potem członek partii, powiedział mi na schodach: — Ścierwo zdechło. — W filmie mógłby go zagrać angielski aktor Kingsley, którego widziałem w kilku rolach. Zastąpił wprawdzie rolę Gandhiego, ma jednak niezwykłą zdolność transformacji i ucharakteryzowany na młodego adwokata Mahatmę wyglądał jak trzydziestoletni Stalin. Film zakończyłby się perspektywą Krasnoj Płoszczadi w zimie. Widać długą, zakręconą kolejkę, w której synowie i córki jego ofiar posuwają się krok za krokiem w stronę graniastego pudła mauzoleum, by skłonić głowę przed leżącą na wznak wąsatą kukłą.

Zdaje się, że jeszcze za jego życia Rosjanie sfabrykowali bombę atomową. Ale przypominam sobie, że przedtem, kiedy miały ją tylko Stany Zjednoczone, w Warszawie krążył wierszyk: „Panie Truman, spuść ta bania, bo jest nie do wytrzyma!”

Syn Józka wszystko wiedział. Wyjaśnił mi, dlaczego w USA film nie miałby powodzenia. Postać Stalina jest tak złowroga, że amerykański widz nie zechce w nią uwierzyć. Musiałaby być tragiczna lub komiczna, dopiero wtedy Amerykanie uznaliby ją za prawdopodobną. Człowiek nie może być potworem. Film o potworze, zgoda, ale niech to będzie King Kong czy Frankenstein. Potwór nie może być człowiekiem.

Otóż myślę: jak i gdzie uchwycić w nim człowieczeństwo? Skoro był człowiekiem, należałoby się zastanowić nad sposo-

bem opowiedzenia jego życia i wytłumaczenia jego psychologii. Czyli napisać o człowieku, o jednym z ludzi. Ale ten człowiek mordował. Twierdzi się, że był typem mordercy. Nie wiadomo co to znaczy być typem mordercy. Otwiera się inny, bardzo stary temat: dlaczego ktoś jest mordercą i czy się rodzi mordercą. Nie tędy droga.

Można by jednak wyjść z jeszcze innego punktu. Był człowiekiem, a więc jednym z nas, i nie jest pewne, czym się w istocie od nas różnił. Przypuśćmy, że miał cechy, jakie my także niekiedy odkrywamy w sobie. Kto przez chwilę nie czuł się potencjalnym zbrodniarzem, kto nie pragnął wywyższenia się, nie marzył o zemście i nie przyłapał się na chętkach satrapy? Przykro powtarzać te banały, a jednak warto. Swietłana Alillujewa przedstawia ojca jako rodzinnego tyrana. Zapewne fakt, że rodzina składała się z 200 milionów ludzi, był okolicznością potęgującą zdenerwowanie. Aby tak liczną rodzinę utrzymać w posłuszeństwie, represje musiały być dotkliwsze niż zwykłe domowe „do kąta!” i stosowane w skali nieskończenie większej. Biedny ojciec narodów bał się dwustu milionów swych dzieci i kochał je po swojemu. Dwieście milionów drżało ze strachu przed ojcem i również go po swojemu kochało. Na końcu opowiadki sfrustrowany Ludojad byłby staruszką rozmyślającym samotnie o dziwnym losie, jaki mu przypadł w udziale. Jestem przekonany, że gdybym napisał taką nowelę, dotknęłaby mnie zasłużona kara.

Więc co? Pozostawałoby może wypuścić się w sferę metafizyki władzy i ukazać bosko-ludzkie zagadki despotyzmu. Czy tyran odkrywa granice wolnej woli? Czy wujaszek Jo poznał sekret transcendencji i poczuł się Bogiem?

Nie pisałbym się na takie koncepty. W końcu, jeśli się wyrwać spod fascynacji liczbą jego ofiar i rozmiarem zła, jakie wyrządził, i obłuskać go z anegdot, zostanie sama trywialność. Może trzeba zapomnieć, że istniał. Zwycięstwo w wojnie, które sobie przywłaszczył, wywalczyli jego niewolnicy. Tak, lepiej o nim milczeć. Był cwany zbir, który oszukiwał i zabijał. Postać za mało złożona, aby z niej zrobić opowiadanie o człowieku.

Odprowadzając mnie do metra syn Józka streścił mi po drodze swój scenariusz o żydowskich bokserach, którzy przetrwali obozy zagłady. Kilku z nich żyje dotychczas. Kazano im staczać walki między sobą i dzięki temu nie poszli do gazu — SSmani pasjonowali się boksem. W wagonie przypomnieli mi się Paweł Hertz, który w czasie wojny był drwalem na Syberii.

Więźniowie lubili słuchać przy ognisku jego opowiadań o życiu w wielkim mieście i o filmach miłosnych z Gretą Garbo. Za opowiadania dostawał od kryminalnych zupeł. W ten sposób przetrzymał fizycznie. Jadąc zastanawiałem się nad własnymi szansami przetrwania obozu i doszedłem do wniosku, że mógłbym nieźle wróżyć z ręki. W domu wypilem kawę. M. usiadła naprzeciw mnie, rano późno się obudziła, już po moim wyjściu. — Wyobraź sobie, jesteśmy w Oborach i Krzysztof Pomian telefonuje do nas z Włoch, z jakiejś biblioteki, gdzie właśnie przeczytał, że Giotto został pochowany w Oborach, więc musimy odnaleźć w parku jego grób. Pomyślałam, to już koniec Obór, teraz będą przyjeżdżać wycieczki z całej Polski. I w tym momencie zadzwonił Krzysztof. Miał sprawę do ciebie.

Czwartek. Przykrość. Nagły wyjazd Andrzejów Kijowskich, którzy otrzymali wiadomość o śmierci matki w Krakowie. Nie zdążyliśmy pogadać jak się należy; tę długą, najważniejszą rozmowę odkładaliśmy do chwili, kiedy dobrze wypoczną po przyjeździe. M. z Olgą pojechały żegnać ich na Orly. Ja w domu przygotowuję kolejny wykład.

Na poprzednim jeden ze słuchaczy, zdaje się Grek, pytał mnie o okoliczności śmierci Witkacego. Podałem datę i miejsce. Nie wiedzieli, że podciął sobie żyły. Wyjaśniłem skąd i w jakim kierunku uciekał, nakreśliłem kredą zarys granic przedwojennej Polski i linię demarkacyjną, na której spotkały się ze sobą obydwa totalizmy. Katastrofista w ucieczce przed spełniającą się wizją jednej katastrofy nagle spostrzega, że został zagarnięty z przeciwnej strony przez drugą. Dość szczegółowo przytoczyłem relacje osób, u których wówczas mieszkał. Kiedy powiedziałem, że odebrał sobie życie w dniu czwartego rozbioru Polski, zrobiło się cicho i odniosłem wrażenie, jakby dopiero wtedy przeniknęło do ich świadomości to wszystko, co mówiłem wcześniej o rozbiorach w XVIII wieku i co ich chyba nie bardzo obeszło.

Przy tym sporo pytań literackich, najczęściej o Kafkę i Musilę: czy głęboko przeżyłem ich twórczość. Takie pytania wymagają namysłu. Nie mam przygotowanych odpowiedzi, więc przekładałem je na następny wykład. W ciągu tygodnia muszę się zastanowić dlaczego Kafka nie jest mi bliskim pisarzem. Dlatego że nigdy nie lubiłem literatury fantastycznej? Ale to nie jest literatura fantastyczna, mimo iż człowiek może w niej zamienić się w robaka. Prawdopodobnie są jeszcze inne przyczy-

ny tego braku bliskości. Przy wszystkich swoich okropieństwach świat nie jest pozbawiony urody, a nieraz miewa błyski prawdziwego piękna. W dziełach Kafki uroda świata nie istnieje. Mówiąc o urodzie świata nie mam na myśli pogodnych obrazów życia. Światy Stendhala, Prousta, Dostojewskiego nie składają się z pogodnych obrazów życia. Jednakże są w nich lśnienia namiętnej, komicznej i wzniosłej urody świata. Charlus, Fabrycy, stary Wierchowieński, Dymitr Karamazow, za ich postaciami widać światło płynące z ukrytego źródła promieniowania. U Dostojewskiego to światło niosą ze sobą kobiety. Nastazja, Agłaja, Sonia, anielskie i fatalne kobiety Dostojewskiego ocalają w jego powieściach piękno świata. W świecie Kafki nie ma kobiet. W jego listach do Mileny nie widać Mileny. Świat Kafki to zgeometryzowana przestrzeń, w której palą się biurowe lampy. Nie ma w niej promieniującego źródła urody świata.

Wątpię, czy uda mi się to przekonująco wytłumaczyć. W ogóle nie jest łatwo wytłumaczyć, że można nie lubić twórczości genialnego pisarza. Podobnie jak niełatwo wytłumaczyć, że lubiąc twórczość jakiegoś pisarza niekoniecznie lubi się w niej wszystko. Ile powtórzeń i dłużyzn irytuje mnie u Tomasza Manna, zwłaszcza w jego martwym arcydziele, jakim jest „Doktor Faustus”. Nawet z tomów Prousta, z „Uwięzionej” i z „Nie ma Albertyny”, miałbym chęć usunąć ten czy ów wielokrotnie powtórzony motyw. Natomiast ze Stendhala nie usunąłbym nic, ani jednego zdania. Z Czechowa także nie. Dlaczego tak jest, nie rozumiem, ale kto powiedział, że wszystko trzeba rozumieć.

Niedziela wieczór z Bohdanami w La Hacquinière u Krzywickich. Przy okazji wzięliśmy do bagażnika bieliznę pościelową, bo Krzywicki mają pralkę elektryczną z suszarką. Na autostradzie Bohdan zza kierownicy mówił o stosunkach architektury z naturą i czasem. Dojechaliśmy na miejsce w niecałą godzinę. Prócz nas jest anglistka z uniwersytetu w Dijon, młody adiunkt z Warszawy i Y. Po naszej ostatniej wizycie zmarł kot Panda i teraz został tylko Mrukot, sprytny, o żółtych oczach. Z początku wątek architektoniczny przewijał się dalej przez rozmowę. Mówiło się o szklanej piramidzie na głównym dziedzińcu Luwru, którą zaprojektował chiński architekt z USA. Wkrótce temat się upolitycznił, zajęliśmy się nowo wybranym starcem, rządzącym na Kremlu po śmierci Andropowa. Pokazano go w dzienniku telewizyjnym. Z trudem czytał swoje przemówienie,

ani na sekundę nie odrywając oczu od napisanego tekstu. Mimo to dwukrotnie się pogubił. Niezgrabny w ruchach, głowa z siwą czupryną wciśnięta w barki, oczy z mongolską fałdą. W chwilę później na ekranie pojawia się wódz jednego z państw arabskich. Patrząc na tę brutalną twarz myślę, że istnieje typ polityka o wspólnym korzeniu genetycznym z typem gangstera. W okresie dojrzewania korzeń się rozszczepia i wrażliwsi stają się gangsterami. Rozmowa przechodzi na Adama Michnika. Po jego liście do ministra spraw wewnętrznych obostrzono mu rygory więzienne. Podobno nie może korzystać z pism i książek i siedzi w dwuosobowej celi z Hindusem-narkomanem, którego złapali w Warszawie. Data procesu jedenastu więźniów politycznych nadal nie jest wiadoma. Żaden nie zgodził się na opuszczenie kraju. Możliwe, że zwolnią ich po ogłoszeniu amnestii 22 lipca. Jest taka nadzieja. Prócz nich w więzieniach siedzi wielu działaczy skazanych z wyroku, w tym członkowie KPN. Trzymani są w ciężkich warunkach. Przypuszczalnie los więźniów zależy od decyzji Moskwy.

Następnie — o wizycie burmistrza Nowego Jorku u Papieża. Po długiej audiencji Papież i burmistrz Koch ukazali się dziennikarzom roześmiani. Gdy zapytano burmistrza Kocha, co było powodem tak wesołego nastroju, mer Nowego Jorku zmrużył oko: — Moje anegdotki. — Opowiedział jedną z nich. W pierwszych dniach po zakończeniu wojny zgłosiło się do młodego księdza w Krakowie małżeństwo, które przygarnęło żydowskie dziecko w czasie okupacji. Rodziców wywieziono do obozu, dziecko szczęśliwie się przechowało. Para opiekunów zwróciła się do młodego księdza z prośbą o chrzest dziecka. Ksiądz zapytał, czy jest pewne że rodzice nie żyją. Pewność była niemal całkowita: oboje zginęli w Oświęcimiu, nie było o nich wieści od dnia wywiezienia. — Moi drodzy — rzekł młody ksiądz — nie mogę ochrzcić tego dziecka. Zrządzenia Opatrzności są nieprzeniknione, może rodzice żyją i nie pragną, aby ich syn otrzymał chrzest. — Po kilku miesiącach rodzice się odnaleźli. Uratowani od śmierci w obozie, wkrótce postanowili wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Teraz mieszkają w Nowym Jorku i wychowali dziecko w religii żydowskiej. W trakcie audiencji burmistrz Koch przypomniał Papieżowi to wydarzenie z wczesnych lat jego kapłaństwa.

Adiunkt z Warszawy pyta o sprawę zamachu na życie Papieża, która nie została dotąd wyjaśniona. Ktoś zapewnia, że od lat zamachy są organizowane przez komunistyczne ośrodki dywersji. Skąd wystartował samolot Sikorskiego: z Gibraltaru.

Szefem siatki Intelligence Service w Gibraltarze był wówczas Philby, agent sowiecki, który po wojnie zamieszkał w Moskwie. Kto Niemcom wydał Grota-Roweckiego: szwagier i współpracownik Kalksteina, wtyczki sowieckiego wywiadu w komendzie AK i w Gestapo. Dziś Kalkstein chodzi spokojnie po Warszawie. Zaczynają mówić wszyscy naraz, wpadamy w polski wielogłos i gdy następuje chwila ciszy, odzywa się Y. O propagandzie rządowej przedstawiającej generała-premiera jako zbawcę Ojczyzny, który uratował Polaków od inwazji sowieckiej i rozlewu krwi. W rzeczywistości było inaczej, twierdzi Y. Polska w roku 1981 skupiała na sobie uwagę całego świata, po Afganistanie interwencja zbrojna byłaby dla ZSSR wysoce kłopotliwa. Generał-premier miał wówczas mocniejsze karty w ręku niż Gomułka w 1956, kiedy czołgi sowieckie otaczały Warszawę. Mimo wszystko, co później nastąpiło, Gomułka potrafił się oprzeć Rosjanom. Nie aresztował opozycji, zatrzymał kolektywizację wsi i zrehabilitował więźniów politycznych. Dał Polakom kilka nie najgorszych lat. W grudniu 81 interwencja rosyjska została wykonana przez polskich generałów. Wykonują ją dalej. Z tego generałowie nigdy się nie oczyszczą.

— Ale nie trzeba się łudzić — mówi Y — że te polskie sprawy mają prawdziwie ważne znaczenie dla Zachodu. Francuzi patrzą na antysowieckie manifestacje Polaków z takim samym politowaniem, jak Polacy na ich antyamerykańskość. I z takim samym zdumieniem: jak można po czterdziestu latach doświadczeń nie nie rozumieć! Tylko że dla nas to są doświadczenia czterdziestu lat rządów komunistycznych, a dla nich — czterdzieści lat pokoju w podzielonej Europie. Podział Europy, który nam nie odpowiada, im odpowiada całkowicie. Pan pisał — Y zwraca się do mnie — o wybuchu entuzjazmu dla Solidarności na Zachodzie. Ale ich entuzjazm jest wyrazem ich nieczystego sumienia. Leją krokodyłe łzy nad tym, co dzieje się teraz w Polsce, a równocześnie bardzo pragną, żeby porządek panował w Warszawie. I nie tylko w Warszawie. Zażegnanie niebezpieczeństwa trzeciej wojny światowej zachodnia Europa widzi w „finlandyzacji”. Mogą państwo być spokojni, ona się już odbywa. Pod różnymi pozorami, poprzez różne inicjatywy, tak aby nie stracić pozorów spontaniczności. A my wstydliwie spuszczaemy oczy. W rezultacie Polacy nadal płacą za spokój Zachodu. Zgodnie z potrzebami Wschodu, jak zawsze... — uśmiecha się Y.

I znowu chwila ciszy.

Ktoś woła nagle: — Jak ludzie się z tego podniosą? Pozy-

tywizm? Pozytywizm był do pomyślenia, kiedy można było założyć fabrykę, sklep, szkołę! budować, uczyć!... Ale teraz? Więc co, tylko walka duchem? Znowu „Dziady”? Przez ile pokoleń?

— Przyjdzie pokolenie, któremu to się uda — mówi spokojnie Y. — Kto umiał przewidzieć, że po trzech przegranych powstaniach urodzi się pokolenie Legionów? Formacja Solidarności i KORu również nie była łatwa do przewidzenia. Tak, im się nie udało. Armia Krajowa, której się także nie udało, liczyła trzysta tysięcy uzbrojonych ludzi. Jak długo będzie w Polsce trzysta tysięcy nie uzbrojonych ludzi, którzy nie pogodzą się z niewolą, to w końcu musi się udać.

Przy stole adiunkt, siedzący obok mnie, pyta co sądzę o pewnym szczególnym zbiegu okoliczności: że generał w ciemnych okularach, założyciel WRON-y, którego ulica warszawska przezwiała „ślepakiem”, jest herbu Ślepowron. Twierdzę, że to jest żarcik Pana Boga. Moi dwaj przyjaciele, profesorowie filozofii, niedawno sformułowali tezę, według której Pan Bóg nie może bezpośrednio kierować losami śmiertelników. Dowody swego istnienia sygnalizuje pośrednio, za pomocą drobnych igraszek i figlów. Do nich należy zabawny przypadek generała-premiera. W którejś z moich książek, w „Sposobie bycia” lub w „Rynku”, pisałem o takich przypadkach nazywając je mruganiem Opatrzności.

Mówiliśmy tego wieczoru w La Haquinière jeszcze o wielu innych sprawach. Nie zanotowałem tu wszystkiego, bo prawdopodobnie dotarły do mnie tylko niektóre fragmenty rozmowy, przerywanej oglądaniem telewizji, nalewaniem kawy i herbaty, żartami, częstowaniem. Nie przez cały czas brałem żywy udział w tej rozmowie. Absorbowały mnie własne tematy. Jeden szczególnie. Od kilku tygodni czuję że trzeci tom „Miesięcy” zbliża się do końca. Piszac muszę przemagać zmęczenie — nie fizyczne. Najbardziej ciąży mi myśl, że to we mnie wyczerpuje się energia, podczas gdy na zewnątrz wątki nadal trwają i materiał nie przestanie się rozwijać. Wkrótce trzeba będzie położyć kropkę po ostatnim zdaniu, a przecież w rzeczywistości nic się nie zakończy. Niemiła myśl. Kiedy się pisze powieść, takie obawy nie istnieją. Powieść stwarza własną rzeczywistość, zakończenie wyznacza sama kompozycja, i to jest prawdziwy koniec powieści. Jedynym prawdziwym zakończeniem „Miesięcy” byłby koniec mojego życia; jest to bądź co bądź opowieść o mnie, o moim życiu. To się spełniło Gide'owi. W przedśmiertnej notatce swego dziennika napisał osłabioną ręką, że te linijki będą zapewne

ostatnie w jego zapiskach. Mój przyjaciel, który się otruł, dociągnął swój pamiętnik do słów zapisanych na chwilę przed agonią: „Coraz ciemniejsza mgła”. Pisał do końca. Jakkolwiek by określić gatunek literacki „Miesiący” (ani to dziennik osobisty, ani narracja epicka, trochę jednego i trochę drugiego), podział na części jest w nich koniecznością roboczą, niczym więcej. Zamykam tom wtedy, kiedy nie mogę pisać dalej. Nawet jeśli byłoby o czym. A zawsze jest o czym pisać, skoro nic się nie skończyło. Nie skończyło się w Polsce, i poza Polską, i we mnie, czy ze mną. Nie zakończyła się misja Papieża, ani sprawa więźniów politycznych w kraju, i setek ludzi, którzy zeszli do podziemia lub stracili nadzieję. Nie skończyły się też moje życiowe perturbacje. Nic się nie kończy, wszystko będzie miało swój dalszy ciąg po zakończeniu trzeciego tomu. Lecz ponieważ ów dalszy ciąg nie skończy się nigdy, trzeba samemu się zatrzymać i któregoś dnia postawić ostatnią kropkę, zamknąć tom. Ale jakie to wątpliwe... jakie podejrzane... Zawsze połączone z uczuciem kapitulacji. Przed czym? Naturalnie, przed życiem, przed jego wspaniałą i nieustającą zdolnością konstruowania akcji, przed jego wyobraźnią fabularną, przed...

Dosyć. Właściwie o co mi chodzi? O to, żeby zakończenie mojej książki było końcem świata? Za duże wymagania.

W powrotnej drodze do miasta siedziałem z przodu koło Bohdana. Kiedy zatrzymaliśmy się na oświetlonym skrzyżowaniu i zwróciłem się do niego chcąc go o coś spytać, z profilu wydał mi się podobny do wizerunku Puszkina. Powiedziałem mu to, gdy ruszyliśmy spod świateł. Uśmiechnął się: jego ojciec, zesłany podczas wojny w głąb Rosji, bardzo za nim tęsknił i miał obok pryczy ustawiony na stołku portrecik młodziutkiego Puszkina, który mu zastępował jego fotografię.

Dojechaliśmy z powrotem w czterdzieści minut, na autostradzie nie było zatorów. Bohdan pomógł mi wynieść z bagażnika bieliznę pościelową, która po upraniu wyschła w suszarce.

M. wyszła rano po sprawunki, nie wzięła ze sobą kluczy od mieszkania i wychodząc nie zostawiła otwartych drzwi do pokoju, w którym jest telefon. Pracowałem zamknięty u siebie, przygotowując wykład. Dochodziły do mnie odgłosy przejeżdżających samochodów, później jakieś dalekie, przytłumione dźwięki. Nagle rozległ się głuchy łomot, od którego ściany się zatrzęsły. Poderwało mnie z fotela. Łomot i uderzenia słychać było z głębi korytarza, a równocześnie urywał się dzwonek u

wejścia. Z notatkami w ręku dopadłem do drzwi na klatkę schodową zanim je wyłamano. Najpierw zobaczyłem dwóch policjantów. Między nimi stał mąż naszej konsjerżki, pan Drago, z tyłu M. blada, z rozwichrzonymi włosami. Przez pół godziny dzwoniła dobijając się do drzwi, potem telefonowała z apteki na rogu. Była pewna, że zastałem. Pan Drago miał wyważyć drzwi, policjanci radzili wezwać pogotowie. Kiedy się uspokoiła, M. zaczęła mnie oskarżać: nie chciałeś usłyszeć! Tłumaczyłem, że nie wzięła ze sobą kluczy i zostawiła wszystkie drzwi zamknięte. Ale moja logiczna argumentacja w niczym mi nie pomogła. Zostałem posądzony o niezdolność do współczucia i musiałem wysłuchać mojej prawdziwej biografii, która wprawiła mnie w najwyższe zdumienie.

W nocy szalała niezwykle zimowa burza z piorunami, nie mogłem zasnąć mimo zażytego proszka. Nad ranem wziąłem drugi proszek, który zamiast mnie uspić rozbudził mi pamięć i zarazem jakby wyniósł z czasu. Leżałem na łóżku w pokoju o innych ścianach i wymiarach. Raz po raz ukazywała go błyskawica. Po drugim proszku kręciło mi się w głowie, ale nie zasypiałem. Pomysły, wizje, głosy — myśli w natarciu. Podnosiłem się z łóżka i notowałem po ciemku, żeby światło nie zbudziło M. śpiącej po drugiej stronie korytarza. Zdaje się, że uspił mnie dopiero obraz ślubu moich rodziców. Opisała mi go niedawno kuzynka — a raczej najmłodsza z moich ciotek — żyjąca w Paryżu od wielu lat Różyczka Landau, która niosła wówczas tren za moją matką wraz z Jurkiem Heymanem, moim starszym bratem ciotecznym. Obraz miał trójwymiarową widzialność, cylinder ojca połyskiwał w blasku świec, twarz matki rysowała się cieniście za welonem. To nie był sen, to było wyraźne i szczegółowe widzenie. Rano próbowałem całą tę noc opisać w rozmowie z M. przy śniadaniu. Opowiadając zapalam papierosa, M. odwrócona plecami wkłada pieczywo do tosteru. Mówię, że trzeba się nad wszystkim głęboko zastanowić. M. pyta: nad wszystkim? I zaczyna się jedna z owych rozmów, jakie na ogół prowadzi się półgłosem, nie dlatego że są wstydlive, lecz że dotyczą spraw budzących niepokój i odkładanych zawsze na jakieś później. Podjęliśmy tę rozmowę niepostrzeżenie dla nas samych i ciągniemy ją. O nas. O dwojgu ludziach, którymi jesteśmy, czy staliśmy się, czy byliśmy od początku. O naszej parze, nie nazbyt ciężko doświadczonej przez los. Są tematy, przed którymi się cofamy, nie przemyślane gruntownie, choćby sprawa wewnętrznego opracowania się w stosunku do śmierci, i o nich właśnie jest mowa. O tym, że zbyt jesteśmy pochłonięci

życiem, że może zanadto trzymamy się doczesności i brak nam tego, co można by nazwać pamięcią przeznaczenia. Jesteśmy parą trochę lekkomyślną, twierdzę, zapominamy o rzeczach najważniejszych. A przede wszystkim o tej jednej. Trzeba się zdecydować: albo modlitwa, albo pogarda. Jeśli nie jest się zdolnym do modlitwy, a umie się gardzić, na przykład podłością, to dlaczego nie można by wymóc na sobie pogardy dla zakończenia, które jest tak podle okrutne. Albo: jeżeli zachowało się wiarę w sens i daje się kredyt sferze niepojętej, to dlaczego w ów kredyt nie włączyć tej okrutnej konieczności i nie przygotować się do niej w całkowitym spokoju. Może idzie tylko o robotę świadomości, o trochę woli.

I dalej w tym kierunku. O ósmej rano przy śniadaniu w kuchni mówię, że w gruncie rzeczy powinniśmy iść do notariusza i sporządzić testament. M. jest nieco speszona, nie sprzeciwia się jednak, kiedy napomykam o akcie spopielenia i rozsypaniu wspólnych prochów. Potem robi się późno, M. ma jeszcze załatwić kilka telefonów. Postanawiamy odłożyć dalszy ciąg rozmowy na wieczór albo na jutro. Na jakiś czas.

Za jakiś czas znowu będziemy o tym rozmawiać. O tym samym. Jest bowiem tak, że to się odsłania przed nami i przysuwa do nas coraz bliżej, w miarę jak nasza tutejsza codzienność nabiera cech rzeczywistych. Nie wiem dlaczego tak jest, ale tak jest.

Po południu, kiedy szedłem przez François-Miron do stacji metra, o krok przede mną spadł z trzaskiem na chodnik duży metalowy termometr. Musiał się urwać z jakiegoś okna. — Miał pan szczęście — powiedział właściciel kiosku z gazetami.

Bardzo przystojna słuchaczka podeszła do mnie po wykładzie, aby mi powiedzieć, że wzbudziłem w niej sympatię od pierwszego wejrzenia, bo przypominam z wyglądu pewnego starszego pana, który w swoim czasie chciał ją adoptować.

Więcej w lutym nie będzie.

Wielkanoc

W trakcie korespondencji z biurem organizacyjnym przyjąłem zaproszenie do Wenecji i przed 10 marca wysłałem tekst. W parę dni później zrobiło się wiosennie, nastąpił raptowny i osłabiający wybuch ciepła. Przed wyjazdem trzeba było poza-

łatwiać formalności, prócz tego dalej ciągnąłem wykłady. W rezultacie z całego marca nie zostało mi nic na pisanie.

W Wenecji przez trzy dni padał deszcz. Parasol ukradziono mi pierwszego dnia. Mieszkałem na Lido, w hotelu niedaleko plaży. Rano dowożono nas autokarem do przystani, z przystani vaporettem na wyspę San Giorgio. Kolokwium odbywało się w pałacu fundacji Cini. Pierwszy przemówił 84-letni niewidomy Borges. Na podium wprowadziła go towarzysząca mu młoda kobieta o indiańskich rysach, podpierał się laską. Wyglądał zupełnie inaczej niż na fotografiach, które ukazywały go w czarnych szklach. Cienkokościsty, wypielęgnowany, jasne oczy szeroko otwarte, tylko nieruchome odchylenie głowy czyniło go podobnym do ślepca. Przemawiał po francusku bez błędów, z pewnym trudem dobierając słów. Mówił o swojej młodości, gdy urzekła go literatura i sztuka europejska. Od dzieciństwa czuł się Europejczykiem na wygnaniu. Europa była dla niego krajem rodzącym uniwersalną kulturę, w sierpniu 1914 był przeświadczony, że w Europie wybuchła wojna domowa. Wspominając, uśmiechał się do audytorium, którego nie widział. Sprowadzono go z mównicy wśród oklasków. Później nie uczestniczył w sesji, bo podobno wyleciał na kongres do Tokio (szesnaście godzin z lądowaniem na Alasce), gdzie pewnie ja także bym się znalazł, gdyby nie to, że napisałem w porę list z odmową.

Konwicki był zaproszony do Wenecji, ale nie przyjechał, odmawiając mu paszportu. Nadesłał piękny krótki tekst o literaturze powstającej w części Europy objętej przez komunizm. Przemawiałem trzeci z kolei. Mówiłem o pomocy, jakiej oczekują kraje odłączone od Zachodu, o zwątpieniu Europy w siebie i o tym, że kulturę europejską w ostatnich dziesięcioleciach wzbogaciły dzieła zrodzone z cierpień narodów podbitych przez kolonializm i totalitaryzm. Mówiłem też o Sołżenicynie, który odkrył Europejczykom nieznany archipelag ludzkich nieszczęść. Pod koniec przeszedłem do spraw pomocy kulturalnej dla Polski. W przerwie przysiadł się do mnie znajomy Francuz, socjolog: — Dobrze pan przemawiał, ale to nie sztuka, bo wasza sytuacja jest tragiczna.

Hotel w Lido nazywał się „Venezia 2000”. Pierwszej nocy, chyba już nad ranem, byłem w Warszawie, gdzie starałem się o paszport zagraniczny do Polski. Miał mnie przyjąć generał Kiszczak, minister spraw wewnętrznych. Czekałem w ciasnym pokoiku, jakby w szafie, podobnej do rozbieralni w szpitalu Cochin, z której wchodziłem do gabinetu doktora Illouze. By-

łem już rozebrany, tylko w koszuli i skarpetkach. Nie wiadomo jak i kiedy znalazłem się na ulicy przypominającej Nowy Świat. Śpieszyłem się mijając ludzi o znajomych twarzach, których jednak nie znałem i którzy mnie nie poznawali. Szedłem do domu, gdzie miała czekać M. Idąc Nowym Światem bałem się, że zabłądzę i nigdy nie dojdę do Warszawy.

W czasie mojej nieobecności polski czytelnik z Lille przysłał mi egzemplarz „Dżokera” z prośbą o dedykację. Zazrzałem do początku i rzuciły mi się w oczy zdania na pierwszej stronie. „Wszelki opis, jeśli nie jest czysto zawodowy (np. opis mebli przez komornika lub opis doświadczenia przez naukowca), grozi uwikłaniem się w pewien szczególny rodzaj kłamstwa, jakim staje się słowo, z chwilą gdy chce wyrazić rzecz. Słowo nie zostało powołane do wyrażania rzeczy, ma ją po prostu nazwać”.

W piętnaście lat później napisałem w „Miesięcach”: „W próbie opisu, przekazania za pomocą słów tego co kamera rejestruje obrazem, jest dla mnie pewna wartość, lepiej powiedzieć ambicją: utwierdzenia w sobie wiary w literaturę, w sens literatury. Opis literacki... ile miejsca pozostawiają mu maszyny i aparaty techniczne, polityczne? Bardzo niewiele. Świat jest dziś pokazywany albo nazywany”.

Mimo że te dwa cytaty wydają się sprzeczne, w obydwóch czuję prawdę. Powiedziałbym, że sprzeczność je łączy. Ale co to znaczy? Chyba to, że po piętnastu latach umiem na nowo przeżywać sprawy, które mnie najbardziej obchodzą: że nadal jestem zdolny do zmiennego widzenia rzeczy i siebie. Mógłbym o tym powiedzieć dużo więcej, gdyby nie krępowała mnie forma. Myślę tu o pierwszej osobie liczby pojedynczej. A ściślej, o własnej osobie, która pisze „Miesiące”. Istnieje pewna granica, jakiej usiłuję nie przekraczać mówiąc *ja*, *mną*, *mnie*. Pod tym względem można sobie używać w poezji. Poeta zawsze korzystał z licencji na osobiste wyznania. W prozie autorowi nie uchodzi płakać nad swoim losem i tylko poeta mógł napisać „polały się łzy moje”. Mówiąc o sobie prozą trzeba stale mieć się na baczności, żeby nie dać się zjeść przez siebie samego. Apetyt na własne *ja* z początku budzi energię do pisania, ale ten głód ma wielkie oczy i po jakimś czasie odczuwa się niestrawność. Ma się dosyć siebie, swoich wspomnień, poglądów i snów. Wolałoby się napisać powieść kryminalną z trupem w szafie.

Z trupem apolitycznym. Powieść o normalnym ludzkim morderstwie. Zazdrości się Agacie Christie.

Może nigdy dotąd nie czułem tak silnej potrzeby zmiany i zaprzeczenia, jak właśnie teraz. Zdaje się, że powinienem czym prędzej zakończyć tom i odpocząć. Najchętniej bym wyjechał. Dokąd, za granicę? Ale przecież jestem za granicą. Więc może... Nie. Chciałbym się znaleźć jak najdalej od własnej pamięci. Żeby mi się nic nie przypominało i nie śniło, żeby mnie nie straszyla przeszłością ani przyszłością. Chciałbym się odciąć od wszystkiego, co przeżyłem i co napisałem, stać się trzecią osobą i rozpocząć spokojne istnienie w jakiejś górskiej wiosce. Bardzo bym tego pragnął. Sama myśl o tym pokrzepia. Jestem przekonany, że nie tylko mnie dobrze by to zrobiło. Ludzie za dużo dowiedzieli się o sobie i boją się, że mogą się dowiedzieć jeszcze więcej. A równocześnie czują, że nie dowiedzą się rzeczy najważniejszej. Człowiek chciałby się wykurować, odsapnąć od siebie i zamienić swoje *ja*, *mną*, *mnie* na trzecią osobę. Trzeba ją wymyślić i stworzyć. Na razie nie widzę innego wyjścia. Wrócić do fikcji w trzeciej osobie z Wszechwiedzącym, który opowiada o tym, co się dzieje.

„Tlemcen 8/04/1984

Szanowny panie!

Przeczytałem Pańskie 'Miesiące' — ma Pan dolegliwości reumatyczne, które dobrze znałem. Piszę w czasie przeszłym, Hamdullah, bo już nic mi nie dolega, od czasu wizyty u Imama Sidi ben Amer w małej osadzie w górach, leczącego skutecznie choroby reumatyczne, przez całkowicie bezbolesne nakłucie ucha i założenie miedzianego kolczyka.

Dałbym sobie wtedy przekłuć nos i nosić w nim kawałek drewna, gdyby mi to mogło pomóc. Złe chodziłem i nie mogłem biegać, ja, który przebiegłem po historycznej trasie z Maratonu do Aten, nie mogłem biegać!

Wizyty u sław medycznych w Warszawie wykazały, że mam zmiany zwyrodnieniowe w kolanie i tylko „Anteparon”, lek do dostania w RFN, w razie bardzo silnych bóli może je złagodzić. Zastrzyki mają być bite bezpośrednio w kolano!

Żadnej obojętności, nigdy nie nauczę się żyć z chorobą. Piszę to, aby Pana przekonać. Zapraszam Pana do siebie do Tlemcen. Są bezpośrednie loty Paris-Tlemcen i Tlemcen-Paris.

Sądzę, że wizę algierską dostanie Pan w Paryżu bez trudności. Gdyby było potrzebne *certificat d'hébergement*, proszę mi podać w liście datę i miejsce urodzenia i zamieszkania, a natychmiast Panu wyślę.

A teraz o sobie słów parę. Jestem inżynierem, pracuję czwartą już rok w Algierii, mieszkam tu z rodziną.

Zawiozę Pana do Sidi ben Amer i będzie Pan *bien portant*, chyba że specjaliści prof. Amor i doktor Illouze już Pana wyleczyli, w co śmiem wątpić.

Pozostaję z szacunkiem (*podpis*). PS. Dobrze, że nie skreślił Pan tego fragmentu”.

Odpisałem, że jego list nadszedł w samą porę i że dam znać, kiedy przyjadę do Tlemcen.

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Wrzesień 1984

	Stron	F.
Arzak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bierezin, J.: <i>W a m</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkice i opowiadania</i>	272	20,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (eseje literackie)	272	75,00
Bugajski, Ryszard: <i>Przesłuchanie</i> (Scenariusz filmowy)	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1973-1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1973-1980), <i>Działalność Wydawni-</i> <i>cza</i> (1973-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej</i> <i>w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdydurke</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. III, <i>Pornografia</i>	168	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie. — Wędrówki po Argentynie</i>	256	50,00
Głos („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Heller, M.: <i>Polska w oczach Moskwy</i>	208	75,00
Herbert, Z.: <i>Raport z obłąkanego miasta</i> (Wiersze)	88	40,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i> (1980-1983) ..	346	95,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Holzer, J.: „Solidarność” 1980-1981 (Geneza i historia)	360	95,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Januszkiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	65,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	223	8,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Koszelewicz, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)	104	25,00
Kuśmierz, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..	104	25,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)	196	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)	256	65,00

	Stron	F.
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11) ..	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6) ..	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Świadectwo poezji</i>	96	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3) ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Mrożek, Sł.: <i>Vatlav. — Ambasador</i> (dwie sztuki sceniczne)	124	40,00
Nowakowski, M.: <i>Notatki z codzienności</i>	160	50,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Orłowski, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Orwell, G.: <i>1984</i>	304	75,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Prawa człowieka i obywatela w PRL (13.12.1981-31.12.1982). Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie</i> (Seria „Dokumenty” Nr 49)	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rekułski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Rymkiewicz, J. M.: <i>Rozmowy polskie latem 1983</i>	160	60,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i>	144	55,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00

	Stron	F.
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	65,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
<i>Teksty cywilne przez Leopolię</i>	176	55,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. II/III	968	66,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszylski, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zagajewski, A.: <i>List — Oda do wielości</i>	96	35,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> , t. I i II, str. 238 i 342	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 łącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57 są wyczerpane. Ukazał się <i>Zeszyt</i> 69 (sierpień 1984).		
Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>		60,00

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %. We Francji liczymy efektywne koszty porta (taryfa znacznie wyższa niż za granicę).

Prenumerata *KULTURY* na rok 1984:

rocznie — F. 380,00; półrocznie — F. 200,00.

Prenumerata *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1984:

rocznie — F. 240,00 (pojedynczy *Zeszyt* — F. 60,00)

(dla prenumeratorów *KULTURY* — F. 220,00).



A C H E V E D'IMPRIMER
LE 18 SEPTEMBRE 1984
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 3^e trim. 1984.

N^o d'imprimeur 6499.

622212875

Ant Wojtowicz
25.03.2005 Kholos
21 41, 90

80 F

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001000933897